

Autorka bestsellerów nr 1 TEN MĘŻCZYZNA i TA NOC

JODI ELLEN  
MALPAS



MÓJ OBROŃCA

Czy w jego czułych i silnych ramionach  
poczujesz się naprawdę bezpieczna?





JODI ELLEN  
MALPAS

MÓJ OBROŃCA

Przekład  
MAGDALENA UFLAND  
EWA SPIRYDOWICZ





# Rozdział 1

## JAKE

*Jego przerażone oczy wpatrują się we mnie, jego ciało zastyga pod moim. Skwar, brud i krzyki wokół mnie – to wszystko nie pozwala mi się skoncentrować. Ale muszę się skupić. Wyrrywam się z zamyślenia, przyciskając go do żwiru pode mną. Nie powinno mnie tu być.*

*Powinienem się ukrywać na pobliskich wzgórzach, między zaroślami i kamieniami. Być niewidzialnym zagrożeniem, o którym nie wiedzą.*

*Mężczyzna, którego trzymam, jest chudy i niedożywiony, a białka jego oczu zabarwione żółcią. Zindoktrynowany skurwiel zabił dwóch moich kumpli. Przenikliwy ból w ramieniu przypomina mi, że mnie też o mało co nie zabił. Powinienem być zostać na pozycji. Spieprzyłem sprawę. Lekkomyślna, samolubna potrzeba, żeby spuścić tym popaprańcom łomot, skończyła się śmiercią dwóch żołnierzy. To ja powinien leżeć w piachu kilka metrów dalej. Zasluguję na to.*

*Jego serce wali gorączkowo pod cienkim materiałem brudnej koszulki. Czuję je przy swojej piersi mimo warstw munduru i kuloodpornej kamizelki. Ale złowieszczy błysk w jego oczach wciąż łśni, kiedy mruczy nieznane mi słowa. Modli się.*

*Ma rację.*

*– Do zobaczenia w piekle. – Pociągam za spust i pakuję mu kulę w czaszkę.*

Zrywam się ze snu. Cienka pościel klei się do mojego spoconego ciała.

– Skurwiel – dyszę, pozwalając oczom przyzwyczać się do pierwszych promieni słońca, aż wreszcie przez panoramiczne okno sypialni widzę dachy londyńskich budynków. Jest szósta rano. Wiem to nawet bez patrzenia na budzik stojący na szafce. I nie tylko dzięki wschodzącemu słońcu. Alarm, który codziennie eksploduje w mojej głowie o tej samej godzinie, jest zarówno przekleństwem, jak i błogosławieństwem.

Zsuwam nogi na podłogę i biorę telefon. Nie zaskakuje mnie brak SMS-ów i nieodebranych połączeń.

– Dzień dobry, świecie – mruczę, rzucając komórkę na nocny stolik. Wyciągam ramiona w kierunku sufitu, rozciągając napięte mięśnie. Kolistym ruchami budzę barki, nabierając powietrza w

płuca i spokojnie wypuszczając je przez nos. Pochylam się do przodu. Opieram przedramiona na kolanach i wpatruję się w miasto, odsuwając myśli o koszmarze w ciemny kąt umysłu. Powoli oddycham. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Zamykam oczy i dziękuję mocy fałszywego spokoju. Opanowałem go do perfekcji.

Ale kiedy słyszę szelest za sobą, moje mięśnie znów się napinają. Automatycznie wsuwam rękę pod materac, żeby wyciągnąć VP9. Mój umysł nie zdążył nawet wydać polecenia.

Impuls.

Wymierzam broń w budzący się cel, zanim zdołam skupić wzrok.

Instynkt.

Stoję nagi, jak mnie Pan Bóg stworzył. Ramiona mam wyprostowane na całą długość. 9-milimetrowy pistolet aż za dobrze leży w mojej dłoni.

– Hmm. – Cichy pomruk dociera do mojej głowy. Wpatruję się w długie nagię nogi przeciągające się na moim łóżku. Mój umysł wreszcie przypomina mi, że wczoraj wieczorem wylądowałem w barze. Natychmiast chowam broń, chwilę przed tym, nim kobieta otworzy oczy. Uśmiecha się leniwie i umyślnie wyciąga swoje szczupłe, jędrne ciało, żeby na jego widok poleciała mi ślinka, a fiut zadrgał pożądaniem.

Ma pecha. Myślę tylko o jednym. I to nie o niej.

– Wracaj do łóżka – szepcze, pożądliwie wędrując wzrokiem po stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrach mojego ciała. Podpiera się na szczupłym łokciu, wsparłszy brodę na dłoni, i niecierpliwie stuka palcami po aksamitnym policzku.

Nie poświęcam jej uwagi, której się domaga. Wiem, że zaraz będę miał przed sobą rozczarowaną kobietę. Ta sama scena, inny dzień.

Odchodzę, czując na plechach jej rozłoszczone spojrzenie.

– Przepraszam, mam kilka spraw do załatwienia – rzucam przez ramię, nawet nie patrząc na nią. Nie mam na to czasu. – Możesz poczęstować się bananem, jak będziesz wychodziła. –

Wchodzę do łazienki.

Okna od podłogi do sufitu zamontowane na dwóch ścianach dają panoramiczny widok na miasto, ale jedyne co widzę, to swoją wymizerowaną twarz w lustrze. Wzdycham i opieram rękę na umywalce. Drugą przekręcam kurek i wpatruję się w swoje żałosne odbicie. Wyglądam równie kiepsko, jak się czuję. Cholerny jack daniel's. Przesuwam dłonią po szorstkiej szczęce, kiedy słyszę: „Jesteś pieprzonym dupkiem!”, a po chwili naga kobieta wpada do mojej łazienki. Nie mogę się z nią nie zgodzić.

Jestem dupkiem. Skrytym, mściwym dupkiem. Chciałbym mieć osiągnąć wewnętrzny spokój i równowagę, ale w moim życiu nie ma spokoju. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę ich twarze. Danny. Mike. Byli dla mnie jak bracia i mimo że upłynęły cztery lata, wiem, że zginęli przeze mnie. Przez moją głupotę. Moją samolubność. Nie mogę od tego uciec. Jedynie na chwilę skupić myśli na czymś innym. Praca, alkohol i seks to wszystko, co mi zostało. A ponieważ chwilowo nie mam zlecenia, dostępne są tylko dwie ostatnie opcje.

Podnoszę wzrok. Spodziewałem się, że będzie wkurzona. Ale dostrzegam także pożądanie. Sutki jej jędrnych piersi są twarde, a wściekle oczy wciąż napawają się mną. Przechylam głowę na bok i czekam, aż jej zachłanne spojrzenie spotka się z moim. Rozchyła usta. Mój fiut pozostaje miękki. Zero porannego wzvodu.

– Zamknij drzwi, wychodząc – mówię spokojnie, posyłając jedynie beznamiętne spojrzenie. I wtedy to widzę. Postanowienie.

– No to zaczyna się – mówię pod nosem, odsuwając się od umywalki. Prostuję się i przygotowuję na to, co zaraz nastąpi.

Rusza w moim kierunku, unosząc dłoń.

– Ty draniu! – Uderza mnie w twarz. Pozwalam jej na to, zaciskam zęby i czekam, aż ból przejdzie. Po chwili rozluźniam mięśnie szyi i otwieram oczy.

– Drzwi są tam – mówię, wskazując ręką.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie w milczeniu – ona jest zaskoczona, pewnie wraca myślami do tego, jak ją porządnie zerznąłem wczorajszej nocy, ja – niewzruszony, chcę, żeby jak

najszybciej się stąd wyniosła, żebym mógł zacząć dzień.

– Dzięki za gościnność – cedzi wreszcie, obraca się na pięcie i odchodzi wściekła.

Po chwili drzwi trzaskają, aż ściany wokół mnie zaczynają wibrować. Wracam do lustra i biorę szczoteczkę, żeby umyć zęby. Potem wskakuję w spodenki i buty do biegania i ruszam na miasto.

Poranne powietrze dobrze mi robi. Kieruję się w stronę parków, słysząc znane dźwięki porannego Londynu: mały ruch uliczny, ptaki, stopy innych biegaczy uderzające o chodniki. Potrzebuję ich uspokajającego efektu, żeby dobrze zacząć dzień. Rosa wciąż pokrywa trawę, a wilgotna mgła przykleja się do mojego nagiego torsu, kiedy sprintem pokonuję ścieżkę. Przestaję czuć nogi. To właśnie lubię.

Patrzę przed siebie, nie myśląc o drodze, jakbym przebiegł ją milion razy. Pewnie tak było. Te same twarze uśmiechają się z nadzieją, kiedy widzą, jak pędzę w ich kierunku. Kobiety prostują plecy, wstrzymują oddech. Dziś może się zatrzymam i przywitam, a może rzucę im przelotny uśmiech, kiedy będę je mijał. Ale jak mówiłem, srodze się rozczarują. Są jedynie kolejnymi twarzami w morzu nic nieznaczących ludzi na mojej drodze. Sprawnie mijam wszystkich; moje ciało automatycznie unika kolizji.

Po trzydziestu minutach czuję, że odzyskuję jasność umysłu i że wraz z potem alkohol usuwa się z mojego ciała. Leje się ze mnie, kiedy pokonuję ostatni kilometr, aż moje płuca zaczynają płonąć.

Gotowe.

Zwalniam tempo i przystaję przed kawiarnią Nero's, spoglądając w niebo. Z satysfakcją kiwam głową. Punktualnie siódma dwadzieścia. Wchodzę do środka, biorę serwetkę i ocieram czoło. Idę w kierunku lady. Po drodze wyciągam z lodówki butelkę wody, otwieram ją i wypijam całą, zanim dojdę do kasjerki. Nabiła napój na kasę, zanim zdołałem sięgnąć po portfel i wyciągnąć banknot.

– Czarna kawa już się robi – mówi, zerkając przez ramię, żeby się upewnić.



– Dzięki – mruczę, rzucając pustą butelkę przez kawiarnię.  
Łąduje w koszu na śmieci. Kiedy odwracam się do kasjerki,  
moja kawa już na mnie czeka na ladzie.

Codziennie taka sama.

Biorę kawę i wychodzę.

Ruch uliczny się zwiększa, kiedy idę wzdłuż Berkeley Street,  
kupując jak zawsze gazetę. Mój sprzedawca z uśmiechem podaje  
mi ją, kiedy podchodzę.

– Dzisiaj jest pan wcześniej. – Kiwam głową i biorę gazetę,  
rzucając mu funciaka. Przeglądam pierwszą stronę. Gdy tylko  
widzę nagłówek, zalewa mnie złość.

19 OFIAR STRZELANINY W TURECKIM KURORCIE

– Dranie. – Opanowuję wściekłość i bezsilność, i czytam  
dalej.

Gości ewakuowano. Turystów ostrzega się przed  
podróżowaniem w tamtym kierunku. Turcję dodano do listy  
niebezpiecznych regionów.

Cholera, w dzisiejszych czasach cały świat jest  
niebezpiecznym regionem. Składam gazetę i wyrzucam ją do  
kosza na śmieci. Nie wiem, dlaczego to sobie robię. Nie mogę w  
żaden sposób pomóc. Nie teraz. Nie potrzebują mnie. Albo nie  
chcą. Nie po tym, co odstawiłem w Afganistanie. Twarze moich  
kumpli zaczynają kruszyć obronny mur w mojej głowie.  
Szczęśliwe twarze. Martwe twarze. Odsuwam wspomnienia, zanim  
przejmą nade mną kontrolę. Potrzebuję kolejnego  
piętnastokilometrowego biegu.

Odkręcam wodę pod prysznicem i nie reguluję temperatury.  
Lodowata woda atakuje mnie z każdej strony; moje całe ciało  
dostaje niezły wycisk. Cudowne uczucie. Takie prawdziwe.

Odchylam głowę, pozwalając strumieniowi spływać po  
twarzy, i rozmyślam nad planem dnia. Wyczyścić broń... czwarty  
raz w tym tygodniu. Sprawdzić maile. Może zadzwonić do Abbie.

To ostatnie zadanie jest na mojej liście każdego dnia przez  
ostatnie cztery lata.

I wciąż go nie wykonałem. Tylko zadzwonić do niej. Dać

znać, że żyję. Tyle jej wystarczy. Tyle mogę jej dać. Mimo to nie jestem w stanie wrócić do przeszłości. Zaczynam wolniej oddychać, spuszczaam głowę. Wystrzały, wybuchy, krzyki.

Maile! Rozcieram policzki, zapanowując nad początkiem ataku paniki, i sięgam po żel pod prysznic. Muszę przeżyć ten dzień. Po umyciu się owijam ręcznik wokół pasa. Biorę leki i przechodzę przez przestronny salon w kierunku panoramicznych okien, gdzie stoi moje biurko, które dominuje w pomieszczeniu. Siadam w dużym skórzanym fotelu i odpalam laptopa, obserwując miasto, kiedy komputer się ładuje. Opieram się o plecy fotela, gdy do mojej głowy napływa cicha myśl.

Po prostu napisz do niej. Daj znać, że żyjesz. Śmieję się gorzko ze swojego żalosego życia. Abbie jest pewnie jedyną osobą na świecie, którą interesuje, czy żyję. A może już jej to nie obchodzi.

Jestem sam. Bez rodziny. Bez przyjaciół. Bez rodziców.

Odkąd matka i ojciec zginęli podczas lotu 103 liniami PanAm, miałem jeden cel. Wojnę. Miałem wtedy siedem lat. Nie rozumiałem do końca, co się stało, ale wiedziałem, że na świecie są źli ludzie i że trzeba ich powstrzymać. Pałaca potrzeba walki ze złem narastała z czasem. Zajmowała się mną babcia, dopóki podeszły wiek jej nie zabrał. Potem nikt się mną nie przejmował. Mogłem wstąpić do wojska i zrobić swoje. Cokolwiek, żeby pomóc.

Szybko zauważono moje zdolności strzeleckie. Wzięli mnie ze szkoły wojskowej i dali broń. Nigdy się nie wahałem. Celowałem, strzelałem, trafiałem. Za każdym razem miałem poczucie sukcesu. Nie czułem winy, tylko sukces. Ponieważ na świecie było o jednego niebezpiecznego drania mniej.

Ding!

Dźwięk oznajmiający nadejście maila wyrywa mnie z rozmyślań.

– Witaj, piękna – mówię do siebie, kiedy na ekranie wyświetla się jej imię. Od razu jestem pełen nadziei na wytchnienie. Od dwóch tygodni nie miałem żadnych zleceń i

zacząłem głupiec. Dwa tygodnie nicnierobienia poza piciem, pieprzeniem i walką z nawiedzającymi koszmarami. Jak zawsze wiadomość od Lucindy jest zwięzła i konkretna... Bez wątplenia dlatego jest jedyną kobietą, którą rzeczywiście lubię.

Ale mój zadowolony uśmiech znika w trakcie czytania.

KLIENT: Trevor Logan – znany biznesmen i właściciel nieruchomości

OBIEKT: Camille Logan – najmłodsze dziecko klienta, jedyna córka

ZAKRES PRACY: prywatny ochroniarz

OKRES: na czas nieokreślony

WYNAGRODZENIE: 100 000 £/tydzień

Opieram się na fotelu. Moje palce stykają się przed ustami na kształt wieży.

Sto kafli tygodniowo? Musi być jakiś haczyk. Prywatny ochroniarz? Od dawna się tego nie podejmowałem i nie jestem pewien, czy to teraz dobry pomysł, chociażby dlatego, że obiektem jest córka Trevora Logana, bezwzględnego biznesmena, który zniszczy każdego, kto mu stanie na drodze do celu.

Czytałem o nim w gazetach. Ostatnio głośno było o procesie, kiedy oskarżono go o działanie na szkodę mniejszościowego udziałowca firmy, którą kupił. Oczywiście wygrał. Zawsze wygrywa, a prasa zawsze popiera dupka. Facet jest nieznośnie świętoszkowaty i nie wyobrażam sobie, żeby córka była inna. Lucinda musiała wziąć to pod uwagę.

Nie powinna mi tego proponować. Zna moją przeszłość. Każdy okropny szczegół. Takie zlecenie oznacza ciągły nadzór, nieustanną ochronę. A w przypadku takiej kobiety? Nie ma mowy. Skończyłoby się na tym, że bym ją udusił... albo jeszcze gorzej: ciągłe przebywanie w obecności dziewczyny, która przypomina mi inną o takich samych cechach, mogłoby nasilić napływ wspomnień.

Zbieram myśli, zanim się rozbiegną w niepożądanym kierunku.

Nie. Nie mogę, nawet za takie pieniądze.

– Zaczynałem cię lubić, Lucindo – mruczę pod nosem, kiedy wystukuję odpowiedź.

Wie, że walczę ze sobą, jeśli nie mam na czym się skupić. Tygodnie picia i pieprzenia nie pomagają, jeśli nie mam zleceń, ale wysyłanie mi takiej oferty jest czystą głupotą. Chce mnie zniszczyć? Gdy mam kliknąć przycisk „wyślij”, zauważam pasek wyszukiwania Google.

– Cholera – mruczę, wstukując kilka słów w puste pole.

Nie podoba mi się to, co widzę. Kobieta po dwudziestce, szczupłe nogi i niebezpiecznie kuszący uśmiech. Zmierzwiłone, długie blond włosy, zebrane w niedbały warkocz, który spływa z jej ramienia. Sący szampana w ogrodzie, otoczona śliniącymi się mężczyznami.

Trafiłem w dziesiątkę. To najgorszy rodzaj kobiet i zdecydowanie nie powinienem przebywać z nią dłużej, niż zajęłoby zerznięcie jej do nieprzytomności. Mimo to kiedy powinienem zamknąć okno i wysłać odpowiedź Lucindzie, uświadamiam sobie, że zamiast tego przechodzę do galerii. Przeglądam dziesiątki zdjęć. Na niektórych wychodzi z klubów, na innych imprezuje lub idzie ulicami Londynu objuczona torbami z zakupami. Są też profesjonalne zdjęcia, głównie reklamy ubrań znanych marek i projektantów. Marszczę czoło, kiedy na ekranie pojawia się Wikipedia.

Ma nawet stronę w Wikipedii? Wzdycham, ale klikam link i czytam.

*Camille Logan, najmłodsza córka biznesmena Trevora Logana i znana imprezowiczka. Urodziła się 29 czerwca 1991 r. Studiowała modę na London College, gdzie szybko została zauważona przez Elite Models. Mieszka w centralnym Londynie i regularnie udziela się towarzysko. Spotykała się między innymi z Sebastianem Petersem, spadkobiercą Peters Communications. Camille może pochwalić się typowymi wymiarami modelki: wzrost 173 cm, nogi do złączenia ud 85 cm, miseczka 75C i 64 cm w talii. Blond włosy i niebieskie oczy. Po ciężkim rozstaniu z Petersem w zeszłym roku Camille zgłosiła się na odwyk kokainowy do kliniki*

*Priory. Następnie wróciła do kariery modelki i współpracuje z takimi markami jak Karl Lagerfeld, Gucci i Boss.*

Zaskoczony osuwam się w fotelu.

Podają nawet jej wymiary?

Mój umysł walczy z niedowierzaniem, kiedy wracam do maila i dopisuję postscriptum.

*Nawet za milion! Rezygnuję.*

Nie dodaję „dzięki”. Lucinda musiała oszaleć. I z tą myślą zamykam laptopa.

Obracam szklaneczkę w dłoni, obserwując, jak bursztynowy płyn się w niej porusza.

Która to już dzisiaj? Dziesiąta? Jedenasta? Wypuszczam powietrze, opróżniam zawartość i z hukiem odstawiam puste szkło. Barman natychmiast dolewa alkoholu. Kiwam głową, dziękując, i opieram łokcie na barze. Jestem świadomy kobiecych spojrzeń. Chcą, żebym podniósł wzrok, żeby nasze spojrzenia się spotkały. Ale jeśli zwrócę na którąś z nich choć trochę uwagi, wieczór skończy się tak jak większość ostatnio.

Dymanko, pożegnanie i cios w twarz. I znów to samo. Dziś tylko alkohol. Tylko alkohol.

Knykcie same wciskają mi się do oczu i zaczynają je pocierać.

Z braku innych zajęć – czy to zlecenia, czy kobiety do zerżnięcia – powstrzymywanie myśli przed wędrówką do mrocznej przeszłości to prawdziwa walka. Zaczynam widzieć twarze, które nawiedzają mnie każdego dnia. W głowie słyszę wybuchy, a serce zaczyna mi coraz szybciej bić.

– Skurwiel – mówię zdyszonym głosem. Podnoszę wzrok i naprzeciw zauważam kobietę trzepoczącą rzęsami w moim kierunku. Będzie moim wytchnieniem od męczarni, ale kiedy wstaję ze stołka, żeby do niej podejść, ogłuszający dźwięk tłuczonego szkła każe mi złapać się za bar, żeby nie stracić równowagi. Żołądek podchodzi mi do gardła, w głowie wyświetlają się znane sceny. Roztrzaskiwane okna, ogień wroga, przerażone krzyki. Usiłuję się uspokoić, rozglądam się nerwowo

po barze, żeby przypomnieć sobie, gdzie jestem. Barman przeklina, a ja zerkam na niego i widzę, jak wpatruję się w zbite szkło u swoich stóp.

– Cześć, przystojniaku.

Obok mnie stoi kobieta z naprzeciwka, uśmiechając się uwodzicielsko. Myśl, że mógłbym wykorzystać okazję, zaprowadzić ją do swojego mieszkania i pieprzyć, aż serce zacznie walić mi z innego niż teraz powodu, nie uspokaja mnie tak, jak powinna.

Nie widzę jej twarzy. Widzę jedynie swoją przeszłość. To na nic się nie zda.

Sięgam do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągam tabletki, odkręcając nakrętkę, kiedy wychodzę z baru. Muszę się na czymś skupić, i to szybko. Wspomnienia są coraz częstsze, a leki mniej skuteczne.

Jeśli tak dalej pójdzie, zajmę pokój Camille Logan w klinice Priory. Znajdę się w tym samym miejscu co cztery lata temu: zagubiony, zmizerniały, ciągle zadręczający się koszmarami. Nigdy mnie nie opuszczą, ale mogę je ograniczyć. Po prostu muszę odsunąć na bok osobiste urazy i podejść do Camille Logan z czystą głową.

Praca. Koncentracja na zadaniu. To jest to. Tylko to mam.

Wyciągam telefon i dzwonię do mojej ostatniej deski ratunku.

– Właśnie miałam do ciebie dzwonić – mówi Lucinda na powitanie.

– Zlecenie od Logana. Biorę je. – Gównu mnie obchodzi, kim jest klient. Kobieta, dzieckiem czy cholerną małpą. Po prostu potrzebuję pracy. I tak nic gorszego nie może mnie spotkać.

– Dobrze – odpowiada krótko, nie robiąc afery. – Cieszę się, że powstrzymałeś mnie przed skopaniem ci tyłka.

Moje serce powoli się uspokaja.

– Ktoś musi – mruczę.

– Gdzie jesteś?

– W Chelsea.

- W barze?
- Właśnie wyszedłem.
- Z?
- Z nikim.

Śmieje się, jakby mi nie wierzyła. I z pewnością tak jest.

– Dobrze się wyśpij, Jake. Bądź jutro o trzeciej w Logan Tower. Rano będziesz miał na koncie sto tysięcy. – Rozłącza się, a ja ruszam do domu. Mój umysł myśli tylko i wyłącznie o pracy. Jestem najlepszym ochroniarzem w agencji. Nie przesadzam. Takie są fakty. Chcesz zapewnić komuś bezpieczeństwo, zatrudniasz mnie. Mam czystą kartę i nie planuję tego zmieniać.

Znów jestem w grze.

## Rozdział 2

### CAMI

Camille!

Obracam się, a torby zakupowe wirują razem ze mną, tworząc złudzenie papierowej spódnicy baletnicy. Uśmiecham się na widok pędzącej w moim kierunku Heather. Jej oczy świecą radością. Walcząc z torbami, które uderzają mnie w bok tułowia, kiedy unoszę dłoń do twarzy, ściągam okulary przeciwsłoneczne, zanim ciężar zakupów każe mi opuścić rękę.

– Hej! – wołam śpiewnie z równym entuzjazmem. – Dziś nie pracujesz?

Na szczęśliwej twarzy Heather pojawia się lekki grymas, zanim zdąży objąć mnie ramionami. Przez nieprzyzwoitą liczbę toreb z zakupami w rękach nie jestem w stanie odwzajemnić jej uścisku. Ale nie żałuję. Spodoba jej się to, co jej pokażę.

– Wylali mnie – wyrzuca z urazą, ściskając mnie.

– O, cholera! Co się stało? – pytam, kiedy mnie puszcza, odrzuca lśniąca kasztanowe włosy na ramię i poprawia torebkę Chanel.

– Wtorkowy wieczór. To się stało. – Bierze mnie pod ramię i zaczyna nas prowadzić wzdłuż Bond Street.

– Och. – Wtorkowy wieczór pojawia się w mojej głowie. A raczej to, co z niego zapamiętałam. Szampan. Dużo szampana i dziwne tańce w naszym ulubionym barze.

– No właśnie, och – odpowiada, uśmiechając się z ukosa. – Wczoraj przyszedłam do pracy na czas, ale za cholerę nie mogłam przeczytać tekstu z promptera. Wszystko było zamazane.

Wybucham śmiechem, wyobrażając sobie, jak mruży oczy przed kamerami.

– Bycie w formie to mus, kiedy występujesz na żywo w telewizji.



Przechodzimy przez ulicę i idziemy w kierunku kawiarni, niczym gołębie wracające do domu. Potrzebuję cytrynowej mrożonej herbaty. I to już.

– I co teraz? – pytam, wypuszczając z obolałych rąk torby, kiedy dochodzimy do stolika.

Heather usadawia swój zgrabny tyłeczek na krześle.

– Teraz musimy się skupić na naszym marzeniu, Camille! – W jej oczach tańczy radość. – Coś nowego?

– Kolejny inwestor jest zainteresowany – mówię, siląc się na normalny ton. Nie pozwolę sobie ekscytować się możliwością ruszenia z naszą linią ubrań. Nie, dopóki nie zobaczę umowy na stole. Raz popełniłyśmy ten błąd. Praktycznie miałyśmy składać podpisy, kiedy zauważyłam paragraf, o którym nie było mowy podczas negocjacji. Coś o produkowaniu do konkretnego rozmiaru, co w zasadzie oznaczało, że żadna kobieta z choć najmniejszymi krągłościami lub wydatniejszym tyłkiem nie mogłaby nosić naszych ubrań. Nie mogłyśmy do tego dopuścić. Wyraziłyśmy się jasno, że nasze ciuchy mają być dostępne dla każdej kobiety bez względu na jej kształty i rozmiar. Inwestorzy nie ustąpili, my też nie. – Wygląda na to, że jest chętny.

– Naprawdę? – Posyła mi szeroki uśmiech, pokazując zęby.

– Naprawdę – potwierdzam. Nie mogę opanować radości, ale jestem bardzo zdenerwowana. W tej chwili jesteśmy tylko dwiema ładnymi twarzami z ciałami, które dobrze prezentują ubrania. Uwielbiam modeling, ale mam silną potrzebę udowodnienia wszystkim, łącznie z ojcem, że mogę być kimś więcej niż manekinem. Wiem, że Heather myśli tak samo. Żadna z nas nie chce zgodzić się na kompromis w kwestii naszego marzenia. Żadna z nas nie chce zaakceptować pieniędzy od naszych ojców. Tata Heather też jest dziany. Nie tak jak mój oczywiście (niewielu może mu pod tym względem dorównać, o ile ktokolwiek w Londynie), ale jest nieprzyzwoicie bogaty. – Jutro mamy spotkanie z moją agentką. Chce omówić z nami kilka kwestii.

– Przyjść! – uśmiecha się i wskazuje na moje torby. – Co kupiłaś, skoro marka moda Camille Logan i Heather Porter nie

jest jeszcze dostępna? Wiesz, że będziesz musiała nosić wyłącznie nasze ubrania, kiedy już znajdą się w sprzedaży.

Ta myśl napełnia mnie radością. Wybieranie materiałów, wymyślanie projektów, tworzenie dobrej jakości ubrań w przystępnych cenach. Moda zmienia się za szybko, zmuszając kobiety do wydawania fortuny na najnowsze trendy.

– Tylko sukienkę na dwudzieste piąte urodziny Saffron. – Wyciągam portfel z torby. – I materiał, który znalazłam w Camden. Chcę, żebyś go zobaczyła. Będzie z niego niesamowita sukienka. – W głowie mam projekt i jestem pewna, że zdolności krawieckie Heather nie zawiodą. – Mrożona herbata?

– Poproszę. – Zaczyna przeglądać torby, zanim zdążę wejść do środka kawiarni. Wciąż czuję zmęczenie po wtorkowym wieczorze. Moja skóra jest mniej lśniąca i delikatna. Biorę butelkę wody i wypijam ją przed dojściem do kasy. Potrzebuję nawodnienia i może maseczki do twarzy. Jezu, mam dwadzieścia pięć lat, a już czuję, że jestem za stara na londyńskie imprezy. – Poproszę jedną zwykłą mrożoną herbatę i jedną cytrynową. Dziękuję – mówię do dziewczyny za ladą, kiedy sięgam do portfela i wyciągam dziesiątkę. – Ach, i woda.

– O mój Boże! – wykrzykuje, na co zastygam w bezruchu. – Camille Logan, prawda?

Czuję, jak płoną mi policzki. Podnoszę wzrok i widzę twarz, na której rysuje się podziw. To miłe, ale również krępujące.

– Tak – potwierdzam w nadziei, że nie będzie robiła z tego afery.

– Na żywo jest pani jeszcze piękniejsza!

– Dziękuję.

– Tak pani zazdrozczę! Pani życie jest idealne! Kocham panią!

Zmuszam się do uśmiechu. Idealne. No tak, jakże by inaczej. Dziewczyna musi mieć z siedemnaście lat. Nie ma o niczym pojęcia. Nikt nie ma pojęcia o ciągłej walce, jaką toczę, żeby patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość, nie myśleć o apodyktycznym ojcu, który próbuje kontrolować moje życie, ani o

wyzwaniach, którym niemal codziennie stawiam czoło w kręgach towarzyskich Londynu, nakręcanych kokainą i szampanem. To są prywatne problemy, które pozostaną prywatne. I tak świat dowiedział się za dużo... podobnie jak mój ojciec.

– Jesteś bardzo miła. – Siłę się na uprzejmość, mimo że dziewczyna faktycznie jest bardzo miła. Naiwna, ale miła. – Koleżanka czeka na mnie na zewnątrz. Mogłabyś... – Kiwam głową w kierunku stojącej za nią maszyny, mając nadzieję, że subtelna podpowiedź przywoła dziewczynę do rzeczywistości.

– O Boże, tak! – Pełna zdenerwowania natychmiast bierze się do pracy i w rekordowym czasie przygotowuje moje zamówienie. Widzę dumę na jej twarzy. Podając napoje, pochyla się lekko. – Zapłacę za nie. Dzięki temu będę mogła powiedzieć, że kupiłam Camille Logan herbatę!

– Och, naprawdę nie trzeba. – Kręcę głową, odmawiając przyjęcia jej uprzejmego gestu. – Zapłacę za napoje, ale bardzo dziękuję.

– Nie! – Odstawia herbaty na ladę i robi krok w tył, a mój banknot unosi się w powietrzu. Dziewczyna stanowczo krzyżuje ręce na piersi i spogląda na mnie z zawadiackim błyskiem w oku.

Nie przekonam jej słowami, więc korzystam z jedynej możliwej opcji. Sięgam do torebki i wyjmuję kolejną dziesiątkę. Potem kładę oba banknoty na ladzie, zabieram napoje i szykuję się do odwrotu.

– Teraz możesz powiedzieć ludziom, że Camille Logan kupiła ci herbatę!

Słyszę pisk zachwyty, kiedy docieram na chodnik, zachowując równowagę na koturnach. Heather właśnie podziwia piękny materiał, na chwilę wstrzymując głądzenie aksamitnej tkaniny, kiedy patrzy, jak siadam.

– W porządku? – pyta, składając materiał.

– Przebojowa dziewczyna. – Podaję jej mrożoną herbatę, kiedy wybucha śmiechem i wyciąga szyję, żeby zajrzeć do środka kawiarni.

– Słodkie! – mówi czule Heather, biorąc duży łyk herbaty. –

Materiał jest super!

– Prawda?! – Bawię się słomką, zanurzając nią kostki lodu, i opieram na metalowym krześle. Moja skóra chłonie promienie słońca. – Myślałam o marszczonej w talii...

– Rozkloszowanej spódnicy. – Heather kończy za mnie i się szeroko uśmiecha.

– Tak! – Dlatego ją uwielbiam i dlatego jesteśmy idealnymi współpracownikami. Myślimy identycznie i mamy takie same pomysły.

– Do końca tygodnia będę miała dla ciebie szkic.

– Od razu się zabiorę do pracy.

– Idealnie. I musimy umówić się na spotkanie z tym dostawcą materiałów, o którym ci opowiadałam. – Wyciągam terminarz i kartkuje kolejne strony. – Przyszły tydzień?

– Pewnie. W końcu już nie jestem zajęta pracą.

Śmieję się, a ona brzmi jak zdruzgotana.

– W takim razie ty to załatwisz. – Zerkam na herbatę i zauważam, że lód szybko się topi. Biorę duży łyk przez słomkę i zakładam na nos okulary. – Co wkładasz na imprezę u Saffron?

Pochyla się, zachęcając mnie do tego samego. Ktoś mógłby pomyśleć, że dzielimy się jakimiś pikantnymi plotkami.

– Myślałam o czerwonej sukience i złotych szpilkach.

– Dobry pomysł – zapewniam ją szybko.

– A ty?

– Czyli nie zaglądałaś do tamtej torby? – mówię, wyciągając nową sukienkę.

– To byłoby niegrzeczne – oburza się. Na widok pięknego czarnego ubrania jej oczy rozbłyskują. – Wow, jest śliczna!

– Wiem – zgadzam się.

– I krótka. – Znacząco porusza brwiami w moim kierunku. W lot łapię, o czym myśli.

Paparazzi.

Fotografowie polują na nas prawie każdego wieczoru, kiedy wychodzimy się bawić. Jesteśmy w pełni świadome potencjalnych szkód, jakie złe zdjęcie może wyrządzić, jeśli pojawi się w magazynie. Na przykład podjeżdżająca za wysoko sukienka,

pokazująca zbyt wiele ciała albo, broń Boże, odrobinę cellulitu. To łagodny przykład, ale irytujący. Jest też gorsza strona prasy, bardziej niebezpieczna, i niestety poznałam ją na własnej skórze, kiedy rok temu rozstałam się z Sebem. To były ciężkie chwile. Wiem, że ojciec zapłacił wielu gazetom – albo pieniędzmi, albo obietnicami – żeby przestały drukować moje zdjęcia. Ale jego koneksje i znajomości nie sięgają kolorowych magazynów. Więc w tamtym czasie było zdecydowanie za dużo moich zdjęć.

Wzdrygam się, przypominając sobie, jak beznadziejnie się czułam, jak mroczny był mój świat i jaka byłam sobą rozczarowana. Sebastian mi to zrobił. Wciągnął w nałóg i omal nie zniszczył. Zabrał pieniądze, kiedy roztrwonił swoje, a jego rodzice odwrócili się od niego. Nieraz aresztowano go za wybuchy szału powodowane alkoholem i narkotykami. A kiedy nie miał się na kim wyżyć, ja zawsze byłam pod ręką. Mam nadzieję, że nigdy nie wróci do Londynu. Mam nadzieję, że nigdy nie wypuszczą go z ośrodka odwykowego. Nigdy więcej nie chcę go widzieć.

– Camille? – Delikatny głos Heather zaskakuje mnie. Podskakuję na krześle, usiłując skupić się na najlepszej przyjaciółce. – O czym myślałaś?

– O niczym. – Patrzę na szklankę i uświadamiam sobie, że wypłam całość, kiedy zapuściłam się myślami do krainy mrocznych wspomnień. Czuję, że Heather mnie obserwuje, pewnie ze smutnym uśmiechem na twarzy. Bez wątpienia doszła do właściwego wniosku.

Podnoszę wzrok i zmuszam się do uśmiewu. Odwzajemnia go, chwytając moją rękę.

– Już go nie ma – szepcze, wzmacniając uścisk.

Kiwam głową i powoli wypuszczam powietrze, biorąc się w garść. Heather była ze mną przez cały czas. Bezwzględnie lojalna. Dzięki mediom świat się dowiedział o moim problemie z kokainą, ale nie wiedział, że Seb miał zwyczaj wyładowywać na mnie złość. To się działo za zamkniętymi drzwiami. Heather domyśliła się, ale błagałam ją, żeby nikomu nie mówiła, i nie pisnęła słowa. Przez prasę mój władczy ojciec zaczął ochoczo pozbawiać mnie

niezależności, o którą tak bardzo walczyłam. Dzięki Heather wyszłam na prostą. Jesteśmy pokrewnymi duszami. Najlepszymi przyjaciółkami od dziecka. Wspólnie kroczymy przez życie. Mam nadzieję, że to nigdy się nie zmieni. Heather jest jedyną osobą, która zna wszystkie szczegóły mojego związku z Sebastianem. I mam nadzieję, że tak pozostanie.

– A teraz?! – Puszczą moją rękę i przyklaskuje. – Masz ochotę pojechać na zakupy do Harvey Nic?

Z przygnębieniem wypuszczam powietrze. Niczego bardziej nie pragnę, ale nie mogę. I jestem wkurzona, bo to, co muszę zrobić, jest znacznie, ale to znacznie mniej ciekawe.

– Ojciec mnie wezwał. – Robię minę Elvisa, powszechnie znaną pod nazwą uniesionej wargi. – A właściwie jego osobista asystentka, ale kogo obchodzi, jak otrzymałam rozkaz. Nadszedł, więc jadę.

Marszczy czoło.

– Znów będzie chciał cię zmusić do randki z jakimś nudnym biznesmenem?

Też się krzywię, kiedy pomyślę o facetach, którzy według mojego ojca są dla mnie idealną partią. Bogaci. Zawsze są bogaci. I śmiertelnie nudni. Wstaję i biorę torby, pochylając się, żeby cmoknąć Heather w policzek.

– Prędzej wbiję sobie w oczy rozpalone pogrzebacze. Podwieźć cię?

Odsuwa policzek od moich ust.

– Nie. Saffron pojedzie po mnie. Szuka stroju na urodziny.

W myślach mruczę ze złości. Wolałabym wybrać się z nimi, ale idę na parking po moje C63. Przez całą podróż do Logan Tower zbieram siły, żeby przebrnąć przez „spotkanie” z ojcem.

Co w zasadzie oznacza, że w głowie mam niezły mętlik.

## Rozdział 3

### JAKE

Przekraczając próg Logan Tower, nie jestem zaskoczony widokiem bramki prześwietlającej ani skanera bagażu w lobby. Ale jeśli sądzą, że to mnie powstrzyma od wniesienia broni, są naiwni.

Idę obok pięknej Latynoski, nie odrywając oczu od ochroniarza. Serio? Do obsługi takiego nowoczesnego sprzętu zatrudnili dziadka?

Kręcę głową w zadziwieniu. Musi zbliżać się do emerytury i ślini się na widok kobiety u mojego boku, zamiast obserwować mnie, mierzącego sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry gościa w garniturze ze schowanym hecklerem VP9.

No dobra, niech mu będzie. Nie wie, że mam ukrytą broń, ale zdecydowanie stanowią większe zagrożenie niż drobna kobieta, która musnęła moje ramię. Jest nieświadoma pożądanego spojrzenia ochroniarza, ponieważ wpatruje się we mnie z rozmarzeniem.

Celowo przysuwam swoje ramię do jej, ocierając się o nią. Słyszę, jak wstrzymuje oddech. Po chwili przechodzę do ofensywy – nieoczekiwanie zatrzymuję się i obracam, jakbym czegoś zapomniał. Oczywiście upewniam się, że strącam jej torebkę z ramienia.

Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Kobieta wydaje zaskoczony okrzyk, puszczając torebkę, i chwieje się na nogach. Chwytam jej ramię i pomagam zachować równowagę. Zawartość torebki leży rozrzucona u jej stóp. Jak na dżentelmena przystało, za którego zaraz mnie weźmie, schylam się.

– Przepraszam – mówię automatycznie, zbierając jej rzeczy.

Po chwili, jak planowałem, dołącza do mnie, poświęcając więcej czasu na poprawianie obcisłej koszuli niż zbieranie swojego

dobytku. Zauważam, że cienki materiał skrywa całkiem smakowite cycki.

– Nic się nie stało – wyrzuca z siebie w chwili, gdy podchodzi do nas ochroniarz, gotowy połamać swoje stare kości, żeby tylko pomóc i usłyszeć jakąś pochwałę od ciemnowłosej piękności. Cholera, nie mogłoby być lepiej. Sięgam za plecy i wyciągam pistolet. Szybko się rozglądam i przesuwam nim z odpowiednią siłą po marmurowej podłodze. Broń mija zewnętrzną stronę bramki, zatrzymując się za nią, dokładnie pod skanerem bagaży.

– Proszę. – Podaję kobiecie torebkę i postępuję jak należy. Pomagam Panu Starszemu, zanim faktycznie połamię sobie kości.  
– Wszystko w porządku?

– W porządku! – odpowiada z uśmiechem i napina klatę, kiedy odtrąca moją pomocną dłoń. Śmieję się w myślach. Naprawdę szczerze się śmieję. Pan Starszy postrzega mnie jako konkurenta. Siedemdziesięcioparolatek z nadwagą postrzega mnie, trzydziestopięcioletniego umięśnionego ochroniarza, jako zagrożenie. Uwielbiam jego pychę.

– Pani pierwsza – mówię, gdy ochroniarz zajął swoją pozycję, i wskazuję ręką, żeby kobieta szła pierwsza.

Ten jej uśmiech. Przysięgam, gdybym był po dwudziestu kolejkach whisky i zbliżał się ranek, mógłbym jej złożyć bardzo bezpośrednią propozycję. Wsuwam dłoń w kieszenie, kiedy podchodzi do skanera bagaży, bezwstydnie i uwodzicielsko kołyszając jędrnymi pośladkami.

Śmieję się w myślach, ale korzystam z darmowego pokazu, kiedy podchodzę i opróżniam kieszenie z telefonu, kluczy i portfela, kładąc je w tacce na skanerze bagaży. Potem spokojnym krokiem przechodzę za kobietą przez bramkę. Pan Starszy nawet na mnie nie spojrzy, pewnie nie usłyszałby piszczenia alarmu. Jest zbyt urzeczony widokiem zgrabnego tyłeczka oddalającego się w kierunku windy.

– W porządku – mruży, rzucając mi przelotne spojrzenie, po czym wraca do swojego stołka i z chrząknięciem siada.



W porządku? Nie ma o niczym pojęcia. Biorę swoje rzeczy i schylam się, żeby zawiązać sznurówkę, chowając broń na swoje miejsce.

Podchodzę do windy i staję obok ślicznotki. Zerkając na wyświetlacz z numerem pięter, zakładam ręce za plecami.

– Ładny krawat – mruży, gładząc jedwab, który zwisa wzdłuż mojego torsu.

Nie udaje mi się powstrzymać uśmiechu na jej arogancję. Spuszczam wzrok i obserwuję, jak jej palce muskają materiał.

– Kobieta, która wie, czego chce – mówię cicho, spoglądając jej w oczy. – Niektórych mężczyzn to pociąga.

Przygryza wargę, przysuwając dyskretnie swoją pierś, kiedy puszcza mój krawat.

– Naprawdę?

Śmieję się w myślach z jej udawanej niewinności.

– Najwyraźniej.

Drzwi po lewej się rozsuwają i wchodzę do środka. Maniery dżentelmena są już zbyt wysokie. Kobieta spełniła swoje zadanie.

Obracam się i naciskam przycisk piętnastego piętra.

– Szkoda, że nie jestem jednym z nich. Miło było poznać. – Bezczelnie puszcza do niej oko. Zanim lustrzane drzwi się zamkną, udaje mi się dostrzec jej pełne niedowierzania spojrzenie. Dla kolejnej kobiety jestem pieprzonym dupkiem. Taki już jestem. A przynajmniej przez ostatnie cztery lata.

Winda szybko mnie zawozi na szczyt Logan Tower. Wita mnie minimalistyczna przestrzeń wypełniona bielą. Natychmiast czuję chłód. Białe marmurowe podłogi, białe ściany – przełamane jedynie kilkoma abstrakcyjnymi płótnami, które są równie chłodne – i wielka biała lada recepcyjna.

– Dzień dobry. – Cienki, radosny głos przyciąga moją uwagę do kobiety za biurkiem. – W czym mogę panu pomóc?

– Jestem umówiony na trzecią z panem Loganem. –

Rozglądam się po pomieszczeniu, zauważając kamery w każdym rogu. Założę się, że mnie teraz obserwuje. Prostuję się i zakładam ręce za plecy, kiedy wracam wzrokiem do recepcjonistki. Kobieta

spina się i podnosi słuchawkę.

– Panie Logan, czeka na pana pan... – milknie, zauważając swoje niedopatrzenie. Wygląda na zawstydzoną, co się nasila, gdy słyszę tubalny rozkaz dochodzący z drugiej strony linii. Kuli się, zakrywając dłonią słuchawkę. – Nie usłyszałam pana imienia.

– Ponieważ się nie przedstawiłem – rzucam i patrzę, jak się zwija z zażenowania.

– Pana imię i nazwisko?

Wskazuję palcem na komputer.

– To pani nie powiedziało?

– Nie ma pana w systemie. – Traci cierpliwość, a ja znów zatapiam się w krainie rozbawiania. Który to raz? Drugi dzisiaj?

– Jake Sharp. – Przerrywam jej męczarnie. Szybko odsuwa dłoń od słuchawki, a jej ciało się rozluźnia.

– Pan Sharp, proszę pana. Jake Sharp. – Podskakuje na siedzeniu, wypuszczając słuchawkę. Wygląda na to, że zasłużył na swoją reputację. Byłoby mi jej żal... gdybym był typem, który współczuje innym. Ale nie jestem. Kobieta znów podnosi telefon. – Tak, proszę pana! – Z trzaskiem odkłada, opada na krzesło i przetyka ślinę, zamykając oczy. – Ostatnie drzwi po lewej. – Wskazuje na korytarz.

Przyglądam się kilku obrazom po drodze, krzywiąc się na kiepski gust cieszącego się złą sławą biznesmena. Wszystkie wyglądają jak przypadkowo rozbryzgane kolory. Jestem pewien, że mój punkt widzenia nie spotkałby się ze zrozumieniem miłośników sztuki, ale to właśnie widzę. A dokładniej widzę chaos. Kiedy podnoszę pięść, żeby zapukać w solidne mahoniowe drzwi, słyszę zwięzły nakaz: „Wejść!”. Cofam dłoń i zerkam przez ramię, dostrzegając kamerę zamontowaną na ścianie przy drzwiach do biura.

– Jak w cholernym Big Brotherze – mówię pod nosem i wchodzę. Nie wiem, czy mam poczuć się znieważony widokiem Logana w otoczeniu dwóch mięśniaków, czy może ma to wzbudzić mój podziw.

– Dzień dobry – mówię uprzejmie, obrzucając fachowym

spojrzeniem potężne bestie, które nieufnie na mnie łypią.

Logan wskazuje na fotel przed swoim biurkiem.

– Proszę usiąść, panie Sharp.

Cicho zamykam drzwi. Jest to wykalkulowany ruch, który ma na celu dać jego gorylom fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Ruszam swobodnym krokiem, wpatrując się w Logana, ale zapamiętuję każdy szczegół jego biura.

Rozpinam marynarkę, nieco unoszę spodnie na wysokości kolan i siadam na fotelu. Nie posyłam gorylom nawet przelotnego spojrzenia. Gdybym to zrobił, pomyśleliby, że się ich boję, co nie jest prawdą. Same mięśnie, zero mózgu. Założę się, że żaden nie wytrzymałby sprintu dłużej niż pięć sekund.

– Miło mi pana poznać – kłamię, opierając się na fotelu. Niechęć, która emanuje od dwóch osiłków, pali mi skórę. Nie lubią mnie. I dobrze. Nie przyszedłem, żeby się zaprzyjaźnić.

– Pana reputacja jest imponująca. – Logan bierze teczkę i wertuje jej zawartość, udając, że przegląda coś, co ma być zebranymi na mój temat informacjami. Jestem zażenowany jego zachowaniem. Nic tam nie ma, ale wytknięcie tego faktu idiotycznie byłoby głupie. Za dobrze mi płaci.

Graj w jego grę, Jake.

– Nigdy nie zawiodłem. – Nie miejsce na skromność. Moja reputacja jest rzeczywiście imponująca i każda szanująca się osoba z branży ochroniarskiej to wie. Ale to jedna z niewielu rzeczy, jakie o mnie wiedzą. Reszta jest tajna.

Logan odkłada bezużyteczną teczkę i wstaje z fotela. Jego zdjęcia nie oddają rzeczywistości. Na żywo jest jeszcze brzydszy. Camille Logan odziedziczyła wygląd po matce, drugiej, już byłej, żonie Logana. Szybko odkryłem to, zbierając o niej informacje. Matka Camille jest piękna i pewnie dwadzieścia lat młodsza od Logana. To dla niej zostawił żonę numer jeden, młodszą zaledwie o dziesięć lat od niego i matkę jego syna, przyrodniego brata Camille, TJ-a. Numer jeden wróciła do Rosji po utracie opieki nad TJ-em w nieprzyjemnej walce sądowej, zostawiając syna w rękach bezwzględnego ojca. TJ-a też sprawdziłem. W przeciwieństwie do

Camille miał pecha odziedziczyć więcej genów po ojcu niż po pięknej matce Rosjance.

Obecnie Trevor Logan, któremu w zeszłym miesiącu stuknęła sześćdziesiątka, ma żonę numer trzy, kobietę, dla której zostawił matkę Camille i która jest młodsza od Camille i TJ-a.

– Otrzymał pan zaliczkę? – pyta Logan, podchodząc do okna. Zwraca się do mnie plecami.

– Tak – odpowiadam krótko, nie dziękując mu. Muszę pokazać, że jesteśmy sobie równi, a wyrażenie wdzięczności nie pomogłoby mi w tym. – Kiedy mam zacząć?

– Natychmiast. – Obraca się i macha ręką na jednego ze swoich ludzi, który szybko bierze teczkę z biurka Logana i podaje ją mnie.

– W środku jest wszystko, co musi pan wiedzieć o Camille.

Goryl numer 1 groźnie góruje nade mną. Każdy normalny człowiek wstałby, żeby tego uniknąć. Nie jestem normalny. Wyciągam rękę i palcami chwytam teczkę, czekając na znak, kiedy mężczyzna ją puści. Nie ma znaku, żadnej wskazówki, że ma zamiar z własnej woli oddać mi teczkę. Chce, żebym ją pociągnął, żebym poczuł jego opór. Wpatruję się w niego, ale nie daję mu satysfakcji. Spokojnie trzymam palce i czekam. Nie wycofuję się i nie wygląda na to, żeby on się miał wycofać. To może potrwać.

– Grant! – warczy Logan, wyraźnie wyczuwając niechęć. – Na miłość boską, daj mu tę cholerną teczkę!

Grant natychmiast rozluźnia uścisk, niczym przerażony kot, pozwalając mi wziąć dokumenty. Nie upajam się zwycięstwem. Przez to zniżyłbym się do tego samego poziomu co tych dwóch idiotów. Kładę teczkę na kolanach i szybko przeglądam zawartość.

– Moja córka wiele dla mnie znaczy – mówi Logan.

Nie patrzę na niego. Nie dlatego, że pochłaniam informacje przede mną, ale dlatego, że Logan umieścił w teczce liczne rodzinne zdjęcia swojej córki, których nie widziałem w Internecie. Przedstawiają ją począwszy od dzieciństwa po chwilę obecną. Zawsze była piękna. Mój wzrok pada na fotkę z października 2015 roku, przedstawiającą ją, jak wychodzi z klubu. Wygląda na totalnie

zrobioną. Obok jej były facet. To zdjęcie wykonał paparazzi. Ile Logan zapłacił, żeby fotka nie wyciekła do prasy? Bez względu na sumę były to źle wydane pieniądze. W sieci jest pełno zdjęć przedstawiających jego nawaloną córkę w towarzystwie byłego chłopaka ćpuna. Z grymasem zamykam teczkę i zwracam się do Logana:

– Właściwie dlaczego mnie pan zatrudnia? – pytam. Wiem, dlaczego tu jestem, ale informacje były mgliste. Muszę wiedzieć więcej.

– Do ochrony mojej córki.

– Przed czym trzeba ją chronić, panie Logan? Czy pojawiły się jakieś pogrożki?

– Pana usługi są środkiem zapobiegawczym.

Środkiem zapobiegawczym? Nie wierzę mu. Jestem bardzo droгим środkiem zapobiegawczym.

– Będzie musiał mi pan powiedzieć trochę więcej – mówię beznamietnie, rzucając teczkę na jego biurko, ignorując jego zaskoczone spojrzenie. Domyślam się, że niewiele osób mówi do niego w ten sposób.

– Zatrudniłem pana jako prywatnego ochroniarza. Pana zadaniem jest ochrona mojej córki.

– Przed czym, panie Logan? – cedzę przez zęby. Zalewa mnie rzadki rodzaj frustracji. Facet jest dupkiem. – Im więcej mam informacji, tym lepiej wykonam swoją pracę.

Wzdycha i macha ręką na jednego z potężnych goryli przy biurku.

– Pokaż mu.

Obserwuję, jak jeden z mężczyzn bierze białą kopertę z biurka i podaje mi ją. Tym razem bez żadnych oporów. Szybko się uczy.

Biorę ją i rozkładam złożoną kartkę. Moim oczom ukazuje się zdjęcie Camille z sześcioma literami napisanymi poniżej jej twarzy.

MARTWA

Krótko i na temat.

– Wczoraj kurier to przyniósł – mówi Logan. – Pewnie jakiś głupiec źle wyszedł na interesach ze mną. Pogrożki to część pracy. Rozzłościłem wiele osób. – Wskazuje swoich ochroniarzy. – Ale nikt wcześniej nie groził mojej córce. Jak mówiłem, jest pan środkiem zapobiegawczym. Jest pan najlepszy.

Kiwam głową, w zamyśleniu przebiegając kciukiem po papierze. Mam pewne wątpliwości.

– Wczoraj, mówi pan? – pytam od niechcienia, kładąc wydruk na biurku, przy teczce. Papier jest zbyt czysty i prosty, żeby to była prawda. Nie ma nierówności, pozaginanych rogów, zmarszczeń. Jest idealny. Można by się spodziewać czegokolwiek, chociażby malutkiego zagięcia w rogu, biorąc pod uwagę, że kartkę włożono do koperty, dostarczono i wyjęto. Bóg wie, przez ile rąk musiał przejść list, żeby dotrzeć na piętnaste piętro Logan Tower. I nic?

– Tak, wczoraj!

Rozegraj to na spokojnie.

– Dane kuriera?

Zbywa pytanie machnięciem ręki.

– Kurierzy ciągle się zmieniają. Nie prowadzimy rejestru. Przychodzą, ktoś podpisuje i przesyłka idzie na właściwe piętro.

Przyjmuję jego odpowiedź. A przynajmniej takie sprawiam wrażenie.

– Żądanie pieniędzy?

– Nie.

– Żądanie czegokolwiek?

– Nie.

– Więc tylko chcą pana przestraszyć?

– Wiele osób, chce mnie przestraszyć, panie Sharp.

– Ja bym raczej wziął pana pieniądze. – Nonszalancko wzruszam ramionami, natychmiast nabierając więcej podejrzeń. Coś zdecydowanie tu nie gra.

– Każdy ma inną motywację. – Posyła mi znaczące spojrzenie, które mi się w ogóle nie podoba. – Domyślam się, że w przypadku pana to sowite wynagrodzenie, które pan otrzyma.

Powstrzymuję się przed zmrużeniem oczu i zamiast tego się

uśmiecham. Logan nie musi znać mojej motywacji.

– Przyjrzę się temu. Jestem pewien, że chce pan się dowiedzieć, kto grozi pana córce. – Wracam do powodu, dla którego tu przyszedłem.

– Oczywiście. – Twarz Logana wykrzywia się lekko w złości, zaskakując mnie. Sprawia wrażenie szczerze zaniepokojonego. Może nawet planuje już zniszczenie osoby, która grozi jego córce.

– Dałem pana współpracownicze dostęp do mojej poczty elektronicznej.

– Dobrze. – Kiedy biorę teczkę Camille Logan i ponownie ją przeglądam, notuję w pamięci, żeby przy pierwszej okazji zadzwonić do Lucindy.

– Nie ma tu nic o jej chłopaku. Ma kogoś?

– Obecnie nie. – Wygląda, jakby przyniosło mu to ulgę. – Gust Camille do mężczyzn od zawsze pozostawia wiele do życzenia. Chociaż planuję temu zaradzić.

– Ach, tak?

– Mój przyjaciel ma syna. Czas, żeby Camille się ustatkowała. I mogę zapewnić, że rozsądnie wybierze męża. Połączenie dwóch rodzin będzie... korzystne dla nas wszystkich.

– Poza Camille – zauważam. Co to ma być, aranżowane małżeństwo rodem z XIX wieku?

– Panie Sharp, nie jest pan tutaj, żeby kwestionować moje decyzje biznesowe. – Zerka na swój zegarek, a ja warczę w myślach. Jego córka jest decyzją biznesową?! Pieprzony kutas. – Camille za chwilę tu przyjedzie. Pewnie najlepiej będzie, jeśli pana tu nie zastanie, kiedy jej powiem, co się dzieje. Potrafi być wybuchowa. – Patrzy ma mnie niemal czule. – Zawsze wie lepiej. Wie pan, jakie są młode dziewczęta.

Właściwie nie, nie wiem, jakie są młode dziewczyny.

– Nie powiedział pan jej jeszcze o tym? – Jestem zaskoczony i okazuję to. – Przyjechała tu bez ochrony?

– Wszystko w swoim czasie.

Niewiele rzeczy potrafi mnie zaskoczyć. Po tym, co widziałem w swoim życiu, trzeba się nieźle natrudzić, ale teraz

odbiera mi mowę.

– Życie dziewczyny może być zagrożone, a ona nawet tego nie wie? Krąży po ulicach Londynu w rzucającym się w oczy kabriolecticie i pan na to pozwala?

– Jest uparta – mruczy Logan niemal ze smutkiem. – Chciałem namówić ją, żeby zamieszkała z matką, ale nie chce. I już teraz mogę panu powiedzieć, że nie spodoba jej się pomysł ochrony.

Wypuszczam powoli powietrze.

– Trudno będzie mi pozostać niezauważonym – mruczę pod nosem, kiedy wstaję. Można chronić kogoś, tylko jeśli chce być chroniony. Myślałem, że ona tego chce.

Zdumiony odchodzę od trzech mężczyzn. Broń pali mnie w plecy. Kusi mnie, żeby ją wyciągnąć, wycelować i strzelić w czoło Trevora Logana. Byłaby to kara za bycie narcystycznym kutasem i spłodzenie rozpieszczonego bachora.

– Ma pan pół godziny, potem rezygnuję – rzucam przez ramię, kiedy wychodzę z gabinetu. Zatrzymam jednak te sto tysięcy. Zapłatę za kłopoty i wprowadzenie mnie w błąd. Muszę powiedzieć Lucindzie, żeby znalazła mi szybko inne zlecenie. Gdziekolwiek. Nieważne gdzie. Tylko żebym się czymś zajął. Kiedy idę korytarzem, wyciągam z kieszeni telefon i nastawiam stoper.

– Czas start, Logan – mówię pod nosem.



## Rozdział 4

### CAMI

Logan Tower. Budynek napęła mnie strachem, ponieważ kiedy ojciec wzywa mnie do gabinetu, zazwyczaj oznacza to, że nie spodoba mi się nic, co usłyszę. Bez względu na cel spotkania, postrzegam je jako wtrącanie się w moje życie. Jednak dla mojego ojca to interesy. Dlatego jestem w jego siedzibie. Jego miejscu pracy. Centrum jego biznesu. Jeśli dzisiejszy telefon dotyczyłby prawdziwego spotkania rodzinnego, byłabym w jego rozległej posiadłości na przedmieściach miasta. Zgrzytałabym zębami, starając się znieść obecność jego rządzącej się żony, Chloe, i słuchając jego wynurzeń o kolejnych idealnych dla mnie mężczyznach.

Oczywiście idealnych według jego standardów, nie moich. Jego. Co oznacza, że są bogaci, ale niemiłosiernie nudni i poza biznesem nic ich nie interesuje.

Nienawidzę faktu, że muszę znajdować w sobie odwagę za każdym razem, kiedy tu przychodzę. Nigdy się nie ugnę przez jego nedorzecznymi żądaniami i naciskami, bez względu na to, co wymyśli – jak wtedy, kiedy próbował zmusić mnie do studiowania prawa zamiast mody lub kiedy chciał przekonać mnie do pójścia na University of London, a ja postawiłam mu się i poszłam na London College. Albo jak próbował spiknąć mnie ze swoim wspólnikiem, kiedy zaczęłam umawiać się z Sebastianem. Wszystkie jego żony, w tym moja matka, były mu posłuszne. Nie pozwolę mu na to, że mną mu tak łatwo nie pójdzie. Jest moim ojcem i go kocham, ale jest też tyranem.

Wchodzę do jego gabinetu i widzę, że Pete i Grant stoją na swoich pozycjach po obu stronach biurka. Nie są tu dla pozorów. Mój ojciec jest bezwzględny biznesmenem, który w drodze do sukcesu rozżłóścił wiele osób, jak wtedy, gdy zmusił do rezygnacji

dziewięćdziesięcioletniego prezesa sieci domów starości, którą kupił w ramach wrogiego przejęcia. Mężczyzna zmarł tydzień później, a kolejny tydzień później ktoś podpalił jeden z budynków taty.

Albo wtedy, gdy jeden z przedsiębiorców stających razem z ojcem do przetargu na zabezpieczenie sprzedaży sieci hoteli został aresztowany za molestowanie seksualne jednej z pracownic, co skończyło się tym, że wycofał się z przetargu. Pojawiły się głosy, że tata zapłacił kobiecie za wniesienie oskarżeń. Choć nie było na to dowodów, do dziś sądzę, że ojciec maczał w tym palce. Nie mam na oczach różowych okularów. Wiem, że jest bezduszny i bezwzględny.

Posyłam jego ochroniarzom wymuszony uśmiech, który odruchowo odwzajemniają, a potem skupiam uwagę na mężczyźnie siedzącym za biurkiem.

– Moja gwiazdeczka! – Jak na faceta z takim brzuszkiem, zaskakująco szybko wstaje i idzie w moim kierunku. Nawet nie zdążę dojść do fotela. – Niech cię uściskam!

Pozwalam mu na to, choć jego entuzjazm wydaje mi się podejrzany. Z każdą chwilą coraz bardziej się niepokoję.

– Co się dzieje? – pytam, zerkając na Pete'a i Granta.

Obaj unikają mojego spojrzenia. To nie wróży dobrze.

– Nic, kochanie. – Puszczą mnie i kładzie ręce na moich barkach, uśmiechając się czule. Znów przefarbował włosy na czarno. Chciałabym, żeby po prostu przyznał się do porażki i pogodził z siwizną. Wyglądałby bardziej dostojnie, a nie jakby chciał dotrzymać kroku najnowszej żonie. Co jest niemożliwie, ponieważ tym razem naprawdę przeszedł samego siebie i ożenił się z kobietą młodszą ode mnie o rok.

Wzdrygam się, gdy w mojej głowie raz po raz pojawiają się obrazy Chloe, żony numer trzy i kobiety, dla której porzucił moją matkę. Jest olśniewająco piękna, ale niezbyt bystra. Na szczęście chce się tylko ze mną zaprzyjaźnić, choć osobiście wolałabym wbić sobie paznokcie w oczy.

– Usiądź. – Praktycznie wpycha mnie w fotel. Potem

niepokoi mnie jeszcze bardziej, ponieważ nie zajmuje swojego zwykłego miejsca za potężnym biurkiem, gdzie jest panem i władcą. Zamiast tego przysuwa swój fotel do mojego i siada, bawiąc się złotą spinką do krawata. – Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie. – Bierze lok moich włosów i w zamyśleniu przechyla głowę. – Jestem z ciebie taki dumny, kochanie.

– Naprawdę? – pytam nieufnie. Co się dzieje? Znow zerkam na Pete'a i Granta, ale nic mi nie pomagają.

– I zrobiłbym wszystko, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

O cholera, czy jakiś pieprzony fotograf zrobił mi zdjęcie, jak zataczam się, wychodząc z baru? Pokazałam majtki, wsiadając do taksówki?

Nieważne, przecież to nic takiego. Tysiące młodych kobiet imprezuje każdego dnia. Niestety paparazzi potrafią sprawić, że wydaje się to ordynarne. Od czasu odwyku wystarczy, że przyłapią mnie na wążaniu butelki wódki albo robieniu dziwnej miny, a powiedzą, że znow jestem na drodze do autodestrukcji. Te dni minęły i chociaż wciąż od czasu do czasu walczę, tata nie musi o tym wiedzieć. I tak jest nie do zniesienia.

– Tato. – Pochyłam się, gotowa zapewnić o swojej niewinności i o tym, że nie mam zamiaru wracać do mrocznej przeszłości. – Ja nie...

– Posłuchaj mnie przez chwilę.

Ku swojemu zaskoczeniu, i bez wątpienia zaskakując także ojca, słucham go. Milknę i pozwalam mu powiedzieć to, czego chce, ponieważ mój szósty zmysł mówi mi, że to coś ważnego.

– Wczoraj coś mi przesłano – mówi.

– Co?

Wzdycha, chwytając mnie za rękę, jakby chciał okazać wsparcie. Nie podoba mi się to. Ani trochę. Widziałam ojca w wielu stanach, ale nie w takim. Jest zaniepokojony.

– Wiadomość.

– Wiadomość? – pytam. – Jaką wiadomość?

– Z pogrózkami.

Śmieję się gorzko. Mój ojciec codziennie dostaje pogróżki,

dlatego właśnie Pete i Grant nieustannie mu towarzyszą. Dlaczego teraz jest taki zdenerwowany?

– I? – pytam nonszalancko.

– I grożą tobie.

Wzdrygam się. Natychmiast milknę. Nie muszę pytać o więcej. Jego słowa plus widoczny strach, kiedy trzyma moją dłoń, patrząc na mnie przepraszająco, mówią mi, że ojciec traktuje pogroźkę poważnie.

Czuję, jak wzbiera się we mnie niezadowolenie, i tata dobrze o tym wie. Staram się możliwie jak najbardziej odseparować od jego biznesów. Ciężko pracuję, zarabiam i usiłuję żyć po swojemu.

Jedyny zakres kontroli, na jaki mu pozwalam, i to zdecydowanie duży, to moje mieszkanie. A raczej jego mieszkanie. Jest jego, ale upieram się przy płaceniu czynszu. Fakt, że wychodzi z mojego konta bankowego i wpada na inne moje konto razem z pięćdziesięcioma tysiącami, które mi co miesiąc przesyła, jest nieistotny.

Nie tknęłam ani pensa... i nie planuję tego zmieniać.

Natomiast mój przyrodni brat, TJ, pracuje z ojcem. Jest dopuszczony do wszystkich interesów i idzie w ślady taty jako twardy biznesmen, chociaż jest znacznie milszy od ojca. Wszyscy to mówią. I bardzo go kocham, ale uwielbia być synem najbogatszego i najpotężniejszego mężczyzny w Londynie. Chce być częścią tego świata. Nieodrodny syn swojego ojca, to jest pewne. Dlaczego to nie jemu grożą? Nie żebym tego chciała, ale to by miało większy sens.

– Posłuchaj mnie teraz, kochanie. – Mój ojciec podejmuje temat ostrożnie, pewnie oczekując, że w każdej chwili z moich ust może wypłynąć stek inwektyw. Gdybym mogła sformułować zdanie, pewnie na tym by się skończyło, ale nie mogę. W głowie mam pustkę. Co to wszystko oznacza? – Jestem pewien, że to czcze pogroźki – zapewnia – ale mimo to podjąłem środki zapobiegawcze. – Ujmuje w dłoń mój policzek, delikatnie gładząc mnie pulchnym kciukiem. – Nie mogę oszczędzać na bezpieczeństwie mojej gwiazdeczki, prawda?

Po prostu wpatruję się w niego. A przez mgłę zdezorientowania i zaskoczenia udaje mi się pojąć jedno. Wcale nie uważa, że są to czcze pogrózki.

– Okej – odpowiadam.

Nie potrafi ukryć zaskoczenia. Jego córka, ta, którą otwarcie określa jako „małą buntowniczkę”, właśnie mu uległa i poddała się jego środkom zapobiegawczym. Poza zaskoczeniem widzę ulgę, co tylko podkreśla wagę sytuacji.

– Dobra dziewczynka. – Pochyla się i czule całuje mnie w czoło. Po chwili wstaje i pstryka palcami na Pete’a. – Zawołaj go.

Rzucam niezadowolone spojrzenia Pete’owi, widząc, jak kiwa dużą głową na grubej szyi i wychodzi z gabinetu.

Go? Zawołaj go?

– Co się dzieje? – pytam, prostując się na fotelu, gdy ojciec opiera się na swoim.

Milczy i zamiast odpowiedzieć, ucieka do swojego iMaca, wpatrując się usilnie w ekran.

– Grant, niech mój samochód będzie gotowy za pół godziny.

– Tak, proszę pana. – Grant pośpiesznie mija mnie bez słowa, nie spoglądając nawet. Zostaję z ojcem sam na sam w gabinecie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam z nim sama. Zawsze jest w otoczeniu swoich goryli albo głupiej nowej żony.

Opieram się na fotelu i spoglądam na mężczyznę po drugiej stronie biurka, na mojego ojca, usiłując coś z niego wyczytać. Teraz nie mogę. Zmartwienie i stres chyba zniknęły.

– Tato, czy...

Drzwi gabinetu się otwierają i obracam głowę. Pete praktycznie wypełnia całe przejście, ale wygląda jakby był niezadowolony. Co go ugryzło?

Wchodzi do środka.

– Proszę pana – mruczy Pete, odsuwając się na bok i ukazując...

Mężczyznę.

W ustach mi zasycha, jakbym od dawna nie piła, więc nie mogę wypowiedzieć słów, które utkwiły w gardle.

Co to, u diabła, ma być?

On?

Moje oczy płoną mieszanką zachwyty i ciekawości. O mój Boże, jest olśniewający... taki wysoki, dobrze zbudowany pod szarym garniturem, ale nienapakowany. Nogi ma lekko rozsunięte. Wygląda na potężnego.

Silnego. Do schrupania.

Otwieram wciąż suche usta, nieustannie przełykając ślinę, kiedy wpatruję się w jego przystojną twarz. Jego szczękę pokrywa ciemny kilkudniowy zarost. Krótkie, niewystylizowane włosy są w tym samym kolorze, choć przy skroniach przebija lekka siwizna. A jego oczy... Ciemne, ciemnobrązowe, i wpatrują się we mnie z równą intensywnością. Wiercę się na fotelu, próbując zmusić się, żeby cokolwiek powiedzieć. Ale nie jestem w stanie zrobić nic poza docenieniem wyglądu niedorzecznie przystojnego faceta stojącego na progu gabinetu mojego ojca.

Jego długie nogi robią kilka kroków w moim kierunku. Unoszę głowę, kiedy podchodzi bliżej, aż staje nade mną z poważną miną. Magnetyzm jego oczu unieruchamia mnie. Mój wzrok pada na dużą dłoń, którą mi podaje.

– Jake Sharp – mówi. Te dwa słowa przesuwają się wzdłuż mojego kręgosłupa, muskając każdy krąg, dopóki siedzę wyprostowana. Cholera, jak tu gorąco.

Ściskam jego dłoń, wpatrując się w swoją drobną rękę otoczoną jego potężnymi palcami, i ogarnia mnie dziwne uczucie. Moja dłoń. Mam wrażenie, że jest niezwykle bezpieczna w jego... co za głupia myśl.

Ale dłoń nie zostaje tam na długo. Opuszcza rękę i szybko cofa ramię. Podnoszę wzrok i dostrzegam, jak marszczy czoło i w oszołomieniu kręci głową, zanim spojrzy na mojego ojca.

– Możemy iść? – pyta beznamiętnie.

Obecność tego dziwnego mężczyzny jest namacalna. Przy nim Pete i Grant ze swoimi mięśniami są śmiechu warci.

– Proszę się nią opiekować – mówi mój ojciec.

– Jest w dobrych rękach. – Sharp zerka na swoje duże dłonie

i zakłada je do tyłu.

Mam ochotę je chwycić i wędrować palcami wzdłuż każdej z wielu widocznych linii. W jego dobrych rękach. Jedna z nich emanowała bezpieczeństwem, kiedy ją chwyciłam, więc mogę sobie tylko wyobrazić, jak bezpiecznie bym się czuła, gdyby otoczyło mnie jego całe ciało. Kim jest ten Jake Sharp? Może będę częściej wpadała do biura ojca, jeśli on dla niego pracuje. Może tata chce nim zastąpić Pete'a lub Granta. Może zdał sobie sprawę, że potrzebna mu raczej szybkość i zwinność niż napompowane mięśnie. Może...

Urywam potok myśli, kiedy docierają do mnie słowa ojca. Proszę się nią opiekować.

Zrywam się z fotela, ale moje nogi nie są gotowe, żeby udźwignąć moje ciało. Wpadam wprost na Sharpa, zderzając się z nim. Nie robi uniku, lecz stoi pewnie. Jedyne ruch, jaki zauważam, wykonują jego zwinne ramiona, które szybko mnie łapią.

– Ostrożnie – mówi cicho, pomagając mi, dopóki nie odzyskuję równowagi. – W porządku? – Spogląda na mnie, ale nie dostrzegam niczego w jego wzroku.

Natychmiast tęsknię za ciepłem jego szerokiej klatki piersiowej. Jest najbardziej idealnym facetem, jakiego widziałam, co jest nie lada osiągnięciem, zważywszy, że pracowałam z tyloma przystojniakami, że przestałam ich liczyć. Ale to jest prawdziwy mężczyzna – potężny, silny, dojrzały. Wyprasowany, idealnie biały kołnierzyk jego koszuli i idealnie zawiązany szary krawat nie ukryją pierwotnej energii, jaka praktycznie z niego emanuje.

O Boże!

Odzyskuję nieco spokoju i zwracam się do ojca.

– Co masz na myśli, mówiąc: Proszę się nią opiekować? – pytam.

– Zatrudniłem pana Sharpa, żeby cię pilnował – wyjaśnia. Sharp pokasłuje przy mnie, a tata natychmiast inaczej ujmuje to, co powiedział. – To twój ochroniarz na najbliższą przyszłość.

Najlepsza ochrona, jaką można kupić.

– Słucham?! – mówię z niedowierzaniem. – To... –

Wyciągam rękę w kierunku Sharpa i niechcący zderzam się z jego twardym bicipsem. Z zaskoczenia natychmiast się cofam. Jasna cholera, jest jak jakiś superbohater. – To mój ochroniarz?

– Tak. – Ojciec zdecydowanie kiwa głową.

– Niemożliwe – śmieję się, zerkając na Sharpa. – Bez urazy.

– Nie ma sprawy – odpowiada niewzruszony, jakby spodziewał się rodzinnej sprzeczki. Odwracam wzrok, nie chcąc skupić się na nim za długo ze strachu, że ogarnie mnie płomień pożądania.

Twarz taty jest napięta od frustracji, która dopiero teraz się pojawiła.

– Camille Logan, to nie podlega dyskusji. Zatrudniłem pana Sharpa, żeby cię chronił, a ty nie będziesz mu tego utrudniać!

– Jestem dorosłą kobietą – mówię spokojnie, trzymając w ryzach wybuchowy charakter. – Mam napięty grafik: sesje zdjęciowe, spotkania.

Mój ojciec wzdycha lekceważąco, co zawsze robi, kiedy okazuje pogardę mojej pracy.

– Masz na myśli ładne wyglądanie przed aparatem?

– I negocjowanie umowy na moją nową linię ubrań – dodaję, powstrzymując emocje. – I ruszenie z produkcją, i rozwijanie się zawodowo poza modelingiem.

– Camille, ile razy mam ci powtarzać? – wzdycha ojciec. – Ty i twoja naiwna koleżanka tylko tracicie czas. Na rynku jest wiele marek modowych.

Zaciskam zęby. Nic nie rozumie.

– W takim razie kolejna nie zaszkodzi, prawda? – Zerkam na potężnego mężczyznę obok. – Wątpię, żeby panu Sharpowi spodobało się znoszenie trywialnych wymagań mojej bezcelowej kariery.

Sharp zerka na mnie kątem oka.

– Zniosę wszystko, co będę musiał.

– Jak u pana z chodzeniem po wybiegu? – pytam poważnym tonem. Sprawdźmy, czy zdaje sobie sprawę, na co się pisze. – Może wzięłby pan udział w kampanii reklamowej? – Lekki ruch



brwią mówi mi, co o tym sądzi. I bardzo dobrze.

– Może mogłaby mnie pani nauczyć. – Nieoczekiwanie mówi równie poważnie jak ja. – W końcu jest pani ekspertką.

– Mam to rozumieć jako zgodę?

– Mam to rozumieć jako propozycję?

Jakoś udaje mi się powstrzymać przed gapieniem się na niego. Jest sarkastyczny. Złości mnie to. Chce się tak bawić, proszę bardzo.

– Zapozuj.

– Chciałabyś – mówi cicho, prostując ramiona.

Zaciskam usta, poszukując w otumanionych myślach ciętej riposty.

– Uważam, że dobrze byś wyglądała w spódnicy.

– Słyszałem, że mam niezłe nogi.

Jak głupia rzucam spojrzenie w kierunku jego nóg. Długich, potężnych nóg z umięśnionymi udami. Szybko wbijam wzrok w podłogę. Jak do tego doszło? Dlaczego wdaję się z nim w rozmowę?

Wracam spojrzeniem do ojca.

– Nie chcę ani nie potrzebuję, żeby podczas wyjść pałętał się za mną ochroniarz.

Sharp odchrząkuje.

– Nie podczas wyjść – oświadcza spokojnie, znów wpatrując się we mnie. – Cały czas.

Gdybym nie wiedziała, jaka jest prawda, pomyślałabym, że mówi to z radością.

– Cały czas?

– Codziennie przez całą dobę. – W jego ciemnych oczach pojawia się paskudny błysk, który najchętniej bym mu siłą zgasila.

– Będę ci towarzyszył w każdej chwili.

Z udawaną nonszalancją spoglądam na ojca, ignorując elektryzujący napływ pożądania, przez który prawie zboczyłam z obranego kursu.

– Nie będziesz naruszał mojej prywatności – mówię spokojnie, podnosząc torebkę z podłogi. – I nie będziesz mi mówił,

co mam robić.

– Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać! – krzyczy tata. Nawet nie drgnę. Traci cierpliwość, ale nie interesuje mnie to. Moja też się kończy.

Nie mam pojęcia, czego oczekiwałam, kiedy mój ojciec powiedział mi, że powziął środki zapobiegawcze w związku z pogroźkami, ale na pewno nie ochroniarza. Może szofera albo „godziny policyjnej”. Na godzinę policyjną mogłabym się zgodzić. Zaproponuj godzinę policyjną!

Ale on? Zerkam kątem oka i widzę, że Sharp robi to samo. Szybko odwracam wzrok. Nie, nie ma mowy. Dwadzieścia cztery godziny na dobę w jego towarzystwie?

Wszyscy mężczyźni, z którymi pracowałam, musieli się niezłe wysilić, żeby oddać intensywne emocje na zdjęciach. Sharp robi to naturalnie. To coś więcej niż męskość. Niemal nie można tego wytrzymać. To... takie cholernie seksowne.

– Nie zgadzam się, żeby jeden z twoich sługusów za mną chodził. – Odwracam się i idę do drzwi. Słyszę dzwoniący w torebce telefon i sfrustrowane chrząknięcie ojca. W drodze do wyjścia grzebię w dużej torbie i wyciągam telefon. Widzę SMS od Heather.

Sebastian wrócił.

Moje serce staje, a stopy zatrzymują się przy drzwiach.

Wpatruję się w wiadomość w nadziei, że słowa zmienią się i utworzą inną treść. Ale przeczytawszy ją pięć razy, wciąż widzę te same okropne słowa. To nie może być prawdą.

Mój były wrócił? Źle to wróży. Bardzo, bardzo źle.

Wreszcie stanęłam na nogi. Włożyłam wiele trudu, żeby się odnaleźć. A on teraz wrócił do Londynu i cała moja stabilność, o której zachowanie codziennie walczę, zaczęła się chwiać. Przeklinam w myślach zdradzieckie łzy, które napływają mi do oczu, i głęboko oddycham, ale kiedy powtarzam sobie, że jestem silniejsza niż dawniej, coś zaczyna mi świtać.

Odwracam się, żeby stanąć twarzą w twarz z ojcem, kiedy wszystkie elementy zaczynają się składać w całość. Doskonale

wie, że Sebastian Peters wrócił do miasta. Jakże by inaczej. To całe zamieszanie z ochroniarzem to tylko sprytny plan, żeby trzymać mnie z dala od Sebastiana.

W myślach podśmiewam się z jego kreatywności, ale jego kombinacje już mnie tak nie zaskakują. Dzięki zapewnieniu mi całodobowego ochroniarza, który będzie mu składał raporty, z pewnością będzie na bieżąco z tym, co robię... i tego właśnie pragnie.

Zaciskam zęby i rzucam mojemu groźnemu ojcu wkurzone spojrzenie. Nie ufa mi? Sądzi, że rzucę się Sebowi w ramiona i pozwolę mi wepchnąć gram kokainy w nos?

– W ogóle mnie nie znasz, prawda? – cedzę przez zęby. Odwracam się i wychodzę.

## Rozdział 5

### JAKE

Pocierając szczękę, obserwuję, jak Camille znika za drzwiami gabinetu swojego ojca. Jedyne, co mnie zaskakuje, to fakt, że nie spotkałem rozpieszczonego bachora. Zero oznak samolubnej dziewczyny wpadającej w samozachwyty. W zasadzie to całkowicie niezależna, bystra młoda kobieta.

Nie tego się spodziewałem, więc powinno mi ulżyć, ale moje walące serce, pędzące myśli... i irytująco obolały fiut mówią mi, że bym nie ekscytował się za szybko. Nieoczekiwanie moje nogi same ruszają, wyprowadzając mnie z gabinetu Logana w pogoni za jego córką. Aby ją chronić. Proste zadanie, dzięki któremu przez jakiś czas będę się miał na czym skupić.

Poruszam się jak na autopilocie. Długimi i szybkimi krokami przemierzam korytarz, idąc w kierunku wind. Ale wtedy Camille miga mi za ramię... oddalając się od wind.

– Cholerna, mała... – Zaczynam biec za nią, zanim mój umysł zacznie pracować na wysokich obrotach i dostarczy mi instrukcji.

Impuls.

Instynkt.

Znajdź ją.

Wpadam na klatkę schodową. Ciężkie drewniane drzwi z hukiem uderzają o ceglana ścianę, tworząc ogłuszające echo, które roznosi się po zamkniętej przestrzeni. Przystaję, walcząc z chęcią wyciągnięcia broni.

Ona tylko mi ucieka, tłumaczę sobie. To wszystko. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to przestraszyć ją na śmierć moim hecklerem. Uspokajam oddech, nasłuchując odgłosów. Słyszę cichy stukot jej obcasów.

– Gotowa czy nie, nadchodzę – mruczę pod nosem, rzucając

się schodami za nią. Długimi susami w mig pokonuję kolejne stopnie i już po kilku sekundach dostrzegam jej drobną dłoń na poręczy. Oczami wyobraźni widzę jej przekłete buty. Głupie obcasy. Złamie sobie kark. Żaden mój klient nigdy nie został ranny, nawet przypadkowo.

Niech ją szlag!

Przyśpieszam kroku, czując narastającą niecierpliwość, a ulga, kiedy wreszcie widzę jej sylwetkę, niemal mnie dusi.

To głupia reakcja na głupią sytuację, ale nigdy wcześniej klient nie próbował mi uciec. Ani żadna kobieta, jeśli mam być szczery. Mijam ją, zatrzymując się na dole schodów, którymi zbiega, i odwracam się, żeby stanąć z nią twarzą twarzą. Cholera, pocę się. Kilka piętér i jestem spocony. Co się ze mną dzieje?

Camille nie ma czasu, żeby zastanowić się, co ją właśnie minęło niczym szarżujący byk. Jej nogom nie udaje się zatrzymać i z okrzykiem zderza się z moją pierśią. Moje ramiona w mgnieniu oka obejmują ją, przytrzymując przy sobie.

Też wstrzymuję oddech. Nie wiem dlaczego, ale jej drobne ciało przyciśnięte do mojej piersi wyzwala falę ciepła, która spływa prosto do... mojego fiuta.

Cholera!

Puszczam ją, kiedy jestem pewien, że nic jej nie grozi, i mądrze robię kilka kroków do tyłu. Czuję, jak szczęka mi się napina. Jak serce zaczyna wariować. Co to, do cholery, ma być?

Przyciskam dłoń do czoła i zamykam oczy.

Cofnij się, Jake. Po prostu się cofnij.

Nie wiem, jak długo tam stoję, powtarzając swoją mantrę, ale kiedy wreszcie otwieram oczy, ona wciąż stoi przede mną, sprawiając wrażenie opanowanej i spokojnej, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Jednak jej wyraźna samokontrola zmusza mnie do zebrania myśli.

Camille śmiało unosi swój śliczny podbródek, a na jej twarzy rysuje się zdecydowanie. Przez sekundę pozwalam sobie podziwiać jej zimną krew, myśląc, że to całkiem podniecające. Po chwili się odzywa, a moje myśli o jej seksownym wyglądzie

znikają, zastąpione przypomnieniem, po co tu jestem.

– Nie zgadzam się, żebyś za mną chodził. Mam życie i nie chcę z niego rezygnować.

– Bez względu na to, czy się zgadzasz, czy nie, będziemy ze sobą blisko. – Natychmiast żałuję doboru słów, kiedy ze zdziwienia otwiera usta... ponieważ widzę koniuszek jej różowego językiem i myślę tylko o tym, żeby przysunąć się do niej i posmakować jej warg. Znów się odsuwam, zwiększając odległość między nami. Ona robi to samo. Obracam jej potrzebę odsunięcia się na swoją korzyść, ignorując fakt, że sam też się odsunąłem.

– Nie bój się, nie gryzę. – To beczelne kłamstwo. Z przyjemnością zanurzyłbym zęby w jej...

– Może ja gryzę.

Z zaskoczenia unoszę brwi, zanim zdołam zapanować nad tym odruchem. Szybka jest. Muszę to przyznać.

– No cóż – mówię śmiertelnie poważnie. – Słyszałem, że dobrze smakuję.

Na jej twarzy pojawia się lekki grymas.

– Na mój gust jesteś nieco zbyt mięsisty.

– Nie dziwi mnie to. Wolisz typ ładnego chłoptasia, prawda?  
– Prostuję się i odchrząkuję, jakbym chciał podkreślić fakt, jak daleko mi od odpicowanych, wymuskanych koleś, z którymi Camille pozuje.

Zdecydowanie robi krok do przodu, ale wyraźnie walczy ze sobą, żeby nie obciąć mnie wzrokiem.

– A ty, jakim jesteś typem? – Przechyla głowę, czekając na moją odpowiedź.

Jej pytanie mnie zaskakuje.

– Nie chcesz wiedzieć – odpowiadam szczerze, nie emocjonując się jej lekko rozszerzonymi oczami. Szybko przypominam sobie, po co tu jestem, i nie ma to nic wspólnego z podpuszczaniem jej. Ponownie się cofam, zwiększając odległość między nami.

Camille szybko dochodzi do ciebie i zakłada torbę na ramię.

– Nie ma żadnych pogroźek, prawda? Mój były wrócił i tylko

dlatego mój ojciec cię zatrudnił.

Moja pierwsza myśl to: Ten narkoman, były chłopak, wrócił? Dlaczego nic o tym nie wiem? Druga myśl: Jeśli się do niej zbliży, wpakuję mu kulkę w łeb.

Ta druga jest czysto profesjonalna, ponieważ moim obowiązkiem jest ją chronić.

– Pogróżka jest prawdziwa. – Przełączam się na tryb profesjonalny. Ten, który zawsze jest włączony i choć teraz nie działa najlepiej, zamierzam go bardzo szybko naprawić. – Nie zatrudniono mnie, abym trzymał cię z dala od byłego chłopaka – mówię mechanicznie, dodając w myślach, że i tak dołożę starań, żeby to zrobić. Widziałem zdjęcia Camille podczas jej trudnych chwil. Była cieniem kobiety, która teraz przede mną stoi: tej pięknej, bystrej, kuszącej kobiety.

Kuszącej?

Bez trudu dostrzegam ironię. Codzienne spotykam kobiety, które chwytają się żenujących sztuczek, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Ta kobieta robi to, nawet się nie starając. I cholera z tym, jeśli to nie jest najbardziej pociągająca, kusząca rzecz na świecie. Lekko kręcę głową i ponownie odsuwam te nieprofesjonalnie myśli.

– Pewnie – prychna i przechodzi obok, zaskakując mnie.

W ułamku sekundy przyciskam ją do ściany.

A w kolejnym ułamku sekundy zastanawiam się, co się, do cholery, stało.

– O mój Boże – dyszy, dotykając plecami ściany. Na szyi czuję jej krótkie, szybkie oddechy.

Przez chwilę myślę, że ją przestraszyłem. Potem przez materiał garnituru czuję jej twarde sutki przy swojej piersi. Biorę wdech, przełykam ślinę i powtarzam tę czynność. Raz po raz, uginając kolana, żeby nasze twarze były na tym samym poziomie.

Co ja wyrabiam? To głupota. Puść ją. Odsuń się!

Jej oczy są niepewne i pełne pożądania. Zazwyczaj nie zaskoczyłoby mnie to, ale doskonale wiem, że u mnie widzi to samo.

Nabiera powietrza, mruga i odwraca wzrok.

– Jestem pewna, że przytrzymywanie mnie siłą nie należy do twoich obowiązków. – Przelyka ślinę

– Nie wykonuj żadnych nagłych ruchów – rzucam, walcząc z nieprzyzwoitymi myślami, jakie wywołały jej słowa, i zakopując je w bezpiecznej głębi umysłu. – Myślałem, że znów uciekniesz. – Cofam się, a ona się prostuje, olśniewając mnie błyszczącymi topazowymi oczami.

– Skoro wygląda na to, że jestem skazana na ciebie, wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy.

Krótko i zdecydowanie kiwam głową. Uważam, że to dobry pomysł.

Ustalić podstawowe zasady. Granice.

– Słucham – zachęcam ją szorstko.

– Nie rozmawiaj ze mną – mówi, odwracając wzrok. – I nie dotykaj mnie.

Znów kiwam głową, bez trudu się zgadzając.

Camille na chwilę milknie. O czym myśli?

– Dobrze – mówi cicho, robiąc nieśmiały krok w moim kierunku. – Teraz przejdę obok. Chcę mieć pewność, że nie rzucisz się na mnie, jakbyśmy grali w rugby.

Trzymam język za zębami i zachęcam ją gestem do przejścia.

Mija mnie szybko. Idę za nią, ale nie skupiam się na niej, tylko narzucam sobie dyscyplinę.

Ostrą dyscyplinę.

Zanim zrobię coś naprawdę głupiego.



## Rozdział 6

### CAMI

Wciąż się we mnie gotuje, kiedy wychodzę na świeże powietrze, na pamiętając ani jednego kroku, który mnie tutaj doprowadził.

Nie mogę uspokoić oddechu. Sharp jest za mną, zachowując dystans, ale i tak zbyt blisko, żebym mogła czuć się swobodnie... czy zachować równowagę.

Przystaję i zerkam przez ramię. Stoi nieruchomo za mną z rękami złączonymi za plecami. Wygląda na typowego ochroniarza i jestem zażenowana, że mnie pilnuje. Heather się załamie. Albo będzie zazdrosna. Sama nie wiem.

Marszczę czoło i robię dwa kroki naprzód, potem znów przystaję, ponownie zerkając za siebie. Sharp też robi dwa kroki, zachowując dystans na poziomie, który jest według niego komfortowy. Ja nawet sto kilometrów od niego nie czułabym się komfortowo. W zasadzie dopóki będziemy na tej samej planecie, nie zaznam spokoju. Czuję, że naruszono moją prywatność. Moją wolność, życie, szczęście... moje zmysły... Czuję się pod ostrzałem.

Robię kolejne dwa kroki i widzę, że Sharp robi to samo.

– To śmieszne! – mruczę, idąc dalej i dzwoniąc do Heather.

– Myślałam, że od razu zadzwonisz – mówi wyraźnie zaniepokojona. – Co mówił twój ojciec? – O tak, powinna się niepokoić, ponieważ jeśli Jake Sharp będzie za mną chodził, oznacza to, że będzie też chodził za moją najlepszą przyjaciółką. W końcu jesteśmy praktycznie nierozłączne. Powrót Sebastiana. Pogróżki. Mój nowy ochroniarz. Przez ostatnie pół godziny moje życie wyrzuciło się do góry nogami. To niesprawiedliwe.

– Wynajął dla mnie ochroniarza. Najwyraźniej ktoś mi grozi. Pokasłuje z zaskoczenia.

– Serio?! – wyrzuca z siebie.  
– Niestety tak. – Czuję zbierające się w podbrzuszu niezadowolenie. – Przynajmniej tak twierdzi. Ale skoro powiedziałaś, że Seb wyszedł z odwyku, mam pewne podejrzenia.

– Hmm...

Otwieram samochód i wrzucam torebkę na siedzenie pasażera. Po chwili siadam za kierownicą. Wkładam kluczyk do stacyjki i odpalam silnik, czekając, aż bluetooth się włączy. Telefon łąduje na siedzeniu z torbą, a ja czekam, aż usłyszę coś więcej od najlepszej przyjaciółki.

– Halo? – mówię.

– Jestem.

– W takim razie powiedz coś!

– No cóż, chyba jedno i drugie jest możliwe. Seb albo pogróżki. Ale o co dokładnie chodzi z tym ochroniarzem? – pyta zdeorientowana.

– W zasadzie ma mi nieustannie towarzyszyć.

– W takim razie możesz pożegnać się z seksem – śmieje się, a ja patrzę gniewnie w kierunku przedniej szyby. Nie wpadłam na to. Skupiałam się na wolności. Nie to, żebym sypiała, z kim popadnie, ale jeśli nadarzy się okazja, nie chcę, żeby Sharp stał nad łóżkiem i mnie obserwował. Wzdrygam się.

– Głupia małpa – mówię z oburzeniem.

– Wiesz, że możesz powiedzieć dosadniej – szydzi ze mnie, jak zawsze, kiedy używam tego zwrotu.

– Muszę się z tobą zobaczyć.

– Jestem przed Picasso's. Kieliszek szampana?

– Tak – mówię z ulgą, w ostatniej chwili powstrzymując się przed poleceniem, żeby zamówiła całą butelkę, choć nie mam powodu do świętowania. – Właśnie wyjeżdżam z Logan Tower.

– Widzimy się za chwilę. – Rozłącza się, a ja powoli ruszam swoim mercem, ale zanim się rozpedzę, drzwi się otwierają i pojawia się w nich Sharp.

– Powinny być zamknięte – zauważa szorstko, mając na myśli drzwi pasażera. Prawie o nim zapomniałam. Prawie. Ale nie

całkiem.

– Nie jedziesz moim samochodem. – Odwracam wzrok, zanim będę miała szansę napawać się jego olśniewającą męskością. W moim samochodzie? To byłoby zdecydowanie za blisko.

– Dziś nie, ale kiedy ustalimy sprawy logistyczne, będziesz jeździła ze mną w moim samochodzie.

Śmieję się w duchu.

– Zobaczymy – mówię do siebie, doskonale wiedząc, że mnie usłyszał. Może jeśli będę maksymalnie upierdliwa, sam zrezygnuje. Warto spróbować.

– Właśnie, zobaczymy. – Wskazuje na range rovera zaparkowanego przede mną. – To mój samochód. Pojadę za tobą do domu.

– Nie... – milknę, bo mój przebiegły umysł szybko opracowuje plan. – Dobrze.

Kiwa głową i zamyka drzwi. Spod zmrużonych oczu patrzę, jak jego długie nogi szybko pokonują krótką odległość do dużego samochodu. Po drodze zdejmuje marynarkę. Wypuszczam powietrze, zamykając oczy, żeby uniknąć widoku jego boskiego tyłeczka skrytego pod spodniami i cudownie szerokich barów pod białą bawełną jego wyprasowanej koszuli.

– Drań – mruczę, ostrożnie podnosząc powieki.

Wystawia rękę przez okno i zachęca gestem, żebym ruszyła i go minęła. Cholera. Miałam nadzieję, że będzie jechał pierwszy, a ja za nim. Wzdycham i zerkam w lusterko, zanim włączę kierunek i ruszę. Jadę z rozsądną szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę, nieustannie patrząc we wsteczne lusterko. Jest tuż za mną. Jego wielki range rover praktycznie siedzi mi na tyłku. Choć mnie kusi, nie daję po hamulcach, żeby wbił mi się w dupę, a ja mogłabym pozwać tego irytującego cwaniaka.

Wbił mi się w dupę...

Wciskam gaz. Mój cenny mercedes przyspiesza, lecz wciąż ma towarzystwo. Skręcam w prawo, potem w lewo i znów w prawo, a nawet wyprzedzam kilka samochodów, żeby się oddalić.

Ale nie udaje mi się go zgubić, a moja frustracja przybiera na sile proporcjonalnie do szybkości jazdy.

– Pieprz się, Sharp.

Robię ostry zakręt w lewo, zajeżdżając drogę taksówkarzowi, który trąbi i przeklina. Zerkam w lusterko i śmieję się, kiedy widzę, że taksówka staje na skrzyżowaniu, blokując samochody za mną.

– I co na to powiesz? – mówię śpiewnie. Rozpiera mnie duma. Najlepszy ochroniarz, jakiego mógł zatrudnić ojciec? Taa... Włączam muzykę i kołyszę się w rytm. Z radością jadę na spotkanie z Heather.

Zatrzymuję się w bocznej uliczce i widzę, że Heather siedzi pod parasolem Picasso's. Przed nią już stoją dwa kieliszki szampana. Wyciąga szyję niczym surykatka, kiedy mnie zauważa, i macha energicznie. Założę się, że nie może się doczekać, żeby dowiedzieć się wszystkiego. Mogłabym zostawić tu samochód na całą noc i zamówić butelkę, której tak desperacko pragnę.

– Och... – mówię cicho. Moje samozadowolenie spływa do pobliskiej studzienki kanalizacyjnej. Jego range rover pędzi w moim kierunku. Ryk silników jest ogłuszający, niemal jakby samochód był wściekły. A może to kierowca jest? Sharp zatrzymuje się gwałtownie i zerka na Heather, która chyba jest nim urzeczona.

Na dźwięk zatrzaszczonych drzwi podskakuję i mogłabym przysiąc, że czuję, jak ziemia drży pod moimi koturnami, kiedy Sharp się zbliża. Przygotowuję się, żeby stawić mu czoło. Unosi palec i oskarżycielsko wskazuje nim na mnie, kiedy się zbliża.

– Jeśli jeszcze raz wykręcisz mi taki numer, wtedy... wtedy... – mówi, a jego twarz się wykrzywia.

– Wtedy co? – pytam, unosząc wargę niczym Elvis. Za kogo, u diabła, się uważa, żeby tak do mnie mówić?

Podchodzi bliżej, aż nasze nosy niemal się stykają. Zdaje się, że zasada bezpiecznej odległości przestała obowiązywać. Wyczuwam napięcie w jego zaciśniętych szczękach, choć wpatruję się w jego oczy.

– Przełożę cię przez kolano – szepcze groźnie – i przetrzępię ci dupę do czerwoności.

Napinam tyłek i ponownie usiłuję zapanować nad tą dziwną mieszanką wstrętu i pożądania.

– Słucham? – warczę, robiąc krok do tyłu, żeby uniknąć bliskości.

Prostuje się i cofa barki, jakby próbował zrzucić z nich ciężar.

– Po prostu nigdy więcej nie próbuj mi uciekać.

– Albo dasz mi klapsa?

– To była metafora.

– Niewłaściwa, nie uważasz? – Proszę, powiedz, że nie. Proszę, powiedz, że nie. Proszę, powiedz, że nie. Nie wiem, co sobie myślę.

– Tak – przyznaje cicho, rozglądając się uważnie dookoła. Gniewnym spojrzeniem ocenia każdy kawałek przestrzeni. – Dlaczego tu przyjechałaś? – pyta.

Zerkam na Heather i widzę, jak się lekko uśmiecha z kieliszkiem przy ustach.

– Spotkać się z koleżanką.

Sharp spogląda w tym samym kierunku co ja i wzdycha.

– Heather Porter.

– Skąd wiesz...? – urywam. No oczywiście, że wie.

Odrzucając warkocz na ramię i posyłając mu pogardliwe spojrzenie, zostawiam go na chodniku i idę do oniemiałej Heather.

– Daj mi kieliszek – mówię, opadając na krzesło. Albo mnie nie słyszy, albo totalnie ignoruje, więc sięgam przez stół i biorę duży łyk. – Cześć!

W jej spojrzeniu widzę widoczne pytanie: co jest do cholery?

– Nawet nie pytaj – odpowiadam, kręcąc głową, i biorę kolejny łyk!

– To on? – szepcze, wskazując na niego kieliszkiem. – Ochroniarz?

– Tak. – Kolejny łyk.

– Jasna cholera.

– Wiem. – Kolejny łyk.  
– Gdzie jest billboard?  
Przełykam ślinę.  
– Że co?  
– Billboard? – Rozgląda się dookoła.  
– Jaki billboard?  
– Ten, z którego zszedł.  
Prycham z odrazą i biorę jeszcze jednej łyk.  
– To dupek.  
– Całkiem niezły.  
– Heather, nie powinnyśmy tak mówić o moim ochroniarzu.  
– Daj spokój! – wybucha śmiechem, słusznie rozbawiona. –  
Nie mów mi, że nie myślałaś o pójściu z nim do łóżka. Jest  
cudownie zbudowany. Wysoki. Boski.

Zerkam przez ramię, kiedy zachwycone spojrzenie Heather zaczyna wędrować, najwyraźniej za Sharpem. Lepiej, żeby tu nie podchodził!

Nie robi tego. Siada kilka stolików dalej. Na małym krześle wygląda potężnie.

Może i sprawia wrażenie rozluźnionego, ale widzę każdy napięty mięsień pod jego koszulą i spodniami. Przypomina przyczajonego wielkiego tygrysa, który czeka, aby zaatakować.

– Ani trochę – mruczę cicho, bardziej do siebie niż do Heather. – Zresztą już siwieje na skroniach.

– Och! – chichocze Heather, a ja wracam do niej wzrokiem, biorąc kolejny łyk szampana. – A teraz desperacko próbujesz go obrzydzić.

– Nie muszę próbować. Jest wiele powodów, dla których jest nieatrakcyjny.

– Na przykład?

– Zaczniemy od tego, że jest tyranem. Jest nieokrzesany i wredny. – W głębi duszy wiem, że nie chciał mnie zranić ani przestraszyć, i nie zrobił tego. To, co mnie przeraża za każdym razem, kiedy jest blisko, mówi lub dotyka mnie, to moja reakcja. Wewnętrzna walka, jaką toczę, próbując nadrabiać miną, już

zdołała mnie wykończyć. A towarzyszy mi niecałą godzinę.

Codzienna ochrona non stop? Jak długo?

Kurczę się na krześle i biorę kolejny łyk bąbelków.

– Zmiana tematu – błagam i natychmiast tego żałuję, kiedy widzę, jak Heather zaciska usta. Istnieje tylko jeden inny temat, o jakim powinniśmy teraz rozmawiać i nie mogę się zdecydować, czy jest on bardziej związany z faktem, że ten mężczyzna siedzi za mną, czy raczej z powodem, dla którego to robi.

– Saffron go widziała. Mówiła, że dobrze wygląda – ostrożnie mówi Heather. A może nie powinna była tego robić? Nie chcę tego słuchać. Saffron nie wie o nieprzyjemnych szczegółach.

Według niej, i innych, Sebastian wciągnął mnie do swojego mrocznego świata kokainy. To i tak jest wystarczająco okropne i nikt nie musi wiedzieć więcej. Sebastian też jest modelem, ma idealnie wyrzeźbione twarz i ciało. Na jego widok dziewczyny zaczynają się ślinić... ale ten facet to chodzące kłopoty. Duże kłopoty, w które wciągnął i mnie. Ma predyspozycje do uzależnień, ale sam przyłożył do tego rękę. Nie ma dla niego ratunku. Nawet jego rodzice się od niego odwrócili.

– Jest czysty? – pytam.

Heather wzrusza ramionami.

– Saffron mówi, że nie miał mętnego spojrzenia, a jego ciało nie było spięte, jak zawsze, kiedy bierze. Ale kto wie?

– Hm. – Wpatruję się w dal, wspominając tamte mroczne chwile.

– Gdzie nocuje? – Heather przerywa moje myśli, zanim zawładną mną, za co jestem jej wdzięczna. Ale pytanie mnie dezorientuje... dopóki nie skinie głową w kierunku punktu za moimi plecami.

Znów zerkam za siebie. Sharp wpatruje się we mnie intensywnie niczym jastrząb. Drżący oddech, który umyka z moich ust, jest ledwie widoczny, lecz mój instynkt mówi mi, że on i tak go zauważył. Po chwili nasze spojrzenia się spotykają, a on porusza się na krześle. Przygotowuję wściekłe spojrzenie – ach, ten głupi mechanizm obronny – celuję i strzelam.

– Dobre pytanie – mruczę, obserwując, jak jego wzrok pada na moje usta. Nie robię tego celowo, naprawdę, ale mój zdradziecki język wysuwa się i przemyka po dolnej wardze.

Sharp ponownie wierci się na krześle, a jego nozdrza rozszerzają się, kiedy odwraca wzrok.

– W takim razie musisz to ustalić, ponieważ jeśli pan Boski Tyłeczek śpi u ciebie, to możliwe, że ja też.

– Nie śpi u mnie – oznajmiam stanowczo, kiedy znów patrzę na moją przyjaciółkę. Ani trochę mnie nie wspiera.

– Powiedz mi, jaki jest plan na urodziny Saffron – mówię stanowczo, zastanawiając się, jakim cudem zboczyłyśmy na temat Sharpa.

– No więc... impreza odbędzie się w Picturedrome – uśmiecha się szeroko. – Cwana panienska wynajęła cały lokal. Założę się, że tatuś za wszystko płaci.

Przewracam oczami. W przeciwieństwie do mnie i Heather nasza koleżanka Saffron nie mrugnie okiem, jeśli ma wydać pieniądze ojca na takie luksusy.

– I ona twierdzi, że jest samodzielna? Śmiechu warte.

– Wiem – zgadza się. – Ale teraz sama też nie jesteś taka samodzielna, co? – Znów kiwa głową na postać za moimi plecami, ale tym razem nie odwracam głowy. Po prostu muszę udawać, że go tam nie ma.

Nie ma go tam. Nie ma go tam.

Walczę z chęcią odwrócenia się i nasycenia oczu widokiem jego boskiej twarzy, zastanawiając się, jak ponownie zboczyłyśmy na temat Sharpa.

Ależ jestem naiwna.

Jego nie da się ignorować.



## Rozdział 7

### JAKE

Nie można chronić kogoś, kto nie chce ochrony. To wymaga dostosowania się i współpracy, a ona nie jest zainteresowana ani jednym, ani drugim. Przez co mam ochotę skrócić jej ten piękny, uparty kark.

Po wyściskaniu się z koleżanką na pożegnanie, poszła kuszącym krokiem do swojego samochodu, a teraz znów bawi się ze mną, jadąc do swojego mieszkania w Mayfair. Wjeżdżam do podziemnego parkingu, gdzie okazuje się, że nie ma wolnych miejsc. Widzę błysk radości w jej oczach, kiedy wyjmuję zakupy z bagażnika swojego merca... więc parkuję range rovera tuż za nią.

Nigdzie nie pojedzie, skoro ją zastawiłem.

Kiedy zebrała już wszystkie torby i stertę dokumentów, obraca się, a jej cwany uśmieszek znika w ułamku sekundy. Wsiadam z samochodu, wyjmując swoją torbę. Odpowiadam na jej pytanie, zanim zdoła je zadać.

– Nocuję u ciebie, gdybyś się zastanawiała. To część umowy, a twój ojciec nalegał na to.

Zaciska piękne usta.

– To naruszenie moich praw.

– Ustal to z ojcem. Ja trzymam się rozkazów.

– W takim razie rozkazuję ci zostawić mnie w spokoju.

– Pani mi nie płaci, panno Logan.

– Ile?

Z zaciekawieniem unoszę brwi.

– To poufne.

– Czyli zrobisz dokładnie to, co mój ojciec ci każe?

– W granicach rozsądku – odpowiadam.

– Czy przygotowanie mi kąpieli mieści się w granicach rozsądku?

Uśmiecha się sarkastycznie, podczas gdy ja walczę z obrazami, jakie powstają w mojej głowie po jej żartobliwej uwadze.

– Zależy, czy chciałabyś, żebym wziął ją razem z tobą. – Przechyliłam głowę, udając, że czekam na poważną odpowiedź.

Prycha. To takie słodkie, że prawie się uśmiecham. Posyła mi rozłoszczone spojrzenie, odwraca się wyniośle i szybkim krokiem odchodzi.

– Nie zmieściłbyś się.

To już nie jest takie słodkie. Z trudem powstrzymuję się od przewrócenia oczami i przechodzę za nią przez solidne, metalowe drzwi. W lobby na każdym kroku wiszą duże lustra w złotych, bogato zdobionych ramach. Dokładnie się rozglądam, potwierdzając to, co wiem z wcześniejszych ustaleń. Wejście na kartę, trzy kamery, dwie windy, jeden dozorca. Tatuś jest właścicielem budynku i postawiłbym ostatnie pieniądze na to, że Camille Logan nie płaci takiego czynszu jak inni. Uprzejmie kiwam głową w kierunku zaintrygowanego portiera, który odwzajemnia powitanie.

Czekam na przyjazd windy, stojąc w bezpiecznej odległości metra od Camille. Drzwi są lustrzane. Unikanie jej spojrzenia jest istną męczarnią, więc odwracam wzrok i dalej lustruję budynek. Drzwi obrotowe, niezbyt bezpieczne, mimo wejścia na kartę, a portier wygląda, jakby był bliźniakiem Pana Starszego, który chroni Logan Tower.

Cichy dzwonek oznajmia przyjazd windy. Robię to, co powinien zrobić dżentelmen: pozwalam Camille wejść pierwszej, kiedy drzwi się rozsuwają. W chwili, gdy akurat mam przekroczyć próg, drzwi zamykają mi się przed nosem.

Przeklinam. O włos unikam zderzenia z drzwiami, ale udaje mi się dostrzec zadowolony uśmiešek na twarzy Camille, zanim ją tracę z oczu.

– Na miłość boską – mruczę, upuszczając torbę na podłogę i zaciskając pięści. Uspokajając oddech, odchylam głowę i zamykam oczy. Powtarzam jak uspokajającą mantrę:

Nie uduś jej. Nie uduś jej. Cholera, nie uduś jej.

Kusi mnie, żeby władować sobie kulkę w łeb i wyrwać się z tego bagna. Na co, do cholery, się zgodziłem? Przyjeżdża druga winda. Biorę torbę i wchodzę do środka, wciskając przycisk ostatniego piętra. Jak na mój gust winda jedzie zdecydowanie za wolno. Camille jest poza zasięgiem mojego wzroku. Nigdy nie powinna być poza zasięgiem wzroku.

– Co za wrzód na dupie – mruczę. Ale jest wrzodem z innych powodów niż się spodziewałem: irytujących, cholernie upierdliwych powodów.

Wreszcie wychodzę z windy i skręcając za róg korytarza, staję oko w oko z tym, czego się spodziewałem. Drzwi mieszkania numer trzydzieści są zamknięte. Pewnie na wszystkie zasuwę i łańcuch. Wystarczyłyby mi dwie minuty, żebym się znalazł w środku, ale postanawiam nie wykorzystywać swoich umiejętności i zamiast tego spokojnie pukam. Nie zaskakuje mnie brak odpowiedzi, więc pukam jeszcze raz, upewniając się, że robię to ze spokojem. Nie jest to łatwe, kiedy mam ochotę wyważyć drzwi i zacisnąć dłonie na jej szczupłej, pięknej szyi.

Po drugiej stronie wciąż cisza.

– Jasna cholera. – Wyciągam pistolet i celuję w zamek, myśląc, że tak będzie znacznie szybciej niż przemawianie do rozsądku tej niemądrej kobiecie. Po chwili resztki rozumu biorą górę i mimo narastającej frustracji radzą, żebym tego nie robił.

Wzdycham i chowam broń za pasek spodni.

– Camille, te drzwi są naprawdę ładne – mówię spokojnie, wiedząc, że jest po drugiej stronie i pewnie przyciska do nich ucho. – Szkoda byłoby je zniszczyć. – Zauważam judasza i uśmiecham się do siebie. Po chwili powoli się pochylam, przysuwając oko coraz bliżej małego otworu ze szkłem powiększającym. Tuż za drzwiami zauważam nagłe, dezorientowane ruchy. Śmieję się w myślach.

Dziewczyna jest niemożliwa.

– Możemy to zrobić bezboleśnie albo na siłę.

– Pieprz się!

Głowa mi leci do tyłu, naciągając mięśnie szyi, kiedy zastanawiam się nad dostępnymi opcjami. Mogę albo wyważyć drzwi i zniżyć się do jej dziecinnego traktowania tej sytuacji, albo pokazać jej, że sytuacja nic się nie zmieni bez względu na to, jakie problemy będzie sprawiała. I mam na myśli sytuację związaną z anonimowymi pogrozkami, a nie silny pociąg do tej kobiety, który niemiłosiernie daje mi się we znaki. Kobiety dotąd służyły mi wyłącznie do jednego. I nigdy nie chodziło o wzbudzanie frustracji czy wściekłości. W zasadzie te dwie emocje sprawiają, że ja i kobiety najlepiej dogadujemy się przez krótki czas, a Camille Logan już za długo gości w moim życiu.

Wpatrując się w dywan, postanawiam nie zaogniać sytuacji i siadam na podłodze, przygotowany na długą noc.

Opierając się plecami o drzwi, wyciągam telefon i wysyłam krótki raport do Logana, ostatkiem sił powstrzymuję się przed komentarzem, że jego córka jest krnąbrną pannicą. Ale mówię mu, że jej były chłopak wrócił do miasta.

Potem włączam listę kontaktów i moje serce zaczyna szybciej bić. Wpatruje się we mnie imię Abbie, a mój palec wisi nad ikoną „Połącz”, opadając i unosząc się raz po raz. Wiem, że skończy się na jednym. Kontakt wywoła wspomnienia, a ja ich nie potrzebuję. Śmieję się gorzko.

Wspomnienia są zawsze obecne, codziennie mnie zadręczają, ale nie muszę ich nakręcać. Nie muszę wracać do miejsc, które tylko wzmocnią męczarnię i nienawiść do kobiety, która zniszczyła moje życie.

Odkładam telefon i przyciskam głowę do drewnianych drzwi za mną, spoglądając w sufit i próbując oczyścić umysł. Telefon zaczyna dzwonić. Co za miłe oderwanie od regularnych walk, jakie ze sobą toczę. Spoglądam na ekran i widzę nazwisko Logana. Nie jestem zdziwiony. Zanim odbieram, przykładam ucho do drzwi i w oddali słyszę jakieś dźwięki.

Camille nie podsłuchuje.

– Spodziewałem się, że szybko pan oddzwoni – mówię na powitanie.

– Sebastian Peters. – W głosie Logana czuć czysty jad. W pełni go rozumiem. O wszystkim przeczytałem w Internecie. – Prawie zniszczył jej życie.

– Czy dlatego mnie pan zatrudnił? – pytam wprost, podejrzewając, że może Camille miała rację.

– Nie. Wie pan dlaczego, widział pan pogróżki, ale nie zaszkodzi, jak będzie pan miał Sebastiana Petersa na oku. – Jego ton wzbudza u mnie odrazę. Tak, widziałem wiadomość, ale dlaczego mam przeczucie, że nie wiem wszystkiego? – Chłopak miał słabość do kokainy. Nie chcę, żeby drań kręcił się w pobliżu mojej córki.

– Oczywiście. – Wypuszczam powietrze, myśląc przy tym, że nie pisałem się na ochronę przed byłym chłopakiem. Jestem ochroniarzem, a nie doradcą czy terapeutą. To nie moje zadanie powstrzymać Camille Logan przed wciąganiem kokainy, jeśli tego chce. Ale, do cholery, zrobię to.

– Zadzwoń, jeśli pojawi się coś nowego. Prosiłbym o to samo. – Rozłączam się, zanim odpowie. Prostuję nogi, przechylam się w jedną stronę, potem w drugą, usiłując znaleźć wygodną pozycję.

Po dziesięciu minutach zginam nogi w kolanach i opieram o nie ramiona. Kolejne dziesięć minut później pistolet zaczyna kłuć mnie w lędźwiach, a tyłek mrowić. Przypominam sobie, że płacą mi za to. I to dużo. Wytrzymam. Bywałem w gorszych miejscach, w gorszym stanie.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie ciernie roślin raniące moje policzki, kiedy czołgam się na łokciach przez dziki teren i zanim zdołam powstrzymać umysł przed dalszą wędrówką, wyświetla mi obrazy moich kompanów, Danny'ego i Mike'a, leżących bez życia w piachu. Czuję przenikliwy ból pochodzący od kuli tkwiącej w łopatce. Zapach śmierci wdziera się do mojego nosa, krzyki niewinnych cywili wypełniają uszy. Po chwili wyraźny obraz jej twarzy przypomina mi, jak znalazłem się w środku anarchii. Anarchii, którą sam spowodowałem. Otwieram oczy i z trudem łapię oddech, ocierając kroplę potu z czoła.

– Cholera. – No i tyle w kwestii skupienia się na pracy. Przeklinam Camille Logan za to, że nie pozwala mi wykonywać mojego zadania. Wyciągam pistolet i kładę go przy udzie. Znow odchylam głowę, próbując skupić myśli na czymś innym. Przypominam sobie nieliczne informacje, jakie mam o sprawie.

Wielu przedsiębiorców popadło w finansową ruinę po wrogim przejęciu przez Logana. Każdy z nich może szukać zemsty. W skrócie: Trevor Logan ma pełno wrogów. Czuję, jakbym szukał igły w stogu siana. A biorąc pod uwagę moje przeczucie, że Logan ukrywa jakieś informacje, mam w głowie mętlik. Jest jeszcze były chłopak. Co prawda nie jest podejrzanym, ale zdecydowanie stanowi zagrożenie. Zagrożenie? O tak, zagrożenie. Jest zagrożeniem dla zdrowia Camille, a nawet jej życia, jeśli znów się do niej zbliży. To czyni go równie niebezpiecznym jak pogróżka. Więc będę go tak traktował.

Wiadomość, którą pokazał mi Logan. Papier, była zbyt idealny. Myślę tak, wyciągam telefon i wysyłam Lucindzie krótką wiadomość.

*Nie sądzę, żeby Logan mówił nam o wszystkim. Pogróżka została wydrukowana na kartce, który wyglądała, jakby została wyjęta prosto z rzy. Powiedział, że wiadomość wczoraj dostarczył kurier. Sprawdź nagrania z kamer w Logan Tower.*

Wysyłam SMS i jak się spodziewałem w ciągu kilku sekund nadchodzi odpowiedź.

*Ciekawe. Zajmę się tym. Dokładnie przejrzałam maile Logana. Nic podejrzanego. Nikt nie wzbudził podejrzeń. Wszystko czyste jak łąka. Jak ci idzie?*

Uśmiecham się do telefonu.

*Nawet nie pytaj. Kobiety są skomplikowane. Skoro już nad tym siedzisz, znajdź mi wszystko na temat Sebastiana Petersa.*

Natychmiast odpowiada:

*Jej były? Mogę zapytać dlaczego?*

Moja odpowiedź jest krótka:

*Nie.*

Odkładając telefon, wracam do poprzedniej pozycji: opieram

przedramiona na zgiętych kolanach i odchylam głowę, kiedy zaczynam od nowa analizować sytuację. Nic mi tu nie pasuje...

Znów się wiercę i marszczę brwi, lecz moją cichą walkę z niewygodną podłogą przerywa kliknięcie zamka. Zamieram w bezruchu. I nagle lecę do tyłu. Mięśnie brzucha zbyt późno zaczynają pracować, żeby mnie utrzymać. Leżę na plecach i wpatruję się w najbardziej niezwykle nogi, jakie kiedykolwiek widziałem. Ciągną się w nieskończoność, począwszy od ślicznych różowych paznokci przez idealnie szczupłe kostki po smukłe łydki. Po prostu najbardziej idealne łydki. A jej uda... Czuję, jak dłonie mi drżą, pragnąc pogłaskać jej skórę.

Jej różowe, koronkowe majtki zerkają na mnie spod dużego, białego T-shirtu. Widząc slogan na przodzie koszulki, krzywię usta.

MNIE NIE ZIGNORUJESZ

Celowo ją założyła? Nie, panno Logan, zdecydowanie nie da się pani zignorować.

A zwłaszcza teraz. Co, u diabła, próbuje ze mną zrobić?

Cholera, muszę się wziąć w garść, zanim zabiję nas oboje. Odwrócenie uwagi to najlepsza taktyka, żeby przyprzeć cel do muru, ale ktokolwiek chce przyprzeć do muru Camille Logan, ma przed sobą wyjątkowo trudne zadanie. A teraz to ona odwróciła moją uwagę. Jej blond włosy spływają po ramieniu, opadając na idealną pierś skrytą pod koszulką, a kiedy dochodzę wzrokiem do twarzy, zauważam, że zmyła makijaż. Mój fiut porusza się w spodniach. Jezu Chryste, ta kobieta jest arcydziełem. Mam ochotę jej powiedzieć, żeby nie zwracała sobie głowy czasochłonnym nakładaniem kosmetyków. Nie potrzebuje ich.

Pochyla się nade mną, jej twarz unosi się nad moją. Krzyżuje ramiona, przyciskając materiał koszulki do swoich krągłości. Natychmiast robię się twardy.

– Dlaczego masz broń? – Wskazuje brodą na mojego hecklera, przypominając mi, gdzie go położyłem. Jej pytanie przypomina mi także, po co tu jestem.

Natychmiast zrywam się na nogi, chwytając po drodze

pistolet, i wsuwam broń za pasek.

– Żeby zastrzelić cię, kiedy znowu mnie wkurzysz.

Patrzy gniewnie i z odrazą marszczy czubek nosa. Bardzo dobrze. Znienawidź mnie. Tak będzie znacznie łatwiej.

– Masz podejście do kobiet, co? – prycha, odwracając się na gołej pięcie i pokazując mi tył nóg. – Wejdz do środka.

Z zaskoczeniem unoszę brwi. Co się zmieniło? Nie wiem, ale nie będę się kłócił. Tyłek wciąż mnie mrowi. Biorę swoją torbę i powoli wchodzę do... piekła.

Rozglądam się dookoła. Jestem przerażony, choć nie daję tego po sobie poznać. Jak na tak elegancką kobietę jest cholerną bałaganiarą. Buty, torebki, ubrania, kosmetyki... Na krzesłach i kanapie leżą porzrzućane wszystkie możliwe dziewczynskie rzeczy. No i jeszcze walające się wszędzie, łącznie z podłogą, rysunki, kawałki materiałów i sterty papierów. Jak można tak żyć? Pewnie ma kogoś do sprzątania. Nie jestem w stanie stwierdzić, w jakim stylu urządziła mieszkanie, poza bałaganiarskim, ale sądząc po jasnych ścianach, które są jedynym wolnym miejscem od modowego badziewia, domyślam się, że jest to styl minimalistyczny. Minimalistyczny? Prycham w myślach. Camille Logan szybko się nim zajęła. Czuję, że zacznę drzeć, kiedy wojskowe zamięłowanie do porządku daje o sobie znać. Lawiruję między ubraniami i kładę swoją torbę na stole zawalonym lakierami do paznokci we wszystkich kolorach tęczy. Natychmiast zauważam ten, który ma obecnie. Jasny róż. Subtelny i dziewczęcy.

– Możesz tu spać.

Podnoszę wzrok i widzę, że schyla się nad kanapą, zbierając bałagan z siedzenia. Nie wiem, gdzie podziać oczy. Cholera, co za męczarnie!

– Posprzątam – proponuję, żeby tylko przestała się tak schylać. – Pozwól. – Wciskam się obok niej, dosłownie odtrącając ją biodrem ze swojej drogi, aby uniknąć dłuższego kontaktu.

– Dobrze. – Robi urażoną minę i idzie do sypialni. – Co za cholerny dżentelmen.



Ignoruję jej bezczelność i wyjmuję broń ze spodni, kładąc ją na podłokietniku kanapy. Zdejmuję buty i rozpinam rozporek, zauważając, że Camille nie zamknęła do końca drzwi do sypialni. Jej niewinne zagranie – zostawienie małej szpary – sprawia, że czuję się lepiej w związku z tym, że jestem w innym pokoju.

Poluzowuję krawat i rozpinam koszulę, po czym spędzam pięć minut, szukając miejsca, gdzie mógłbym je położyć. Poddaję się i kładę starannie złożone ciuchy na ubraniach rzuconych na krzesło. Wracam do kanapy i z westchnieniem siadam na niej. Rozcieram twarz.

To będzie długa noc.

– Życie jej niemiłe – mruczę.

Zerka na mnie przez szparę w drzwiach, kiedy krząta się w swoim pokoju. Muszę odwrócić wzrok. Muszę zamknąć oczy i udawać, że jej tam nie ma. Do diabła z nią, za każdym razem, kiedy staje przy drzwiach, niweczy mój plan. Powoli, zbyt wolno, żeby to było niewinne, zdejmuje T-shirt i odrzuca go na bok.

Oddech więźnie mi w gardle. Nigdy nie zapomnę widoku jej kremowej skóry. Dobry Boże, znów się wiercę, a moja dłoń leży na fiucie, który żyje własnym życiem. Nie doceniłem tej kobiety. Nie zostawiła otwartych drzwi ot, tak sobie. Pogrywa ze mną. Może to mnie życie jest niemiłe.

Wreszcie znika z widoku, a ja wypuszczam nagromadzone w płucach powietrze. Moje serce tańczy szaleńczo w piersi. Wyciągam leki z torby i połykam je szybko, mając nadzieję, że nie tylko powstrzymają koszmary, ale zwiększą moją odporność na nową klientkę.

## Rozdział 8

### CAMI

Wciąż panuje mrok, ale słyszę ćwierkanie ptaków oznajmiające nadejście ranka. Nie zmrużyłam oka. Nie mogłam się wyłączyć i zasnąć, wiedząc, że on śpi w pokoju obok. Z bronią. Nigdy wcześniej nie widziałam broni. Dobrze z nią wygląda. Pasuje do niego. Jake dobrze wygląda. Kropka.

Czuję, że mam spuchnięte powieki. Z pewnością będą czerwone. Niedobrze, biorąc pod uwagę fakt, że dziś mam spotkanie z agentką. Większość nocy spędziłam z iPhone'em w ręku, szukając informacji o Jake'u Sharpie. Czuję się w obowiązku znaleźć wszystko o nim, skoro on zna szczegóły mojego życia. Nic nie znalazłam, choć po wyszukiwaniu w Google Grafika wyskoczyło kilka zdjęć z różnymi celebrytami z nim w tle; na każdym był obojętny i opanowany. Poza tym – nic. Klęska poszukiwań sfrustrowała mnie bardziej, niż chciałabym przyznać.

Jaka jest jego historia?

Łatwiej byłoby mi go nienawidzić, gdyby mnie tak do niego nie ciągnęło. Musi mieć... ile? Ze trzydzieści kilka lat. Nie mam po czym ocenić jego wieku, poza siwiejącymi skroniami i wyraźnym doświadczeniem zawodowym.

Przewracam się na drugi bok i wpatruję w szparę w drzwiach. Wiem, że mnie wczoraj widział, kiedy bezwstydnie rozbierałam się przed wskoczeniem do łóżka. Wciąż nie rozumiem, dlaczego to zrobiłam. Dla własnej satysfakcji? Nie wiem. Może z nedorzecznej chęci potwierdzenia, że pociągam go równie mocno, jak on mnie.

Wyciągam szyję, rozglądając się po salonie, dopóki coś nie rzuca mi się w oczy. Jego goła noga nieruchomo zwisa z kanapy. Nabieram powietrza, wpatrując się w nią. Widzę ciemne włosy porastające jego skórę od kostki do kolana i czuję, że muszę

zobaczyć udo. Opieram dłonie o brzeg materaca i zaczynam się wychylać. Jestem rozczarowana, kiedy Jake się porusza, a jego długa, szczupła kończyna znika z widoku. Rzucam gniewne spojrzenie w kierunku drzwi i ostrożnie wychylam się jeszcze mocniej, aż znów widzę jego stopę.

– Cholera! – Moje dłonie zsuwają się z materaca, a ciało zaraz za nimi.

Bum!

– Cholera! – syczę. Policzek przyciska się do włókien dywanu, nogi wciąż są na łóżku, a tułów bezwładnie zwisa. Z zażenowania wstrzymuję oddech, czekając, aż Jake wpadnie do pokoju i zlokalizuje zagrożenie. Jedynym zagrożeniem jest tu mój pożądlivy wzrok.

– Idiotka – mruczę do siebie i zaczynam prostować skręcone ciało, by wsunąć się z powrotem na łóżko. Miał być najlepszym ochroniarzem, jakiego można wynająć. Co za stek bzdur. Nawet nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Przecież mogłabym leżeć w łóżku z pistoletem przystawionym do głowy.

– Idiota – znów mruczę, ale tym razem obelgę kieruję do nieprzyzwoicie apetycznego mężczyzny, który leży na mojej kanapie, pewnie nago.

Na mojej kanapie.

Pewnie nago.

– O Boże! – Już nie jestem na łóżku, ale pędzę do drzwi, jakby ciągnęła mnie do nich jakaś niewidzialna siła. Miękki dywan wciska się między moje cicho stąpające palce, kiedy zakładam koszulkę. Drzwi są coraz bliżej, aż mam pełny widok na jego ciało. Boże, miej litość. Sharp leży na plecach, ręce ma ponad głową, a twarz opartą o prawy biceps. Śpi.

Jak zabity.

Pierwsze słowo jakie przychodzi mi do głowy to „umięśniony”, potem „niebezpieczny”, a następnie „dzieło sztuki”. Moim ciałem wstrząsa dreszcz, a krew pulsuje mi w uszach, przez co nie słyszę głosu w głowie, który mówi mi, żebym zamknęła drzwi zamiast otwierać je szerzej.

Jestem już w salonie i stawiam ciche, ostrożne kroki w kierunku swojego ochroniarza. Pragnę przyjrzeć się dokładnie jego idealnemu ciału. Podchodzę do niego; nawet nie mruknie ani nie drgnie. Wygląda pogodnie, a bez surowego spojrzenia jest jeszcze przystojniejszy. Sama jego twarz mogłaby przyciągnąć moją uwagę na wieki: ciemne, potargane włosy, ciemny zarost i ostro zarysowana szczęka. Jest absolutnie boski. Męski. Pierwotny.

Pozwalam oczom oderwać się od spokojnego piękna jego twarzy i wędruję wzrokiem do torsu. Jego mięśnie, choć rozluźnione, są doskonale widoczne pod ciemnymi włoskami. Kiedy dochodzę do pachwin, umiarkowanie cieszy mnie fakt, że ma na sobie bokserki. Czarny materiał skrywa jego biodra i potężne uda. Nie ma ani grama tłuszczu. Jest wręcz nierealnie idealny. Jego ciało uosabia dewizę, że mniej to więcej.

Jestem wystarczająco blisko, żeby obejrzeć wszystko, lecz mimo to zniżam się trochę, wstrzymując oddech z przekonaniem, że jeśli wypuszczę powietrze, dotknie ono jego skóry i go obudzi. Zmuszam dłonie, żeby pozostały blisko ciała i nie dotknęły go. Po chwili zauważam małą bliznę na naprężonej skórze jego łopatki. Jest ledwo widoczna; srebrzysta skaza na idealnym ciele. Zaintrygowana pochylam się jeszcze niżej.

Jake się porusza.

Wszystko dzieje się tak szybko, że nawet nie mam możliwości krzyknąć z zaskoczenia. Dopiero kiedy moje plecy dotykają podłogi i znów widzę wszystko wyraźnie, uświadamiam sobie, gdzie jestem.

Pod nim.

Jego naga skóra przyciska się do cienkiego materiału mojej koszulki.

Rozsądek mówi mi, żebym zaprotestowała, żebym zaczęła się wiercić i uwolniła od niego, lecz jego dotyk jest taki cudowny. Silny i zdecydowany. Ciepły i bezpieczny.

Sharp patrzy na mnie bez wyrazu. Jego ciemne oczy palą moją skórę, aż czuję żar wędrujący w górę szyi, w kierunku policzków. Mimo że nie mogę się ruszyć, przez urywany oddech

moje ciało faluje pod nim, dotykając go... wszędzie. O Boże, jego fiut jest twardy i wbija się w moje udo. Moje sutki pulsują i pewnie przesyłają iskry do jego piersi. Przenosi moje nadgarstki nad głowę i przyciska je do podłogi. Jestem uwięziona i czekam na jego kolejny ruch. Co zrobi?

Pocałuj mnie!

O mój Boże, naprawdę to pomyślałam? Słowa rozbrzmiewają w mojej głowie raz po raz. Chcę, żeby mnie pocałował, żeby zniewolił i wszedł we mnie swoim potężnym ciałem. Nigdy wcześniej żaden facet mnie tak nie pociągał. Nie tak intensywnie. To coś nowego, coś dzikiego i niebezpiecznego, coś, co sprawia, że rozpaczliwie pragnę uwolnić nagromadzoną energię. Musi to widzieć, a sądząc po twardym penisie przy moim udzie, domyślam się, że czuje to samo.

Wpatruję się w jego oczy, próbując coś z nich wyczytać. Ogarnia mnie frustracja i irytacja, kiedy nic nie znajduję. Jedyne dwie ciemne otchłanie wpatrujące się we mnie. Ale po chwili coś się zmienia i przez jego czoło przsuwa się fala frustracji, tworząc głęboką zmarszczkę. Nagle zauważam, że nie porusza się przy mnie. Wstrzymuje oddech.

Wreszcie wypuszcza nagromadzone powietrze i krzywi się, kiedy pociera moje udo fiutem. Szybko się cofa, choć widocznie musiał się do tego zmusić. Puszcza moje nadgarstki i odsuwa się ode mnie, przez co ogarnia mnie głupie uczucie odrzucenia.

– Dobrze się przyjrzałaś, co? – mówi, oddalając się ode mnie.

Czuję się, jakby mnie spoliczkował. Pożądanie i pragnienie uchodzi ze mnie, gdy słyszę to szorstkie pytanie. Włączam tryb obronny.

– Zawsze śpisz półnago na kanapie klienta? – pytam ostro, wstając. Obejmując się ramionami, wracam do swojego pokoju. Czuję się jak idiotka. Co sobie myślałam?

– Zawsze spadasz z łóżka? – rzuca przez ramię.

Jestem zażenowana i przeklinam siebie, uświadamiając sobie, że przez cały czas nie spał. No oczywiście, że nie. Gdyby spał i myślał, że jestem intruzem, wycelowałby pistolet w moją

głowę, zarówno w sypialni, kiedy spadłam z łóżka, jak i kiedy przygniótł mnie do podłogi. Nawet nie sięgnął po broń. Zamiast tego sięgnął po mnie. Był oszołomiony... a potem zły. Na mnie. Na tę myśl czuję uścisk w żołądku, choć nie wiem dlaczego. Zamykam drzwi sypialni i osuwam się wzdłuż nich. Zrozpaczona wpatruję się w sufit. Czuję się jak idiotka.

– Kretynka! – Zmuszam się, żeby usiąść na łóżku i przez dobre pół godziny przemawiam sobie do rozsądku.

Jake Sharp okazał się większym problemem, niż się spodziewałam.

Po prysznicu i ogarnięciu się ostrożnie wychodzę z sypialni. Mam na sobie dżinsowe szorty, luźną bluzkę à la Cyganka i japonki. Splatam w warkocz wysuszone włosy, idąc przez salon w kierunku kuchni, i rozglądam się za Sharpem.

Opiera się o blat. Jest po prysznicu i wygląda nieprzyzwoicie świeżo i atrakcyjnie w znoszonych dżinsach i czarnym T-shircie. Czyli znalazł drugą sypialnię i łazienkę? Spogląda na mnie, kiedy wchodzę. Rozmawia przez telefon. Szybko odwracam wzrok i idę do lodówki po butelkę soku grejpfrutowego. Za jednym razem wypijam pół zawartości.

– Dziękuję – mówi, choć w ogóle nie brzmi na wdzięcznego.  
– Do widzenia.

Stoję do niego plecami. Skręca mnie z zażenowania, że praktycznie podałam mu się na tacy, a on mnie nie wziął. Jeśli dotąd nie miał mnie za głupią dziewczynkę, teraz już z pewnością ma.

Słyszę, że porusza się za mną i cicho odkasłuje. Zaczynam zakręcać butelkę, w myślach lokalizując położenie wszystkich rzeczy, które muszę wziąć, zanim wyjdę.

– Nie wspomniałaś, że masz wolną sypialnię z łazienką – mówi spokojnie, bez wyrzutów, choć je wyczuwam. – Całkiem tam czysto. – Wbija mi szpilę.

W moim mieszkaniu jest taki bałagan tylko dlatego, że z Heather jesteśmy zajęte dopracowywaniem projektów, ocenianiem materiałów i omawianiem pomysłów marketingowych. Nie jestem

mu winna wyjaśnień, więc nic nie mówię i idę szukać torebki. Znajduję ją, przekładam przez ramię i ruszam do drzwi.

Chwytam klamkę i ją naciskam, ale jego dłoń przelatuje ponad moją głową, blokując drzwi. Wkrzuszam się na siebie za to, że podskoczyłam.

– Skoro zaakceptowałam twoje zasady, mogłabyś być na tyle uprzejma, żeby przestrzegać moich – mówi za mną, trzymając drzwi zamknięte. Patrzę gniewnie przed siebie, trzymając język za zębami i stojąc plecami do niego. – Nigdy więcej nie skradaj się tak do mnie. – Odsuwa rękę, a ja natychmiast chwytam klamkę i wychodzę z mieszkania, starając się pozbyć iskiei, które wzbudziła jego bliskość.

– Zapominasz, dla kogo pracujesz? – rzucam, mijając windę. Wchodzę na klatkę schodową. Nie potrafię stać i czekać na windę. Muszę być w ruchu. Jak najdalej od niego.

Nie odpowiada na moje pytanie ani nie reaguje na nie, postanawia w milczeniu iść za mną. Dobrze. Szanuje moje granice. Zero rozmów.

Zatrzymuję się dopiero na parkingu podziemnym i naciskam przycisk w breloku kluczy, żeby otworzyć drzwi mercedesa.

– Mogłbyś przestawić swój samochód? – wołam przez ramię.

– Jedziemy moim – mówi beznamiętnie.

– Potrafię sama prowadzić. – Otwieram drzwi, wrzucam torebkę i siadam za kierownicą. Odpalam silnik i zapinam pas bezpieczeństwa, zerkając we wsteczne lusterko. Sharp wsiada do swojego range rovera, a ja z zadowoleniem podśpiewuję pod nosem. Może doszedł do wniosku, że też nie wytrzyma mojego towarzystwa i postanowił wycofać się ze swojej zasady wspólnego podróżowania.

Bardzo dobrze.

Czekam z rękami na kierownicy, aż przestawi swój duży samochód, ale po dwóch minutach wciąż stoi w miejscu, a moja cierpliwość zaczyna się kończyć. Zaciskam zęby i kolejne kilka minut później wciskam klakson. Zero reakcji. Sharp spokojnie siedzi na miejscu kierowcy, zajęty swoim telefonem.

– Dupek – mruczę, otwierając drzwi, i energicznym krokiem ruszam ku niemu. Stukam w szybę, która zaczyna się opuszczać, choć Sharp wciąż wpatruje się w ekran swojego telefonu. – Rusz się – nakazuję.

– Nie – odpowiada. Szyba zaczyna jechać w górę, a ja gapię się na niego oniemiała, choć i tak nic sobie ze mnie nie robi.

Uderzam pięścią w okno i szyba znów się opuszcza, choć Sharp niezmiennie jest skupiony na ekranie telefonu.

– O jedenastej mam spotkanie z agentką – informuję go z największym spokojem, na jaki mnie stać. – Nie mam na to czasu.

– W takim razie sugeruję, żebyś przestała utrudniać sprawy i wsiadła do środka. – Szyba znów się podnosi, uniemożliwiając mi uduszenie drania.

Wydaję z siebie sfrustrowany okrzyk i idę wkurzona do samochodu. Biorę torebkę z siedzenia i trzaskam drzwiami. Nigdy wcześniej nie spotkałam tak wkurzającego faceta!

Gdy wsiadam do jego samochodu, praktycznie para bucha mi z uszu. Siadam na siedzeniu i wyciągam telefon z torebki. Sharp rusza bez słowa, a ja wybieram numer ojca. Nie dam rady tak dłużej. To nie fair.

– Camille. – Spokojny głos ojca nie uspokaja mnie. Jedynie przypomina, kim jest i że moje protesty tym razem na nic się zdadzą. Ale i tak próbuję.

– Tato. – Stawiam na słodki głos, hamując pyskowanie, którego się pewnie spodziewa. – Mimo że bardzo doceniam twoją troskę, nie mogę funkcjonować, kiedy ten koleś ciągle za mną chodzi. Mam pracę. Spotkania. On mi przeszkadza.

– Camille, już ci powiedziałem, że to nie podlega dyskusji.

– Chodzi o Sebastiana? – pytam. – Jeśli tak, mogę cię zapewnić, że nigdy więcej się z nim nie spotkam.

– Tu nie chodzi o Sebastiana, ale o pogroźkę, która mnie niepokoi. Sharp zostaje, dopóki nie dowiemy się, kto za tym stoi.

– Ale...

– Camille, nie mam na to czasu – przerywa mi, a moja warga unosi się jak u Elvisa. – Jestem w trakcie ważnego spotkania.



Sharp zostaje. Nie chcę więcej tego słuchać. – Rozłącza się, a ja ze złością wrzucam telefon do torebki.

Zawsze przeciwstawiałam się władcemu ojcu. Zawsze robiłam to, co chciałam, a nie to, czego on chciał. Teraz po raz pierwszy naprawdę nie mam wyboru, ponieważ jeśli nie zabiję Sharpa, nie pozbędę się go. Jestem bezsilna i nienawidzę tego uczucia.

Dyskretnie zerkam kątem oka i widzę jego profil; wpatruje się w drogę. Nawet nie drgnął, kiedy rozmawiałam o nim, jakby go tu nie było. To właśnie muszę robić. Udawać, że go tu nie ma. Zero podziwiania go. Zero podglądania jego szerokiej klaty i potężnych mięśni. Zero rozmyślania o nim. Pod żadnym względem. Zerka na mnie i szybko odwracam wzrok, zażenowana, że robiłam to wszystko, a on mnie przyłapał. Wyraźnie słyszę jego cichy śmiech i posyłam mu gniewne spojrzenie. Moją uwagę przyciąga siwiejąca skroń.

– Ile właściwie masz lat? – Słowa same wylatują z moich ust, zawstydzając mnie.

– Trzydzieści pięć. – Obraca się i posyła mi rozbawiony półuśmiech. – A ty?

Moja nachmurzona mina przybiera na sile. Akurat, nie wie tego po przeczytaniu informacji o mnie.

Odwracam się, ignorując go.

– Gdzie jest biuro twojej agentki? – pyta, skręcając w dobrą stronę, co mi mówi, że dobrze wie, gdzie jedziemy.

Stara się zachęcić mnie do rozmowy, więc trzymam język za zębami, znów go ignorując. Przez niego moje życie jest żałosne i zamierzam odwzajemnić się tym samym. Pod koniec dnia sam zrezygnuje.

Zatrzymujemy się przed biurem mojej agentki w Hatton Garden. Wsiadam, bez słowa zamykając za sobą drzwi. Zauważam czekającą przed wejściem Heather i przyspieszam kroku, ignorując jej uśmiech, kiedy najwyraźniej dostrzega Sharpa. Obejmuje mnie na powitanie.

– Więc jak...

– Nie pytaj – ostrzegam, odsuwając się, i otwieram drzwi. Wiem, że Jake trzyma się kilka kroków za nami, kiedy idziemy schodami na pierwsze piętro, a gdy wchodzimy do biura mojej agentki i jej oczy rozszerzają się ze zdziwienia, rozumiem, że będę musiała wytłumaczyć jego obecność. Jak mówiłam wcześniej, jego nie da się zignorować.

– Przejściowa sytuacja – mówię, podchodząc do biurka agentki i siadając na fotelu.

Heather zajmuje miejsce obok mnie.

– Tatuś znowu kogoś wkurzył – żartuje moja przyjaciółka.

Moja agentka śmieje się; nie jest ani trochę zaskoczona.

– Stary, dobry tatuś.

– Co masz dla nas? – pytam, starając się skupić na pracy, czyli na czymś, co kocham i co odsunie moje myśli od Sharpa, który stoi gdzieś za mną.

Kerry siada i podsuwa mi teczkę.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli najpierw omówię kilka spraw z Camille? – kieruje pytanie do Heather.

– Oczywiście, że nie. – Moja przyjaciółka macha ręką i zerka przez ramię. – Z pewnością znajdzie coś, czym zabije czas.

Stukam ją w kolano. Wzrusza ramionami i niechętnie spogląda na Kerry, której wzrok tkwi w punkcie za naszymi plecami. Odkasłużę, żeby wyrwać ją z zamyślenia.

– Ach tak! – Kerry wraca do tematu spotkania. – Levi's wprowadza nową linię i chcą twoich nóg w swoich džinsach.

– Ooo... – W zamyśleniu otwieram teczkę i przeglądam zawartość, ignorując Heather, która znów się obraca, żeby pożerać wzrokiem mojego ochroniarza.

– A Dior wypuszcza nowy krem. Jesteś na górze ich listy blondynek. – Kerry puszcza oko, wskazując na moją twarz. – Najbardziej nieskazitelna cera w branży.

Heather wybucha śmiechem, obracając się do nas.

– Czy to ważne? I tak ją całą zamalują.

Kerry przeczesuje bujną fryzurę palcami, nie zważając na komentarz mojej przyjaciółki.

– Zainteresowana?

– Oczywiście – zapewniam. – Jakie są motywy? – Odkładam teczkę na biurko i widzę, jak jej wzrok ciągle wędruje nade mną, przez co zaczynam się zastanawiać, co Jake robi za mną. Czy Kerry się rumieni? Moja bezlitosna agentka, która nie okazuje cienia emocji? Marszczę czoło i wyciągam szyję, zerkając przez ramię. Sharp stoi przy drzwiach z rękami założonymi z tyłu... i wygląda cholernie dobrze. Odwracam się do Kerry, zanim pozwolę zgłodniałym oczom nacieszyć się widokiem. – Motywy? – przypominam.

Kerry natychmiast wraca wzrokiem do mnie.

– Ach, tak, motywy! – Z widocznym podenerwowaniem walczy z papierami na swoim biurku, a Heather chichocze u mojego boku. To nowość, Kerry nie jest osobą, która się denerwuje. Podejrzewam, że na ten widok powinno mi ulżyć. Nie tylko ja uważam, że ten arogancki palant jest atrakcyjny.

– Już mówię. – Wyciąga kartkę papieru i robi szybkie podsumowanie. – Levi's wraca do korzeni. Ranczo, kowboje, kapelusze, wysokie buty i takie tam. Dior idzie w kierunku minimalistycznego zdjęcia twarzy. Minimalny makijaż, zero emocji. Wiesz, o co chodzi.

– Świetnie! – Nastrój mi się poprawia. Niektóre nowe projekty dają mi energię, której potrzebuję.

– Doskonale. Zacznę negocjacje. Jakieś życzenia?

– Tak – wcina się Heather. – Chce miskę pomarańczowych smarties i żeby temperatura w pomieszczeniu wynosiła dziewiętnaście stopni. Koniec kropka – mówi poważnie, na co wybucham śmiechem.

Kerry spogląda na nas i coś zapisuje, ale wiem, że nie chodzi o pomysły Heather.

– Wiesz, że bym to ci to załatwiła, prawda?

Uśmiecham się, rozbawiona.

– Wiem. Ale nie lubię smarties, a dzięki szlafrokowi nie zmarznę.

– Boże, uwielbiam łatwość, z jaką robi się z tobą interesy. –

Kerry wraca do zapisków. – Zadzwoń do ciebie, jak będę znała szczegóły.

– Świetnie. A teraz powiedz nam o potencjalnym inwestorze – mówię. Jednak nie podoba mi się spojrzenie Kerry, gdy o tym wspominam. – Co?

– No właśnie, co? – Heather się prostuje.

– No więc... – Kerry odkasłuje, grając na zwłokę.

– Kerry, po prostu powiedz.

– Chcą z tobą pracować, Camille. Naprawdę chcą. Podoba im się pomysł, że będziesz twarzą kampanii i nawet są za tym, żeby rozszerzyć ofertę na wszystkie rozmiary.

– Ale? – Ja i Heather pytamy jednocześnie.

– Ale nie będziesz miała nic do powiedzenia w kwestii projektów. – Przygryza wargę. – Ani materiałów. Ani dodatków.

Zniechęcona wypuszczam powietrze.

– Czyli w zasadzie chcą mojej twarzy i ciała, żeby sprzedać nową linię ubrań z naszymi imionami, ale bez naszego wkładu...?

– A jaka byłaby moja rola w tym wszystkim? – pyta oburzona Heather.

– Żadna – rzeczowo odpowiada Kerry. Z mojej przyjaciółki uchodzi energia, a na jej twarzy pojawia się ból. – Przykro mi, ale to i tak doskonała okazja, Camille. I oferują dobre pieniądze. – Podsuwa mi teczkę.

Dotykam ramienia przyjaciółki, kiedy posyłam agentce udręczone spojrzenie. Naprawdę myśli, że na to pójdę?

– Kerry, to się nie będzie w niczym różniło od modelingu, którym na co dzień się zajmuję. Więc chcą, żebym spławiła najlepszą przyjaciółkę i współpracownicę? Mamy setki szkiców, doskonałe projekty!

Zaciska usta. Na jej twarzy pojawia się odrobina współczucia.

– Przejrzyj ich ofertę. – Wskazuje na teczkę, którą biorę, przewracając oczami. – Są hojni.

Wstaję i biorę torebkę, niedbale wrzucając do niej teczkę. Po chwili poklepuję oszołomioną Heather i wyrywam ją z bolesnego

transu. Powoli wstaje.

– Zadzwoń do mnie, jak będziesz coś wiedziała o Levisie i Diorze. – Obracam się, a moje przygnębienie nasila się, kiedy muszę stanąć twarzą w twarz z Sharpem. Nasze spojrzenia spotykają się na kilka chwil ale on pierwszy odwraca wzrok, otwierając przede mną drzwi. Mruczę podziękowanie i zachęcam Heather, żeby szła pierwsza.

– Nie chcą mnie – mówi cicho Heather, ciężko stąpając po schodach. – Chcą ciebie, ale nie chcą mnie.

– Jesteśmy w pakiecie – przypominam jej. – Niczego nie podpiszę, jeśli nie będziemy w tym obie. Nie zrobię niczego bez ciebie.

Odwraca się i spogląda na mnie szklanymi oczami.

– Mówisz serio?

– Tak! Heather, jesteś genialną krawcową i masz niesamowite oko do szczegółów, materiałów i zestawień! Chcę pracować tylko z tobą.

Nie mówiąc o tym, że właśnie ta dziewczyna była ze mną na dobre i na złe. Wspierała mnie, kiedy przechodziłam najgorsze chwile. Nigdy nie odwróciła się ode mnie. Wszystko jej zawdzięczam. Jestem tu, bo była przy mnie. Nigdy jej tego nie zapomnę. Jesteśmy zespołem i nic tego nie zmieni. Nieważne, ile zaoferują pieniędzy. Widzę, jak jej wątpliwości odpływają, i obejmuje mnie.

– Dziękuję.

Z uśmiechem pozwalam, żeby mnie wyściskała.

– Co teraz robisz?

– Idę na lunch z mamą. Chcesz dołączyć? – Puszcza mnie i się prostuje.

Przez chwilę rozważam jej ofertę, zastawiając się, czy będzie to dla Sharpa na tyle okropne, żeby sam zrezygnował.

– Nie, ale dzięki za propozycję. – Potrzebuję czegoś mocniejszego. Nie dla siebie, ale dla Jake'a. Uśmiecham się do siebie. – Jesteś wolna wieczorem?

– Chcesz wyjść?

– Myślałam bardziej o dziewczynskim wieczorze. Wino, może manikiur. Zjemy coś niezdrowego i obejrzymy jakiś babski film w telewizji. – Sharpowi z pewnością nie spodoba się to. Już o to zadbam. – Możemy jeszcze coś wymyślić.

– Super!

– U mnie o szóstej?

– Spoko! – Wyskakuje na chodnik i macha na taksówkę. – Do zobaczenia!

Macham jej na pożegnanie i widzę, że Sharp marszy czoło, ale nie na mnie. Patrzy na drugą stronę jezdni. Zastanawiając się, co przykuło jego uwagę, podążam wzrokiem w tym samym kierunku co on, ale jedyne, co widzę, to rząd zaparkowanych na ulicy samochodów.

– Zaczekaj tu – nakazuje szorstko, wchodząc na jezdnię. Jest spięty i skupiony.

– Jake, co do... – urywam, kiedy zaczyna biec. Czuję, że z zaskoczenia brew mi się unosi. Po chwili widzę, jak biały van rusza z miejsca i szybko odjeżdża.

Jake zwalnia bieg i się zatrzymuje, kiedy van znika za rogiem. Sięga do kieszeni.

– Biały van – mówi do telefonu, wracając do mnie. – Nie pamiętam rejestracji. Nie widziałem twarzy. To może być zbieg okoliczności. – Rozłącza się, a ja wpatruję się w niego zdezorientowana. – Co? – pyta, wsuwając komórkę do kieszeni.

– Tylko parkował.

– I dość szybko odjechał.

– Też bym tak zrobiła, gdybyś skradał się w moim kierunku. – Kręcę głową i mijam go. Popadł w paranoję.

Czuję, że idzie za mną, kiedy przechodzę przez ulicę w kierunku jego range rovera, ale zanim mam okazję przyspieszyć kroku i zwiększyć dystans między nami, zauważam znajomą twarz i natychmiast przystaję. Sharp wpada na mnie, przeklinając pod nosem, a ja lecę do przodu.

– Uważaj! – odwarkuję, rzucając mu gniewne spojrzenie przez ramię i ignorując intensywne iskry, jakie wzbudził nasz

kontakt.

Natychmiast się cofa, a jego szczeka drży. Ale nie odrywa ode mnie wzroku.

– Przepraszam.

Odwracam się, szukając tego, co kazało mi się zatrzymać.

– TJ! – krzyczę, podbiegając w kierunku brata.

– Hej, gwiazdeczko! – mówi ze śmiechem, kiedy wpadam na niego i obejmuję z całych sił. Zabawne, że to przezwisko nie irytuje mnie w ustach TJ-a. Tak dobrze go widzieć! Rzadko się spotykamy, głównie dlatego, że tata nieźle daje mu popalić w pracy. Choć TJ-owi nie przeszkadza to za bardzo. Delektuje się zaufaniem, jakie ojciec w nim pokłada, jak również odpowiedzialnością.

Tata wychował go, żeby zajął jego miejsce w świecie biznesu, ale TJ nie jest tak bezlitosny jak on.

– Co tu robisz?

Odsuwa mnie od siebie i głaszcze mój policzek.

– Odebrałem garnitur z pralni chemicznej. – Pokazuje pokrowiec z garniturem. – A teraz idę spotkać się z tatą w gabinecie jego prawnika.

Nie dziwi mnie to. To cotygodniowy rytuał mojego brata i taty.

– Kto tym razem go pozywa?

– Cały świat! – śmieje się. – Jak leci, mała?

– Dobrze – odpowiadam szybko. TJ wie, co się dzieje. Tata mówi mu wszystko. – Też wynajął ci maszynę do zabijania, która za tobą chodzi?

Lekko szturcha mnie w ramię, a potem obejmuje za szyję i mierzwi mi włosy.

– No dobra, panno cwaniaro.

– Hej! – Uwalniam się z uścisku i jak tylko odgarniam włosy z twarzy, okazuje się, że nie widzę brata.

Wielkie ciało Sharpa stanęło między nami.

Stoi tak blisko, że muszę odchylić głowę, żebym mogła spojrzeć na jego kark.

Wędrując wzrokiem w górę, zauważam napinające się mięśnie pod jego czarną koszulką.

– A pan to kto...? – pyta pełen podejrzeń i wrogości.

Serio? Czy ten człowiek potrafi być uprzejmy wobec kogokolwiek? A jeśli się nad tym zastanowić, to powinien doskonale wiedzieć, kim jest TJ. Musiał widzieć jego zdjęcia, kiedy szukał informacji na mój temat. Poza tym TJ jest podobny do ojca jak dwie krople wody. Zachowanie Sharpa jest żałosne. Wciąż jest nakręcony. Z powodu vana? Kładę rękę na jego ramieniu i używam siły, żeby odepchnąć go na bok. A raczej spróbować odepchnąć. Ani drgnie. Nawet na milimetr.

– To mój brat – wzdycham, przesuwając się na bok, żebym mogła znów zobaczyć TJ-a, skoro Sharp nie wykazuje chęci ruszenia się.

Jak się spodziewałam, w oczach TJ-a widzę niepokój.

– Więc to jest ta twoja maszyna do zabijania, co? – Podaje rękę. – Miło pana poznać, panie Sharp.

Jestem całkiem pewna, że słyszę groźny pomruk, kiedy mój ochroniarz wyciąga dłoń. Wpatruje się złowieszczo w mojego brata, który, jako niższy ode mnie, musi cofnąć się, żeby nie złamać sobie karku, spoglądając na wykrzywioną w grymasie twarz Sharpa.

– Nawzajem – odpowiada Sharp, ostro, szorstko, bez cienia uprzejmości.

TJ praktycznie wyszarpuje rękę z mocnego uścisku i posyła mi pytające spojrzenie. Odchodzę na bok i biorę brata pod ramię. Jego przynajmniej mogę ruszyć..

– Tata nie żartował – śmieje się nerwowo TJ – kiedy mówił, że nie zatrudnił go, bo go polubił. Co za dupek!

Kiedy przystajemy, przytakuję w zamyśleniu, zerkając przez ramię. Jake uważnie przygląda się wszystkiemu. Zaczyna mnie to denerwować.

– W każdym razie... – podejmuje TJ, odwracając mnie do siebie. Ma poważą minę. Wiem, co powie. – Słyszałem, że ktoś wyszedł z odwyku.



– Zabawne, też o tym słyszałam.

– Uważaj, Camille – ostrzega, przeciągając moje imię zmęczonym głosem. – Po prostu się martwimy...  
Unoszę dłoń, żeby go uciszyć.

– Skończyłam z nim – mówię z trudem, nie dlatego, że jest to dla mnie ciężkie, ale dlatego, że wkurza mnie ciągła konieczność powtarzania się. Początkowy niepokój, który mnie ogarnął, jak Heather napisała, że Seb wrócił do miasta, został zastąpiony determinacją. Nie zamierzam wpadać na niego. Zresztą, z tego co słyszałam, niebawem i tak wróci na odwyk.

– Zabawne, że w dniu, kiedy wypuścili Sebastiana, Sharp zostaje moim ochroniarzem – Unoszę wysoko brew, patrząc oskarżycielsko na TJ-a.

TJ odwzajemnia minę z tą różnicą, że na jego twarzy maluje się ostrzeżenie.

– Widziałem pogrózkę, mała. Nie możemy oszczędzać na ochronie naszej gwiazdeczki.

– Co było w pogróżce? I kto ją wysłał?

– Nieważne, co w niej było. Nie sądzisz, że gdybyśmy wiedzieli, kto ją wysłał, zrobilibyśmy coś z tym?

Wzdycham, przyznając się do porażki. Wiem, że nie mam nic do gadania, nawet jeśli sprawa dotyczy mnie.

– Masz ochotę na kawę? – Wskazuję kawiarnię po drugiej stronie ulicy.

– Może innym razem. Muszę lecieć na spotkanie. – Jak na zawołanie, jego telefon zaczyna dzwonić. Uśmiecha się i pokazuje mi wyświetlacz. Na ekranie widzę „Tata”. – Jestem spóźniony o trzydzieści sekund. – Cmoka mnie w czoło i idzie do swojego samochodu, omijając z daleka mojego wielkiego ochroniarza. – Opiekuj się naszą dziewczynką – mówi do Sharpa z braterską czułością. Słyszając to, robi mi się cieplej na sercu... dopóki znów nie muszę spojrzeć na wyraźnie spiętego Sharpa. Na miłość boską, facet musi wyluzować!

TJ wskakuje do swojego maserati i z piskiem opon odjeżdża, a ja ruszam w kierunku samochodu Sharpa, wiedząc, że mój

ochroniarz nie pozostanie w tyle. Jakby niewidziana lina przyciągała go do mnie, jeśli oddalimy się za bardzo.

O szóstej Heather praktycznie wali w moje drzwi. Biegnę otworzyć, ale Jake wyprzedza mnie, wyglądając przez judasza i trzymając dłoń na lędźwiach, gdzie ma broń. Cholerny paranoik.

– To Heather – mrużę, obserwując, jak odsuwa się od drzwi i odchodzi; nawet nie chce mi się otworzyć drzwi dla mojej przyjaciółki.

Zaciskam usta, gdy mnie mija, i otwieram sama. Na widok dwóch butelek wina odwzajemniam szeroki uśmiech Heather.

– Jestem! – oznajmia śpiwnym głosem, przechodząc obok mnie. Natychmiast wiem, kiedy zauważa Sharpa, ponieważ staje jak wryta i milknie. Zamykam drzwi i popycham ją w kierunku kuchni.

– Jest boski – szepcze, odkładając butelki, kiedy ja biorę kieliszki.

Prycham w myślach.

– Jeśli lubisz ponuraków.

– O, tak. – Heather nalewa wina, a ja przetrząsam szafki w poszukiwaniu jakichś przekąsek. Kiedy taca jest pełna, ruszam do salonu, a Heather za mną. Sharp siedzi na kanapie z laptopem na potężnych udach. Zatrzymuję się przed nim i czekam, aż oderwie oczy od ekranu i spojrzy na mnie.

– Przepraszam – mówię uprzejmie ze słodkim uśmiechem.

Spogląda na krzesło po drugiej stronie pokoju, a potem na Heather. Na jego twarzy nie malują się żadne emocje i kiedy myślę sobie, że może odmówić i robić problemy, wstaje. Jego mięśnie boleśnie wolno się napinają, zmuszając mnie do odwrócenia wzroku, zanim nakryje mnie na ślinieniu się na jego widok. Kątem oka widzę Heather. Moja przyjaciółka nie powstrzymuje się; pożera go wzrokiem i z zachwytem obserwuje, jak Sharp przechodzi przez pokój i siada na krześle, wpatrując się w laptop.

Siadam na kanapie i odkasłuję, żeby wyrwać moją przyjaciółkę z transu. Kręci głową w zdumieniu i dosiada się do mnie. Wiem, że chce mi powiedzieć wiele rzeczy, ale obecność

Jake'a ją hamuje. To pewnie dobrze. Stawiam przed nami miskę chipsów i stukam swoim kieliszkiem w jej.

– Za co pijemy? – pyta.

Jej pytanie mnie zaskakuje, a ponieważ nie wiem, nie odpowiadam na to, zadaję inne pytanie:

– Jaki kolor? – Biorę pudełko z lakierami do paznokci i podsuwam je pod twarz Heather. Czas zacząć z babskimi pierdołami.

– Czerwony! – Nurkuje i wyjmuję buteleczkę. – Pomalujesz mi stopy.

Zrzuca buty, rozsiada się wygodnie i kładzie stopy na moich kolanach. Zabieram się do pracy, oddzielając jej palce bawełnianymi płatkami.

– Mam dla ciebie szkic. Sukienki – mówię jej.

– Już wiem, jak wygląda – odpowiada, a ja z uśmiechem zabieram się do malowania paznokci. – Zorganizowałam spotkanie z dostawcą materiałów. I mam pomysł na kolekcję bielizny. Boże, cudownie byś w niej wyglądała!

Raptowne odkaszlnięcie nieco mnie zaskakuje i zerkam na Sharpa, który wpatruje się we mnie. Szybko wraca wzrokiem do laptopa, unikając mojego pytającego spojrzenia. Kręcąc głową, spoglądam na Heather, która, jak się okazuje, przygryza usta, podziwiając mojego ochroniarza. Więc szturcham ją w stopę, żeby zwrócić jej uwagę.

Uśmiecha się do mnie. Ignoruję ją.

Po pomalowaniu ostatniego paznokcia siadamy wygodnie i spędzamy kolejne godziny, rozmawiając, śmiejąc się, omawiając pomysły i się upijając. Gdy *Dirty Dancing* się kończy, zrywam się na równe nogi i ciągnę Heather za sobą, zmuszając lekko do odegrania Patricka Swayze, podczas gdy ja robię piruety i podskakuję wokół niej. Heather usiłuje śpiewać, a ja się śmieję, kiedy przygotowuje się, żeby złapać mnie, jak skoczę.

– Serio? – pytam ze śmiechem.

– Jestem silniejsza niż wyglądam. – Zachęca mnie zniecierpliwionym gestem.

Moje rozbawienie rośnie, kiedy odwracam się, zauważając, że Sharp obserwuje nasze wygłupy. A przynajmniej obserwuje mnie. Czy się uśmiecha? Z ciekawości mrużę oczy. Nagle podskakuje na krześle i szybko odwraca wzrok.

– Dawaj, Baby! – krzyczy Heather, przyciągając moją uwagę do siebie. Uśmiech wraca na moją twarz i biegnę w jej kierunku, patrząc, jak ustawia stopy, aby znaleźć stabilną pozycję. Zderzamy się, krzycząc głośno, i padamy na kanapę. Śmiejemy się jak głupie.

– Jednak nie jesteś taka silna – chichoczę. Czuję się w pełni rozluźniona w zaciszu swojego mieszkania, wygłupiając się z moją wariatką. Nie muszę być czujna, czekając na błysk fleszy. Nie muszę walczyć z apodyktycznym ojcem. Tylko ja i moja najlepsza przyjaciółka.

– Założę się, że mógłby cię podnieść jak piórko. – Heather kiwa w stronę Sharpa, szczerząc zęby. Przypominam sobie, że nie jesteśmy same. Jednak stres, jaki dziś przez niego przeżywałam, nie powraca na wspomnienie jego obecności.

Kładę dłonie na falującym od śmiechu brzuchu i zerkam na niego, widząc, że drgnął na krześle. Przez chwilę dłuższą niż powinnam podziwiam jego boskie ciało. Wpatruję się w twarz pokrytą zarostem i ciemnobrązowe oczy, które też mnie obserwują. Oczy, które się śmieją.

Przechylam głowę, gdy on przechyla swoją. Nie wygląda na zirytowanego koniecznością obserwowania, jak ja i Heather zajmujemy się babskimi sprawami. Dlaczego? Zaciskam usta, zastanawiając się.

I wtedy Sharp odwraca wzrok, jakby dopiero uświadomił sobie, że się gapi. Przygryzam wargę i spoglądam na stojące przede mną pudełko z lakierami. Uśmiecham się szeroko, biorąc najbardziej jaskrawy odcień różu, jaki mogę znaleźć, i wstaję, starając się zachować równowagę po wypiciu zbyt dużej ilości wina. Stoję przez kilka sekund przed nim, zanim postanawia na mnie spojrzeć. Podnoszę lakier.

– Chcesz, żebym pomalowała ci paznokcie u stóp?

Otwiera szerzej oczy.

– Nie – odpowiada beznamiętnie, wracając wzrokiem do laptopa. Lekceważy mnie.

Uśmiecham się szerzej i padam na kolana u jego nagich stóp. Ma zadbane stopy. Sięgam po jedną z nich i kładę ją sobie na kolanie.

– Sądzę, że ten kolor będzie ci pasował.

Wyrywa się z mojego uścisku.

– Camille – ostrzega, ale ignoruję go, siłując się z jego stopą.  
– Camille, co ty, do diabła, wyrabiasz?

– Pozwól! – nalegam, śmiejąc się. Moje rozbawienie nasila się, kiedy Heather dołącza do mnie na podłodze i pomaga mi ułożyć stopę Jake’a tam, gdzie chcę, żeby była. Jednak nawet we dwie nie dajemy mu rady. Odtrąca nas i wstaje, a my lądujemy na tyłku.

Spoglądam na niego, jak góruje nade mną. Moje ciało aż drży z rozbawienia. Widzę, jak próbuje odnaleźć cierpliwość, głęboko oddychając. Teraz jest wściekły i nie mogę opanować radości. Spodziewam się, że lada chwila wyjdzie zdecydowanym krokiem, żeby uciec ode mnie i mojej irytującej koleżanki, ale, ku mojemu zaskoczeniu, przewraca oczami, robi lekki wydech i pochyla się, chwytając mnie za ramiona. Mój śmiech znika w chwili, gdy podnosi mnie, jakbym nic nie ważyła. I nie puszcza, nawet jak stoję. Pewnie to dobrze, ponieważ nie czuję stóp. Ani mięśni. Jedyne, co czuję, to serce. Wali jak oszalałe, a robi się jeszcze gorzej, kiedy Sharp pochyla się, przysuwając usta do moich uszu. Nieruchomieję w jego uścisku.

– Mówiłem ci, Camille – dyszy, trzymając blisko wargi. – Zniosę wszystko, co będę musiał. – Puszcza mnie i odchodzi. Cała drzę. – Idę wziąć prysznic.

– O Boże. – Heather w ułamku sekundy staje przy mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. – Zauważyłaś, że nie pomógł mi wstać? I powiedział, że idzie wziąć prysznic? To jakieś zaproszenie?

Biorę się w garść i zbieram myśli.

– Nie bądź głupia – mruczę, kierując się do kuchni po więcej

wina.

– Dobrze, ale wyobrażasz go sobie nagiego? I mokrego?

W myślach błagam, żeby zamknęła jadaczkę i nie podsycala moich i tak nieczystych myśli. Mój plan wykurzenia Sharpa przyniósł odwrotny skutek. To ja jestem wkurzona... Na siebie.

Po wyjściu Heather stoję plecami do wejściowych drzwi, przygryzając dolną wargę. Nie pojawił się po prysznicu.

Zostawił nas same, pewnie dochodząc do wniosku, że zniósł wystraszająco dużo dziewczyńskich wyglądów. Powinno to wywołać u mnie uśmiech, lecz tak się nie dzieje. Myślę tylko o tym, ile razy przyłapałam go na obserwowaniu mnie. Nie wyglądał na zboląłego, a raczej na zadowolonego. Czyli zupełnie inaczej niż oczekiwałam.

Zaczynam ziewać. Muszę się wyspać i, co ważniejsze, wyłączyć myślenie. Idąc do sypialni, zbieram ze stołu kilka projektów z postanowieniem zrobienia notatek w łóżku. Ale kiedy mam już zamknąć za sobą drzwi, słyszę go. Nie mogę się powstrzymać przed zerknięciem za drzwi. Podskakuję, kiedy okazuje się, że stoi przede mną świeżo umyty, ale w pełni ubrany. Wbijam wzrok w jego klatkę, wyobrażając sobie apetyczne ciało pod szarym T-shirtem, kiedy bawię się szkicami trzymanymi w ręku.

– Camille...

Podnoszę wzrok i nasze spojrzenia się spotykają.

– Słucham?

Milczy przez kilka chwil, zastanawiając się. Wreszcie bierze jedną z moich szkiców. Nie odzywam się. Z rozbawieniem się przyglądam, jak wpatruje się w mój rysunek. Założę się, że nawet nie wie, na co patrzy.

– Dobrze – mówi w zamyśleniu, przechylając głowę. – Co to?

– Pasek. Jeden z dodatków, jakie zaprojektowałam. – Biorę rysunek, śmiejąc się w myślach. Dlaczego nagle zrobił się taki przyjacielski? – Chcesz zostać moim modelem?

Mruży oczy, w których nie dostrzegam rozbawienia.

– Nie noszę pasków. – Unosi koszulkę. Spodziewam się, że

pokaże mi puste szlufki džinsów, ale jedyne, co widzę to jego naprężony brzuch. Wysycha mi w ustach i łapię za framugę dla zachowania równowagi. Jasna cholera. Mogłabym skaleczyć sobie palec, przesuwając po którymkolwiek z wyrzeźbionych mięśni. – Jedyne dodatki, jakie noszę, to broń. – Obraca się na pięcie i odchodzi. – Paskiem cię nie zastrzelę.

Jak za dotknięciem różdżki moje pożądanie znika, a twarz wykrzywia się z wściekłości.

Nie mogąc znaleźć słów, uciekam się do trzaśnięcia drzwiami.

## Rozdział 9

### JAKE

Przysięgam, że robi to celowo. Od tych babskich pierdół mój mózg robi się różowy. W sumie już się czuję jak baba.

Stoję za Camille Logan w dziale kosmetycznym Harvey Nichols i obserwuję, jak kobieta za ladą pokazuje jej produkt za produktem, po czym z egzaltacją zachwyca się każdym odcieniem pomadki, jakim Camille się pomaluje. Według mnie jej usta wyglądają najlepiej naturalnie, ale domyślam się, że moja opinia nikogo nie interesuje. Zamykam oczy, kiedy Camille pochyła się przede mną, żeby sprawdzić w lusterku kolejny kolor na swoich wargach. To też robi celowo. Pogrążony w ciemności przywołuję myśli do porządku i odsuwam obrazy jej jędrnego tyłka, który jest w zasięgu mojej ręki. Otwieram oczy dopiero, kiedy jestem pewien, że odzyskałem panowanie nad sobą.

Błąd. Trzeba było trzymać je zamknięte. Camille patrzy na mnie w lusterku, powoli ocierając jedną wargę o drugą. Po chwili cmoka i wydyma usta. Mój fiut drży, a ja pokaszuję i szybko odwracam wzrok. Wykorzystuję okazję, żeby rozejrzeć się dookoła.

To też zrobiła celowo.

Nie gram w jej głupie gierki. Nie wiem, co sobie myślała wczoraj rano, kiedy zakradała się do mnie. Jeden źle wymierzony ruch i mógłbym ją zabić.

Kiedy przyciskałem ją do podłogi, nie dojrzałem u niej strachu, który powinien być widoczny. Widziałem jednak coś innego, coś, co mi się nie podobało. Było kuszące. Irytująco kuszące. Z trudem powstrzymałem się przed nakryciem jej ust moimi.

A wczoraj wieczorem, kiedy kazała mi patrzeć, jak wygłupia się z tą swoją koleżaneczką... Boże, nigdy w życiu tak się nie



męczyłem, a moje męczarnie nie miały nic wspólnego z babskimi dyrdymałami, jakimi mnie uraczyła. Moje przeklęte oczy nie chciały wpatrywać się w laptop. Wciąż jej szukały. Jej twarz, zawsze piękna, jest wprost olśniewająca, kiedy się uśmiecha. Na zdjęciach nie robi tego często. Jest ponura albo bez emocji. Co za cholerna strata. Patrzę na Camille i moje serce zwalnia. Jej obecność, choć daje mi popalić, uspokaja mnie. Za nic nie mogę dojść, dlaczego tak się dzieje.

I to jest problem, bo nie powinienem tak na nią patrzeć, i zdecydowanie nie powinienem mieć takich głupich myśli. Ale nie umknęło mojej uwadze, że wczoraj nie naszła mnie ani jedna mroczna myśl i że poprzedniej nocy, kiedy próbowałem ułożyć się wygodnie na tej pieprzonej kanapie, myślałem tylko i wyłącznie o Camille... co uspokaja mnie i niepokoi w równym stopniu.

Rozglądam się po sklepie, unikając widoku Camille i lusterka. Mój telefon dzwoni w idealnej chwili. Po spotkaniu przyrodniego brata Camille, TJ-a, natychmiast wysłałem Lucindzie SMS i kazałem jej poszperać trochę na jego temat. Nie spodobał mi się. Nie wzbudza zaufania, a jego lizusowska twarz, podobnie jak facjata jego ojca, błaga, żeby w nią przywalić. Nie potrafię opisać, jak trudno było mi się przed tym powstrzymać. Brat Camille, ten mały gnojek, miał czelność powiedzieć mi, żebym się nią opiekował. Idiota! Gdyby tylko coś ciekawego wypłynęło, miałbym pretekst, żeby pogruchotać mu kości.

Otwieram wiadomość od Lucindy. Pisze, że nic na niego nie znalazła. Jest czysty jak łza. No oczywiście, że jest. Wzdycham i wstukuję odpowiedź.

*Kurier? Kto dostarczył list z pogrózką?*

*Nie było kuriera. A przynajmniej nie tamtego dnia.*

Marszczę czoło, kiedy wpatruję się w ekran. Nie jestem pewien, jak mam rozumieć fakt, że moje podejrzenia się potwierdziły. Zamiast pisać, postanawiam odzwonić. Odchodzę kilka metrów od Camille, ale nie spuszczam z niej wzroku.

– Nie było kuriera? – pytam, kiedy odbiera.

– Nie. Nikogo.

– Logan coś ukrywa – mówię w zamyśleniu i wbijam wzrok w podłogę.

– W takim razie zapytajmy go.

– Nie, nie dawajmy mu żadnych powodów, aby myślał, że go sprawdzamy.

– W takim razie co robimy?

Spoglądam na Camille, która wciąż pochyla się nad tym cholernym lusterkiem.

– Nie zatrudniłby mnie bez powodu – mówię, dochodząc do wniosku, że Logan musi rzeczywiście obawiać się o bezpieczeństwo swojej córki. Nie jestem środkiem zapobiegawczym. – Szukaj dalej. – Rozłączam się i wsuwam telefon do kieszeni. Jestem sfrustrowany. Każdy ślad prowadzi donikąd, a tamten biały van przed biurem agentki Camille był zdecydowanie podejrzany. Za długo w tym siedzę, żebym nie wiedział, kiedy coś jest podejrzane.

Rozglądam się dookoła. W sklepie panuje wręcz nieprzyzwoity ruch, kobiety szturmują ladę i wymachują kartami kredytowymi. Istne piekło.

Po godzinie torturowania mnie Camille wreszcie wychodzi z paskudnego działu kosmetycznego, a ja za nią. Połączenie miliona zapachów zaczyna drażnić mój nos. Zaczynam go pocierać, zanim dopada mnie atak kichania.

Kiedy skręcamy za róg, natychmiast zauważam pędzącego w naszym kierunku ochroniarza. Szybka ocena sytuacji mówi mi, co się dzieje. Instynktownie zerkam na Camille i widzę, że idzie wprost na niego, zaabsorbowana swoim telefonem.

– Uważaj! – Chwytam ją i przysuwam do siebie. Jej zaskoczony okrzyk nie osłabia mojej czujności; odsuwam ją na bok przejścia, akurat gdy młody chłopak przebiega obok nas, a za nim ochroniarz. Obserwuję ich, ale nie daję większych szans ochroniarzowi. Młody złodziej jest szybki mimo towaru upchniętego pod bluzą.

Kręcę głową i odwracam się do Camille, nie zdając sobie sprawy, że wciąż obejmuję ją w pasie. W chwili gdy to zauważam,

uderza mnie fala gorąca. Zabieram rękę i odsuwam się, żeby dać jej nieco przestrzeni. Jest zszokowana. Jej topazowe oczy przypominają duże, okrągłe... O cholera, znów to spojrzenie. To samo, które ma zawsze, kiedy jej dotykam.

Odchrząkuję i odrywam od niej wzrok. Jest oszołomiona.

– Twój telefon – mówię, kiedy zauważam komórkę u jej stóp. Schylam się i podnoszę ją. Po kilku krępujących chwilach wyrwa się z transu i ostrożnie bierze ode mnie swojego iPhone'a.

– Dzięki – mruczy i się odwraca. Jest równie roztrzęsiona jak moje serce. Jasna cholera, jej zasada „zero dotyku” jest pewnie najmądrzejszym pomysłem, na jaki wpadła, lecz niezbyt skutecznym, skoro czuję fizyczny przymus dotknięcia jej. Za każdym razem, kiedy patrzę tej kobiecie w oczy, widzę pożądanie i namiętność, a co gorsze, czuję je.

Muszę się napić. I to porządnie. Cokolwiek, tylko żeby pozbyć się z głowy tych głupich, cipowatych myśli. Tylko jedna kobieta działała na mnie podobnie i to przez nią mi tak odwaliło. I przez nią jestem byłym snajperem sił specjalnych. Były ma tu istotne znaczenie. Ogarnij się, Sharp!

Doganiam Camille, zastanawiając się, co teraz wymyśli. Nic nie może być gorszego od godziny przy ladzie z kosmetykami, tego jestem pewien.

A jednak mylę się.

Dział z bielizną.

Chyba sobie żartuje? Wpatruję się przed siebie, kiedy prowadzi mnie przez labirynt seksownych fatalaszków i bierze z wieszaków kolejne ubrania. Nie chcę tego widzieć. Wbijam wzrok w coś bezpiecznego, a obecnie jedynym bezpiecznym punktem, na jaki mogę patrzeć, jest tył głowy Camille. Dopóki się nie odwraca. Jej niebieskie oczy błyszczą figlarnie. Ręka obładowana koronkowymi stanikami i majtkami pojawia się między nami i staje przed dylematem, na co powinienem patrzeć: na Camille czy bieliznę, którą ściska.

A to mała...

Uśmiecha się lekko i wskazuje przebieralnię.

– Muszę je przymierzyć.

Staję w rozkroku i łączę ręce przed sobą, kiwając głową.

– Nie śpiesz się – mówię spokojnie, ale moje oczy zdradzają mnie i patrzą na seksowne ciuszki w jej ręku. Przełykam ślinę i mam ochotę strzelić sobie w łeb. Jeśli ochraniałbym faceta, pewnie stałbym teraz przy barze w jakimś pubie albo, jeszcze lepiej, oglądał sport na żywo. Cholerne zakupy! I jeszcze bielizna? Lucinda musi mnie nienawidzić.

– Tędy – mówi śpiewnie Camille i rusza w kierunku przebieralni.

Posłusznie idę za nią i wyprzedzam, żeby zrobić szybkie rozeznanie terenu. Po chwili wracam i staję przy wejściu.

– Skorzystaj z najbliższej kabiny, a nic ci się nie stanie. – Przebieralnia jest trzy metry ode mnie. Jakoś to przeżyję.

Posyła mi niepewne spojrzenie.

– Masz zamiar tu stać?

– Tylko tyle przestrzeni dostaniesz – mówię prosto z mostu.

Widzę, że wychyla szyję, zerkając na korytarz z kabinami.

– Pierwsza kabina? – pyta.

– Tak.

– Wolę tamte na końcu – odpowiada i bezceremonialnie rusza naprzód.

Staram się powstrzymać umęczone westchnienie. Naprawdę się staram.

– Camille, nie myśl, że tam nie wejdę. – Nie docenia mnie.

– Nie myśl, że się tym przejmuję – odpowiada.

Z zaskoczeniem unoszę brew. Chyba nie sugeruje...?

Śmieję się w myślach, ale nie jestem rozbawiony.

– Camille, po prostu skorzystaj z tej kabiny.

Stukam w drewniane drzwi, żeby upewnić się, że korytarz jest pusty, zanim wejdę do środka. Camille dochodzi do końca przebieralni i posyła mi przebiegły uśmiech przez ramię, po czym znika w kabinie, którą sama wybrała. Przez chwilę stoję jak debil, wpatrując się przed siebie. Wygląda na to, że jej nie doceniłem. Zerkam przez ramię. Widzę krzątający się personel sklepu i powoli

akceptuję swój los.

Chcę ją zabić. I to powoli.

Gdy stoję przed jej drzwiami, słyszę, jak się za nimi porusza.

Camille Logan się rozbiera. Spoglądam w niebo, szukając pomocy. Drzwi otwierają się odrobinę i wysuwa się z nich jej ręka. Patrzę gniewnie na jej palec wskazujący, z którego zwisają najmniejsze majtki z czerwonej koronki, jakie w życiu widziałem.

– Kupuję je – woła zadowolona z siebie.

Biorę wddech i zamykam oczy w poszukiwaniu cierpliwości. Bez patrzenia wyrywam je z jej ręki. Po kolejnych dwóch minutach szurania i wzdychania drzwi kabiny znów się otwierają i tym razem pojawia się stanik do kompletu.

– To też.

Pozwalam jej ręce unosić się w powietrzu, kiedy dochodzę do wniosku, że ze stanika byłby dobry knebel. Zaskakuję sam siebie. Moja myśl nie ma żadnego związku z seksem. Mam ochotę wepchnąć jej tę seksową bieliznę w pyskate usta, żeby się zamknęła. Po chwili otwiera nieco szerzej drzwi i zerka zza nich. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, moja myśl przekształca się w obraz. Niezwykle kuszący obraz. Camille Logan, na czworakach, ma zsunięty stanik pod cyckami, a ja poruszam się w niej.

– Sharp!

Podskakuję i odruchowo biorę stanik z jej delikatnej ręki. A niech mnie, muszę się wziąć w garść.

– Będę na zewnątrz. – Wychodzę wściekły. Pot mnie zalewa, a pomieszczenie przyprawia o klaustrofobię.

Kiedy dochodzę do wyjścia z przebieralni, opieram się o ścianę i głęboko oddycham. Z całych sił walczę z obrazem w głowie.

– Proszę pana? – Pojawia się pracownica sklepu i wskazuje czerwony komplet, który trzymam w ręku. Spoglądam w dół, czego natychmiast żałuję. Obraz znów staje mi przed oczami.

– Kupujemy! – Podaję bieliznę i wycieram ręce, jakbym mógł tym samym oczyścić nieprzyzwoite myśli. Co za cholerne tortury. W myślach powtarzam sobie, żeby wysłać mail do Lucindy

i wyraźnie zaznaczyć, że nigdy więcej nie chcę ochraniać kobiety.

Sprzedawczyni bierze ode mnie bieliznę i uśmiecha się niepewnie.

– Zapakuję zakupy.

– Dziękuję.

Odchodzi, a ja mogę przestać rozluźniać napięte mięśnie. Jednak pojawienie się Camille krzyżuje moje plany. Znow się spinam.

– Gotowa? – pytam i modlę się, żeby odpowiedź brzmiała: tak. Kiedy uśmiecha się znacząco, mam ochotę zetrzeć jej ten uśmieszek z twarzy. Może swoimi ustami?

Podnosi obie ręce i podsuwa mi pod nos kolejne cholerne koronki.

– Te też mi się podobają. – Odchodzi, seksownie kołysząc biodrami, i kładzie komplety na ladzie, po czym zerka przez ramię i posyła mi lekki uśmiech. Zaciskam usta i odwracam wzrok. Boże, jak ja jej nienawidzę.

Dziesięć minut później czuję powiew wolności, kiedy moim oczom ukazuje się wyjście. Muszę tylko jeszcze raz przejść przez dział z kosmetykami i mieć nadzieję, że żadna błyskotka nie zwróci jej uwagi. Potrzebuję powietrza. Mój wzrok skacze między Camille a drzwiami, które uwolnią mnie od tego przekłętogo miejsca. Ręka mnie świerzbi, żeby ją popchnąć i pospieszyć. Zero dotykania, przypominam sobie. Nie dotykaj jej.

Przed nami stoi kobieta uzbrojona w buteleczkę perfum. Spryskuje kawałki papieru i podtyka je klientom. Promienie słońca, które wpadają do sklepu przez szklane drzwi, zmieniają powietrze przed nią w mgiełkę roztańczonych cząsteczek zapachu.

– Poison, proszę pani? – pyta, kiedy przechodzimy obok, gotowa podać papierek, tyle że nie trafia i spryskuje ramię zaskoczonej Camille. Zerkam w dół i widzę, jak Cami pociera ramię, uśmiechając się do kobiety.

– Nie, dziękuję. To nie mój zapach.

– Przepraszam bardzo! – Zażenowana kobieta zaczyna również wycierać ramię Camille. – Atomizer musiał się

przekręcić!

– Nic się nie stało – uspokaja Camille kobietę. – Jest dla mnie trochę za mocny.

Zapominając o swoich zasadach, popycham Camille przez mgiełkę rozpylonych perfum. Cząsteczki wędrują do mojego nosa. Zaczynam prychać i krzywić się. Po chwili kaszlę, a zapach mnie obezwładnia. Puszczam Camille. Stopy nie chcą mnie dalej nieść.

Ten zapach.

Moje serce zaczyna wolniej bić, skóra robi się zimna.

Ten zapach.

Przełykam ślinę i mrugam. Mroczyki przed oczami zwiastują nadejście męczarni.

Ten zapach.

Czuję, że wspomnienia przejmują nade mną kontrolę i unieruchamiają moje mięśnie. Nie mogę się poruszyć. Nie mogę od tego uciec. Muszę oddychać, ale kiedy nabieram powietrza, ciężki zapach napływa do mojego nosa i pędzi wprost do umysłu. Poison. Od czterech lat nie czułem tego zapachu.

Ona używała Poison. Robi mi się ciemno przed oczami, jedyne, co widzę, to ona. Jej twarz. Jej twarz, a potem krwawa rzeź w Afganistanie. Krzyki, wystrzały i mój niekontrolowany szal. Pochyliłam się i opieram ręce na kolanach. Zaczynam głęboko oddychać. Cholera, muszę się stąd wydostać.

– Jake? – Mam wrażenie, jakby głos Camille dochodził z oddali. – Jake, w porządku?

Nabieram powietrza przez nos; nie jestem w stanie kontrolować, skąd biorę tlen. Po raz kolejny uderza mnie silna fala perfum i zaczynam drżeć, moje serce wali w piersi jak szalone.

– Muszę stąd wyjść – mówię zdławionym głosem.

Ruszam po omacku, wpadając na ludzi. Potrącam każdego, kto znajdzie się na mojej drodze. Drzwi są tak blisko, a tak daleko. Pocę się, jakbym przebiegł maraton. Wypadam ze sklepu i opieram się o mur.

Ogarnia mnie niepokój. Nabieram świeżego powietrza i wsuwam drżące ręce w kieszenie w poszukiwaniu leku. To głupie;

wiem, że po łyknięciu tabletki nie zdarzy się cud, ale liczę na efekt psychologiczny. Wyciągam pigułki i siłuję się z idiotycznie małą zakrętką. Buteleczka wypada mi z rąk i ląduje na ziemi.

– Cholera – przeklinam, kiedy się schylam. Staram się skupić wzrok, żeby zlokalizować buteleczkę. Obraz mi się rozmazuje. Oddycham dziesięć razy szybciej niż powinienem. Po omacku próbuję znaleźć swój cel.

– Proszę. – Kolejna rozmazana ręka pojawia mi się przed oczami. Chwyta buteleczkę i mi ją podaje. Natychmiast zaczynam wyraźnie widzieć i spoglądam w zaniepokojone topazowe oczy, które się we mnie wpatrują.

Przełykam ślinę. Próbuję odkręcić nakrętkę, wstaję i ponownie opadam na ścianę. Camille ratuje mnie z opresji. Bierze buteleczkę, z łatwością ją otwiera i wysypuje tabletkę na dłoń. Podaje mi ją. Przez kilka sekund wpatruję się w małą pigułkę, zanim ją wezmę i przełknę.

Zamykam oczy i zmuszam się do głębokich oddechów. Nienawidzę siebie za to, że pokazałem słabą stronę swojej podopiecznej. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nie w takim stopniu. No, może tylko w koszmarach. Ale te perfumy... To one wszystko uruchomiły. Cholera.

– Beta blokery – mówi cicho Camille. – Kontrolują poziom adrenaliny. Powstrzymują napady paniki.

Schylam głowę. Widzę, że zakręca buteleczkę, przygryzając dolną wargę. Nie mogę skłamać. Ale co, do cholery, mam powiedzieć? Sięgam po buteleczkę i wsuwam ją do kieszeni. Zaczynam oceniać stabilność swoich nóg. Napięcie mięśni ud potwierdza, że są w wystarczająco dobrym stanie. Odsuwam się od ściany, czując na sobie uważne spojrzenie Camille.

– Gdzie teraz? – pytam, ale unikam jej wzroku.

– Mam trochę papierkowej roboty w domu – odpowiada cicho.

– W takim razie do domu – oświadczam i wskazuję, żeby szła pierwsza.

Ale po kilku napiętych sekundach nawet nie drgnie, więc



zmuszam się, żeby na nią spojrzeć. Zamierzam jej posłać pełne wyczekiwania spojrzenie, ale tego nie robię. Camille patrzy na mnie, lecz nie widzę w niej zainteresowania. Widzę współczucie, które powinno podnieść mnie na duchu.

– Nie lituj się nade mną – mówię cicho. Wpatrujemy się w siebie, żadne z nas nie odwraca wzroku.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie zasługuję na to. – Czuję, że poddaję się intensywności jej pięknych oczu, które pochłaniają mnie i dają otuchę, na którą nie zasługuję.

– Co ci się stało? – szepcze.

– Wojna – odpowiadam zwyczajnie, bez wdawania się w szczegóły, czym zaskakuję sam siebie. Widzę, że zrozumienie pojawia się na jej nieskazitelnej twarzy i odwracam wzrok, zanim powiem jej coś więcej. – Do domu. – Wskazuję ręką, aby szła pierwsza, i mam nadzieję, że tym razem posłucha. Cicho i w zamyśleniu przechodzi obok mnie.

Camille Logan schowała swoje pazurki i nawet nie wie, jak bardzo jestem jej za to wdzięczny.

Kiedy wchodzę za Camille do lobby jej apartamentowca, mój umysł wciąż jest niespokojny, a nos pełen zapachu perfum. Wciskam guzik windy i odwracam się na dźwięk zbliżających się kroków. Portier z uśmiechem pokazuje kopertę.

– Panno Logan, pani poczta.

Cami bierze kopertę w chwili, gdy rozlega się brzęk, a drzwi windy się rozsuwają.

– Dziękuję – mówi, otwierając list w drodze. Zwalnia kroku, a ja marszczę czoło, gdy idę za nią.

– Co się dzieje? – pytam. Nie podoba mi się wyraźna gęsia skórka, która pojawiła się na jej nagich ramionach. Spogląda na mnie pustym wzrokiem, co zmusza mnie do wzięcia koperty, którą trzyma w bezwładnej ręce.

Widok mrozi mi krew w żyłach.

– Cholera – klnę, wpatrując się w zdjęcie, na którym Camille idzie ulicą z zakupami w ręku. Przekładałam je i natychmiast widzę

kolejne. Tym razem Camille wsiada do swojego czerwonego merca. Pod tym zdjęciem jest też napis. Z każdym słowem coraz bardziej się spinam:

TWÓJ OJCIEC MA 3 DNI

Drzwi windy zaczynają się zamykać. Wsuwam rękę, żeby je zatrzymać.

– Hej! – wołam do portiera, który odchodzi. Odwraca się z uśmiechem. – Kto to przyniósł? – Podnoszę kopertę.

– Listonosz – odpowiada. Obracam kopertę w poszukiwaniu znaczka... którego nie ma. Tylko wydrukowane imię Camille i adres. Tym razem pozwalam drzwiom się zamknąć i wyjmuję telefon z kieszeni. Logan odpowiada po pierwszym sygnale.

– Camille dostała kilka zdjęć. – Przechodzę od razu do sedna sprawy. – Ktokolwiek je wysłał, śledzi ją. Wczoraj rano widziałem białego vana przed biurem jej agentki. Kiedy podszedłem do samochodu, odjechał dosyć szybko.

Logan głośno wypuszcza powietrze.

– Co jest na zdjęciach?

– Camille – odwarkuję. A co według niego miałyby na nich być? – Jest też informacja. Piszą, że ma pan trzy dni. Trzy dni na co?

– Nie wiem! Skąd mam wiedzieć, na co, jeśli nie napisali?

Powstrzymuję się przed uderzeniem pięścią w ścianę i zerkam na Camille. Wciąż ma nieobecne spojrzenie.

– Nie dostał pan innych pogróżek? – pytam.

– Nie, do cholery! Nie spuszczaaj z niej wzroku, Sharp!

– Nie mam zamiaru – cedzę przez zęby. Rozłączam się i natychmiast dzwonię do Lucindy. Odbiera bez słowa. – W ciągu godziny wyślę ci coś kurierem. Sprawdź odciski palców. – Drzwi windy znów się rozsuwają i szybko wskazują Camille, żeby weszła do środka.

– Dobrze.

Wsuwam telefon do kieszeni. Zatrzymuję się przed drzwiami do mieszkania Camille i spoglądam na nią.

– Klucze? – mówię, wyrywając ją z transu.

Patrzy na mnie, ale nawet nie próbuje wyjąć kluczy.

– Na ile realne są te pogróżki? – pyta cicho. Nie widzę na jej twarzy strachu, którego się spodziewałem, lecz wciąż tamto współczucie.

– Pogróżki zazwyczaj tak brzmią – odpowiadam automatycznie. – To tylko forma zastraszenia. Poza tym nic ci się nie stanie, kiedy ja jestem w pobliżu. Otwórz drzwi. – Odwracam od niej wzrok. Kiedy patrzy na mnie z milionem pytań w oczach, jest mi trudniej, niż powinno być. Choć wiem, że nie pyta o pogróżki, ale o mnie.

## Rozdział 10

### CAMI

Przez całą noc nie spałam, ale to nie zdjęcia były powodem bezsenności, tylko moja ciekawość Sharpa. Kiedy wpuścił nas do mieszkania, odzywał się tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne, co sprowadzało się do zdawkowych odpowiedzi. Napięcie było wyczuwalne. Okropne. I nie miało nic wspólnego ze zdjęciami, które dostałam. Wiedziałam, co z nim robiłam w Harvey Nic – kusiłam, zamęczałam, zgotowałam mu prawdziwe piekło każdego mężczyzny. Rozkoszowałam się każdą chwilą, patrząc, jak się wije i poci.

Mimo to za każdym razem, kiedy nasze spojrzenia się spotykały, moje rozbawienie znikало i pojawiało się coś, co już trochę mniej mi się podobało. Lecz nie mogę zaprzeczyć, że tam było. Robiłam wszystko, żeby zlekceważyć to uczucie, ale nie mogłam go powstrzymać. Potężna chemia między nami nie była moim wymysłem. Choć teraz i tak nie ma to znaczenia.

Od czasu ataku w sklepie Sharp się wycofał. Prawie na mnie nie patrzy. Powinnam się cieszyć. Dzięki temu zniknęło skrępowanie faktem, że ciągle łapiemy się na tym, że jedno zerka na drugie, ale niestety skrępowanie zostało zastąpione czymś zupełnie innym. Napięciem. Zaintrygowaniem. A przynajmniej ja tak czuję. On jest obecny, ale jakby go nie było. Przypomina robota. I nie mogę przestać się zastanawiać, czy jego zachowanie nie wynika z tego, że otworzył się przede mną. Nie to, żeby miał duży wybór. Nie panował nad sobą. Obserwowanie jego potężnego, silnego ciała w takim stanie było wręcz bolesne. Wyobrażam siebie, jak się teraz czuje. Taki silny, a taki bezbronny. Przypomina mi kogoś. Mnie. Na zewnątrz noszę maskę, ale w środku mam wrażenie, jakbym ciągle walczyła z demonami. Sharp i ja jesteśmy do siebie podobni. I nie daje mi to spokoju, ponieważ

bez względu na to, z czym walczy, rozumiem go. Wiem, co czuje. To go uczyłowicza, sprawia, że trochę inaczej go postrzegam.

Kiedy wchodzę do salonu, wiążąc po drodze włosy, okazuje się, że jego pokój jest pusty. Sharp nie siedzi na swoim miejscu na kanapie. Mebel dziwnie wygląda bez jego dużego ciała. Słyszę krzątanie w kuchni i podążam za odgłosami. Jake stoi przy umywalce i pije wodę. Natychmiast zaczynam się zastanawiać, czy musiał wziąć kolejną tabletkę. Beta blokery. Jedną rzecz rozgryzłam: Jake Sharp na pewno cierpi na zespół stresu pourazowego. Wiem to, ponieważ pośrednio mi powiedział, kiedy wyznał, że jest weteranem wojennym. Domyślałam się też, że blizna to rana postrzałowa.

Ale nie powinnam się wtrącać, a po tym, co się wydarzyło w Harvey Nic, nie mam śmiałości. Samo patrzenie było bolesne. Nie chciałabym mu o tym przypominać.

Idę do lodówki po sok detoksykujący.

– Umówiłam się z Heather na kawę – mówię i odkręcam sok, kiedy się odwracam.

Sharp nie poruszył się i nie wygląda, jakby mnie słyszał. Jest pogrążony w myślach.

Obserwuję go, kiedy się oddalam, popijając sok. Potem zauważam torbę u jego stóp.

– Wybierasz się gdzieś?

Zerka na mnie, choć wciąż wygląda, jakby był półprzytomny.

– Dostałem inne zlecenie – odpowiada mechanicznie.

Moje głupie serce zamiera. Jego rezygnacja to bez wątpienia najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć.

– Ktoś już jedzie, żeby mnie zastąpić – dodaje. – Będziesz bezpieczna.

Moje serce ściska ostry ból. Choć jego słowa są ogromnym zaskoczeniem, idę dalej, trzymając mocno butelkę, dopóki plastik nie zaczyna głośno chrzęścić. Najbardziej pokrecone w tej sytuacji jest to, że zamiast martwić się zdjęciami, jestem rozczarowana odejściem Sharpa. Czyste szaleństwo.

– Dobrze. – Zmuszam zaciśnięte szczęki do wypowiedzenia

tego jednego słowa.

W salonie zauważam swoją torebkę.

Po prostu weź ją i wyjdź. Nie oglądaj się na niego.

Wrzucam telefon do środka i odwracam się. Jake stoi w drzwiach do kuchni, uważnie mi się przyglądając. Przez jego przenikliwy wzrok jak zawsze nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca.

– Co? – pytam wyzywająco chrapliwym głosem.

Podnosi swoją torbę z podłogi, kręcąc głową.

– Zaczekasz tu, zanim moje zastępstwo nie przyjedzie.

– Mam sprawy do załatwienia! – protestuję, kiedy on zarzuca torbę na ramię i rusza w kierunku drzwi.

– Pięć minut, Camille. Możesz poczekać tu pięć minut.

Potem już nigdy nie będziesz musiała się mnie słuchać. – Chwyta klamkę i zerka przez ramię. Niemal uśmiecha się do mnie, czekając na ripostę. I dlatego milczę.

Nie muszę nikomu niczego udowadniać. Nikomu... tylko sobie. Wiem, co sobą przedstawiam i cenię sobie niezależność. Wiem też, że czuję niemożliwy do zniesienia ból w sercu, kiedy widzę, jak Jake otwiera drzwi. Staram się przemówić sobie do rozsądku. Przekonać samą siebie, że głupio się zachowuję, a jedynym powodem tego, co czuję, jest ulga, jakiej nie chcę czuć dzięki jego obecności. Nie chcę czuć, że może mnie chronić. Ale to nie wszystko.

Jake rzuca mi ostatnie długie, zdecydowane spojrzenie.

Potem odwraca się, żeby wyjść, ale nie robi więcej niż dwa kroki i staje jak wryty. Mięśnie jego pleców napinają się pod koszulką, ramiona się unoszą i sztywnieją. Jego duża torba spada na podłogę, a ręka natychmiast wędruje za plecy i chwyta za coś. Broń?

Ostrożnie się cofam... a po chwili słyszę czyjś głos:

– Camille jest w domu?

Żołądek podchodzi mi do gardła.

Sebastian.

Z przerażeniem ruszam do tyłu, ale natychmiast ogarnia mnie panika z innego powodu. Cholera, Sharp go zastrzeli!

Podbiegam do drzwi i chwytam dłoń Sharpa, która zaczyna wyciągać pistolet z za dzinsów, ale wprawnym ruchem mi się wyszarpuje. W jego oczach błyszczy niebezpieczny zamiar, a czoło lśni od potu.

W chwili gdy uświadamia sobie, że to ja, jego twarz łagodnieje.

– To mój były chłopak! – pospiesznie tłumaczę.

Jake nieruchomieje, a kiedy jestem pewna, że informacja, którą mu właśnie podałam, przeniknęła do jego umysłu, zaczynam iść powoli i ostrożnie. Uważnie mu się przyglądam. Wygląda niebezpiecznie. Jakby miał zaraz wybuchnąć. Dobry Boże, wygląda, jakby chciał zabić.

– Jezu. – Zaskoczony komentarz Seba odciąga moją uwagę od Sharpa.

Mój eks stoi na korytarzu, opierając się plecami o ścianę. Jego niebieskie oczy są duże i nieufne, ale idealnie przejrzyste. Minęło dziewięć miesięcy, odkąd ostatni raz go widziałam. Dziewięć miesięcy dochodzenia do siebie. Wie, że z nami koniec, że nie wrócę do niego.

– Co tu robisz? – pytam i zerkam przez ramię. Nie podoba mi się to, co widzę. Sharp wygląda śmiertelnie poważnie. Rękę wciąż trzyma z tyłu, gotów wyciągnąć pistolet.

– Co tam, Cam? – pyta Sebastian. Superkrótka wersja mojego imienia, której tylko on używa, wywołuje napływ wspomnień. Jediną zaletą jest fakt, że są to wspomnienia mrocznych chwil. To najlepsze przypomnienie.

– Wszystko w porządku – odpowiadam spokojnie i patrzę na niego beznamiętnie.

Wszystko w porządku bez ciebie! Podczas odwyku regularnie pisał do mnie długie, szczegółowe maile. Postanowiłam nie odpowiadać, a po dwóch tygodniach przestałam je nawet czytać. Tylko utrudniały mi powrót do zdrowia. Seb robił mi wyrzuty. Zawsze tak było. Nie wpędzi mnie znów w poczucie winy. Nie dam mu kontroli nad sobą.

Seb mierzy wzrokiem potężnego, umięśnionego mężczyznę,

który wciąż stoi za mną. Postanawiam odpowiedzieć na jego milczące pytanie tylko po to, żeby pchnąć rozmowę do przodu. Sytuacja jest niezręczna.

– Pracuje dla mojego taty – wyjaśniam. – Dzisiaj jest moim kierowcą. – Nie kłamię, ale też nie mówię prawdy. To i tak nie ma znaczenia, skoro Jake Sharp najwyraźniej wkrótce zniknie z mojego życia.

Ponownie moje serce ściska nieprzyjemny żal, ale co ważniejsze, całkowicie eliminuje strach związany ze stawieniem czoła Sebowi. W tej chwili uświadamiam sobie, jaka wdzięczna jestem, że Sharp tu jest. Zwłaszcza teraz.

Sebastian robi krok naprzód i uśmiecha się.

– Kawa? – pyta.

– Nie sędzę – odpowiadam.

– Nie? – Wygląda na zaskoczonego moją odpowiedzią, co mnie szczerze zdumiewa. Czego się spodziewał? Że rzucę mu się w ramiona i powiem, jak bardzo tęskniłam? Kiwam głową, żeby potwierdzić wcześniejszą odpowiedź, i obserwuję, jak znana mi fala złości pojawia się na jego twarzy. Usiłuje ją ukryć i może inni by się nabrali, ale ja znam ten wymuszony spokój. Mnie nie oszuka.

– No, co ty? – mówi radośnie i podchodzi z uśmiechem. – Nie stęskniłaś się za mną?

Tym razem nie mam okazji, żeby odpowiedzieć. Wydaję z siebie okrzyk, kiedy Sharp mnie unosi i przestawia na bok. Następnie chwyta za klamkę i idzie ku Sebowi, który rozsądnie się cofa.

– Twój kontakt z panią Logan kończy się w tym miejscu. – Z tymi słowami zatrzaskuje drzwi. Wraca do kuchni i wyciąga telefon z kieszeni.

Patrzę na zamknięte drzwi, potem na wejście do kuchni, w którym znika wyraźnie wzburzony Sharp. Co, u diabła, właśnie się stało? Idę za nim. Stoi przy zlewie i ochlapuje twarz wodą.

– Myślałam, że wychodzisz – mówię, patrząc gniewnie na jego unoszące się i opadające plecy.



– Zmiana planów – oświadcza.

## Rozdział 11

### JAKE

Powoli mieszam kawę, siedząc kilka stolików od Camille i Heather na zewnątrz małej włoskiej kawiarni przy Kensington High Street. Dziewczyny, jak to dziewczyny, siorbią mrożoną herbatę i plotkują. Ze wszystkich sił powstrzymuję się przed jęknięciem, kiedy słyszę, jak Heather wspomina o ich dzisiejszym wyjściu. Dwudzieste piąte urodziny Saffron. Super. Więcej tortur w postaci Camille Logan paradującej dookoła baru w czymś cholernie seksownym, podczas gdy niezliczeni mężczyźni będą się na jej widok ślinić. Idealnie. Po prostu nie mogę się doczekać.

Od czasu mojego wczorajszego ataku w Harvey Nichols Camille wyraźnie bardziej poddaje się mojej ochronie. Zaskakuje mnie to nowe podejście i nie mogę dojść, czy mi się ono podoba.

To, jak na mnie spojrzała, kiedy podniosła buteleczkę z tabletkami i dała mi potrzebne lekarstwo, podziałało na mnie w sposób, który wciąż próbuję zrozumieć. Nie oceniała mnie, kiedy mi pomagała. W jej oczach było jedynie współczucie. Wciąż się zastanawiam, czy uspokoił mnie psychologiczny efekt połknięcia tabletki, czy może spokój, który od niej chłonałem. Usiłowałem to rozgryźć, ale okazywało się, że jestem coraz bardziej poruszony i zakłopotany uczuciem ulgi, które udzieliło mi się od niej. Nie mogę się powstrzymać przed patrzeniem na nią. Mogę próbować oszukiwać sam siebie, że obserwowanie jej należy do moich obowiązków, ale skłamałbym. Nie obserwuję jej. Ja ją podziwiam – jej etos pracy, to, jak zawróciła ze ścieżki autodestrukcji i jej determinację, z jaką dąży do spełnienia marzeń zamiast pójść na łatwiznę i wziąć pieniądze ojca albo przyjąć ofertę inwestorów, którzy mają inną wizję niż ta, o której mówiła. Jest cholernie silna. Samo przebywanie w jej towarzystwie daje mi poczucie spokoju, którego nie powinienem mieć. Camille nie odwraca moich myśli

od przeszłości, lecz daje wytchnienie, na które nie zasługuję.

Kiedy wczoraj w nocy leżałem na kanapie, doszedłem do wniosku, że wszystko to oznacza, iż nie skupiam się w pełni na zadaniu. Więc rano zadzwoniłem do Lucindy i powiedziałem, żeby znalazła mi nowe zlecenie. Byłem gotów zostawić Camille Logan razem z dezorientującymi uczuciami, jakie we mnie wzbudza, i znaleźć coś innego, co odwróci moje myśli.

Ale wszystko się zmieniło, kiedy otworzyłem drzwi i wpadłem na jej byłego faceta. Od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia. Prawie wpakowałem mu kulkę w ten wymuskany łeb. Naturalny instynkt chronienia jej był raczej pierwotnym odruchem niż zawodową powinnością. Nie mogłem go zignorować. I nagle poczułem, że nie mogę odejść. Widziałem zdjęcia Sebastiana Petersa po odwyku: z załzawionymi oczami i zaciśniętymi szczękami wychodził z klubów. Wyraźny dowód na to, że znów bierze. Mam wrażenie, że czytanie babskich magazynów stało się częścią mojej pracy. Gdybym nie znał własnej wartości, czułbym się jak idiotka.

Jego nieoczekiwana wizyta w mieszkaniu Camille w ułamku sekundy zmieniła moją decyzję o przekazaniu jej pod opiekę innemu ochroniarzowi. Widziałem błysk groźby w jego oczach, kiedy Camille odmówiła kawy. Wygląda na to, że facet stanowi większe niebezpieczeństwo dla Camille niż jakiegokolwiek inne zagrożenie. Ale ja będę ją chronił przed jednym i drugim.

Muszę zmusić umysł do posłuszeństwa i unikać wszelkich sytuacji, które mogą podważyć mój profesjonalizm. Nie zamierzam przekonywać się, że będzie to łatwe, bo nie będzie. Camille Logan jest piękną i kuszącą młodą kobietą. Jest też zdeterminowana i niezależna i nic nie poradzę na to, że mnie to fascynuje. A nawet pociąga. Moje wstępne założenia okazały się kompletnie bezpodstawne. Nie jest rozpuszczonym bachorem. Jest kobietą, która walczy o niezależność. Odrzuca pieniądze, którymi ojciec ją zasypuje, i najwyraźniej ograniczenia wynikające z bycia jego córką są dla niej ciężarem.

Doszedłem też do wniosku, że czuje się przytłoczona. Jej

życie jest pod lupą, nie tylko paparazzich, ale teraz także i moją, choć uznała, że będzie łatwiej, jeśli zacznę współpracować. Nie będę zaprzeczał, że ją pociągam, ale wreszcie nie chełpię się zainteresowaniem kobiet i nie zachowuję przez to jak dupek.

Obserwuję jak urzeczony jej beztroski uśmiech, różowe policzki i błyszczące oczy. Cholera. Szybko odwracam wzrok i mam już zawołać kelnera, żeby przyniósł mi zimną wodę, kiedy szybki ruch po drugiej stronie ulicy przykuwa moją uwagę. Mój umysł odzyskuje jasność, a mięśnie tężeją w pogotowiu. Natychmiast robię się czujny. Mrużę oczy i obserwuję pustą przestrzeń przy bocznej uliczce. Teraz niczego tam nie ma, ale na pewno coś widziałem.

Z oddali dochodzi do mnie rozmowa Camille i jej koleżanki. Przesuwam się na krześle i czuję, że pistolet znów wciska mi się w plecy. Mój umysł robi fotki otoczenia, zapamiętując każdy szczegół. Mięśnie nóg napinają się, gotowe do działania, jeśli zajdzie potrzeba. Czekam cierpliwie, dzieląc uwagę między dziewczyny a ulicę.

Wtem znów widzę ruch: pojawia się głowa mężczyzny, szybko się rozgląda po stolikach przed kawiarnią i znika. Wszystko trwa sekundę, ale w tej krótkiej sekundzie zdobywam mnóstwo informacji. Jego twarz, szczupłe ciało, świdrujący wzrok. Facet węszy. Wstaję i z szybkością błyskawicy przebiegam przez ulicę. Moim nogom podoba się wysiłek, którego dawno nie zaznały. Dobiegam do ściany i czekam. Mija zaledwie kilka sekund, zanim jego głowa znów się pojawia.

Chwytam go za kołnierz koszuli i wyszarpuję z ciemnej alejki. Uderzam jego twarzą o ścianę. Przytrzymuję gościa w miejscu i dociskam mu ręce do pleców, ignorując jego skomlenia.

– Czego, do cholery, chcesz? – syczę mu do ucha. Poluzowuję uścisk, a potem znów uderzam nim o ścianę. Zaczyna się jękać i trząść. – Gadaj! – wrzeszczę, słysząc za plecami coraz głośniejszy stukot obcasów.

Camille.

Moje serce zaczyna walić. Odwracam się i widzę, jak biegnie

przez ulicę w moim kierunku.

– Nie podchodź! – krzyczę, co ją zatrzymuje w miejscu. – Zostań tam, gdzie jesteś!

Mężczyzna, którego trzymam, nadal jęczy i skomle. Co za pieprzony gnojek.

– Przepraszam – mówi zdławionym głosem.

– Przepraszać to dopiero zaczniesz. – Zerkam, żeby sprawdzić, czy Camille mnie posłuchała. Potem obracam kołesia twarzą do siebie, ale wciąż trzymam jego ręce za plecami, które teraz są przyciśnięte do ceglanej ściany. Jego wielkie oczy wyglądają, jakby w każdej chwili mogły wyskoczyć z oczodołów. Bardzo dobrze. – Powiedz mi, dla kogo pracujesz, a wyjaśnię twojemu zleceniodawcy, dlaczego nie będziesz już tego robił.

– Jake! – woła zaniepokojona Camille.

– Po prostu zostań tam! – krzyczę, nie odwracając wzroku od szumowiny, którą trzymam.

– To paparazzi! – woła i podchodzi. Przez chwilę pozwalam informacji przeniknąć do umysłu. Paparazzi? Niezbyt przekonany, nie luzuję uścisku i spoglądam w dół, gdzie leży roztrzaskany na kawałki aparat fotograficzny.

– On chce tylko zrobić zdjęcie – mówi uspokajająco Camille i kładzie dłoń na moim bicepsie. Zerkam w dół na jej szczupłe, zadbane palce, które dotykają mojego nagiego ramienia.

– Paparazzi? – mruczę w kierunku jej dłoni, czując, jak cudowny żar przenika do mojego ciała.

– Tak – zapewnia mnie. Podnoszę wzrok i widzę, że lekko się uśmiecha, żeby mnie ułagodzić. – Nie skrzywdzi mnie. – Spoglądam na przerażonego mężczyznę, który wciąż stoi przyciśnięty do ściany. – Cześć, Stan.

– Hej, Camille. – Jego głos drży równie mocno jak jego wątłe ciało. – Czy mogłabyś poprosić tego miłego pana, żeby mnie puścił?

Słyszę, że Camille śmieje się pod nosem. Cholera, to najśłodszy dźwięk na świecie.

– Pewnie. – Spogląda na mnie. – Czy mógłbyś go uwolnić?

– Nie mógłbym – odwarkuję, myśląc o zdjęciach, które wczoraj przesłano Camille. Kiedy podchodzi odrobinę bliżej i patrzy na mnie, uświadamiam sobie, że wie, o czym myślę.

– Znam Stana od lat – mówi. – To jeden z tych dobrych. Przypatruję się podejrzliwie jego zaniepokojonej twarzy. Wygląda na szczerze przerażonego.

– Dla kogo pracujesz? – pytam.  
– Dla nikogo. Jestem wolnym strzelcem. Mój identyfikator jest... jest... jest w górnej kieszeni – jąka się.

Sięgam do jego kieszeni i wyciągam portfel. Otwieram go i bez puszczania mężczyzny sprawdzam zawartość.

– Stan Walter?  
– To ja. – Zmusza się do nerwowego uśmiechu.  
Odsuwam się zadowolony, że facet nie stanowi zagrożenia. Mężczyzna opiera się o ścianę i bierze ode mnie swój portfel. Odwracam się do Camille.

– Jesteś po imieniu z pieprzonym paparazzi? – pytam z niedowierzaniem.

– Oczywiście. – Wzrusza ramionami i zaczyna zbierać z ziemi kawałki połamanego aparatu. Stan również kuca i pomaga, nieustannie zerkając na mnie. – Mamy ze Stanem umowę, prawda, Stan?

– Mieliśmy! – śmieje się sarkastycznie. – Sądzę, że czas renegotjować warunki.

Co do cholery?!  
– Słucham? – Przeczესuję włosy dłonią. – Że co?  
Wstają i Camille podaje mu kawałki aparatu.  
– Może robić zdjęcia, ale określoną liczbę miesięcznie.  
– W takim razie dlaczego ukrywał się w alejce i cię szpiegował?

– Ponieważ w tym miesiącu wyczerpał już swoją pulę. Prawda, Stan? – Camille posyła mu oskarżycielskie, ale wybaczące spojrzenie.

– Prawda – przyznaje skruszony. – Przepraszam. W tym miesiącu mam mało sensacyjnych materiałów.

– Przecież ja tylko piję herbatę! – Camille śmieje się, odrzucając głowę. Ach, ta szyja. Mrugam i nabieram powietrza.

Stan ignoruje jej komentarz i spogląda na mnie. Natychmiast odczytuję jego plany.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegam go z nieudawaną złością.

– Ale ty jesteś taki przystojny! – jęczy i wydyma usta ze smutną miną. Cholera, nie wierzę w to, co widzę.

– Nie. – Wskazuję palcem w kierunku jego wysuniętej wargi. – Przysięgam, że jeśli moja twarz pojawi się w jakimkolwiek magazynie, znajdę cię i zabiję. Zrozumiano?

– Ale przystojny ochroniarz jest w obecnych czasach najbardziej pożądanym dodatkiem! A ty, chłopie, bijesz całą resztę na głowę.

– Pieprz się! – warczę rozsierdzony. Dodatkiem? Jaja sobie robi? – Won mi stąd. – Odprawiam go pchnięciem w ramię i zaciętym spojrzeniem. Przytomnie chowa zniszczony sprzęt do torby i oddala się niespiesznie, z oburzeniem wymachując ręką.

– Odkupię ci aparat, Stan! – woła Camille. Poczucie winy maluje się na jej ślicznej twarzy.

– Nie, do cholery, nie odkupisz – odpowiadam. Nie ma powodu, żeby czuła się winna. Ja też nie muszę, choć ostro potraktowałem gnojka.

– Skończyłaś? – pytam Camille. Kiedy się odwracam, widzę, że dołączyła do nas Heather i, w przeciwieństwie do urażonej Camille, uśmiecha się od ucha do ucha. – Co? – pytam, szczerze zdezorientowany wściekłym spojrzeniem Camille.

– Mogłeś zniszczyć moje relacje z prasą! – Odpycha mnie i wraca do kawiarni, biorąc po drodze swoją torebkę od Heather. Zaciskam zęby pod wpływem jej dotyku. Wciąż czuję na sobie uśmiech Heather, więc spoglądam na nią, gotowy stawić czoło temu, co szykuje dla mnie.

– Podoba mi się to, jak ją chronisz – mówi w zamyśleniu. Tego się nie spodziewałem.

– Oczywiście, że ją chronię. Płacą mi za to.

Prycha i się odwraca. Odchodzi, kręcąc głową.

– Przejrzyj na oczy, wielkoludzie.

O czym, u diabła, mówi? Zapytałbym, ale jest już za daleko. Gdy podchodzę, widzę, że rozmawiają poważnie. Po chwili milkną, a Camille cmoka Heather w policzek.

– Do zobaczenia – mówi do koleżanki. Rzuca banknot na stolik i jednocześnie posyła mi kolejne wściekłe spojrzenie.

Wzdycham. Czego ode mnie oczekuje? Mam czekać, aż ktoś ją wepchnie do furgonetki i dopiero reagować? Tak się nie da.

Camille odchodzi seksownym krokiem, Heather rusza w drugą stronę, a ja stoję między nimi jak idiota. Odchylam głowę i wznoszę oczy do nieba. Potem wolno i z irytacją wypuszczam powietrze.

Chociaż nie mogę zdecydować, czy jestem zły na siebie za to, że nie owijałem w bawełnę, czy może zirytowany rezultatem. Camille jest wkurzona na mnie i gardzę sobą, że się tym przejmuję.

Idę za nią do samochodu. Kiedy wskakuję do środka, widzę, że siedzi na miejscu pasażera ze wzrokiem wbitym przed siebie. Odpalam range rovera i ruszam, zerkając na nią kątem oka, kiedy jedziemy ulicą. Sytuacja jest krępująca, a napięcie namacalne.

– Do domu? – pytam, skręcając w lewo.

Milczy i wciąż wpatruje się przed siebie.

– Do domu? – powtarzam, tym razem głośniejszym i wyraźniej. Znów zero reakcji. Super. Więc teraz karze mnie milczeniem? Nienawidzę tego, jak mnie to wkurza.

– Camille – mówię zdecydowanie, kiedy zatrzymujemy się na światłach. – Czy chciałabyś, żebym zawiózł cię do domu?

Włącza się zielone, ale stoję w miejscu. Nie ruszę, dopóki mi nie odpowie. Mógłbym zawieźć ją prosto do domu, nie bacząc, gdzie chce jechać, ale jakaś głupia część mnie chce, żeby zareagowała. Żeby się odezwała. Głupota? Tak. Duma? Prawdopodobnie.

Na miłość boską, chyba udziela mi się jej charakterek.

Klaksony zaczynają wokół nas trąbić, kierowcy rzucają



przekleństwa przez okna i pokazują obraźliwe gesty. Ignoruję ich. Nic mnie nie rusza. Jeśli będzie trzeba, będę stał tu cały dzień. Jednak Camille wygląda na coraz bardziej zażenowaną hałaśliwym spektaklem i nerwowo wierci się na siedzeniu.

– Jest zielone – mruczy, nie patrząc na mnie, choć wie, że jestem odwrócony twarzą do niej.

– Spozregawcza jesteś. – Nie powinienem być sarkastyczny. To nie pomoże. Powinienem wiedzieć, że jej uległość nie potrwa za długo.

Obraca się do mnie z grymasem niezadowolenia i zaciśniętymi szczękami.

– Dlaczego sprawiasz tyle problemów? – pyta poważnym głosem. Klaksony wariują wokół nas.

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem. Ja?

– Camille – próbuję się powstrzymać przed wybuchnięciem gromkim śmiechem. To przecież ona sprawia problemy! – Zadaję ci proste pytanie.

– Tak – cedzi przez zęby. – Chcę jechać do domu.

– Widzisz, to nie było takie trudne, prawda? – Szybko ruszam i zostawiam hałas za sobą.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie – warczy, a ja uśmiecham się w środku. Lada moment usłyszę „pieprz się”.

Ale, co dziwne i dosyć zaskakujące, nie chcę, żeby mnie nienawidziła.

To coś nowego. Większość kobiet nienawidzi mnie po spędzeniu kilku godzin moim towarzystwie, zazwyczaj po tym, jak wyrzuciłem je z łóżka. Nigdy o nich nie rozmyślałem. Jednak z Camille jest inaczej – kosztuje mnie dużo myśli. Niestosownych, męczących i irytujących myśli. Cicho jęczę.

Czego bym teraz nie dał za drinka! Od wielu dni nie miałem kropli w ustach. Picie pomaga mi się rozluźnić. No i od dawna nie biegałem. Bieganie mnie uspokaja. Ostatni raz pieprzyłem się wieki temu. Pieprzenie pomaga na... no cóż, pieprzenie to pieprzenie. To środek do celu. Wiercę się na siedzeniu, czując, że fiut zaczyna twardnieć bez względu na to, jak bardzo próbuję go

uspokoić. Czuję, że frustracja we mnie narasta. Przy wcześniejszych zleceniach nigdy nie miałem takiego problemu, ale wtedy nie chronilem Camille Logan. Tamte zadania nie wymagały codziennej walki o zachowanie kontroli...

Z wściekłością kręcę głową. Zerkam na nią, żeby sprawdzić, czy nie zauważyła, że się dziwnie wiercę. Camille wpatruje się przez szybę, zanurzona w myślach. Z jednej strony chcę pozwolić jej na milczenie, ale samolubna część mnie – nieuzasadniony instynkt – pragnie poznać każdą drobną myśl, jaka krąży w jej mądrej główce.

Ponieważ muszę wiedzieć, czy czuje to, co ja, czy też zalewają ją niewłaściwe myśli. Myśli, których sam nie powinienem mieć. I może wtedy nie czułbym się, jakbym powoli wariował.

## Rozdział 12

### CAMI

Po powrocie do domu resztę popołudnia spędzam w pokoju. Przeglądam ofertę inwestora w nadziei, że znajdę jakiś ciekawy paragraf, który ją uatrakcyjni. Wiem, że to strata czasu, ale dobry wybieg, aby uniknąć Sharpa. Przez samo dotknięcie oferty czuję się, jakbym zdradzała Heather. Kiedy rozstawałyśmy się przed kawiarnią, po tym jak Jake prawie stłukł Stana na kwaśne jabłko, skomentowała to, w jaki sposób Sharp na mnie spojrzał. Zbyłam jej uwagę milczeniem, choć przez całą drogę do domu nie mogłam wyrzucić jej z głowy. Staram się o niej nie myśleć. I ponoszę klęskę.

Odrzucam ofertę na bok i dzwonię do agentki, żeby potwierdzić swoją odmowę. Potem zabieram się za aktualizację portfolio. Wszystko, żeby tylko go unikać. Ale kończą mi się pomysły, czym mogłabym się zająć. A poza tym pić mi się chce. Zbyt długo zbieram się na odwagę, żeby wyjść z pokoju po wodę, ale kiedy już mi się to udaje, pędzę przez salon w kierunku kuchni niczym szczur w rurze. Cały czas czuję na sobie jego wzrok.

Po napełnieniu szklanki szybko wracam do pokoju, nie rozglądając się za nim. Prawie dochodzę do celu, ale moje zdradzieckie oczy zerkają w kierunku kanapy. Nasze spojrzenia się spotykają. Moje serce podskakuje, a ręka nieruchomieje na klamce drzwi do sypialni. Drżące ciało wprawia wodę w ruch.

A wszystko to przez krótki kontakt wzrokowy.

Jake szybko wraca wzrokiem do swojego laptopa. Atmosfera jest niezwykle napięta. Wie, że jestem poirytowana, ale nie wie dlaczego. Myśli, że zna powód, ale myli się. Nie jestem zła, ponieważ mógł zrujnować moje relacje z prasą. Jestem zła, ponieważ lubię, kiedy jest przy mnie. Szybko się do niego przyzwyczaiłam. Zawsze jest w pobliżu i mnie chroni. Czuję się

bezpieczna. Chroniona przed Sebastianem, przed paparazzi i głupimi pogrozkami, których powodem jest mój ojciec.

Wchodzę do pokoju i od razu zaczynam krążyć tam i z powrotem. Nieustannie spoglądam na drzwi. We własnym domu czuję się jak więzień. Boję się swobodnie poruszać ze strachu, że ściągnę na siebie jego wzrok albo, co gorsza, niechcący otrę się o niego. Wzdycham i zbieram odwagę, żeby stawić mu czoło. Jestem gotowa wylać swoje udawane żale, żeby tylko oczyścić atmosferę.

Z mocnym postanowieniem znów wychodzę z pokoju, ale nigdzie go nie widzę. Sprawdzam kuchnię, w której nie ma żywego ducha, i dochodzę do wniosku, że musi być w drugim pokoju, gdzie trzyma swoje rzeczy i bierze prysznic, chociaż wciąż nalega, żeby spać na kanapie. Spoglądam w głąb korytarza i zmuszam stopy, żeby się ruszyły. Kiedy dochodzę do drzwi, lekko pukam. Czekam na jakiegokolwiek zaproszenie, ale nic nie słyszę. Nawet nie zerka zza drzwi. Więc pukam jeszcze raz, tym razem nieco mocniej. Nic.

– Jake? – wołam, przysuwając ucho bliżej drzwi. – Jesteś tam?

Zero odpowiedzi.

Chwytam za klamkę, naciskam ją i uchylam drzwi, zaglądając przez szczelinę. Żadnych oznak życia. Zerkam w kierunku łazienki. Nie słyszę prysznica ani krzątania.

– Gdzie on się podział? – pytam samą siebie i wchodzę do pokoju, aż ukazuje mi się całe pomieszczenie. Łóżko jest idealnie posłane. Na jego skraju leżą przyzmy starannie złożonych ubrań. Obok nich stoi otwarta torba. Na wierzchu znajduje się coś srebrzystego, co łapie promienie zachodzącego słońca, które wpadają przez okno.

Co to może być? Zerkam przez ramię i ostrożnie skradam się naprzód. Nie mogę się powstrzymać, choć powinnam wyjść. Naruszam jego prywatność. Ale świadomość, że to coś może rzucić światło na tajemnicę i mrok, które otaczają mojego ochroniarza, jest zbyt kusząca. Poza tym on dużo o mnie wie. Byłoby sprawiedliwie, gdyby to działało w dwie strony.

Kiedy zbliżam się do łóżka i otwartej torby, zauważam, że srebro to ramka na zdjęcie. Ramka na zdjęcie? Oddech więźnie mi w gardle. Zdjęcie? Rzut oka na wejście mówi mi, że wciąż jestem sama. Stoję dobre trzy metry od torby i ogarnia mnie dziwny strach przed pójściem dalej.

Rozsądek podpowiada, żebym odeszła, ale przeciwstawia mi się wewnętrzny przymus zobaczenia zdjęcia, które skrywa ramka.

Wyciągam szyję najdalej jak mogę i dostrzegam kawałek fotografii. Wstrzymuję oddech na widok szczęśliwej twarzy Jake'a i przygryzam wargę, żeby powstrzymać cichy jęk zaskoczenia. Uśmiecha się promiennie, pokazując idealne zęby, a jego oczy błyszczą. Nigdy się tak nie uśmiecha, a jego oczy są zawsze takie mroczne i poważne. Na zdjęciu wygląda na zadowolonego i zastanawiam się, kto u jego boku może być źródłem takiego szczęścia. Robię kolejny krok potrzebny do ujrzenia całej fotki. Piękna kobieta z długimi, czarnymi włosami wtula się w Jake'a z radosnym uśmiechem. Czuję skurcz w sercu, kiedy podnoszę ramkę. Jake ma na sobie bojówki i koszulkę khaki, która podkreśla bicepsy jego potężnych ramion. Mimo uśmiechu wygląda groźnie.

– Co jest, do cholery! – Przez głośny okrzyk Jake'a moje serce jest bliskie zawału. Zdjęcie wypada mi ręki. Podskakuję i obracam się, przykładając dłoń do piersi. Wpatruję się w niego przerażonymi oczami.

Stoi w wejściu. Jest wkurzony i ciężko oddycha.

– Przepraszam – bełkoczę. Moje policzki płoną pod jego intensywnym spojrzeniem. – Myślałam, że...

– Myślałaś, że powęszysz w moich prywatnych rzeczach? – Rusza naprzód i podnosi zdjęcie. Wkłada je do torby, którą zamyka.

– Kim ona jest? – Pytanie, którego nie mam prawa zadać, wydobywa się z moich ust nieoczekiwanie.

– Nie twoja sprawa – odwarkuje i rusza zdenerwowanym krokiem do łazienki. – Wynoś się.

Wzdrygam się, gdy słyszę ten ostry ton, ale ignoruję urazę, jaką wywołał. Chciałabym, żeby wstyd wygrał z ciekawością, ale

tak się nie dzieje. Tamta kobieta sprawiła, że był szczęśliwy, i najwyraźniej nie jest już obecna w jego życiu. Kim jest? I, co ciekawsze, co się stało, że zareagował z taką brutalnością, gdy o nią spytałam? Jake staje w drzwiach łazienki i przerywa moją gonitwę myśli. Nie mogę spojrzeć mu w oczy, więc wędruję wzrokiem w dół jego ciała, aż widzę tylko idealne stopy. Jego idealne, nagie stopy.

– Wciąż tu jesteś – mówi szorstko, ale spokojnie. Jego stopy zaczynają się do mnie zbliżać.

– Wychodzę. – Kiedy wreszcie przekonuję ciało, żeby się ruszyło, niechętnie podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy. Nie znajduję w nich złości, której się spodziewałam, lecz wyrzuty sumienia, ale nie potrafię ustalić, czego żałuje: znajomości z kobietą, swojej przeszłości i faktu, że czegoś się o nim dowiedziałam, czy może tego, że na mnie krzyczał.

Kiedy Sharp zamyka oczy i przełyka ślinę, dochodzę do wniosku, że chodzi o wszystko naraz.

– Przepraszam – mówi cicho.

– Nie przepraszaj. Nie powinnam była grzebać w twoich rzeczach. – Mówię szczerze, ale żałuję czegoś więcej niż tylko braku poszanowania jego prywatności. Żałuję, że wzbudziłam w sobie ciekawość, która nie zostanie zaspokojona. Jego przeszłość nie ma żadnego związku ze mną, choć czuję palącą potrzebę poznania jej i nic na to nie poradzę.

– To moja była – mówi szybko, a ja cofam się zaskoczona. – Ona... – milknie i też się cofa, widocznie zdumiony swoistym zaproszeniem do poznania jego przeszłości. Sprawia wrażenie, jakby otrząsał się ze wspomnień. – To nikt.

Odwraca wzrok.

Nikt, ale wciąż nosi ze sobą jej zdjęcie? Zmuszam się do uśmiechu i zaczynam wychodzić, ale chwyta mnie za ramię. Mimowolnie drzę. Trudno nie reagować, jeśli zwykły dotyk powoduje, że żar zaczyna płynąć ci do serca.

Gdy spogląda na swoją rękę, wpada w trans; praktycznie wypala dziury w moim ciele intensywnością swojego wzroku. Po

chwili jego palce lekko się rozluźniają i czuję, że zakończenia nerwów w moim ramieniu zaczynają płonąć. Mój oddech staje się płytki. Wracają wspomnienia, jak ścisnął moją dłoń w biurze ojca i jak cudownie i spokojnie się wtedy czułam. Chcę wiedzieć, jakby to było, gdyby nakrył mnie swoim ciałem. Miałam tego przedsmak, kiedy przycisnął mnie wtedy do podłogi. I kiedy chwycił mnie, żeby odsunąć z drogi ochroniarza w Harvey Nic. I kiedy podniósł mnie z podłogi, jak próbowałam pomalować mu paznokcie. Chcę więcej takich chwil.

W dokładnie tym samym momencie spoglądamy na siebie. Nasze spojrzenia się spotykają i żadne z nas nie odwraca wzroku. Jego twarz powoli zbliża się do mojej, a wzrok pada na moje usta. Wstrzymuję oddech, unieruchomiona oczekiwaniem. Pocałuje mnie? Mam już przysunąć się do niego, gdy telefon przerywa magiczną chwilę. Spinam mięśnie, a Sharp szybko się wycofuje.

– Powinnaś odebrać – mówi cicho, odwracając wzrok.  
Napięta atmosfera wraca z całą siłą.

Szybko wychodzę, żeby uciec od niezręcznej sytuacji. W myślach wyrzucam sobie swoją głupotę. Cholerna idiotka! O Boże, co to było? Co ja wyrabiam? Mam ochotę walić głową w ścianę, więc szybko się oddalam. Znajduję telefon i widzę, że imię mamy miga na wyświetlaczu. W środku lekko mnie skręca. Unikałam jej cały tydzień, choć wiedziałam, że nie ma pojęcia o moim ochroniarzu i powodzie, z jakiego ojciec go wynajął. Odkąd tata rzucił ją dla młodszego modelu, nie ma o nim zbyt dobrego zdania. Nie przyjmie dobrze kolejnych przykrych niespodzianek, zwłaszcza jeśli dotyczą mnie. Nie chcę znów tego wysłuchiwać. Nie potrzebuję, żeby ciskała gromy na ojca i jego podejrzone interesy. Zresztą przed dwadzieścia dwa lata małżeństwa, kiedy żyła wygodnie, przymykała na nie oko. Udaje jej się zachować wysoki poziom życia dzięki dobrym inwestycjom po, delikatnie mówiąc, niezbyt satysfakcjonującej ugodzie rozwodowej, ale w jej życiu pojawiło się cholernie dużo gorczy.

– Mamo – usiłuję zabrzmieć najradośniej, jak mogę, i czekam na wyrzuty, na które zasłużyłam, nie odzywając się do niej

przez cały zeszły tydzień.

– Moja dziewczynka! – Jej delikatny, staranny sposób mówienia poprawia mi nieco nastrój. – Zaczynałam myśleć, że zostawiłaś mnie dla swojego ojca.

Uśmiecham się akurat wtedy, kiedy Sharp wchodzi do salonu z równie nieobecny spojrzeniem, jak przed chwilą, kiedy go zostawiłam, choć teraz na jego twarzy widzę cień ciekawości, gdy zastanawia się, kto jest po drugiej stronie linii.

– Nigdy, mamó – mówię, przy okazji go informując.

– Co u ciebie, skarbie?

– Czytałaś gazety? – pytam, ponieważ wiem, że pożera wszystkie plotki, nawet te rozdmuchane przez media. Dzwoni do mnie, bo widziała, jak Sebastian wychodzi z baru.

– Wiem, że będziesz mądra. – W jej głosie słyszę prawdziwą pewność, co naprawdę mi pomaga. W przeciwieństwie do ojca mama we mnie wierzy. – Mam wolny wieczór – informuje mnie, na co się uśmiecham. To rzadkość. Mama jest królową towarzystwa. Dzieli swój czas między kluby dla kobiet, kluby tenisowe, kluby kręglarskie i niezliczone lunche dla pań. Byłam na jednym z nich. Tylko raz i przysięgłam sobie, że nigdy więcej. Stolik pełen zgorzkniałych kobiet, które obrzucają obelgami swoich byłych mężów ponad kanapeczkami i szampanem, odbiega od mojej wizji ciekawie spędzonego czasu. – Wybierzmy się na obiad.

– Dziś idę na urodziny Saffron. – Z łatwością znajduję wymówkę, ponieważ nie muszę uciekać się do kłamstwa, choć nie wierzę, że to coś zmieni.

– W takim razie spotkajmy się przed. Na pusty żołądek się nie pije.

Kulę się z zażenowania, kiedy szukam wzrokiem Jake'a. Usiadł na kanapie z laptopem na swoich długich nogach. Zastanawiam się, kogo będzie łatwiej spławić. Wiem, że moja mama nie rozłączy się, dopóki się nie zgodzę. Poza tym nie widziałam się z nią od tygodnia. Z drugiej strony nie mogę ot, tak sobie przyjść z Sharpem. To wywoła lawinę pytań, na które nie



chcę odpowiadać. Trudno go nie zauważyć, biorąc pod uwagę sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry potężnego ciała.

Jak mam go przekonać, że obiad z mamą nie wymaga jego towarzystwa? Pomyślę chwilę i coś wykombinuję. Nie mogę zaprzeczyć, że potrzebuję przestrzeni. Cała ta niezręczna sytuacja zaczyna robić się nie do wytrzymania. Jednak nie jestem w stanie właściwie zareagować.

– TJ przyjdzie – dodaje mama, podejmując za mnie decyzję. Uwielbiam, że traktuje go jak swoje dziecko, choć jest kopia jej byłego męża, którego nienawidzi. Podobnie jak ja, dostrzega w TJ-u ujmującą osobowość, która pewnie jest wynikiem jej ciężkiej pracy.

– Kiedy i gdzie? – Wyraźnie widzę, że Sharp nadstawia ucha, kiedy to mówię.

– Cudownie! Mój kierowca odbierze cię o siódmej. Wystrój się, skarbie!

Rozłącza się, a ja przygryzam wargę, zastanawiając się, jak najlepiej do tego podejść.

– To była moja mama – mówię normalnym tonem, kiedy idę do kuchni po szklankę wody. Jak się spodziewam, nic nie mówi i nie tylko dlatego, że nie powiedziałam mu niczego, czego by już nie wiedział. – Chce się dziś spotkać na obiedzie – wołam i wyciągam szklankę z szafki. – Jej kierowca przyjedzie po mnie o siódmej.

Znów zero reakcji.

Spoglądam pochmurnie na kurek, kiedy napełniam szklankę, i wracam do salonu. Po Jake’u ani śladu. Jego zamknięty laptop zajmuje miejsce, na którym jeszcze przed chwilą siedział jego tyłek. Biorę łyk wody, nabierając jednocześnie pewności siebie, i wyruszam na poszukiwanie Sharpa, żeby powiedzieć mu, jak sprawy będą się dziś miały. Z każdym krokiem moja pewność siebie wzrasta i nie oszukuję się, że chodzi mi nie tyle o mamę i jej pytania o Jake’a, ile o chęć zdystansowania się od niego. Czuję, że coś mnie dławi. Nie wiem co, ale wiem, że nie jest to dobre.

Jestem tak zatopiona w przygotowaniu przemowy, że zapominam

zapukać i wchodzę prosto do sypialni dla gości. Szklanka wysuwa mi się z ręki i z hukiem ląduje na dywanie, rozpryskując wodę na moje nogi.

– O cholera! – wyrywa mi się, gdy stoję twarzą w twarz z Sharpem. Nagim Sharpem, który bezradnie trzyma ręcznik w ręku. Nie rusza się. Ja też nie. Po prostu wpatrujemy się w siebie. Moje spojrzenie bez wątpienia jest lustrzanym odbiciem spojrzenia Sharpa. Wybałuszone oczy. Zaskoczone i nieruchome.

Zakryj się!

Wykrzykuję to w myślach, usiłując przekazać umysłowi, żeby rozkazał ustom wypowiedzieć te słowa. Jednak moje usta nie współpracują. Ale coś innego pracuje. Coś, czego nie mogę zignorować. Złączam nogi, żeby powstrzymać coraz szybsze pulsowanie. Mój wzrok pada na jego klatę. Powietrze, które miałam w płucach, wydobywa się z moich warg w pożądlwym jęku.

Jego fiut. Jest długi, potężny i drga.

– Camille. – Z trudem rejestruję jego cichy głos. Jestem zbyt zauroczona tym, co widzę. Niech ktoś mnie uratuje, zanim padnę na kolana i zacznę go wielbić! – Camille!

Podskakuję tak mocno, że plecami uderzam o skraj drzwi. Intensywny ból przeszywa mój bark.

– Cholera! – Zaskoczona chwytam się za ramię.

– W porządku?

Odyskuję ostrość widzenia, akurat kiedy Jake się zbliża. Teraz ma już ręcznik owinięty nisko wokół naprężonych bioder. Widok mięśni jego brzucha w połączeniu z idealnymi wgłębieniami poniżej podbrzusza sprawia, że obraz ponownie rozmazuje mi się przed oczami.

– Tak! – Cofam się, chcąc uciec, i znów wpadam na te pieprzone drzwi. – Cholera! – rozcieram ramię. – Nic mi nie jest – mówię i wychodzę chwiejnym krokiem na korytarz. Jake przystaje tuż przed drzwiami. Na jego idealnej twarzy pojawia się zmarszczka. – Idę na obiad z mamą – wyrzucam z siebie, cofając się jeszcze bardziej.

– Wiem. – Przebiega po mnie wzrokiem, pewnie żeby sprawdzić, czy nic mi się nie stało. Stało się. Owszem, bark mi pulsuje, ale pulsuję też gdzie indziej. Muszę natychmiast zniknąć.

– Jej kierowca mnie odbierze. TJ też będzie. Nie musisz przychodzić. – Po nagłym grymasie na jego twarzy wnioskuję, że ma odmienne zdanie.

– Nawet o tym nie myśl. – Odwraca się i odchodzi ode mnie, pozwalając rękownikowi opaść. Bez cienia nieśmiałości pokazuje mi wszystko. Zamykam oczy, żeby ukryć widok nieprzyzwoitej nieskazitelnosci.

– Będę z mamą i bratem – protestuję pogrążona w ciemnościach. – Nic mi się nie stanie.

– Nie mam zamiaru dyskutować o tym, Camille.

Chcę otworzyć oczy i posłać mu najbardziej rozłoszczone spojrzenie, na jakie mnie stać, ale nie byłoby to najmądrzejszym posunięciem.

– Ubrałeś się już? – pytam, nie mogąc ukryć irytacji.

– Tak.

Otwieram oczy i widzę, że ma na sobie niezapięte spodnie, które zwisają mu z talii, jego klata jest nadal naga i wciąż wygląda cholernie apetycznie.

– Jake! – wołam poirytowana.

– W takim razie odwróć się, Camille. – Wolno zakłada koszulę.

Nienawidzę tego, jak trudno mi się od niego odwrócić. Ale w końcu to robię, choć wciąż widzę idealne mięśnie na jego brzuchu.

– Naprawdę nie ma potrzeby, żebyś szedł ze mną.

– Twój ojciec wyraził się jasno, że mam ci nieustannie towarzyszyć. Widziałaś zdjęcia. Masz szczęście, że możesz wychodzić z mieszkania, i powinnaś pamiętać, że pozwalam ci na to tylko dlatego, że jestem z tobą. Chociaż nie mam nic przeciwko, żeby wprowadzić w życie ten nowy zakaz – wypluwa słowa z coraz większą frustracją.

– I jak byś go wprowadził? – Słucham z zainteresowaniem, choć z zupełnie innych powodów. Wyobrażam sobie, że przyciska

moje ciało, tak jak wtedy, kiedy nakrył mnie, jak mu się przyglądam, kiedy udawał, że śpi. Moje ciało natychmiast się ożywia.

– Nawet nie próbuj – mówi krótko.

Dreszcz pożądania zmieszany z ciekawością wędruje po moim kręgosłupie, zmuszając mnie do wyprostowania się. Chcę spróbować i zobaczyć, co robi. Chcę zobaczyć, do czego się posunie, żeby zmusić mnie do posłuszeństwa. Chcę, żeby mnie związał, żebyśmy byli blisko i żebym mogła rozkoszować się cudownym ciepłem, które tak intensywnie przenika we mnie. Chcę...

– Jadę. – Jego oddech tuż przy moim uchu zaskakuje mnie i wyrywa z niestosownych fantazji. – Zadzwoń do matki i powiedz jej, że nie musi wysyłać kierowcy – mówi, kiedy mijam mnie, wiążąc krawat.

Pozwalam głowie stuknąć w ścianę w nadziei, że fale, jakie powstaną po uderzeniu, przegonią narastające pożądanie do mężczyzny, którego nie powinnam pragnąć. I co ważniejsze, do mężczyzny, który nie chce być pożądany.

## Rozdział 13

### JAKE

Wciąż czuję tępe pulsowanie w przyrodzeniu; pozostałość po erekcji, która trwała dłużej, niż bym sobie tego życzył.

Nie wiem, co sobie myślałem, ale wyraz twarzy Camille, kiedy na nią warknąłem, prawie mnie rozbił. Nienawidziłem siebie w tamtym momencie. Byłem dupkiem wobec wielu kobiet i nigdy nie czułem cienia winy. Trzymałem bezpieczny dystans. Jasna sprawa.

Ale z Camille jest inaczej. Pragnę jej bliskości i czułem się jak ostatni drań, kiedy tak ostro ją potraktowałem. Potem znienawidziłem się jeszcze bardziej, kiedy zatrzymałem ją przy wyjściu. Widziałem zaskoczenie w jej oczach, a jej umysł zaczął działać na najwyższych obrotach. Domyślam się, o czym myślała. Jasna cholera, przez chwilę, kiedy trzymałem ją, prawie mnie poniosło. Prawie ją pocałowałem. Nie mogłem się powstrzymać.

Dzięki Bogu, że jej matka zadzwoniła. Skup się na zadaniu, Jake, a zadanie nie ma twarzy bogini i ciała stworzonego do wielbienia.

Warczę, próbując zignorować pulsowanie we fiucie. Nie chodzi tylko o frustrację. Absurdalny pomysł Camille – żeby wyjść beze mnie – rozzłościł mnie porządnie. Logan wciąż nie dostał żadnej nowej wiadomości, a Lucinda monitoruje jego maile. Czego, do diabła, mogą od niego chcieć? Pieniądze to oczywista odpowiedź; Logan ma kasy jak lodu. Mimo to wciąż żadnych żądań. Facet coś ukrywa. Tego jestem pewien.

Parkuję w bocznej alejce po tym, jak Camille, dosyć oschle, poinformowała mnie, dokąd jedziemy. Wyskakuje z samochodu i wychodzi na główną ulicę, zanim zdążę zgasić silnik. Doganiam ją i w milczeniu trzymam się kilka kroków z tyłu. Nie musi się starać, żeby wyglądać pięknie w małej czarnej. Chociaż te jej buty z

czerwoną podszewką wyglądają jak śmiertelne pułapki. Czarny kolor sukienki podkreślił jej topazowe oczy, kiedy na krótki moment nasze podejrzenia spotkały się przed wyjściem. Od tamtej chwili nawet na mnie nie spojrzała.

Kiedy docieramy do wejścia luksusowego hotelu, w którym Camille ma się spotkać z matką i bratem, odzwierciadlony jest zajęty nakładaniem szpanerskich bagaży na wózek, więc Camille musi sama otworzyć drzwi. Patrzę, jak się z nimi siłuje, dociskając swoje drobne ciało do wypolerowanej metalowej ramy.

Chwytam klamkę, niechcący muskając jej dłoń. Nieruchomieję, podobnie jak ona. Po chwili przyciska dłoń do piersi i wstrzymuje oddech. Oboje wciąż stoimy w bezruchu. Moja dłoń dotyka drzwi. Mrówki chodzą mi po plecach. Jezus, robi się coraz gorzej – ta atmosfera, te niewinne dotyki... moja reakcja na nie. Zerkam na Camille i widzę, że ma rozbiegane spojrzenie. Szybko otwieram przed nią drzwi i cofam się, żeby wyeliminować ryzyko ponownego dotknięcia. Pospiesznie wchodzi, bez żadnego dziękuję, i przecina lobby, jakby mnie tam nie było.

Biorę głęboki wdech i idę za nią, ale kiedy Camille przystaje kilka metrów przede mną, robię to samo. Odwraca się do mnie, ale nie patrzy mi w oczy.

– Obserwuj mnie, jeśli musisz, ale czy możesz to robić z takiej odległości, żeby moja mama nie zaczęła zadawać pytań?

– O niczym nie wie? – pytam.

– Nie i nie chcę, żeby się dowiedziała. Będzie się tylko martwiła i zacznie złościć na mojego ojca. Już dość się tego nasłuchałam.

Szybko rozglądam się po pomieszczeniu, oceniając każdy zakątek i osobę. Zapamiętuję wszystko.

– Gdzie będziesz siedziała?

– Mama zawsze bierze ten sam stół z tyłu.

Wciąż na mnie nie patrzy, ale wskazuje wejście do restauracji.

– Wygląda na to, że mam jeść sam. – Zachęcam gestem, żeby szła pierwsza, co robi, ignorując moją cyniczną uwagę.

Pozwalam jej ujść kilka metrów, zanim ruszę, ale przystaję, kiedy maître d' hotel wita ją i prowadzi do stolika. Matka Camille wygląda dokładnie jak na zdjęciach, które widziałem. Elegancka kobieta po czterdziestce. Blond włosy jak u Camille i topazowe oczy, nieco mniej intensywne niż jej córki. Poza niezwykłym podobieństwem nie wyczuwam innych wspólnych cech. Matka sprawia wrażenie apodyktycznej i zarozumiałej. Prawdziwa diwa. Zawsze ten sam stolik? Kierowca? Brakuje tylko chihuahua w różowym sweterku z falbankami i obroży wysadzonej diamentami.

Ściskają się na powitanie i całują dwa razy w policzek, kiedy podchodzę do pustego stolika oddalonego od nich o kilka metrów. To największa odległość, jaką mogę zaakceptować. Siadam tak, by mieć całe pomieszczenie na oku, choć odwracam się nieco, żeby nie wzbudzać podejrzeń, ale widzieć Camille.

– Proszę pana?

Podnoszę wzrok i widzę eleganckiego kelnera, który z pytającym spojrzeniem wisi nad moim stolikiem dla dwojga.

– Poproszę wodę. – Opieram się pokusie zamówienia jacka, którego tak desperacko teraz potrzebuję.

– Przepraszam. – Wygląda na zdenerwowanego. Przecież ledwie powiedziałem jedno słowo i byłem uprzejmy! O co mu chodzi? – Ma pan rezerwację?

Aha, w tym rzecz. Lokal nie wygląda na miejsce, do którego wpadasz, żeby wrzucić coś na ząb.

– Tak – odpowiadam bez zająknięcia. Biorę kartę dań z jego ręki i posyłam uśmiech, który sugeruje, że powinien zaakceptować moją odpowiedź i wrócić do pracy.

– Pana godność? – pyta.

Wzdycham.

– Proszę sprawdzić w tamtej książeczce na stojaku. – Macham w kierunku wejścia do restauracji. – Nazywam się tak, jak tam zapisano.

– Przykro mi, proszę pana, ale ten stolik jest zarezerwowany.

Wyczuwam, że Camille obserwuje mnie nieufnie, świadoma potencjalnego zamieszania, jakie mogę stworzyć. I to jest jedyny

powód, dla którego niechętnie ustępuję.

– Ma pan inny stolik? – pytam uprzejmie.

– Tak, proszę pana. – Uśmiecha się i wskazuje miejsce po drugiej stronie restauracji. – Pozwoli pan za mną.

Biegnę wzrokiem w kierunku miejsca, które wskazuje palcem, i zauważam pusty stolik, który musi mieć na myśli. Potem prychnę w myślach. Za daleko.

– Zostanę tu. Dziękuję.

– Ale proszę pana, ja... – Milknie, kiedy spoglądam na niego. Mogę tylko sobie wyobrazić swoje groźne spojrzenie. Nie wkurzaj mnie, mówię wzrokiem.

– Tak, proszę pana. – Kiwa głową i odchodzi. – Przyniosę panu wodę.

– Czekam. – Zerkam na Camille i widzę, że mnie obserwuje, podczas gdy jej matka nie może przestać mówić. Widzę usta Cami, które raz na jakiś czas potakują, jej miękkie i kuszące wargi, które powoli się poruszają.

Kiedy czuję, że jej oczy wbijają się we mnie, nie jestem w stanie się powstrzymać i też na nią patrzę. Szybko odwraca wzrok, wiercąc się na krześle i biorąc łyk szampana. Skupia uwagę na matce. Brak widoku jej twarzy działa na mnie w sposób, jakiego nie rozumiem. W myślach policzkuje się, kiedy staje przede mną dzbanek wody z kawałkami cytryny i limonki.

– Czy wybrał coś pan z karty dań?

– To, co pan poleci – mówię, wyciągając komórkę z kieszeni. Zero telefonów i wiadomości.

– Nasz homar thermidor cieszy się dużym uznaniem, proszę pana.

– W takim razie poproszę. – Otwieram listę kontaktów i widzę imię Abbie. Marszczę czoło, czekając na nieunikniony skręt w żołądku, który jednak nie nadchodzi. Łapię się na tym, że zerkam na Camille i mocniej marszczę brwi. Usiłuję zastanowić się, co mógłbym powiedzieć Abbie, gdybym zadzwonił. Cześć, stęskniłaś się za mną? Śmieję się.

Odkładam telefon na stolik i pocieram twarz dłońmi. Potem



zdejmuję marynarkę i wieszam ją na oparciu krzesła. Nie wiem, dlaczego codziennie torturuję się tym samym. Nie chce mieć ze mną do czynienia. Będzie szczęśliwsza, jeśli zostawię ją w spokoju. Pewnie i tak już zapomniała o moim istnieniu. Najlepiej jej nie denerwować. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Wtem rozlega się chichot, który wyrywa mnie z rozmyślań. Odwracam się i widzę, że Camille odchyła głowę i śmieje się razem z matką. Zderzenie z terażniejszością każe mi natychmiast zapomnieć o przeszłości. Uśmiecham się. Żadna kobieta nie uszczęśliwiała mnie tak, odkąd...

Chwytam telefon i dzwonię do Logana. Jak zawsze od razu odbiera.

– Sharp – mówi, a ja się opieram na krzesło, zerkając na Camille. Jest zatopiona w rozmowie.

– Coś się pojawiło? – pytam.

– Nic.

Zgrzytam zębami z frustracji.

– Sprawdziliśmy dostawy kurierskie do Logan Tower z dnia, kiedy miała przyjść pogróżka. – Milknę, żeby pozwolić mu to skomentować, i nasłuchuję niewerbalnych reakcji, takich jak wstrzymanie oddechu czy cokolwiek, co mi powie, że na coś trafiłem. Nic nie słyszę, więc kontynuuję: – Żadnych śladów kuriera tamtego popołudnia.

– Muszą być – oświadcza. – Sprawdziliście monitoring?

– Tak.

– Rejestr?

– Tak.

– W takim razie może ktoś inny dostarczył list. Nie kurier. Po jego słowach na chwilę milknę.

– Wyraził się pan jasno, że chodziło o kuriera – zauważam.

– No cóż... tak założyłem. Może... może się pomyliłem – jąka się, co tylko nasila moje podejrzenia.

– Rozumiem. – Ignoruję jego uwagę, jakby była nieistotna, podczas gdy tak naprawdę szaleję z dręczącej ciekawości.

Mam przeczucie, że gdybym drażył temat, moje usługi

okazałyby się zbyt wysokie. Zatrudni kogoś innego do ochrony córki. Kogoś, kto nie będzie zadawał pytań. Nie powierzyłbym tego zadania nikomu. Poza tym dzięki tej pracy mam zajęcie i nie myślę o koszmarach.

– Zadzwoń, jeśli pojawi się coś nowego. – Rozłączam się w zamyśleniu, dopóki słodki śmiech Camille nie przywołuje mnie do rzeczywistości. Wygląda na szczęśliwą i rozluźnioną.

Kilka minut później zjawia się TJ i czule wita się z obiema kobietami. Matka Camille, a macocha TJ-a, obejmuje go jak własne dziecko. Czuję scenę sprawia, że dostrzegam w matce Camille coś, czego nigdy bym się nie spodziewał. Jest wyniosła, ale ma wyraźną słabość do swojego pasierba. Zanim TJ siada na krześle, zerka na mnie i kiwa głową w dyskretnym powitaniu. Odwzajemniam skinienie i wracam wzrokiem do Camille.

Camille ledwie spróbowała swojej sałatki. Śmiech nieustannie dochodził od ich stolika. Przyjemnie było widzieć, że jest szczęśliwa w towarzystwie brata i matki. Poza tym kilka godzin, które tu spędziliśmy, minęło spokojnie. Ani śladu podejrzanych zdarzeń czy osób. I zero paparazzi.

Reguluję rachunek, spodziewając się, że Camille wkrótce zacznie się zbierać, i czekam, aż wstanie. Obserwuję ją niczym jastrząb, szukając jakichkolwiek śladów upojenia alkoholowego. Żadnych nie dostrzegam, choć jej matka nieco niestabilnie stoi w złotych szpilkach, kiedy podnosi się z krzesła i dopija ostatnie krople szampana. TJ chwyta macochę za łokieć, żeby pomóc jej zachować równowagę, a Camille bierze ją pod ramię, kiedy wychodzą z restauracji. Ruszam za nimi.

Kiedy wychodzimy na chodnik i zaczynają się żegnać, przystaję. Nie podoba mi się odległość, w jakiej się znajduję, ale usiłuję być dyskretny. Choć z moim wzrostem trudno wyglądać swobodnie i bezpretensjonalnie.

Podjeżdża bentley, z którego wysiada kierowca. Obchodzi samochód i otwiera drzwi przed matką.

– Skarbie, cudownie było się spotkać. – Obejmuje córkę, a następnie podchodzi do TJ-a. – Dbaj o siebie – nakazuje. –

Musimy się częściej spotykać.

TJ zaczyna się śmiać.

– To ty prowadzisz intensywne życie towarzyskie!

– Po prostu trzymam rękę na pulsie. – Mruga i całuje go w policzek. – Pa, pa, skarby. – Z gracją wsiada do samochodu, a kierowca zamyka za nią drzwi.

Po chwili podjeżdża szpanerski samochód TJ-a i kierowca podaje mu kluczyki.

– Dzięki – mówi, dając mu dwudziestkę. – Bądź dziś grzeczna.

Camille przewraca oczami.

– Zawsze jestem grzeczna. Może wpadniesz?

Wybuchła śmiechem, szczerze rozbawiony.

– Imprezowanie zostawiam tobie. – Pochyliła się i zerkając na mnie, całuje ją w policzek. – Wygląda na to, że jesteś w dobrych rękach, ale nie zapominaj o bezpieczeństwie, dobra?

Nie zapominaj o bezpieczeństwie? Uświadamiam sobie, że nie chce obrazić moich umiejętności. Po prostu delikatnie przypomina jej o bagnie, w które wcześniej wpadła. A sądząc po jego łagodnym, niemal błagającym spojrzeniu, mnie też o tym przypomina. Młody Logan nie ma powodu do zmartwień. Jego siostra jest bezpieczna pod każdym względem.

Camille rzuca przelotne spojrzenie przez ramię i przygryza wargę.

– Jasne – odpowiada.

Czekam, aż samochody odjadą, zanim podejść do Camille. Jedyne, co czuję, to dziwna i niestosowna ulga, że Camille tak bardzo różni się od swoich rodziców. Jest taka, jaka chce być, i mimo kilku problemów na swojej ścieżce, może być z siebie dumna.

– Twoja matka to interesująca kobieta – mówię, stając przy niej.

– Masz na myśli, że pretensjonalna, prawda? – Spogląda na mnie. – Nie musisz być uprzejmy. W małych dawkach jest do wytrzymania. – Wyjmuje telefon, pisze wiadomość i klika

„wyślij”. – Picturedrome jest niedaleko. Chodźmy – oświadcza zdecydowanie i rusza w kierunku mojego samochodu. Zniechęcony wypuszczam powietrze i idę za nią. Przypominam sobie, że wieczór jeszcze się nie skończył.

Jezu, ten hałas jest nie do zniesienia. Głośniki dudnią, pulsując od muzyki, a setka dzieciaków po dwudziestce sący szampana. Wkurza mnie panujący półmrok, kiedy lustruję otoczenie.

Gdy Camille wchodzi do środka, młode kobiety z piskiem zbiegają się ze wszystkich kierunków. Heather wciska jej do ręki kieliszek szampana, a reszta koleżanek zaczyna ją obściskować. Po chwili warczą, gdy do powitań zaczynają przechodzić mężczyźni. Kilka spojrzeń – zainteresowanych od kobiet i nieufnych od mężczyzn – pada na mnie, jak obserwuję Camille z odległości kilku metrów. Jest rozluźniona i wciąż szczęśliwa, co pozwala mi trochę się wyluzować, kiedy zajmuję stanowisko przy barze kilka metrów dalej. Przygotowuję się na długą noc.

Godzinę później szlag mnie trafia. W swoim trzydziestopięcioletnim życiu przetrwałem niejedną ciężką sytuację, ale z ręką na sercu mogę powiedzieć, że ostatnia godzina była najgorsza. Patrzenie, jak ona tańczy na parkiecie, powoduje prawdziwy fizyczny ból. Od czasu do czasu zastanawiam się, czy celowo nie utrudnia mi wieczoru. Mimo wszystko jestem zawodowcem i przetrwam to, ale jestem także facetem i od dawna nie miałem kobiety.

Mruczę pod nosem, starając się nie patrzeć na nią. Trudne zadanie, zważywszy, że jest moją klientką. Zleceniem. Ale niech to cholera, jest idealna, naturalnie piękna i subtelna zarówno pod względem urody, jak i osobowości. Żaden facet w tym barze nie jest odporny na jej wdzięk, którym kusi, choć nie robi tego świadomie. Pozostałe kobiety w lokalu, choć piękne, bledną przy niej. Uśmiecham się sam do siebie, gdy przepełnia mnie dziwne poczucie dumy.

W myślach przywołuję się do porządku i przenoszę wzrok na górną półkę baru. Muszę się napić.

– Hej! – mówi radośnie Camille, stając przy mnie. – Muszę siusiu – oświadcza i zaczyna przestępować z nogi na nogę. – Chcesz popatrzeć?

Jest pijana. Jej bezczelne pytanie nie peszy mnie. Wręcz przeciwnie, jestem zadowolony, że informuje mnie o tym, zamiast ruszyć tanecznym krokiem do toalety i kazać mi iść za sobą.

– Chodź. – Kładę dłoń na jej karku i za nic nie chcę się przyznać, jak cudownie jest ją tak trzymać. Camille idzie beztrosko, ale muszę zwolnić kroku, kiedy sięga za ramię i pozbawia mnie dotyku swojej skóry. Gdybym miał okazję, mógłbym oplakiwać tę stratę, a może ochrzaniłbym Camille, ale gdy bierze mnie za rękę, tracę zdolność logicznego myślenia. Moje nogi wciąż się poruszają, ale cała reszta przestaje działać. Jej delikatna dłoń tak cudownie leży w mojej. Serce zaczyna szaleć w piersi, kiedy usiłuję przemówić sobie do rozsądku. Jasne włosy tańczą po jej boskich plecach, kiedy seksownie kołysze biodrami, czym wznosi dzisiejsze tortury na wyższy poziom. Mogę zachowywać się profesjonalnie, tak jak lubię, ale mój fiut i inne istotne narządy nie chcą współpracować. Stawianie oporu jest tu kluczowe, a zachowanie rozwagi to najwyższa konieczność.

Popadam w wewnętrzny konflikt, nie mogąc pojąć, co takiego ma w sobie ta dziewczyna, że ożywiła moje uczucia... uczucia, które przez lata były martwe. Odkąd przyjąłem to zlecenie, próbowałem być silny i walczyć, żeby znaleźć rozsądek pośród dezorientujących uczuć i podchodzić do spraw z odpowiednim dystansem. Teraz obawiam się, że uczucia staną się silniejsze niż moja zdolność do walki z nimi.

Kiedy dochodzimy do długiego korytarza, Camille odwraca się, żeby spojrzeć na mnie. Jej włosy lekko wirują. Wciąż się uśmiecha. W dorosłym życiu nigdy nie uroniłem łzy. Wpojono mi, że mam być twardy, a o emocjach dawno zapomniałem. Pasowało mi to. Ale ta dziewczyna wszystko wywraca do góry nogami. Jest niebezpieczna. Mógłbym zacząć płakać z cholernej frustracji.

– Wchodzisz? – Drażniąc się porusza palcami, żebym ją puścił. Spoglądam w dół, myśląc, jak idealnie wyglądają nasze

splecione ręce. Ściskam ją lekko i marszczę czoło. Co, do cholery, się ze mną dzieje? Szybko ją puszczam i robię krok w tył, akurat w chwili, gdy podchodzi do nas Saffron.

Obcina mnie wzrokiem, zanim się odezwie:

– Przydałby mi się taki.

– Saffron! – z wyrzutem mówi Camille, trącając łokciem chichoczącą koleżankę.

– Oj, no co? – Mruga do mnie i bierze Camille za rękę. – Idziesz do toalety?

– Jeśli dostanę pozwolenie. – Cami spogląda na mnie poważnie, a mnie udaje się znaleźć siłę, żeby przybrać kamienną twarz.

– Wchodzę do środka. – Nie jestem świrem. Po prostu nie czuję się dobrze, kiedy Camille jest poza zasięgiem mojego wzroku.

– Nie możesz! – wyrzuca z siebie, szczerze przerażona. W ogóle jej nie rozumiem. – Aresztują cię!

– Camille, czy wyglądam na faceta, którego kręci podsłuchiwanie sikających kobiet?

– Nie, ale może inne kobiety będą miały coś przeciwko! – Spogląda na Saffron, która zaczyna przestępować z nogi na nogę. – Chodź – mówi do koleżanki.

Robię krok do przodu.

– Ca...

Jej dłoń łąduje na moich ustach. Nieruchomieję na widok błysku w jej pijanych oczach. Czym tak lśnią? Pożądaniem? Szybko się cofa, a jej oczy przytomnieją nieco, kiedy wbija wzrok w podłogę.

– Tam nic mi nie grozi – mruczy cicho.

Zmuszam serce do równomiernego bicia. Nie mogę tego wytrzymać.

– W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli sprawdzę, prawda? – mówię spokojnie i widzę, jak jej głowa zaczyna się kiwać. Zero sprzeciwów? Żadnych kłótni? I, co ważniejsze, zero pyskowania?

Tego już za wiele. Jestem seksualnie sfrustrowany. Mijam ją, otwieram drzwi do toalety i zaczynam wchodzić do środka... aż rozlegają się krzyki. Niełatwo mnie zaskoczyć, ale okazuje się, że stado przerażonych kobiet to potrafi.

– Cholera! – Puszczam drzwi, zauważając jedynie kilka kobiet przy lustrze. Co zupełnie zrozumiałe, nie wyglądały na zadowolone. – Wchodź – warczę zniecierpliwiony do Camille i zdenerwowany macham ręką w kierunku drzwi. – I się pośpiesz!

Obie dziewczyny szybko znikają w toalecie, a ja stoję naprzeciwko wejścia i opieram się o ścianę. Dzisiejszy wieczór wykańcza mnie. Psychicznie i fizycznie. Kiedy to zlecenie dobiegnie końca, wypiję całą skrzynkę Jacka Daniel'sa, będę spał przez rok i pieprzył się za dwóch.

Drzwi się otwierają i wychodzą dwie kobiety. W ich wzroku widzę połączenie zainteresowania i odrazy. Nic nowego.

– Dobry wieczór paniom – rzucam, kiedy szybko odchodzą.

Wyciągam szyję i zanim drzwi się zamkną, udaje mi się zauważyć, że Camille maluje policzki. Wygląda na podenerwowaną. Podobnie się czuję. Krzyżuję ręce na piersi. Stopa zaczyna mi nerwowo chodzić. Kilka chwil później wychodzą kolejne dwie dziewczyny. Camille wciąż jest w środku i poprawia włosy. Przewracam oczami i daję jej jeszcze jedną minutę, zanim wejdę tam i wyciągnę ją na zewnątrz.

To najdłuższa minuta w moim życiu. Zdaję sobie sprawę, że nie będzie zadowolona, jeśli wpadnę do środka, ale moje cholerne serce zaczyna nieznośnie walić. Do diabła, Camille jakoś to przeboleje. Odsuwam się od ściany i zdecydowanym ruchem otwieram drzwi, które uderzają o kafelki. Nie jestem pewien, czy to one powodują hałas, czy może to efekt eksplozji w mojej głowie.

Żołądek podchodzi mi do gardła, zabierając ze sobą serce i płuca. Co, do cholery, robi tu Sebastian Peters? I jak mogłem go nie zauważyć? Jego ręka się unosi i z głośnym plaśnięciem ląduje na policzku Camille.

– Ty głupia suko! – krzyczy, popychając ją na podłogę. Jej

policzek z ogłuszającym hukiem uderza o skraj umywalki. –  
Sądziś, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry? Jesteś moja!

Krzyczę. Moja dłoń ściska jego gardło, zanim uświadamiam sobie, że się ruszyłem, i prowadzę go przez toaletę, nie wypuszczając z uścisku. Siła, z jaką jego plecy uderzają o ścianę, wzbudza vibracje, które płyną przez moje ramiona aż do piersi. I zanim zdołałem zarejestrować cokolwiek, wymierzam mu dwa sierpowe – jeden w oko, drugi w policzek. Cudowne uczucie. Cholernie cudowne. Wyciągam pistolet, odbezpieczam i przyciskam do skroni Sebastiana. Koleś nie ma pojęcia, co się dzieje. Próbuje złapać oddech, mocując się z uściskiem przy swoim gardle.

– Pozwól, że ci wytłumaczę – warczę, przyciskając mocniej broń do jego ciała. – W twoją śliczną główkę wycelowany jest właśnie heckler VP9. Narobi niezłego syfu, kiedy odstrzelę ci ten pieprzony mózg. I choć pewnie resztę swojego nędznego życia spędzę w pierdłu, to chętnie tam pójdę, mając świadomość, że jesteś martwy. – Unoszę kolano i walę go w jaja, na co lalusz piszczy w męczarniach.

– Bolało, Sebastianie? – Wymierzam kolejny cios, sadystycznie rozkoszując się jego bólem.

– Proszę – łka. Ślina i smarki spływają po jego żalösnej brodzie.

Pociąga nosem, jedno oko ma spuchnięte, a wokół nozdrzy zaczyna pojawiać się krew. Wiedziałem. Założę się, że kiedy jest nawalony koką, czuje się niepokonany. No cóż, teraz chyba jest trochę inaczej.

Mrugam. Nie powinienem był, ponieważ przez krótką chwilę ciemności znów widzę jego rękę na policzku Camille. Wściekłość mnie zżera. Zabiłem w życiu wielu ludzi. Robiłem to, co trzeba było zrobić. Nie podchodziłem do spraw emocjonalnie. Byłem ukryty. Byłem snajperem. Byłem nieznanym zagrożeniem, które siało strach. Byłem spokojny i opanowany. Niebezpieczny ze słusznych powodów.

Wszystko się zmieniło, kiedy ona postanowiła mnie



zniszczyć.

Dołożyłem starań, żeby wszyscy, których spotykałem, widzieli nienawiść, jaką w sobie nosiłem. Nie obchodziło mnie, że moja zemsta była wymierzona w złym kierunku. Bezpośrednie starcie z wrogiem było jedynym możliwym ujściem. A ja potrzebowałem ujścia dla złości i bólu. Bólu, który ona wzbudziła.

Więc wyszedłem z ukrycia na skraj strefy zagrożenia i wkroczyłem na pole walki. Tamtego dnia spojrzałem w oczy mężczyźnie i zanim go zabiłem, zobaczyłem w nich strach. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Stałem się lekkomyślny. Głupi. Cholernie głupi, a moja samolubna potrzeba wyżycia się doprowadziła do śmierci dwóch kompanów. Dwie twarze, które będą mnie zawsze prześladować. Dwóch mężczyzn, którzy zostawili żony i dzieci. Dwóch dobrych ludzi. Ja nie byłem dobrym człowiekiem. To powinienem być ja. Nienawiść do samego siebie i poczucie winy nie opuszczają mnie od tamtej pory.

Dziś będzie inaczej. Wtedy dostałem ataku, bo kobieta namieszała mi w głowie. Teraz czuję, że narasta we mnie podobna wściekłość, ale poza tym jestem w pełni przytomny. Dobrze wiem, co robię.

Chowam broń do kabury i puszczam szyję Sebastiana. Po kilku ciosach w nerki pada na podłogę jak bezwładny worek, jęcząc i skomląc.

– Przez jakiś czas nie będziesz pracował, chłopaczku.

Moja stopa wymierza mu dokładny cios w żebra.

Powstrzymanie się przed zabiciem skurwiela było największym wyzwaniem, z jakim się dotychczas zmierzyłem.

## Rozdział 14

### CAMI

Nigdy nie widziałam tak pierwotnej i niszczącej brutalności. Mimo to w głębi duszy wiem, że Jake się kontroluje. Mógłby zakończyć to w sekundę, ale zadaje Sebastianowi ból. Siła jego pięści staje się jasna z każdym ogłuszającym uderzeniem.

Czas się zatrzymuje, dźwięki milkną. Gdyby nie intensywne pieczenie na policzku i dudnienie w głowie, pomyślałabym, że umarłam. Czuję się martwa. Pokonana. Zszokowana i słaba.

Sebastian niespodziewanie wyszedł z jednej z kabin. Wystarczyło, że raz odrzuciłam jego prośbę o drugą szansę, żeby się wściekł.

Tylko jedna próba przeciwstawienia się tej propozycji wywołała błysk złości w jego oczach, który już widywałam, kiedy był naćpany. Ale jego brutalność blednie w porównaniu z tym, co teraz widzę.

Naprawdę wierzę, że Jake Sharp mógłby zabić każdego gołymi rękami. Ta precyzja każdego uderzenia i mordercze ciosy!

– Jake – mówię mimo sztywnego języka i patrzę, jak puszcza Sebastiana, pozwalając mu opaść na podłogę. Zaczyna mnie szukać wzrokiem, jakby dopiero zrozumiał, że tu jestem. Kiedy mnie dostrzeża, prostuje się, przez co wygląda na jeszcze wyższego, i posyła mi spojrzenie pełne determinacji.

Podchodzi do mnie, schyla się i w milczeniu bierze mnie na rękę. Przyciska do piersi. Jego spojrzenie jest szkliste i udręczone.

Gula w moim gardle rośnie i wybucha, ponieważ mimo szoku uświadamiam sobie, że to, co się właśnie wydarzyło, nie było dla Jake'a tylko pracą.

Jego nozdrza się rozszerzają. Po chwili spogląda przed siebie i wychodzi z klubu, niosąc mnie na rękach. Muzyka wciąż głośno gra, ale widzę, jak ludzie szepczą do siebie, kiedy przechodzimy

przez tłum, a Jake z każdym krokiem obejmuje mnie mocniej. Powieki mi ciążą, ale serce jest pełne nadziei.

Nadziei, że nigdy więcej nie spotkam Sebastiana Petersa. I nadziei, że Jake Sharp zostanie ze mną na wieczność, żeby tego dopilnować. Żeby chronić mnie przez nim. Przed wszystkim.

Ostre światła w lobby mojego apartamentowca każą mi zmrużyć oczy; intensywny blask to za dużo dla mojego zmęczonego wzroku. Moje ciało unosi się i opada w rytmie długich kroków Jake'a. Obejmuję go za szyję.

Tak wiele myśli krąży teraz w mojej głowie, ale najgłośniejsza z nich to ta, która każe mi trzymać go mocno i nigdy nie puścić. Dużo dziś wypiałam, ale potężny cios i rana na policzku od upadku szybko mnie otrzeźwiły. Jestem zmęczona, jednak mimo to myślę jasno.

Po wejściu do mieszkania Jake niesie mnie prosto do sypialni i kładzie na łóżku. Potem odwraca się i kieruje się do wyjścia.

– Skąd masz bliznę po kuli? – wyrzucam z siebie, desperacko chcąc dowiedzieć się czegoś, co mi podpowie, co się wydarzyło w tamtej łazience. Był tam, ale jakby go nie było.

Przystaje, ale nadal stoi plecami do mnie.

– Zostałem postrzelony w walce.

Wojna.

– Byłeś w wojsku – stwierdzam fakt, ale czuję, że to dobry początek, żeby spróbować wyciągnąć z niego coś więcej.

Kiwa głową i odwraca się do mnie.

– Siły specjalne.

Czuję, że oczy mi się rozszerzają.

– Byłeś szpiegiem?

– Snajperem.

Mój umysł zaczyna pracować na najwyższych obrotach.

– Dlatego już nie służysz? Bo zostałeś ranny?

– Coś w tym rodzaju – mruczy i patrzy w punkt nade mną, jakby zbyt wiele złych wspomnień zalało jego umysł.

– Jak do tego doszło? – pytam spragniona dalszych szczegółów.

– Zła ocena sytuacji.

Przygryzam wargę, mój umysł szaleje. Biorąc pod uwagę skrepowanie, jakie od niego teraz bije, dochodzę do wniosku, że okoliczności, w jakich go postrzelono, nie dają mu do dziś spokoju. Widzę, że samo wspomnienie poważnie nim wstrząsa – wygląda, jakby był w transie, a na jego czole pojawia się pot. Po chwili wzdryga się, jakby chciał pozbyć się wspomnień. To tylko potwierdza moje przypuszczenia. Przeszłość stanęła mu przed oczami. Słyszałam o tym. O mężczyznach, którzy wracają do domu z wojny z zespołem stresu pourazowego. Słyszałam, że walczą z demonami i koszmarami i nie mogą spać. Jake też tak ma. Widziałam, jak bierze tabletki.

Cisza staje się nie do wytrzymania, ale zanim wymyślę coś, żeby ją przerwać, Jake odwraca się i wychodzi.

– To się zdarzyło tylko kilka razy, kiedy byliśmy razem. – Nie wiem, dlaczego mu o tym mówię. Nie dodaję nic więcej. Jake nie potrzebuje wyjaśnień. Napięcie w jego barkach, kiedy przystaje, i namacalna wściekłość mówią same za siebie. Nie wiem, co mnie naszło; obiecałam sobie, że nikomu nie pisnę o tym słowa, ale coś wewnątrz mnie chce, żebym mu powiedziała o wszystkim.

– Nawet gdyby to zdarzyło się tylko raz, nie miałbym nic przeciwko, żeby poświęcił swoje życie w ramach przeprosin – prawie warczy, wypowiadając każde słowo. – Przywróciłbym go do życia tylko po to, żeby móc go znowu zabić. Jeden raz to za wiele. Nie próbuj go bronić.

– Nie mówię ci tego, żeby go bronić, ale dlatego, żebyś nie myślał, że jestem żalonym popychadłem.

– Wcale tak nie myślę! – wykrzykuje i rusza do drzwi z widoczną wściekłością.

– W takim razie co o mnie myślisz? – pytam. Przystaje. – Jak mnie widzisz, Jake? Słaba kobieta, która potrzebuje opieki? Rozpieszczony bachor? Egocentryczna materialistka, która nie docenia tego, co ma?

Odwraca się, oburzony moimi oskarżeniami.

– Nie! Nic, zupełnie odwrotnie!

Siadam na łóżku i prostuję ramiona, żeby wyglądać groźniej, co w porównaniu z postawą Jake’a jest śmiechu warte.

– Co się stało w tamtej łazience? – pytam, wymierzając mu cios poniżej pasa. I co z tego? Chcę poznać odpowiedź.

– Co się stało? – pyta, patrząc na mnie jak na idiotkę. Mam ochotę mu za to przywalić. – Spuściłem wpierdol facetowi, który cię zaatakował! Co według ciebie miałem zrobić? Przytrzymać cię, żeby mógł wymierzyć dokładny cios?

– To nie był jedyny powód! – krzyczę. – Byłeś myślami gdzie indziej! Co się z tobą stało?

– Nie twoja cholerna sprawa! – warczy i znów widzę, że zaczyna tracić panowanie nad sobą. – Jesteś moją klientką! A ja jestem twoim ochroniarzem! To wszystko! Przestań kopać głębiej! Przestań próbować mnie rozgryźć!

Zaczynam dygotać ze złości, kiedy ogarnia mnie nedorzeczne uczucie. Coś wydarzyło się w jego przeszłości i to nie moja sprawa. Oczywiście, że ma rację, ale biorąc pod uwagę fakt, że tak chętnie ujawniłam mu swój sekret, jego odrzucenie boli tym mocniej. Nie tylko ja przekroczyłam granicę. Widziałam, że on też walczy z chemią między nami. A niech to, wiem, że walczy!

Bez ostrzeżenia moja ręka podąża w kierunku jego twarzy. Widzi, jak się zbliża, i szybkim ruchem chwyta mnie za nadgarstek.

Stoimy naprzeciwko siebie, wpatrując się w swoje twarze... a nasza wściekłość zmienia się w coś innego. Wypuszczam z ust drżący oddech i lekceważę gęsią skórkę, gdy widzę, jak jego wzrok pada na moje wargi i szybko wraca do oczu. Ogień przepływa między naszymi ciałami.

Usiłuję uporządkować myśli, ale nie daje mi na to czasu. Szybkim ruchem przyciąga mnie do siebie i przywiera ustami do moich. Mam wrażenie, jakby całe napięcie uszło ze mnie, a stres i dezorientacja razem z nim. Jego pocałunek ma w sobie coś pierwotnego. Całym ciałem przyciska się do mnie. Jęczę, poddając się jego sile i obejmuję jego ramiona, kiedy z pożądaniem i

desperacją badamy swoje usta. Przesuwam dłonie na jego włosy. Ogarniająca mnie rozkosz pustoszy moje ciało, kolana robią się jak z waty. Zaczynam się chwiać i przytrzymuję się jego silnych ramion.

O Boże, od dawna to sobie wyobrażałam. W myślach błagałam, żeby to przeżyć. A teraz to się dzieje i to z szaleńczą pasją, podszytą frustracją i desperacją.

– Cholera! – klnie Jake, ale mnie puszcza. Odsuwa się jak oparzony. Oddycham nierówno, a moje usta są nabrzmięte i spragnione. Przesuwa dłonią po włosach, cofa się, odwraca i zaczyna chodzić po pokoju. – Nie możemy tego robić – mówi szorstko. Jego słowa tną moje serce niczym sztylet. – To złe. Jestem twoim ochroniarzem. – Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. W jego poważnych oczach widzę jeszcze więcej determinacji. – Twój ojciec dopilnuje, żebym nie znalazł żadnej pracy – mamrocze i zamyka oczy. – Potrzebuję celu, Camille. Muszę pracować.

Czuję, jak przeklęte łzy zaczynają napływać mi do oczu, i nie po raz pierwszy mam nadzieję, że ojciec będzie się smażył w piekle. Jake potrzebuje celu. Musi skupić się na pracy, żeby jego myśli nie wędrowały w niebezpiecznych kierunkach, takich jak jego przeszłość, wojna czy tamta kobieta.

Dobija mnie to, ale mówię, co trzeba powiedzieć. Nie tylko dlatego, że Jake chce, żebym to powiedziała, ale dlatego, że wiem, iż ma rację. Mój tata zniszczy go, jeśli się dowie, że Jake przekroczył granicę.

Jest moim ochroniarzem.

– Rozumiem. – Czuję kamień w sercu, kiedy na chwiejnych nogach odchodzę kilka kroków, decydując się na ucieczkę. Desperacko pragnę od niego uciec. Ale udaje mi się tylko dojść do drzwi i nacisnąć klamkę.

Jego dłoń przesuwana się nad moim ramieniem i z hukiem łąduje na drzwiach, zamykając je. W gardle czuję bicie serca i przetykam ślinę, kiedy wpatruję się w dłoń przed sobą, a na plecach czuję jego tors.

– Nie chcę, żebyś rozumiała – dyszy mi do ucha. Zamykam oczy, gdy kładzie dłonie na moich barkach i mimo drżących nóg zaczynam mu się poddawać.

– Otwórz oczy – nakazuje.

Poddaję się mu. Moje powieki się unoszą, ukazując chaos, jaki panuje w mojej głowie. Łzy zbierają mi się w oczach, kiedy próbuję zebrać myśli.

– Wiem, że to złe – mruczę i staram się zachować kontrolę nad łzami. – Wiem, że nie powinno mnie tak do ciebie ciągnąć.

Lekko kiwa głową, zgadzając się ze mną.

– Rozumiem. Wierz mi, że naprawdę to rozumiem – szepcze. – Ale teraz nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Szuka moich oczu, a po chwili zaczyna wędrować wzrokiem po mom ciele, jakby wreszcie mógł się w pełni poświęcić podziwianiu mnie. I właśnie to robi. Nie pomija żadnej cząstki mojego ciała; pamięta o każdym włosie na mojej głowie.

Czule, czulej niż bym go o to podejrzewała, odsuwa samotny lok z mojego czoła, wpatrując się we mnie, kiedy to robi. Jestem tak nieruchoma, że pewnie mógłby zestrzelić jabłko z mojej głowy. Jego dłonie cudownie muskają moje ciało, a w pełni skoncentrowana twarz zachwyca urodą.

– Boże, jakaś ty piękna – szepcze czule. Obejmuje mnie w pasie i przyciąga bliżej.

Wstrzymuję oddech, unoszę ręce i kładę je na jego barkach. Jake schyla się, uginając nieco kolana, i przyciska swoje czoło do mojego. Drugą ręką delikatnie obejmuje moją szyję i zamyka oczy. Czuję się taka drobna w jego ramionach. Taka bezpieczna. Mimo to spokój i doskonałość tej chwili nie uspokajają mojego walącego serca. Czuję łomot tętna w uszach, a krew płonie od pożądania tak upajającego, że drzę. Ale nigdzie się nie wybieram; jego uścisk zapewnia mi stabilność.

Czuję, że zmienił taktykę. Dzikie, chaotyczne spotkanie naszych ust poszło w niepamięć. Teraz równomiernie i głęboko oddycha. Wpatruję się w niego, gdy stoi tak blisko, że mogłabym go pocałować. Ale powstrzymuję się. Nie dlatego, że nie czuję

gorączkowej potrzeby ponownego dotknięcia jego warg, ale dlatego, że widok jego surowej męskiej urody sprawia mi ogromną przyjemność; że jestem zafascynowana jego milczeniem i nagłą łagodnością. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak spokojnego. Całkowicie biernego. Jakby poddał się wewnętrznej potrzebie.

– W porządku? – pyta, powoli otwierając oczy.

Światło, które w nich widzę, oślepia mnie. Jest pełne nadziei. Wyraża wszystko to, co sama czuję. Przełykam ślinę. Lekko kiwam głową i przebiegam dłońmi po rękawach jego marynarki. Gdy docieram do jego łokci, myślę tylko o tym, jak cudowna w dotyku będzie jego skóra. Kiedy odsuwa głowę, zarost na jego twarzy przyciąga moją uwagę do jego ust. Powoli je rozchyła i przesuwa językiem po dolnej wardze. Spoglądam mu prosto w oczy, upewniając się, że widzi pewność i desperację, którą czuję. Nigdy nie byłam równie pewna ani zdesperowana. Pragnę go – tego tajemniczego, niezgłębionego mężczyzny. Chcę poczuć go całą sobą.

Zaczyna niespiesznie zbliżać swoje usta do moich, jakby przygotowywał się na zalew przyjemności, która czai się na horyzoncie. Robię to samo. Jesteśmy coraz bliżej, nie spuszczaemy z siebie wzroku, aż jego usta muskają moje. Ogarnia mnie dreszcz, mój płytki oddech niemal mnie dusi. Doznania, jakie wywołał delikatny dotyk, sięją większe spustoszenie w mojej głowie niż zwierzęcy pocałunek sprzed chwili, co sprawia, że z niecierpliwą tęsknotą zaczynam się zastanawiać, co będzie dalej. Jake cicho i urywanie jęczy, rozchylając usta. Mój język wysuwa się i łączy z jego. Natychmiast mnie pożera. Rękami sięgam do jego szyi i przyciągam go do siebie. Nasze języki splatają się delikatnie, ale z determi[nacją].

– Jasna cholera, Camille – mówi przy moich ustach. I mimo że zmusza tym nasze ciała do oderwania się od siebie, zachowuje taniec naszych języków.

Jego palce muskają moje uda, kiedy chwyta rąbek sukienki i podciąga ją do góry. Muszę oderwać od niego usta, żeby mógł przeciągnąć ją przez moją głowę. Szybko odrzuca ubranie na bok,



a już po chwili jego dłonie są przy jego szyi i rozwiązują krawat. Z równą niecierpliwością sięgam jego marynarki i zaczynam ściągać ją mu z barków. Wysuwa ręce z rękawów i ponownie znajduje moje usta i chwyta je z siłą.

– Koszula – mruczy, kiedy znajduje zapięcie mojego stanika i jednym ruchem rozpina haftkę. Czuję, jak materiał wokół moich piersi robi się luźniejszy, gdy moje niezdarne palce gorączkowo próbują poradzić sobie z guzikami jego koszuli. Zauważa mój trud i ratuje mnie od tego zadania, rozrywając koszulę. Guziki rozlatują się we wszystkich kierunkach. Następnie sięga po mój stanik i zdejmuje go z moich piersi. Nie mam innego wyjścia niż wyciągnąć ramiona. W przeciwnym razie zerwałby go ze mnie siłą.

Wstrzymuję oddech, kiedy zza białej koszuli miga mi jego tors. Podczas gdy z przyjemnością poświęciłabym kilka chwil na jego podziwianie, Jake ma inny pomysł. Sięga za plecy po swoją broń i rzuca ją na podłogę obok marynarki. Zręcznymi palcami zaczyna rozpinać guzik rozporka. Zrzuca buty, zsuwa skarpetki i pozbywa się spodni. Wszystko dzieje się szybko. Nie traci czasu. Zostały jeszcze bokserki, lecz je zdejmuje wolno i starannie, wpatrując się mnie.

Teraz jest już nagi.

Widok znów mnie urzeka, choć tym razem Jake stoi bliżej. Tym razem nie jest to przypadek i tym razem nie ma śladu po niezręczności... jest jedynie akceptacja i zrozumienie.

– Weź mnie całego – nakazuje chrapliwe, kiedy zaczyna się schylać. – Proszę, po prostu weź mnie całego.

Przełykam ślinę i zaczynam trząść się, jak nigdy wcześniej. Chcę go. Całego. Całego penisa i całego Jake'a.

Ale nagle nie jestem w stanie przyjąć tego, o co w myślach prosiłam. Jest tak silny i wysoki. Wygląda, jakby jednym pstryknięciem mógł mnie złamać w pół. Pewnie mógłby. Jego penis dumnie sterczy w erekcji, a główka lśni podnieceniem. Moje sutki mrowieją pożądaniem, ale w oko wpada mi srebrna blizna szpecąca jego ramię. Spogląda w dół. Wie, co przykuło moją

uwagę. A potem w zamyśleniu lekko przesuwa koniuszkiem palca po bliźnie, by po chwili schylić się i chwycić mnie w ramiona. Unosi mnie, jakbym była piórkiem i zanosz do mojego łóżka. Delikatnie mnie na nim kładzie. Czuję, jak z ostrożnością zsuwa moje majtki wzdłuż nóg, kiedy klęka przy skraju łóżka. Jego pierś rozszerza się, gdy nabiera powietrza w płuca. Lekko kręci głową. Czuję się, jakbym była podarkiem złożonym na kamiennej płycie, który lada chwila będzie czczony. Moja przechylona na bok głowa opiera się na barku. Jake delikatnie chwyta moje ręce i układa je czule na poduszce nad moją głową, zanim przesunie po nich palcem, aż do mojej klatki piersiowej. Jęczę, nie mogąc powstrzymać się przed wyrażeniem swojej przyjemności. Jake uśmiecha się w odpowiedzi. Leżę wyciągnięta na łóżku, naga i odsłonięta. Mój oddech przyspiesza, kiedy powoli pieści moje ciało, a gdy dochodzi do sutka, wyginam plecy w lekki łuk i unoszę piersi w milczącym błaganiu.

Patrzy mi w oczy i zaczyna delikatnie muskać skraj brodawki.

– Chcesz tu poczuć moje usta? – pyta i przerywa. Ponownie kiwam głową w bezgłośnej zachęcie, ale jego palec unosi się nad rozgrzanym sutkiem.

– Mów do mnie, Camille – mówi, obserwując mnie uważnie.  
– Mów, czego pragniesz.

– Proszę – szepczę. Nie mam nic przeciwko błaganiu o jego uwagę i dotyk. Zrobię wszystko, co trzeba.

Jego palec znów zaczyna się poruszać, lecz tym razem wędruje w dół, podążając prostą ścieżką przez mój brzuch aż do uda. Cichy, urywamy jęk wyrywa się z moich ust. Moje ciało napina się w oczekiwaniu.

– Tutaj też? – Jego palce wsuwają się między moje uda i muskają pulsujące wargi sromowe.

Tracę kontrolę. Zamykam oczy i wyginam kręgosłup z kolejnym krzykiem desperacji.

– Jake, proszę! – jęczę. Moje ręce unoszą się w górę, gotowe chwycić go i przyciągnąć bliżej.

– Wchodzę. – Wsuwa we mnie dwa palce. Wypełnia mnie i zalewa płomień pożądania. – Czuję cię. – Jego głos drży, kiedy rysuje palcami kręgi, badając moje wnętrze. – Jesteś gotowa i zdesperowana.

– O Boże – wzdycham. Uspokajam się trochę pod wpływem jego intensywnego masażu. Moje mięśnie spinają się, podwajając przyjemność. Już czuję zbliżający się orgazm.

– Nie dochodź – rozkazuje. Z niepokojem otwieram oczy. Widzę, że wciąż przygląda mi się uważnie, kiedy torturuje mnie dokładnymi ruchami utalentowanych palców. – Jeszcze nie – dodaje uspokajająco, ale dotyka kciukiem mojej nabrzmiałej łechtaczki, zwiększając trudność zadania.

Nie mogę dłużej utrzymać rąk nieruchomo. Opuszczam je i przesuwam po brzuchu, rokoszując się własnym dotykiem. Podniecający koktajl doznań, który mnie zalewa, jest dla mnie nowością. Z łatwością mogłabym się od niego uzależnić. Od Jake'a już się uzależniłam. Co może mi zrobić? Jak mogę się przy nim poczuć? Zaledwie kilka chwil wystarczyło, żebym przeniosła się do świata żądy. I bezpieczeństwa.

– Dobrze ci, Camille? – pyta niskim, chrapliwym głosem. Obserwuje, jak przesuwam dłońmi po swoim brzuchu, kiedy nieprzerwanie porusza we mnie palcami.

– Tak! – Tracę zmysły, a jemu się to podoba.

– Jestem zazdrosny. – Wolną ręką chwyta moje nadgarstki i odsuwa je, czym doprowadza mnie do rozpacz.

Delikatnie, powoli przekłada mi ręce nad głowę i posyła mi zdecydowane spojrzenie. Nie pozwala mi ich ruszyć, a kiedy jest pewien, że mu się podporządkuję, wstaje i patrzy na mnie z góry.

– Bierzesz tabletki?

Kiwam głową.

– Jesteś zdrowa?

Zapewniam energicznym kiwnięciem głowy. Nie czuję się urażona. Podczas burzy żądy i pragnienia nie ma miejsca na obrażanie się. Nie ma też miejsca na myślenie, dlatego nie zadaję mu tego samego pytania. Nie to, że nie chcę.

– Ja też. – Pochyliła się nade mną i opiera ręce na materacu, po obu stronach mojej głowy.

– A moje ręce? – Chcę wiedzieć, co z nimi zrobić.

– Po prostu trzymaj je tam, gdzie są.

Jego pierś styka się z moją. Jest ciężka i twarda. Jake zgina ręce w łokciach i przysuwa bliżej twarz. Po chwili czuję, jak gorąca główka jego penisa lekko ociera się o moje wejście. Serce mi podskakuje, a on jęczy. Nieruchomieje i zamyka oczy. Stara się opanować. Przeciąga to. Z niecierpliwości kręci mi się w głowie, ale muszę pozwolić mu nieśpiesznie delektować się chwilą.

– Próbowałem nie wyobrażać sobie, jak cudownie będę się czuł. – Wypuszcza powietrze. Unosi powieki i wpatruje się w moje oczy. – Cholernie mocno się starałem.

Kolejne muśnięcie jego twardego penisa pali jak ogień. Wstrzymuję oddech, przerażona przyjemnością, której mam doświadczyć. Ponieważ wiem, że będę chciała więcej.

Jake unosi się i przesuwa biodra, by płynnym ruchem zanurzyć się we mnie. Nie śpieszy się, stopniowo wypełnia mnie i rozciąga. Jęczę, wzdycham, oplatom nogi wokół jego lędźwi. Przyciągam go do siebie i obejmuję jego ramiona.

– O rany – szepce. Opuszczam głowę i wzdycham, gdy wsuwa się we mnie płynnym ruchem. Czuję, jak jego ciało drży w moich ramionach. – Wiedziałem – mówi chrapliwie. – Cholera, wiedziałem, że idealnie będziemy do siebie pasować.

Ma rację. Jest długi i szeroki, ale moje wewnętrzne mięśnie idealnie go obejmują.

– Cudownie – błagam, w zachęcie napinając lekko biodra.

– Daj mi sekundę. – Opada na łokcie i podnosi głowę, pozwalając, aby nasze nosy się zetknęły. – Potrzebuję tylko tyle.

Chcę przyspieszyć, ale gdy widzę w jego oczach podziw, powstrzymuję się. Pozwalam jego oczom podziwiać mnie i czekam, aż odzyska równowagę. Wykorzystuję ten czas, żeby palcem malować delikatne linie na jego plecach, czym wywołuję u niego dreszcz.

– Nie pomagasz mi, Camille – cicho mnie poucza, pocierając

nosem o mój nos i wysuwając się ze mnie, aż znów ociera się o moje wejście.

Oboje wstrzymujemy oddech. Po chwili obniża biodra i znów zanurza się głęboko. Wpatrujemy się w siebie, a nasze urywane oddechy łączą się ze sobą. Kiedy znów jest cały we mnie, zaczyna zdecydowanie, ale wolno się poruszać, wzbudzając upojne doznania.

Już po mnie. Odrzucam głowę i przywieram ramionami do jego barków, kiedy znajduje swoje tempo i z idealną precyzją porusza się we mnie bez wytchnienia. Przeniosłam się z moim silnym obrońcą do świata nieskrępowanej namiętności, i modłę się, żeby nigdy z niego nie wrócić. Jęki przyjemności przerywają ciszę wokół nas, mokre skóry ocierają się o siebie, a ciała poruszają się harmonijnie. Wszystko jest idealne – dźwięki, dotyk, chwila.

Jake utrzymuje rytm, aby rozkosz trwała jak najdłużej. Jednak gdy twardnieje we mnie, wiem, że nie wytrzyma zbyt długo. Czuję też, że mój orgazm zaczyna się zbliżać.

– Opuść nogi – mówi chrapliwie, sięgając za siebie, żeby mi pomóc. – Wyprostuj się.

Jestem nieco zaskoczona, ale podporządkowuję się i prostuję nogi na całej długości.

Intensywny wybuch rozkoszy między udami natychmiast wyjaśnia jego prośbę.

– O mój Boże! – krzyczę, ale wkrótce milknę, kiedy jego usta pochłaniają moje w gorączkowym pocałunku.

Dzięki tej pozycji wkraczam na najwyższy poziom rozkoszy.

– Czujesz to? – pyta przy moich ustach, kiedy porusza się i pociera mnie w idealnym miejscu.

Jęczę i zaciskam palce na jego plecach. Orgazm szybko przybiera na sile.

– Uwolnij się, Camille – mówi, przygryzając mi dolną wargę, zanim ponownie zaatakuję moje usta.

Czuję, jak mój świat eksploduje.

## Rozdział 15

### JAKE

Nigdy wcześniej nie zaznałem tak intensywnej bliskości, takiej, że mogłem ją fizycznie odczuwać. To nie jest sposób na odwrócenie myśli. To nie środek do celu. To jest namacalne. Pulsuje w każdym mięśniu i wzbudza iskry w każdym kawałku nagiej skóry. Nigdy nie czułem się tak pochłonięty przez kobietę, żadna nie sprawiła, że pragnąłbym poświęcić dla niej duszę.

Nigdy wcześniej tak się nie czułem. Nigdy.

Wiele słów usiłuje przebić się do mojego zdezorientowanego umysłu, ale tylko jednemu się udaje.

Moja.

Przyjemność, która płynie z tulenia jej smukłego ciała, przewyższa wszystko, czego dotychczas doświadczyłem. Z łatwością zaakceptowałem to uczucie, lecz z trudem je pojmuję. Podobnie jak wszystko, co się teraz dzieje. Nie jestem czuły dla kobiet. Nie kocham się powoli, aby przedłużyć ich rozkosz, i nie pragnę, żeby chwila nigdy się nie kończyła. Ta kobieta zmieniła wszystko. I chcę, żeby to trwało.

Camille lekko dyszy przy mojej twarzy. Walczy ze sobą, aby nie zamknąć oczu. Już prawie dochodzi, a ja muszę być z nią, kiedy znajdzie ujście dla swojej rozkoszy. Unoszę się na pięściach, wciskając je w materac, żeby uzyskać lepszą pozycję.

– Zaczekaj – nakazuję, choć nie mogę zignorować rozpaczliwego błysku paniki na jej twarzy. – Już prawie koniec. – Znajduję swój rytm, dopasowuję pozycję i odzyskuję kontrolę. Już jest. Czuję, jak nadchodzi. – Cholera! – krzyczę, poruszając się szybko w cudownym cieple jej wąskiej cipki. Z każdym ruchem czuję narastające pożądanie.

– Jake! – Gdy krzyczy moje imię i gwałtownie drży przede mną, wiem, że znalazłem się na szczycie rozkoszy. Mój fiut

eksploduje, a ja krzyczę obezwładniony, czując, jak jej ciało wibruje wokół mnie, kiedy uwalniam się długim, pulsującym wytryskiem. Orgazm obezwładnia mnie, każąc mi opaść na przedramiona i uwięzić Cami pod sobą. Rozkosz trwa wiecznie; napływ krwi do głowy tłumi ciche jęki Camille przy moim uchu. Moje ciało jest zaspokojone, lecz umysł i serce nigdy nie były tak zdezorientowane. Jestem spokojny, ale i pełen obaw. Po chwili Camille wzdycha z zadowoleniem i obawy zaczynają przyćmiewać całą resztę – cały spokój i doskonałość chwili.

Cholera, czuję się jak pod obstrzałem wroga. Mój umysł zaczyna analizować opcje i szukać najbezpieczniejszej i najszybszej drogi ucieczki ze strefy zagrożenia. Tym razem mam wrażenie, jakby nie było drogi odwrotu.

To najdziwniejsze połączenie spokoju i przerażenia. Camille jest młodą, bystrą kobietą ze świetlaną przyszłością. Ja? Niezrównoważony, zgorzkniały dupek z czarną duszą i twardym sercem. Nie powinienem ryzykować narażania jej na moje problemy. Mimo to jestem pełen nadziei, że mogłaby być lekarstwem, którego nie szukałem. Wspomnienia i gorycz zawsze były we mnie obecne. Akceptowałem je. Ale odkąd spotkałem Camille, problemy rozpląły się w potężnym pragnieniu, które uniemożliwiało skupienie się na czymkolwiek innym. Ironia sytuacji jest okrutna i brutalna. Moim obowiązkiem jest ją chronić przed potencjalnymi zagrożeniami. Przed nieznanym niebezpieczeństwem.

To ja jestem największym, najbardziej realnym zagrożeniem dla tej kobiety. Potrzebuje ochrony przede mną, bo pewne jest, że ją zranię. Jestem niebezpieczny. Jej ojcu to się nie spodoba, a Lucinda pewnie skręci mi kark. Żadnego spoufalania się z podopiecznym. To najważniejsza zasada. Emocje wypaczają cel zadania i przeszkadzają w wykonywaniu obowiązków. Gwarantują też szybkie zwolnienie z agencji. Ale, do jasnej cholery, tak wiele emocji szaleje we mnie w tej chwili, że nie jestem w stanie ich powstrzymać. Z bezsilnością nie radzę sobie dobrze. Muszę mieć cel. Moim celem jest praca. To, co właśnie zrobiłem, może mnie

zgubić. Znowu znajdę się w mrocznej pustce. Bez celu. Jedynie w towarzystwie koszmarów.

Zamykam oczy i unoszę biodra, wysuwając się z jej ciepła. Ignoruję poczucie straty, jakie ogarnia mnie, gdy opuszczam jej ciało. Jej sennie pomruki sprzeciwu byłyby słodką muzyką dla moich uszu... gdyby w mojej głowie nie toczyła się walka.

Co, do diabła, narobiłem?

Opadam na plecy, krzyżując ręce na piersi i wpatruję się w sufit. Kusi mnie, żeby sięgnąć po pistolet i wpakować sobie kulkę w łeb. Równie kuszące jest, żeby ubrać się, wziąć torbę i wyjść. Ale wtedy Camille zostanie bez ochrony.

Ale kto będzie ją chronił przede mną? Kto ją ostrzeże, powie jej, że nie jestem dla niej dobry? Dobrze wiem kto. Ja sam. Powinienem to zrobić. Odwracam głowę na bok, gdy Camille porusza się przy mnie. Widzę, jak leży na plecach z ramionami bezwładnie zarzuconymi nad głową. Jej jasne włosy ułożyły się w wachlarz na poduszce. Drzemie z twarzą wciśniętą w zgięcie przedramienia. Wygląda jak anioł. Słodka, niewinna i bezbronna.

Moja.

– Skurwiel – dyszę i odpycham się od materaca, zanim poddam się instynktowi i przytulę ją mocno. Siadam na skraju łóżka. Opieram łokcie na kolanach i pozwalam twarzy skryć się w dłoniach.

– Jake. – Jej słodki głos jest senny i urywany, ale aksamitny ton muska moją nagą skórę, wywołując dreszcze. Zerkam przez ramię i widzę, że spogląda na mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Idź spać, Cami. – Moja odpowiedź jest odruchowa, podobnie jak potrzeba dotknięcia jej. Odwracam się nieco i sięgam do jej twarzy, żeby odsunąć złociste kosmyki z kremowych policzków. Mruczy pod moim dotykiem i zamyka oczy.

Moje cholerne serce rozpada się na drobne kawałki. Niechętnie odrywam dłoń od jej twarzy i wstaję, walcząc z szalejącym we mnie impulsem, żeby wrócić do łóżka i tulić ją przez całą noc.



Dystans.

Potrzebuję dystansu. A raczej tyle dystansu, ile mogę mieć podczas chronienia kogoś. Siadam na krześle przy oknie. Mojemu ciału nie podoba się wybór miejsca do siedzenia którego dokonał umysł. To małe krzeselko, raczej do celów dekoracyjnych niż dla dużego, dobrze zbudowanego faceta jak ja, który usiłuje rozsiąść się na nim wygodnie, na co raczej nie ma szans. Wiercę się raz w jedną stronę, raz w drugą, aż wreszcie osiągam coś zbliżonego do wygody. Tyłek lokuję na skraju, co pozwala mi się odchylić, a nogi prostuję i krzyżuję w kostkach. Dam radę. Przeżyłem gorsze rzeczy.

Kładę łokieć na oparciu i wsuwam zaciśniętą dłoń pod brodę.  
I wpatruję się w Camille.

Przez całą noc.

A z każdą minutą wyrzuty sumienia przybierają na sile.

Nigdy nie potrzebowałem wiele snu. Po prostu tak mam. Zmęczenie jest mi obce, więc to, co teraz czuję, to nowość. A czuję się wykończony. Kompletnie wypompowany. I jeszcze głowę mi rozsadza. Generalnie mam wrażenie, jakby ktoś mnie wyżył. Nawet mój dobry kumpel Jack Daniel's nie potrafi doprowadzić mnie do takiego stanu.

Siedzę tu od sześciu godzin i obserwuję, jak śpi. To najbardziej pokręcone chwile w moim życiu. I najprzyjemniejsze. Przekląłem pod nosem więcej razy, niż jestem skłonny się przyznać. A co tam, przyznam się. I tak nic nie pogorszy sytuacji. A sytuacja jest zła. A właściwie okropna. Moje sumienie mówi mi, że bym wyszedł, zanim Camille się obudzi, i miał nadzieję, że pomyśli, że to był tylko sen. Natomiast głęboko zakorzeniona zaborczość, o której istnieniu nie miałem pojęcia, zachęca, że bym otulił ją ciepłym kocem i nigdy nie wypuścił z ramion.

Wewnętrzny konflikt miesza mi w głowie, uniemożliwiając zebranie myśli i odzyskanie zdrowego rozsądku. Wziąłem pod uwagę wszystkie możliwe zastępstwa; każdego, komu mógłbym powierzyć ochronę Camille. Znam kilka osób – doświadczeni ochroniarze o dobrej reputacji – ale nikt nie jest tak dobry jak ja,

choć obawiam się, że mój osąd może być wypaczony. Myślę o kilku ostatnich dniach, a zwłaszcza krwawej jatce, która miała miejsce wczoraj w damskiej toalecie.

Ale nie żałuję niczego. Nie, nieprawda. Żałuję jednej rzeczy.

Twarzy Camille, kiedy warknąłem na nią, zaślepiony wściekłością. Dostrzegła we mnie mrok. Mrok, który muszę ukryć, zwłaszcza przed nią. Jej wzrok był pełen pytań. Czuję instynktowną chęć odpowiedzenia na nie, podzielenia się swoim ciężarem. W równej mierze nienawidzę i uwielbiam to, jak ona na mnie działa. Czytałem o niej. Dołączyłem do bandy idiotów, którzy myślą, że rozgryźli tę młodą kobietę. Przez jej rodziców, zapędy mediów do rozdmuchiwania niewinnych wydarzeń i wpływ toksycznego chłopaka wszyscy w Londynie myślą, że przejrzeni Camille Logan. Wystarczyło jednak, że spędziłem kilka minut w jej towarzystwie, a doszedłem do wniosku, że to, o czym czytałem, jest grubą przesadą. Osoby, które ją znają, też wiedzą, że to stek bzdur, ale świat jest pełen cyników i ludzi, którzy żerują na nieszczęściu innych.

Cichy pomruk i ruch jej ciała sprawiają, że moje serce boleśnie przypomina o swojej obecności, a kręgi rozciągają się, każąc mi wyprostować zgarbiony kręgosłup. Pozwalam skonfliktowanym myślom odpłynąć i w milczeniu obserwuję, jak jej nagie ciało leniwie rozciąga się na pościeli.

Mój fiut też się budzi.

Spoglądam w dół i przykładam dłoń do krocza, zmuszając kutasa, żeby leżał spokojnie przy udzie. Na próżno. Różowe brodawki jej idealnych piersi wołają mnie, a moje nagie stopy zaczynają przebierać po dywanie. Siedzę sztywno na krześle i gorączkowo szukam spokoju. To najbardziej ambitne zadanie, jakiego się podjąłem. Pragnę jej całym sobą. Wszystko mi mówi, że bym położył się obok na łóżku, przytulił ją i chronił. Nie mam zamiaru obrażać własnego instynktu i wmawiać sobie, że przemawia przeze mnie profesjonalizm ochroniarza. To coś więcej. Zanurzyłem się w jej ciele i kochałem się z nią z delikatnością, o jakiej sobie nie podejrzewałem. Moja potrzeba chronienia tej

kobiety nie wypływa z poczucia obowiązku. To instynkt.

Camille otwiera oczy i patrzę, jak zaczyna się orientować w sytuacji. Widzę, że jej umysł wyświetla obrazy z wczorajszego dnia. Wiem, kiedy cofa się do obiadu z apodyktyczną matką. Uśmiecham się na wspomnienie jej śmiechu. I wiem, kiedy przypomina sobie zajście z barowej toalety. Jej oczy robią się okrągłe, a ręka unosi się do śladu na kremowym policzku. Widzę też, kiedy myślami wraca do chwil spędzonych ze mną. Jej ciało nieruchomieje, jakby starała się ustalić, czy to był tylko sen. Moje ciało też nieruchomieje, a serce zwalnia do monotonnego rytmu. Cichy jęk, który po chwili wydaje, sprawia, że wstrzymuję oddech. Camille zrywa się i siada. Zaczyna gorączkowo rozglądać się po pokoju.

Tutaj, aniołku.

Siłą woli powstrzymuję się przed powiedzeniem tego na głos, ale to nie ma znaczenia. Nie muszę jej wołać.

Znajduje mnie w ułamku sekundy. Czuję jej spojrzenie jak cios. Po chwili spuszcza wzrok i wpatruje się w swoje kolana. Kręci głową, jakby starała się przemówić sobie do rozsądku, a potem powoli przenosi spojrzenie na mnie. Żar dalej we mnie szaleje.

– Wracaj do łóżka – szepce, jakby nie była pewna, czy to dobry pomysł. Wiem, że powinienem jej odmówić. Tysiące razy mówiłem to innym kobietom.

Ale słowa nie wychodzą z moich ust.

Nie mogę ich znaleźć.

A szukam naprawdę intensywnie.

Obserwuję, jak siedzi na łóżku. Cudowny nieład jej włosów wokół ślicznej twarzy. Długie nogi drżą z niepewności. Przestaję szukać słów odmowy. Nie chcę ich znaleźć.

Uwalniam fiuta od ograniczającej go dłoni i pozwalam mu robić to, na co ma ochotę. A ma ochotę wznieść się, jakby wskazywał drogę. Nie umyka to uwadze Camille. Jej wzrok, pełen nadziei, choć zdenerwowany, pada na moje uda. Rozchyła usta i moim oczom ukazuje się lśniący język. Powoli wstaje z krzesła i

wykorzystuję każdą sekundę, jakich potrzebuję na wyprostowanie się, żeby zaakceptować swoje przeznaczenie. Nigdzie się nie wybieram. Ona jest moim przeznaczeniem.

Nie jestem przygotowany na walkę. Wszystkie wątpliwości i nienawiść do samego siebie znikają na widok jej dużych, okrągłych oczu, które wpatrują się we mnie. Ponieważ sądząc po jej drzeniu, przerażeniu, niepewności i... nadziei, pragnie mnie równie mocno jak ja jej.

Może i tego nie rozumiem, ale nie jestem gotowy, aby ignorować swoje uczucia. Moja przeszłość nie jest jedynym wyzwaniem, jakiemu będę musiał stawić czoło, jeśli zechcę z nią być. Jest jeszcze jej ojciec, moja agencja i jej były facet. Na mojej drodze stoi wiele problemów i wszystkie będę musiał rozwiązać. Nie mam zamiaru udawać, że to łatwe. Ale dla niej...

Odpowiadam na jej milczące błaganie i podchodzę pewnym, równym krokiem.

Pieszczę ją wzrokiem i zapamiętuję każdy centymetr jej ciała. Zwalczam myśl, że moja podświadomość robi to nie bez przyczyny. Jakby przygotowywała się na nieuniknione. Jakby przywilej patrzenia na jej ciało miał się niedługo skończyć.

Staję przy łóżku. Camille unosi podbródek, a kiedy nasze spojrzenia spotykają się, modłę się, żeby nie zobaczyła, jak moje ciało zaczyna drżeć. Przeraża mnie ból, jaki mogę jej zadać. Nienawiść, jaką mogę w niej wzbudzić. Mrok, którym mogę zgasić jej blask.

– Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry, Camille – mówię. Szczegóły nie są ważne. Nie obciążę jej bardziej niż już to zrobiłem. Mówię to z poczucia obowiązku: ostrzegam ją, ponieważ czuję, że tak należy. Może to szlachetne, ale nie wiem, co pocznę, jeśli mnie posłucha.

Kiedy się spodziewam, że wzdrygnie się ze zgrozą, przysuwa się do mnie bliżej. Chwyta moje ręce i ciągnie mnie. Chętnie się jej poddaję, klękając przed nią. Owija nogi wokół mojego pasa. Siła jej ud osłabia mój rozsądek. Po chwili wędruje dłońmi wzdłuż mojego brzucha, aż dochodzi do barków, przyciąga mnie do piersi

i wtula twarz w zagłębienie szyi. Poczucie, że jestem we właściwym miejscu, przyćmiewa panikę i natychmiast mnie uspokaja. Idąc śladem Camille, obejmuję jej plecy i podziwiam jej determinację. Jest cholernie silna.

Podnoszę ją, przytulam mocno i idę do łazienki. Odkręcam prysznic, wciąż trzymając ją przy sobie. Osłaniam ją swoim ciałem i pozwalam spokojowi spłynąć na mnie. Moje wysiłki, żeby ją odstraszyć, były nieudolne, ponieważ nie chcę, żeby odeszła.

Poddaję się jej uściskowi, gdy czekam, aż temperatura wody wzrośnie. Staram się oczyścić umysł ze wszystkiego poza poczuciem spełnienia, które ogarnia mnie w chwili czułości. Czułość. Kolejna rzecz, która jest dla mnie nowa. Wczoraj wieczorem, po skopaniu dupy tamtej gnidzie, moim priorytetem było zapewnienie jej bezpieczeństwa. Nie lekceważę faktu, że mój fiut pulsował potrzebą, ale jestem świadom, że silniejsza okazała się potrzeba wielbienia jej ciała. Nie chciałem jej tylko zerznąć. Przerwałem pożądlivy pocałunek, zanim poddałem się instynktowi, co skończyłoby się dymaniem dla orgazmu. Chciałem rozkoszować się tym, jak się otwiera pod moim delikatnym dotykiem. I właśnie to zrobiłem, upajając się każdą sekundą intensywniej niż powinienem.

Kiedy para wypełnia pomieszczenie, wchodzę pod prysznic i stawiam ją na nogi. Camille zaskakuje mnie, bo pada na kolana. Spogląda na mnie namiętnym wzrokiem. Widzę, co chce zrobić, więc odchylam głowę w oczekiwaniu.

Chwyta moje biodra i przyciąga do siebie. Mój fiut znajduje jej usta, jakby miał zamontowany radar.

– Camille! – Obejmuję jej głowę i czuję, że moje napięte mięśnie zaczynają drżeć.

Dotyku jej ust na moim pulsującym kutasie nie da się porównać z niczym, co przeżyłem. Pochylam głowę i widzę wodospad blond włosów, który zakrywa jej ciało. Chcę ją zobaczyć. Chcę zobaczyć, jak jej usta doprowadzają mnie do ekstazy. Odsuwam jej włosy z twarzy.

Nigdy nie zapomnę tego widoku. Jest cudowny. Jej usta

przesuwają się płynnie w przód i tył, powoli i ostrożnie. Oczy ma zamknięte z rozkoszy. Rozluźniam napięte mięśnie i cały oddaję się cudownemu uczuciu. Mój plan, aby ją odepchnąć od siebie, był z góry skazany na klęskę. Camille jest jedną wielką pokusą.

Przysuwam dłoń do jej policzka. Jęczy ze mną w ustach i przekornie przesuwa zębami po moim kutasie. Moje jaja twardnieją, a kolana mięknią. Wędruję dłonią z jej policzka do karku i czuję, że moje biodra zaczynają dostosowywać się do ruchów jej ust.

– O Jezusie – dyszę.

Znów jęczy, tym razem głośniejszym głosem. Wibracje łaskoczą końcówkę mojego fiuta, kiedy dochodzi do ścianki jej gardła. Potem się cofa i ujmuje dłonią podstawę. Trzyma mnie mocno, kiedy liże i ssie wilgotną końcówkę. Spuszczam wzrok i patrzę, jak Camille jęczy z przyjemności, gdy zlizuje kroplę jak najśłodszy deser.

I mimo że rozkoszuję się każdym liźnięciem i ssaniem, jakimi mnie obdarza, i upajam się niesamowitymi doznaniem, jakie wywołuje, pragnę wziąć od niej więcej. Chwytam jej włosy i delikatnie odsuwam od mojego krocza. Uśmiecham się, kiedy spogląda na mnie zaskoczona. Nie daję jej czasu na pytanie, co się ze mną dzieje. I tak nie zdołałbym tego wytłumaczyć.

Zdecydowanym chwytem za ramię pomagam jej stanąć na nogach i popycham, aż jej plecy stykają się ze śliskimi kafelkami. Camille wstrzymuje oddech i spogląda na mnie w zaskoczeniu.

– Dziękuję – mówię szczerze. Ale to moje zadanie, żeby obsypywać ją pieszczotami, na jakie zasługuje. Biorę jej udo i unoszę do swojego pasa. – Jesteś cudowna, Camille, ale nic nie dorówna dotykowi twojej ciasnej, ciepłej cipki wokół mojego fiuta.

Radość pojawia się w jej topazowych oczach, a na twarzy rozkwita szczęśliwy uśmiech. Po chwili unosi drugą nogę i obejmuje mnie mocno, zanim pozwoli mi wejść w siebie. Czuję swój zapach na jej ciele; upajające połączenie mojego potu i jej kobiecego, kwiatowego zapachu to mieszanka wybuchowa.

Lekko pcham, przełamując początkowy opór. Zapiera mi dech w piersiach. Jej wilgotne i kuszące wargi chwytają mnie. Całuję ją nieprzerwanie, aż całkowicie wypełniam jej ciało. Gorącą miękkość jej wnętrza można porównać jedynie do miękkiego koca, który otacza moje ciało i rozgrzewa w środku.

Spełnienie. Satysfakcja. Ulga. Spokój. To zderzenie z rzeczywistością, które mówi mi, że straciłem zbyt wiele czasu zadreęczając się czymś, co smakuje tak naturalnie, że nie może być niewłaściwe. Nie będę tracił więcej czasu na szukanie w tym sensu czy wybijanie sobie tego z głowy.

Moja. I nawet ja jej sobie nie odbiorę.

## Rozdział 16

### CAMI

Jest wobec mnie tak samo ostrożny i delikatny, jak był zeszłej nocy, mimo że przyciska mnie do ściany. Moja ulga jedynie podwaja przyjemność. Może i zdołał oszukać siebie, ale mnie nie oszuka. Każde słowo, które powiedział mi wczoraj, wryło mi się w pamięć. Nie wymaże ich udawanym zdecydowaniem ani żalną próbą zachowania profesjonalizmu. Nie odstraszy mnie, jeśli będzie mówił bez przekonania. Wie, że nie jestem głupia. Zna mnie. Nie widzi we mnie osoby z gazet i nie patrzy na mnie przez pryzmat mojej rodziny.

On mnie rozumie.

Nie pozwolę mu o tym zapomnieć.

Jego plecy są śliskie i cudowne w dotyku. Nasze usta poruszają się w idealnej synchronizacji, języki się splatają, a jęki łączą w jeden. Porusza się we mnie z precyzją i każdym pchnięciem dociska mocniej do ściany. Pozwalam dłoniom przesunąć się po jego mokrej skórze i zanurzyć się w wilgotnych włosach, żeby przycisnąć jego usta mocniej do moich.

Jego penis przesuwa się we mnie niczym miękkim aksamitem. Każde zanurzenie przybliża mnie do orgazmu, każde cofnięcie sprawia, że jęczę z desperacji. Jak na tak potężnego, niekiedy groźnego mężczyznę, jest niezwykle czuły i łagodny, co sprawia, że pragnę go jeszcze bardziej. Jestem całkowicie nim urzeczona. Przygryza łagodnie moją wargę. Po chwili wpatruje się we mnie pełen zachwyty.

– Jesteś wyjątkowa – mówi i chwytając za uda, unosi mnie wyżej, żeby pogłębić połączenie naszych ciał.

Krzyczę, gdy czuję go tak głęboko.

Jake tylko się uśmiecha, wyraźnie delektując się tym, jak na mnie działa.



– Czujesz to? – Jego głos nabiera ostrości.  
Kiwam głową w upajającym połączeniu rozkoszy i bólu.  
– Dobrze. – Przytrzymując mnie za uda, po raz kolejny z idealną precyzją wbija się we mnie potężnym ciałem.  
Tym razem krzyczę.  
– Jesteś moja, Camille Logan? – Przyciska ręce do ściany po obu stronach mojej głowy. – Możesz to zaakceptować?  
Znów krzyczę i odrzucam głowę do tyłu. Czy naprawdę chce, żebym mu odpowiedziała? Każe mi myśleć, kiedy wzbudza we mnie tak intensywną przyjemność! To nie jest fair!  
– Jake! – krzyczę, kręcąc głową, gdy on nie oszczędza mnie kolejnymi zdecydowanymi pchnięciami.  
Już nie jest łagodny, ale brutalny. Jednak gdy odzyskuję ostrość wzroku, wciąż widzę czułość w jego ciemnych oczach. Jego wola, żeby wejść we mnie, jest niczym więcej niż desperacką nadzieją. Jake daje się ponieść chwili i uświadamiam sobie, że powiedzenie tego, co chce usłyszeć, jest naprawdę łatwe.  
– Akceptuję to – dyszę. Ujmuję jego policzki i rozkoszuję się wyrazem ulgi na jego twarzy pokrytej kilkudniowym zarostem.  
W jednej chwili zwalania tempo; domyślam się, że to strach przed brakiem kontroli był źródłem jego bezwzględności. Strach, że mogę odmówić. Zrozumiałam część jego skomplikowanego umysłu. I mam zamiar zrozumieć resztę. Chcę poznać go na wylot. Bo czuję, że on mnie tak zna. Teraz wie o wszystkim, nawet o przemocy Sebastiana. Trzymałam to w tajemnicy z bardzo prostego powodu. Niektórzy ludzie widzą słabość w kobiecie, która godzi się na takie traktowanie. Inni bywają pełni nieznośnego współczucia. Nie chcę ani jednego, ani drugiego. Jake to wie. Zna mnie.  
Wracamy do stałego rytmu, a teraz, kiedy wyjaśniliśmy sobie, na czym stoimy, oboje zbliżamy się do potężnego orgazmu.  
Przyciska twarz do mojej szyi i przygryza ją kiedy odrzucam głowę do tyłu i pozwalam poddać się napływającej przyjemności. Jego gruby fiut wsuwa się we mnie głęboko, gdy Jake intensywnie pracuje biodrami.

– O Boże! – Orgazm nadchodzi i uderza z pełną siłą. Jego intensywność przenosi mnie do świata rozkoszy. – O! O! O mój Boże! – Wbijam paznokcie w plecy Jake’a, kiedy krzyczy przy mojej szyi i drży.

Wiem, kiedy szczytuje, i nie tylko dlatego, że zalewa mnie jego ciepła esencja. Jego kolana uginają się, pociągając nas na podłogę prysznic. Jake opada na plecy razem ze mną. Oddycha przerywanie i głośno.

– Jasna cholera. – Puszczam go i unoszę ręce nad głowę, kiedy poruszam się w rytmie jego drżącego ciała.

Jestem skłonna się z nim zgodzić.

Mój świat zerwał się i mknie ku nieznanemu.

Budzę się w swoim łóżku, przepelniona spokojem. Jake otula mnie ramionami, gdy leżę na jego piersi. Pokój jest spowity ciemnością, choć musi być środek dnia, ale zaciągnięte zasłony nie wpuszczają światła. Czuję się cudownie zaspokojona, taka spokojna. Jakby niewidzialny ciężar spadł z moich ramion. Patrzę na jego pogodną twarz i uśmiecham się. Zaczynam powoli odsuwać się do niego i uśmiecham się szerzej, kiedy otwiera jedno oko i marszczy czoło.

– Muszę zadzwonić – mówię. – Moja agentka ma dla mnie informacje o kampaniach, w których występuję, i o jutrzejszych zdjęciach.

– Pośpiesz się – mruczy. Taki mam zamiar. Rozluźnia uścisk i przewraca się na brzuch.

Szybko wrzucam na siebie T-shirt, biorę telefon, który wyświetla kilka nieodebranych połączeń od Heather, i dzwonię do agentki. Słucham, jak wylicza szczegóły kampanii, a potem sugeruje kilka zmian w moim portfolio. Słyszę ją, ale myślami jestem wciąż w sypialni z Jakiem i odtwarzam każdą sekundę z wczorajszej nocy i dzisiejszego poranka. Nie mogę się doczekać, żeby wrócić do niego.

Rozłączam się i ruszam do sypialni, ale telefon wibruje mi w rękę. Przez ułamek sekundy martwię się, że mój ojciec dowiedział się o mnie i o Jake’u. Potem się uśmiecham. Skąd miałby to

wiedzieć?

Widzę imię Heather i odbieram.

– Hej.

– Jezu, Camille!

Wracam do kuchni i wskakuję na blat.

– Co jest? – pytam nonszalancko. Nazwijcie mnie okropną koleżanką, ale nie mogę jej opowiedzieć o tym, co się stało. Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział. Oczywiście, ufam jej, ale to jest... skomplikowane.

– Żartujesz sobie? Widziałam twoją twarz, kiedy wczoraj cię wynosił. I widziałam jego twarz!

– Wykonywał swoją pracę, Heather.

– Nie pieprz, Camille! – Chyba jest naprawdę zirytowana.

Nie dziwię się, ale poczucie winy nie zachęca mnie do potwierdzenia jej domysłów. – Gdzie jest Jake?

– Pracuje na laptopie – kłamię, pomijając fakt, że wciąż leży w łóżku. Moim łóżku. Do którego zamierzam wskoczyć, jak tylko Heather skończy mnie przepytywać i się rozłączy.

– Pewnie – wzdycha. – Widzę, że niczego się nie dowiem.

– Nie ma się czego dowiadywać.

– Sebas...

– Proszę, nie – przerywam jej. – Nigdy więcej nie chcę o nim rozmawiać.

Przez kilka sekund milczy, aż wreszcie z wyraźnym zmęczeniem wypuszcza powietrze. Wie, że mam rację.

– Żebyś wiedziała, Cami, cieszę się, że Jake tam był.

– Ja też – mówię cicho.

– Jakie masz plany?

– Muszę przejrzeć swoje portfolio.

– Pomóc ci?

Mam coraz większe wyrzuty sumienia, kiedy zerkam na drzwi sypialni.

– Nie, dzięki. Zadzwoń jutro, okej?

– Okej. – Heather poddaje się z głośnym westchnieniem i rozłącza się. Nie tracę czasu na zadręczanie się kłamstwem. Pędem

wracam do pokoju i wskakuję na łóżko, uśmiechając się, kiedy Jake chwyta mnie i przyciąga do swojego cudownego torsu.

– Zostajemy tu do jutra – mówi mi do ucha sennym głosem.

W odpowiedzi wzdycham i wtulam się w jego ciepłą pierś.

Jutro nadchodzi zbyt szybko. Kierownik sesji zdjęciowej nie jest zachwycony, kiedy pojawiając się w studio z siniakiem na policzku. Za każdym razem, kiedy Jake patrzył na mnie, jego oczy lśniły złością, więc odruchowo zakrywałam pamiątkę po okropnym wieczorze. Ale za każdym razem, kiedy przykładam dłoń do policzka, odciągał ją i schylał się, żeby pocałować ślad.

Heather wieczorem znowu zadzwoniła, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jake wciąż był w moim łóżku. Wyjawiała, że Seb nie zgodził się pojechać do szpitala, a ja wiem dlaczego. Gdyby jego rodzice lub pracodawcy dowiedzieli się o jego nałogu, wylądowałby na odwyku szybciej, niż Jake wyciąga swoją broń. A wyciąga ją cholernie szybko. Widziałam to tylko raz i mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę. I bez załadowanej broni w ręku wygląda wystarczająco groźnie.

Uśmiecham się na wspomnienie, jak Jake nie mógł wczoraj utrzymać rąk z dala ode mnie. Mówił serio. Cały dzień spędziliśmy w łóżku. Ale kiedy dzisiaj rano wyszliśmy z mieszkania, był zdystansowany i profesjonalny. Niemal surowy i chłodny. Jego podenerwowanie było wyczuwalne. Przez całą drogę do studia nie odstępował mnie na krok. Uważnie obserwował jezdnię i każdy element otoczenia. Nie mam wątpliwości, że ma to związek z faktem, że dziś upływa trzeci dzień od dostarczenia pogróżki. Jake jest super czujny.

Kładę torebkę na podłodze i stoję nieruchomo, podczas gdy Lawrence, kierownik sesji, narzeka na mój posiniaczony policzek, krzywiąc się i mruczając pod nosem. Nie pyta mnie, skąd mam taki rzucający się w oczy ślad ani jak się czuję. Przejmuje się tylko tym, jak skierować światło i pod jakim kątem mnie ustawić, żeby aparat nie widział tej strony mojej twarzy. Podejrzewam, że makijaż zajmie dziś więcej czasu niż zwykle.

– W najgorszym razie zastosujemy makijaż natryskowy –

oświadcza, pstrykając palcami. Młoda brunetka przybiega z paletą podkładów i pędzlem. – Naprawdę, Camille – mówi z wyrzutem, gdy robi miejsce dla makijażystki. – Zdjęcia były zaplanowane od tygodni, a tobie zachciało się zniszczyć sobie twarz.

W myślach przewracam oczami i zauważam, że Jake z oddali gniewnie spogląda na Lawrence'a. Nie wygląda na zadowolonego, a kiedy podchodzi, obawiam się najgorszego. Lawrence nieufnie łypie na Jake'a, który staje przy nas. Spoglądam na niego, podczas gdy makijażystka przesuwając po moim policzku pędzlem ciężkim od korektora.

– W porządku? – pytam. Narastające napięcie jest namacalne.

Jake chrząka w odpowiedzi i wpatruje się w Lawrence'a, dopóki kierownik nie wycofa się, rzucając rozkazy swojej ekipie.

– Dupek – cedzi Jake i wraca wzrokiem do mnie. Jego oczy łagodnieją i przez kilka minut obserwuje, jak pędzel muska moją twarz.

– Całkiem nieźle – mówi makijażystka, odsuwa się i ocenia efekt swojej pracy. – Przejdźmy na moje stanowisko, żebyśmy mogła skończyć swoje czary-mary.

– Super – uśmiecham się. – Będę za sekundę.

Zostawia nas samych, a kiedy oczy Jake'a ciemnieją, uświadamiam sobie, że znów sięgam policzka. Podchodzi do mnie, co robi zawsze, kiedy usiłuję ukryć siniak. Chce chwycić moją rękę, ale zatrzymuje się w połowie drogi. Rozgląda się dookoła. Przypomina sobie, że jesteśmy wśród ludzi, i porzuca ten pomysł.

– Co to za reklama? – pyta.

– Perfumy – mówię i wskazuję na kąt pomieszczenia, gdzie stoją duże białe ekrany. – Czysty i minimalistyczny zapach nowej projektantki, który uzupełnia jej linię ubrań. Motyw też jest minimalistyczny. Srebro na tle bieli. – Widzę, jak zaciekawienie pojawia się na jego twarzy, kiedy dociera do niego, co powiedziałam.

– Minimalistyczny motyw? – pyta, skupiając się na tym jednym szczególe. – Co to znaczy?

Wybucham śmiechem i podnoszę torebkę.

– To oznacza, że nie będę miała za wiele na sobie.  
Szttywnieje od stóp do głów.  
– Co oznacza „nie za wiele”?  
– Majtki.  
– A tu? – Jego ciemne oczy stają się zaniepokojone, kiedy unosi rękę i wskazuje na moją pierś.  
– Nic. – Bawi mnie jego widoczny niepokój. Nieważne, że aparat będzie pod takim kątem, że da wrażenie pełnej nagości bez pokazywania szczegółów. Jake tego nie wie, więc z przyjemnością się z nim drocę.  
– Nic? – pyta i zaczyna rozglądać się dokoła, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu. Może bezpiecznie mówić. Wszyscy są zbyt zajęci rozkładaniem planu. – Cami... – Robi krok naprzód i schyla głowę, żeby móc mówić szeptem. – Nigdy nie pozowałaś nago i nie jestem pewien, czy ten krok pomoże ci w karierze. Ubrania są twoją domeną. Nie rezygnuj z nich.  
Powstrzymuję rozbawienie, co nie jest łatwe. Jake stara się być dyplomatyczny, ale tak naprawdę myśli – do czego się nie przyzna – że nie podoba mu się, że będę świeciła cyckami przed całym światem. Jego zaborczość bardzo mnie zadowala.  
– Będę skupiała się na ubraniach – zapewniam go. – Ale to olbrzymia kampania z potężnym wsparciem inwestorów. Zaufaj mi, ten krok pomoże mi w karierze.  
Patrzy na mnie gniewnie. To jego najbardziej urocze spojrzenie. Po chwili prostuje swoje wysokie ciało, najwyraźniej zastanawiając się intensywnie, co powinien powiedzieć.  
– Nie mogę tu siedzieć i patrzeć na twoje praktycznie nagie ciało. Oszaleję przez to. – Mija mnie, a ja uśmiecham się szeroko, gdy obserwuję, jak usiłuje dyskretnie uspokoić rejon swojego krocza i mruczy coś pod nosem.  
– Camille!  
Znajomy, radosny głos odciąga moją uwagę od zamyślnego ochraniacza. Patrę na wejście do garderoby po drugiej stronie studia.

– Shaun! – Podbiegam, żeby go wyściskać. W tym samym roku zaczęliśmy pracę w modelingu. Ta sama agencja zauważyła nas mniej więcej w tym samym czasie.

Shaun to prawdziwe ciacho: jest wysokim, przystojnym brunetem, a zawadiacki dołeczek w rodzie to jego znak firmowy. Kobiety padają u jego stóp, ale on jest zaręczony z Cynthią, prezenterką telewizji śniadaniowej. Jest szczęśliwie zakochany i zupełnie nie zauważa zainteresowania, jakie wzbudza. Jest skromny i pokorny. Uwielbiam go.

– Co u ciebie? – Zarzucam mu ramiona na szyję, nieporuszona faktem, że facet ma na sobie jedynie skąpą srebrną bieliznę.

Śmieje się i ściska mnie.

– Super. – Puszczam mnie, ale stoi na wyciągnięcie ręki. Jego zadowolona mina zmienia się w chwili, gdy zauważa mój policzek.

– Co się stało?

– Och, nic takiego – mówię, zbywając jego pytanie, które również maluje się na jego twarzy. – Fajne majtki! – Spoglądam na skrawek srebrnego materiału, który zakrywa jego męskość.

Wybuch śmiechem.

– Nie bądź taka cwana. Twoje są mniejsze.

Chichoczę i daję mu kuksańca w ramię, zauważając, że z zainteresowaniem patrzy w punkt za moimi plecami.

– Słyszałem, że wynajęłaś sobie ochroniarza – mówi cicho. – No i proszę, to prawda.

Spoglądam na niego i po chwili zerkam przez ramię. Okazuje się, że Jake nie wyszedł jeszcze ze studia. Niczym jastrzęb obserwuje mnie z drugiego końca pomieszczenia. Wygląda na super czujnego zawodowca.

– Zgadza się.

– Jestem hetero, Camille, ale nawet ja bym go z łóżka nie wyrzucił.

– Shaun! – parskam, ponownie go uderzając. – Przestań i mów, co u Cynthii.

– Jak zawsze jest cudowna – odpowiada szybko, czym

wywołuje u mnie uśmiech. – Była wkurzona, że musiała iść do pracy i nie mogła wpaść się przywitać.

– Musimy się niedługo spotkać – mówię. Widzę, że makijażystka wystawia głowę zza drzwi i rozgląda się za mną. – Słuchaj, wołają mnie. – Cmokam go w policzek. – Widzimy się na planie.

– Do zobaczenia za chwilę.

Zostawiam Shauna i idę do garderoby, ale zanim zrobię trzy kroki, na drodze staje mi Jake. Spogląda na mnie z niepokojem.

– Wszystko w porządku? – pytam. Nie podoba mi się jego mina. Jest zbyt nerwowy.

– Kto to był?

Marszczę czoło.

– Shaun?

– Tak ma na imię? Ten lalusz w błyszczących gaciach?

– Mówisz o srebrnych spodenkach?

– Jak zwał, tak zwał. – Macha ręką. – Kto to?

– Model, z którym będę pozowała. – Widzę, że makijażystka znów się pojawia i stuka w zegarek. – Muszę iść się przygotować. – Chcę go minąć, ale blokuje mi przejście.

– Camille... – Jake podchodzi blisko i ponownie usiłuje nie rzucać się w oczy. Jest potężnym facetem o groźnym spojrzeniu. Nie ma szans, żeby nie rzucał się w oczy. – Przed chwilą powiedziałaś, że praktycznie nic nie będziesz miała na sobie, a teraz mówisz, że Pan Błyszczące Gacie będzie się o ciebie ocierał?

Zaciskam usta i zastanawiam się, jak najlepiej uspokoić jego obawy.

Coś mi mówi, że w tej sytuacji nic nie pomoże, a jeśli pomoże, to nie na długo, zwłaszcza kiedy zaczną się zdjęcia, a Lawrence zacznie instruować mnie i Shauna, jakie pozy mamy przyjąć.

– To moja praca – mówię cicho.

– To będzie cholerna męczarnia. Tak właśnie będzie, Camille.

– Nabiera powietrza i już zaczyna się przygotowywać.

Przez chwilę go obserwuję, świadoma, że obecność Shauna



na planie nie jest jedynym powodem zdenerwowania. Od rana jest podenerwowany.

– Nerwowy dziś jesteś.

Patrzy na mnie.

– Dziwisz się? – pyta, wskazując głową na garderobę Shauna. Unika prawdziwego problemu, który wymaga znacznie większej uwagi niż mój półnagi przyjaciel model.

– Dzisiaj jest trzeci dzień. – Nerwowo przygryzam wargę, ale kiedy Jake nie reaguje, wzdycham. – Powinieneś zaczekać na zewnątrz.

– Wolę tu poczekać – mruczy i usuwa się na bok, żeby mnie przepuścić. – Baw się dobrze. – W jego słowach nie ma cienia szczerości. Znow spogląda ponuro na garderobę Shauna. Gdy ostrożnie go mijam, nie opuszcza mnie niepokój. Dzisiejsza sesja będzie ciężka.

## Rozdział 17

### JAKE

To pewne. Zupełnie mi odbiło. Nie ma innej możliwości. Z jakiego innego powodu miałbym to sobie robić? Usiadłem na czarnej skórzanej kanapie naprzeciwko planu zdjęciowego i nie mam zamiaru się stąd ruszać. W żadnym wypadku. Nawet do toalety. Zeszczam się w gacie, jeśli będę musiał. A mówiąc o gaciach, nigdy wcześniej nie widziałem czegoś równie nedorzecznego. Srebrne spodenki? Może i byłby dla mnie rywalem, ale stracił wszelkie szanse na wygraną, kiedy wskoczył w te świecące gatki. Co za gnojek! Staram się rozluźnić i zwalczyć napięcie. Moja nerwowość nie jest wynikiem obecności Pana Błyszczące Gacie, choć z pewnością ma to wpływ na mój nastrój. Dziś jest trzeci dzień. Przysłowiowa tykająca bomba może wybuchnąć w każdej chwili i wychodzę z siebie przez to potencjalne niebezpieczeństwo.

Jestem spięty, opryskliwy i podejrzewam wszystko i wszystkich. Powinienem był nie wypuszczać jej dziś z łóżka.

Camille wychodzi z garderoby w cienkim białym szlafroku, który luźno związała w pasie. Kobieta idąca za nią pryska czymś jej włosy. Prostuję się, a mój fiut się budzi.

Jasna... cholera.

Wilgotne, zaczesane do tyłu włosy podkreślają doskonałość jej skóry. Mokre blond loki spływają na ramiona, a makijaż jest ledwie widoczny, choć sądząc po czasie spędzonym w garderobie i fakcie, że nie widać śladu sińca na policzku, podejrzewam, że jej skórę pokrywa kilka warstw tapety. Jej policzki są wyrazistsze, oczy bardziej niebieskie, a usta pełniejsze. Wygląda bosko.

Taktycznie krzyżuję nogi i zauważam, że na mnie zerka. Jej oczy natychmiast się rozszerzają, a ich intensywny topaz to jedyny kolor na jej twarzy. Popelniłem olbrzymi błąd. Jestem tego pewien,

kiedy ktoś pomaga jej zdjąć szlafrok, z którego wysuwa ręce i pozwala, żeby spryskano jej ciało kolejnym sprayem.

Pokaśnię i odwracam wzrok. Zaczynam się pocić. Jezu Chryste, jak tu gorąco.

Naga. Jest praktycznie naga i mimo że wiedziałem, że tak będzie i myślałem, że jestem na to przygotowany, rzeczywistość okazała się inna. Jestem równie nieprzygotowany, jak byłem tamtego dnia, kiedy wszedłem do biura Trevora Logana.

Camille co chwila zwała mnie z nóg.

Zerknąłem tylko raz na jej nagie, szczupłe ciało, zanim zmusiłem się do odwrócenia wzroku, ale ten obraz wyrzył mi się w pamięci i kusząco tańczy przed oczami. Jej skóra jest tak gładka i lśniąca, a małe srebrne stringi zakrywają tylko to wyjątkowe miejsce, miejsce, w którym mógłbym zatracić się na wieczność. Moje wyjątkowe miejsce. Mruczę pod nosem i gorączkowo szukam czegoś, na czym mógłbym skupić myśli.

Nie widzę żadnych irytujących babskich magazynów, nawet cholery gazety. Powinienem wyjść, zanim zrobię z siebie idiotę, ale kiedy już podejmuję tę rozsądną decyzję i zaczynam wstawać z kanapy, na planie pojawia się lalusz w srebrnych gaciach. Nieruchomieję w dziwnej pozycji.

Cholera!

Nigdzie nie idę. Rozluźniam napięte mięśnie i siadam z powrotem na sofie, patrząc, jak wszyscy zbierają się w kółko. Prostacki idiota, który powitał Camille, kiedy tu weszliśmy, wygląda, jakby odstawiał balet: wymachuje naokoło rękami, a wszyscy kiwają i potakują. Po chwili ktoś narzuca szlafrok na ramiona Camille, a ja oddycham z lekką ulgą. Mogłaby zmarznąć.

Moja dziewczyna słucha uważnie i z uśmiechem kiwa głową, kiedy kierownik planu odciąga ją na stronę. Kiedy już wygląda na to, że wszyscy wiedzą, co robić, rozchodzą się po pomieszczeniu. Przyglądam się temu, zaniepokojony zamętem. Wszystko przypomina zorganizowany chaos. Po chwili Camille staje na białym kocu, który pokrywa podłogę i dwie ściany. Intensywne światła skierowane są na nią z każdej strony. Rozświetlają ją,

dzięki czemu lśni. Stoi nieruchomo, kiedy inni podchodzą do niej i wydają zniecierpliwione komendy. Zaczynam się przygotowywać, wiedząc, że nie minie dużo czasu, kiedy ponownie będę zmuszony znieść widok jej nagiego ciała. Zmuszony? Bzdury. Mógłbym wstać i wyjść, gdyby jaskiniowiec we mnie nie wymachiwał maczugą i nie warczał na idiotę w błyszczących gaciach.

Przełykam ślinę, kiedy Camille ponownie zdejmuje szlafrok. Kładę łokieć na kanapie i opieram brodę na dłoni. Rozkoszuj się tym, powtarzam sobie. Rozkoszuj się patrzeniem, jak robi z pasją to, co kocha. Osobiście doświadczyłem tej pasji. Błysku w jej niebieskich oczach, kiedy byłem w niej zanurzony. To ogień i namiętność. Nie da się ich poskromić.

Jestem zatopiony w marzeniach. Zachwyt i podziw unieruchomiły mnie.

Potem pojawia się on, błyszczący jak cholerny bóg. Wrywa mnie z zamyślenia. Chęć, aby wstać i wywalić go stąd, prawie przejmuję nade mną kontrolę. Biorę głęboki wdech i przemawiam sobie do rozsądku. Camille pracuje. To tylko praca. Jestem ponad to. Kontrola i spokój.

Spod zmrużonych powiek przyglądam się, jak koleś w błyszczących gaciach obchodzi Camille i staje za nią. Blisko. Cholera, zbyt blisko. On się śmieje, ona się śmieje. Całe pieprzone studio się śmieje.

Poza mną. Nie widzę w tym nic śmiesznego. Znów mi gorąco.

Jego dłonie pojawiają się za Camille i z zapartym tchem obserwuję, w jakim kierunku mogą się przesunąć.

Proszę, nie. Nie waż się jej dotknąć!

Łądują dokładnie na jej piersiach.

O, cholera!

Podskakuję na kanapie, zahaczając butem o nogę stolika kawowego. Niezgrabnie odskakuję.

– Jasna cholera! – krzyczę. W ostatniej chwili odzyskuję równowagę, co ratuje mnie przed upadkiem na twarz. Odwracam się i widzę, że mój mały występ nie umknął niczyjej uwadze.

Wszyscy na mnie patrzą – Camille z zaskoczeniem w oczach, a Pan Błyszczące Gacie z rękami wciąż na moich piersiach.

Odwracam wzrok, bo jeszcze chwila, a podejść i mu je połamię.

– Przepraszam – mruczę. Cofam się i macham komórką. – Telefon. – Odwracam się... i znowu zderzam się ze stolikiem. Rwie mnie w łydce. Syczę, gdy czuję ukłucie bólu, a potem szybko wychodzę, powstrzymując się przed biegiem.

Jego ręce na jej cyckach! Zatrząskuję drzwi za sobą i walę czołem w najbliższą ścianę. To było nie na miejscu... i nie mam na myśli swojego zachowania. Co do cholery? Wypuszczam powietrze, walcząc ze wspomnieniem rąk innego mężczyzny na Cami. Usiłuję się uspokoić. I tyle, jeśli chodzi o próbę zachowania profesjonalizmu.

– Pokazałeś klasę, Jake – mruczę. Mój telefon zaczyna dzwonić i uśmiecham się pod nosem. – Spóźniłaś się o minutę, Lucindo – mówię, odbierając. – Co jest?

– Nic – odpowiada bez emocji, jak zawsze rzeczowa. – Szczerze mówiąc, jestem w kropce. Właśnie rozmawiałam z Loganem. Prawdopodobnie cię zwolni.

– Co? – Przed oczami widzę tylko pogroźkę z trzydniowym terminem. Dzisiaj mija trzeci dzień. Zwalnia mnie trzeciego dnia? Jaja chyba sobie robi! – On coś ukrywa, Luce – cedzę przez zęby.

– Nie wiemy tego na pewno. Jeśli ci podziękuję, nie możemy nic zrobić. – Wzdycha, a ja z niedowierzaniem patrzę na swój telefon. – W każdym razie mam dla ciebie inne zlecenie. Wynagrodzenie nie jest tak sowite, ale nie do pogardzenia.

Patrzę na pustą ścianę przede mną. Mam wrażenie, że mój żołądek zamienia się w ciężki kamień i spada na ziemię.

Zwalnia mnie? Nic nie możemy zrobić? Inne zlecenie?

– Kto?

– Grecki dyplomata. Wpadł na praniu pieniędzy.

Greki. Grecja. Że niby inny kraj? Bez Camille. Moje serce dołącza do żołądka.

– Biorąc pod uwagę stan greckiej gospodarki, nie dziwi mnie,

że grożą mu śmiercią.

Lucinda podaje mi kolejne szczegóły, a ja gapię się pustym wzrokiem na ścianę.

– Domyślam się, że rok wygrzewania się w słońcu dobrze ci zrobi.

Rok?! Wzdrygam się. Czuję, jak popadam w otępienie. Głowa mi pulsuje, kiedy odwracam się w kierunku drzwi, które przed chwilą zatrzasnąłem. Uścisk w płucach powoduje, że mój oddech staje się szybki, urywany i przerażony.

– Jake? – pyta Lucinda. – Jesteś tam?

Słodki śmiech Camille napływa do moich uszu, co tylko nasila panikę.

Zostawienie jej nie wchodzi w rachubę.

– Rezygnuję – cedzę do telefonu. Wiem, że zaraz wysłucham potoku inwektyw.

Ale Lucinda milczy.

– Mogę spytać dlaczego? – pyta wreszcie.

– Nie – odpowiadam i rozłączam się. Nie jestem przygotowany na tłumaczenie się ani nie mam na to ochoty. Ale to, co właśnie usłyszałem, każe mi poważnie zastanowić się nad tym, co dalej.

Ochrona Camille jest priorytetem. Jej były chłopak jest bardzo realnym zagrożeniem, a ja wciąż nie wiem, co kombinuje jej ojciec.

Nie mogę jej zostawić bezbronnej. Nie mogę pozwolić, aby jej eks ją dorwał. Na samą myśl oblewam się potem. Podobnie jak na myśl o zostawieniu jej. To zlecenie nie polega na rzuceniu się w wir pracy, żebym przestał nienawidzić siebie samego. To zlecenie nie polega na wykonywaniu obowiązków i zachowaniu reputacji najlepszego ochroniarza.

To zlecenie jest inne od samego początku, a powód stoi właśnie nago po drugiej stronie drzwi z dłońmi innego mężczyzny na piersiach. A co do mojej reputacji? No cóż, spłonęła w żałosnych okolicznościach, kiedy wyszedłem ze studia, potykając się jak nowo narodzone źrebię. Ale żadna z tych kwestii nie ma

znaczenia. Liczy się tylko Camille. Ona i to, jak się dzięki niej czuję.

Po raz pierwszy od czterech lat mam cel w życiu osobistym. Chcę tu być, chociażby po to, żeby codziennie na nią patrzeć.

Siadam na pobliskim krześle i wpatruję się w drzwi. Nie chodzi tylko o to, że ona mnie potrzebuje. To raczej ja jej potrzebuję. Młodej, nieugiętej, zdeterminowanej i odważnej.

Szaleję za nią. Muszę ją zatrzymać. Muszę ją chronić.

Czekanie na zakończenie zdjęć to najdłuższe kilka godzin w moim życiu. Ale, co dziwne, moje męczarnie nie mają nic wspólnego z tym, co początkowo kazało mi znaleźć się po tej stronie drzwi, lecz wynika z intensywnego zastanawiania się, jak najlepiej podejść do nieuchronnie zbliżającej się sytuacji.

Gdy Camille się pojawia, ma wciąż makijaż i wilgotne włosy – choć teraz zawiązała je na czubku głowy – ale, dzięki Bogu, znów jest w szerokich spodniach i luźnej koszulce. Dzięki temu, że nosi ubrania dziesięć razy za duże, podziwiam ją jeszcze bardziej. Ma boskie ciało, ale nie epatuje nim. Wstaję, kiedy z zamyślnym spojrzeniem zamyka za sobą drzwi. Dopiero po chwili rozumiem dlaczego. Kiedy ostatni raz mnie widziała, potykałem się o swoje za duże za stopy.

– Jak poszło? – pytam, biorąc od niej torebkę.

Oskarżycielsko mruży oczy.

– Co to miało być?

– Co?

– Twoje małe przedstawienie. – Macha ręką.

– Telefon, jak powiedziałem. – Unikam jej wzroku, pewien, że przyprze mnie do muru i zdemaskuje moje niewinne kłamstwo.

– Twój telefon nie dzwonił – stwierdza, niszcząc mój spokój.

– Był wyciszony. – W myślach gratuluję sobie odpowiedzi.

– Kto dzwonił? – naciska z widoczną podejrzliwością.

To pytanie jest łatwe, ponieważ naprawdę odebrałem telefon, tylko nie wtedy, kiedy jej się wydaje.

– Koleżanka z pracy. – Teraz jest idealna chwila, żebym powiadomił Camille o zbliżających się zmianach. Koniec

chronienia jej. Lecz nie robię tego i nie mam pojęcia dlaczego. Ponieważ nie chcę tego zaakceptować? Ponieważ nie chcę jej zmartwić? Ale czy będzie zmartwiona? – Powiadomiła mnie o kilku szczegółach.

– Coś nowego? – pyta, kiedy wskazuję gestem, żeby szła pierwsza. Jej głos brzmi swobodnie, choć słyszę w nim niepewność.

Czy ona też zastanawiała się nad przyszłością?

– Nic – odpowiadam. Postanawiam, że przy innej okazji podzielę się z nią najnowszymi informacjami.

– To zabawne, ponieważ tata właśnie dzwonił i wspomniał, że jest bliski rozwiązania sprawy pogróżek. Powiedział, że do końca dnia wszystko powinno być jasne – mówi cicho i zerka na mnie dyskretnie.

Zmuszam się, żeby nie wytrzeszczyć oczu. Naprawdę dzwonił?

– To nic pewnego – odpowiadam automatycznie i szybko zmieniam temat. – Jesteś głodna?

Musi być. Nie widziałem, żeby rano jadła śniadanie, a pora lunchu dawno minęła. Nie podobają mi się zbytnio jej nawyki żywieniowe, ale głodzenie się przez dwadzieścia cztery godziny przez zdjęciami to naprawdę poważny problem. Przecież to niezdrowe.

– Nie, dzięki – odpowiada w zamyśleniu i otwiera drzwi do recepcji. – Tata przypomniał mi też, że dzisiaj wieczorem Chloe urządza przyjęcie urodzinowe w ich ogrodzie. – Nie brzmi na zachwyconą. – Muszę być u niego na siódmą.

– Przyjęcie w ogrodzie? – mówię w zadumie. Brzmi okropnie. – Brzmi ciekawie.

Posyła mi zmęczone spojrzenie.

– Nie bądź sarkastyczny. Też tam musisz być, wiesz?

Mruczę pod nosem. Spróbowałby mnie ktoś powstrzymać. Na przykład jej ojciec. Ciekawe, że Logan prawdopodobnie zwolni mnie po tym, kiedy od niechcienia zauważyłem, że tego dnia, kiedy rzekomo nadeszła pogroźka, nie było żadnego kuriera.



– Chodźmy na mrożoną herbatę – proponuje Camille, idąc przodem.

Na chwilę zamykam oczy i ruszam za nią. Nie mam zamiaru ukrywać swojego podenerwowania. Chcę zabrać ją do domu i zamknąć mieszkanie na cztery spusty, zamiast iść na jakąś pieprzoną mrożoną herbatę.

– Usiądź – mówię i wysuwam dla niej krzesło. Uważnie skanuję nasze otoczenie. Po raz pierwszy, odkąd zacząłem ją chronić, siadam przy tym samym stoliku co Camille. Nawet się nad tym nie zastanawiam. Po chwili podnoszę menu i skinieniem przywołuję kelnera. – Jedną z tych cytrynowych mrożonych herbat, czarną kawę i sałatkę z tuńczykiem. – Kelner kiwa głową i odchodzi, a ja siadam wygodnie na krześle. Kiedy spoglądam na Camille, widzę jej uniesione brwi. – Co?

– Myślałam, że jesteś moim ochroniarzem, a nie osobistą opiekunką.

Kładę łokcie na stoliku i pochylam się.

– To się zmieniło, kiedy pozwoliłaś mi wejść w siebie. – Z przyjemnością patrzę, jak jej kremowe policzki czerwienieją pod moim płomiennym spojrzeniem. – Jeszcze jakieś uwagi?

Kręci głową i rzuca się na szklankę z wodą, którą kelner właśnie nalał.

– Dlaczego nie jesz?

Nie chcę jej mówić, że straciłem apetyt po rozmowie z Lucindą. Nie to, żebym wcześniej go miał.

– Nie jestem głodny. – Słodzę kawę.

– Tak sobie myślałam... – Chwyta słomkę i zaczyna się nią bawić.

Przerywa mieszanie kawy, kiedy na nią spoglądam.

– O czym? – zachęcam ją do dokończenia zdania. Nie podoba mi się jej wahanie.

– O tym, jak mało o tobie wiem. – Zerka na mnie, oceniając moją reakcję. Nie zawodzę jej. Sztywnieję na krześle, świadomy, że tak wielu rzeczy o mnie nie wie.

– Nie ma wiele do opowiadania – odpowiadam odruchowo.

Moja przeszłość nie jest ciekawa, a ja nie mam ochoty o niej opowiadać.

Z jej twarzy czytam, że ją zraniłem. Nienawidzę się za to, ale zanim mam szansę to naprawić, jakkolwiek miałbym to zrobić, Camille ciągnie dalej:

– A ta rana po kuli?

Czuję, że zgrzytam zębami.

– Co z nią? – Zachowuję się jak ostatni kutas, ale fakt, że dziś mija trzeci dzień od wysłania pogroźki w połączeniu z telefonem od Lucindy, nie wpływa dobrze na mój nastrój. Rozpamiętywanie przeszłości go nie poprawi. W ostatnich dniach ataki ograniczyły się do minimum, więc jestem wściekły, że Camille zaburza moją równowagę.

– Zastanawiałam się...

– Nie, Camille – przerywam jej ostro i zamyka usta.

Zapada milczenie. Mimowolnie mieszam kawę, żeby tylko czymś się zająć. Sytuacja jest krępująca, ale byłoby gorzej, gdybym zaczął odpowiadać na jej pytania. Głosy w mojej głowie krzyczą, żebym nie był takim tchórzem, ale dopóki nie będę miał pewności, że Camille nie poczuje obrzydzenia, które sam do siebie czuję, dopóty z moich ust nie wypłynie ani słowo na temat mojej przeszłości. Muszę przestać nienawidzić siebie i swojego życia, aby móc pójść naprzód.

Śmieję się w myślach. Ten dzień może nigdy nie nadejść. Dziś gardzę sobą równie mocno jak wtedy. A miałem kilka lat, żeby uporać się z tym, co się stało. Nie mogę oczekiwać, że Camille zrozumie. Jestem gnojkiem. Proste. Znienawidzi mnie i to myśl równie bolesna jak pozostałe.

– Sałatka z tuńczykiem?

Podnoszę wzrok na kelnera, który stoi z talerzem w ręku. Camille jest zatopiona w myślach. Wpatruje się przed siebie. Pokazuję mu, żeby postawił talerz przed nią i kładę rękę na jej dłoniach. Wyrywa się z zamyślenia i posyła mi wymuszony uśmiech, żeby przekonać mnie, że moja ostra odpowiedź jej nie zraniła. Zrozumiała. Powinienem być zadowolony. Cofam rękę,

żeby mogła jeść i odwzajemniam sztuczny uśmiech.

Zaczyna przebierać widelcem między liśćmi sałaty. Wciąż jest zamyślona.

– Masz jakąś rodzinę? – pyta cicho. Myślałem, że dała sobie spokój z pytaniami, a zwłaszcza z takimi.

Zmuszam się do spokoju.

– Nie. – Nie chciałem, żebym moja odpowiedź zabrzmiała tak ostro. Choć i tak Camille nie zwraca uwagi na oczywistą chęć uniknięcia tej rozmowy.

– Co z twoimi rodzicami? – Nerwowo przygryza wargę.

Wzdycham i na krótką chwilę zamykam oczy, ale zagryzam zęby i postanawiam zaspokoić jej ciekawość. Dać jej coś. Nie wszystko, ale coś, co ją uspokoi.

– Zginęli, jak miałem siedem lat. Wychowała mnie babcia. Umarła, jak miałem szesnaście lat. Kiedy byłem wystarczająco dorosły, wstąpiłem do wojska – wyrzucam z siebie, jakbym wymiotował słowami, i modłę się, żeby nie chciała dalej drążyć tematu. Jednak moje modlitwy nie zostają wysłuchane.

– Jak zginęli twoi rodzice? – Jej ciche pytanie jest przepełnione współczuciem, którego nie mogę znieść.

– W zamachu nad Lockerbie. – Przełykam ślinę i odwracam wzrok. Słyszę jej cichy oddech. W 1988 roku nie było jej nawet na świecie, ale najwyraźniej słyszała o tym okropnym zamachu terrorystycznym. Kto nie słyszał?

– Przykro mi.

– Mnie też. – Wracam do niej spojrzeniem i czytam w myślach. Wiem, że doszła do dobrych wniosków. Wstąpiłem do wojska przez ich śmierć. Żeby dać coś od siebie. To była moja własna misja pokojowa. A potem, z małą pomocą pewnej kobiety, wszystko spieprzyłem.

– A co z tamtą kobietą? – pyta nieśmiało, jakby usłyszała moje myśli. Mój niepokój zaczyna się nasilać.

– Nie jest ważna.

– I dlatego nosisz jej zdjęcie?

Czuję, że zaciskam usta, a uśpiona uraza zaczyna powoli

wynurzać się na powierzchnię. Nigdy nie będę w stanie wytłumaczyć powodów, dla których trzymam to zdjęcie. To idiotyczne, chore przypomnienie, osobista tortura.

– Zjedz sałatkę – mówię, wskazując na jej widelec. Informuję ją tym samym, że o tej jednej rzeczy naprawdę nie jestem gotowy rozmawiać.

Ale będę musiał. Pewnego dnia będę musiał stawić czoło tej części mojej przeszłości. Kiepska wymówka, że Abbie nie będzie chciała ze mną rozmawiać, chociaż ciągle ją sobie powtarzam, słabnie z każdym dniem. Za każdym razem, kiedy korzystam z telefonu, łapię się na tym, że wybieram jej imię i wpatruję się w nie, zastanawiając się, czy dziś nadszedł ten dzień, kiedy wreszcie znajdę siłę na zrobienie tego, co powinienem zrobić lata temu. Jestem tchórzem. Draniem. Ale muszę być w odpowiednim nastroju, żeby wyruszyć w drogę do odkupienia, a nie byłem w nim od czasu, kiedy odszedłem.

Biorę głęboki wdech.

– Musimy zawieźć cię do domu, żebyś się przygotowała na przyjęcie.

– Nie mogę się doczekać. – Wzdycha i bierze do ust tuńczyka. Zaczyna go przeżuwać, w zamyśleniu wpatrując się w dal. Nagle jej oczy się rozszerzają.

– Hej, co się ... – milknę, kiedy Camille zaczyna wyraźnie się trząść. Jej przerażone spojrzenie wędruje nad moją głową. Obracam się i widzę, co jest powodem jej paniki. Moje serce zaczyna walić, a dłoń jest gotowa, żeby wyjąć broń.

Zrywam się na równe nogi.

– Jake! – Falę wściekłości, jaka mnie zalewa, tłumi krzyk Camille.

A to skurwiel!

Wyraźnie posiniaczony Seb stoi kilka metrów od nas w towarzystwie małej grupki napakowanych kolesi. No, proszę. Ciekawe, ile im zapłacił. Pięciu napompowanych sterydami mięśniaków stara się wyglądać groźnie. Powinienem się obrazić. Wściekłość, jaka przebiega wzdłuż mojego kręgosłupa, uderza mi

do głowy... ale jestem zupełnie przytomny. Mój umysł jest całkiem jasny.

– Widzę, że jednak możesz chodzić – mówię, kiedy odsuwam krzesło. – Pozwól, że temu zaradzę. – Ruszam naprzód i po drodze planuję ciosy. Mój mózg mówi mi, którym mięśniakiem zająć się najpierw i w jaki sposób.

– Jake, przestań!

Mimo chłodnej wściekłości dociera do mnie krzyk Camille, ale w głowie dudni tylko jedno: wyeliminować wroga. Zabić gnoja, który odważył się podnieść na nią rękę.

Pierwszy koleś pada jak worek od ciosu w twarz, z drugim idzie równie łatwo. Robię unik, kiedy mój umysł zauważa pozycję trzech pozostałych sługusów Sebastiana. Obracam się, uderzam łokciem i łamię szczękę jednemu. Sekundę później leży na ziemi i zwija się z bólu.

– Cholera! – Przekleństwo jest znakiem, że jeden z nich daje nogę, a głośny ryk dochodzący z za moich pleców mówi mi, że ostatni atakuje mnie od tyłu. Pieprzeni amatorzy. Zerkam na wystawę sklepową przede mną, w której widzę, że idiota szarżuje na mnie jak jakiś cholerny nosorożec. Mam mnóstwo czasu, żeby wymyśleć, co z nim zrobić. Mniej więcej trzy sekundy. Mam nawet czas, żeby złapać oddech.

Widzę, jak rozkłada ramiona, i w ostatniej chwili odsuwam się, dzięki czemu koleś wlatuje prosto na wystawę sklepu. Zaskakuje mnie, że szkło nie rozbija się na drobne kawałki. Koleś szybko dochodzi do siebie, mimo przysłowiowych mroczków przed oczami, i znów na mnie naciera.

Stoję w miejscu i czekam na ruch, którego się spodziewam.

Mięśniak nie zawodzi. Po wcześniejszej porażce stawia na dobre stare rozwiązanie: chwytą mnie w pasie i podnosi. Pozwalam mu na to i ląduję na plecach na betonowym chodniku. Stękam i owijam nogi w jego talii, potem przerzucam go na plecy i dosiadam. Jego rozbiegane oczy dopiero po chwili uświadamiają sobie, gdzie się znalazł. Uśmiecham się złowieszczo, a potem wymierzam mu cios w twarz. Krew z nosa rozpryskuje się we

wszystkich kierunkach.

Zadanie wykonane.

– Jesteś chory psychicznie, człowieku!

Wstrzymuję się i rozprostowuję palce. Jednak to jeszcze nie koniec.

Podnoszę wzrok i widzę, jak były Camille się wycofuje i rozbieranym wzrokiem przypatruje się masakrze, jaką zgotowałem gołymi rękami. Czuję, jak usta mi się zaciskają, kiedy wstaję. Ten mały kutas myślał, że kilku przerośniętych idiotów da mi radę? Mam jeszcze większą ochotę go zabić. Boleśnie. Powoli. Aż zacznie mnie błagać, żebym z nim skończył. Podchodzę do niego długimi krokami, a on cofa się z uniesionymi rękami.

– Już sobie idę.

– Pójdiesz tam, gdzie cię poślę.

Uderza plecami o samochód, po chwili wskakuje do środka i odpala silnik czarnego porsche. Odjeżdża z piskiem opon. Jego samochód tańczy na drodze i wygląda na równie przerażonego jak jego kierowca.

Pozwalam umysłowi uspokoić się, kiedy przyglądam się wyrządzonym szkodom. Czterech z pięciu mężczyzn zwija się wokół mnie i jęczy. Po piątym mięśniaku – tym rozsądnym – nie ma śladu. Gdybym był typem człowieka, który współczuje innym, byłoby mi ich trochę żal. Powinni mieć nieco więcej informacji na temat osoby, której mieli najwyraźniej porachować kości.

Poprawiam marynarkę i odwracam się z postanowieniem zaprowadzenia Camille do samochodu, zanim zjawi się policja.

Spoglądam na stolik, przy którym ją zostawiłem.

I kolana uginają się pode mną.

Nigdzie jej nie ma.

Nigdy wcześniej nie czułem takiej paniki. Przez tyle lat byłem tak otępiały, a teraz czuję, że potok emocji, które bezlitośnie mnie zalewają, może wpędzić mnie w szal zabijania, dopóki Camille nie będzie znów bezpieczna w moich ramionach.

Do czego doprowadziłem?

Rozglądam się dookoła, gorączkowo przeszukując otoczenie.

– Camille! – krzyczę.

To moja wina. Zawiodłem ją.

– Camille! – Wracam wzrokiem do naszego stolika. Jej telefon wciąż leży na stoliku, a torebka na krześle, tam gdzie ją postawiłem.

– Cholera! – Biorę rzeczy Camille i pędzę do samochodu. Rzucam je na siedzenie pasażera i ruszam jak wariat.

Jadę ulicą w jedną i drugą stronę; przypatruję się każdej osobie, zaglądam w każdą uliczkę, lustruję każdy samochód.

Nic.

Wyciągam telefon i dzwonię do Lucindy. Nie daję jej nawet czasu na powitanie. Od razu zalewam ją instrukcjami.

– Camille zniknęła. Zadzwoń do Logana, zadzwoń na policję. Mam jej telefon i torebkę. Na budynku naprzeciwko kawiarni na Stretton Street jest kamera. Załatw nagranie z ostatniej godziny.

– Rozumiem – odpowiada ze spokojem Lucinda. – Gdzie jesteś?

– Szukam jej. – Rozłączam się i walę z całej siły w kierownicę. Biorę ostry skręt w prawo, żeby wjechać na główną ulicę. Nie wiem, dokąd jadę. Po prostu krążę tu i tam, ulica za ulicą, szukając jej. Zabiję się za to. Przysięgam, jeśli coś się jej stanie, potnę się na kawałki. Nigdy sobie nie wybaczę tej pomyłki. To będzie gwóźdź do trumny dla mnie i mojej czarnej duszy.

Drobne światełko, które odnalazłem w mroku, z każdą sekundą blednie.

Mogła minąć godzina, może dwie lub trzy albo cały dzień. Nie wiem. Straciłem poczucie czasu w chwili, gdy zauważyłem, że zniknęła. Wjeżdżam na podziemny parking w jej apartamentowcu i z piskiem opon zatrzymuję się przy jej samochodzie. Coś natychmiast przykuwa moje spojrzenie.

Koperta na przedniej szybie merca Camille. W mgnieniu oka stoję przy czerwonym kabriolecticie, a sekundę później wpatruję się w zdjęcia Camille. Na jednym z nich napisano trzy słowa:

„Czas się skończył”.

– Cholera, nie! – Mój strach i niepokój, podobnie jak złość,

zwiększają się tysiąckrotnie. Zaciśniętą pięścią zgniatam zdjęcie, a zęby niemal mi pękają od siły, z jaką je zaciskam, gdy przecinam lobby i wchodzę do windy. Po drodze wybieram numer Lucindy. – Znalazłem wiadomość na samochodzie Camille. Napisano, że czas się skończył.

– Cholera – warczy. – Kamera naprzeciwko kawiarni od miesiąca jest zepsuta.

– Niech to szlag! – Drzwi windy się otwierają i wychodzę. Totalnie otumaniony idę korytarzem. – Logan? Policja?

– Jadą do jej mieszkania.

– Dobrze. – Gdy wychodzę z za rogu, moim oczom ukazują się drzwi Camille. Gwałtownie się zatrzymuję.

Ponieważ przy nich siedzi mój anioł.

Chwytam się ściany. Ulga, jaką czuję, przyprawia mnie o zawrót głowy.

Camille podnosi wzrok. Jej oczy są pełne łez, a twarz zaczerwieniona i poplamiona.

Ale i tak wciąż jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

– Nie mogłam wejść do środka – mówił zdławionym głosem. – Moje klucze są w torebce. I moja komórka. – Pociąga nosem. – Chciałam zadzwonić z telefonu sąsiada. – Wskazuje na drugą stronę korytarza. – Ale nie ma go w domu. I nie znam twojego numeru.

Z ulgą wypuszczam powietrze z ust i pozwalam plecom oprzeć się o ścianę naprzeciwko niej. Wreszcie moje nogi poddają się, a mój tyłek z głośnym hukem ląduje na dywanie. Jak przez mgłę słyszę, że Lucinda woła moje imię. Przysuwam telefon do ucha.

– Mam ją. Odwołaj policję i Logana.

– Co?

– Po prostu zrób to, Luce. Camille jest bezpieczna. Niedługo oddzwonię. – Rozłączam się i upuszczam telefon na podłogę razem z torebką Camille i kopertą. Nie potrafię ukryć uczuć i nie chcę. Pozwalam, aby łza ulgi spłynęła mi po policzku i spadła na marynarkę. To dla mnie za dużo. Wszystkie te emocje i pragnienie,



i cholerny strach.

– Myślałem, że zostałeś porwana. – Przełykam gulę w gardle.  
– Myślałem, że cię straciłem, Camille.

– Nie mogłam na to patrzeć. – Pociąga nosem i chrząka między słowami. – Nie lubię oglądać cię w takim stanie.  
Przerażasz mnie.

Kręcę głową, gdy zalewają mnie wyrzuty sumienia. Ale tylko za to, że naraziłem ją na ryzyko, za to, że przeze mnie tak się czuje. Byłem tak skupiony na zniszczeniu jej byłego chłopaka i jego świty, że straciłem z oczu prawdziwy cel. Z trudem wstaję i podchodzę do niej. Padam na kolana przed jej skulonym ciałem. Ujmuję jej dłonie i spoglądam w oczy w nadziei, że dostrzeże mój żal i poczucie winy, które mnie gnębi.

– Bardzo przepraszam. Wściekłem się, Cami. Nie mogę... – Zamykam oczy, usiłując dokończyć zdanie. – Nie mogę zapomnieć o tym, co ci zrobił.

Chwyta moje ręce, żeby podciągnąć się i objąć mnie. Przyciskam jej ciepłe ciało do piersi w nadziei, że połączymy się w jedno. Szepczę do jej ucha przeprosiny i obiecuję, że nigdy więcej nie stracę jej z oczu.

## Rozdział 18

### CAMI

Nie chciałam zgotować mu piekła. Nie chciałam go tak przerazić. Po prostu musiałam uciec od walki, jaka się wywiązała, a w swojej desperacji nie zastanawiałam się nad zagrożeniami. Nie brałam pod uwagę tego, że Jake będzie się martwił.

Chwiejnym krokiem weszłam na jezdnię, wskoczyłam do taksówki i wymamrotałam adres. Nie myślałam, że nie mam pieniędzy, dopóki taksówkarz nie zatrzymał się przed moim budynkiem. Ulitował się nade mną. Byłam wdzięczna i nalegałam, żeby dał mi swoje dane, dzięki czemu mogłabym przekazać mu pieniądze. Odmówił i podał mi chusteczkę, zanim delikatnie wyprosił mnie z taksówki.

Brutalność Jake'a jest niezwykła. Stanowi zupełne przeciwieństwo samokontroli, jaka z niego zazwyczaj emanuje. Mimo to wyglądał, jakby bez zastanawiania planował każdy ruch. Jest jak maszyna.

Nie uciekłam dlatego, że był tam Seb, ani dlatego, że nie zniosłabym widoku bitego Jake'a. W końcu było ich pięciu, wyłączając Sebastiana. Potężni i groźni faceci. Mogli go pobić. Ale i tak wiedziałam, jak to się skończy. Wiedziałam, że Jake z łatwością sobie z nimi poradzi. Uciekłam, ponieważ nie mogłam na to patrzeć. Jake należał do sił specjalnych. To były żołnierze. Wyszkolony zabójca. Biorąc pod uwagę, co spotkało jego rodziców, to zrozumiałe, dlaczego poszedł do wojska. Ale jest też prawdziwym wojownikiem, nawet jeśli jego walka ma osobisty wymiar.

Jednak wciąż nie rozumiem, dlaczego już nie służy. Ma tylko trzydzieści pięć lat, więc jest zdecydowanie za młody na emeryturę. Rana postrzałowa nie wpłynęła na jego zdolność walki; nie wyobrażam sobie, żeby jego celność się pogorszyła. Tu chodzi

o coś więcej. Po prostu to wiem. Wiem, że nie ma rodziny. Ale co z przyjaciółmi? Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Muszę się dowiedzieć, co powoduje Jakiem Sharpem. Kobieta ze zdjęcia? Atak paniki? Głęboko zakorzeniony ból, którego nie potrafi ukryć? Z każdym dniem jest więcej tajemnic. Odsuwam się. Z widoczną ulgą ujmuję moją twarz w dłonie.

– Chodź – mówi, wstaje i pomaga mi się wyprostować.

– Co to? – pytam, bo widzę, jak podnosi z podłogi pogniecioną kopertę razem z moją torebką i swoim telefonem.

– Nic. Dokumenty z agencji. – Bierze mnie na ręce i wnosi do mieszkania. Wchodzimy do łazienki; sadza mnie na skraju wanny, sięga po ręcznik i moczy go pod ciepłą wodą. Klęka przede mną i zaczyna delikatnie ocierać ślady łez z mojej twarzy.

– Od jak dawna jesteś ochroniarzem? – pytam cicho. Postanawiam zacząć od łatwego pytania w nadziei, że złamię jego opór, zanim przejdę do czegoś bardziej prywatnego. Po tym, jak odkrył się odrobinę przede mną, pragnę dowiedzieć się więcej. Chcę poznać cały ciężar, jaki go przygniata.

– Od czterech lat – odpowiada szybko i bez niechęci, nie przerywając zmywania zaschniętych łez z mojej twarzy.

Po szybkich obliczeniach moja ciekawość narasta, ponieważ jestem pewna, że nie przeszedłby na emeryturę w wieku trzydziestu jeden lat. Może chodziło o awans albo przeniesienie; emerytura odpada. Musiał być jakiś powód, a rana postrzałowa, która najwyraźniej się całkiem zagoiła, nie może nim być.

– Dlaczego to robisz?

Tym razem nie odpowiada tak szybko. Jego dłoń zaczyna wyraźnie zwalniać, kiedy przesuwa ręcznikiem po moim policzku. Mam wrażenie, że Jake intensywnie się zastanawia, co powinien powiedzieć.

– Żeby czuć się użyteczny. – Marszy czoło jakby w zdumieniu.

– Jak wtedy, kiedy służyłeś krajowi? – pytam.

Uśmiecha się lekko i spogląda na mnie.

– Chyba tak.

Zaciskam usta i obserwuję go. Staram się ukryć swoją podejrzliwość. Jake zgadza się ze mną, ale mój instynkt mówi mi, że robi to tylko dlatego, ponieważ tak jest łatwiej, niż zaprzeczyć i zaryzykować, że dalej będę drażyła temat.

Kiedyś powiedział mi, że musi mieć cel. Jego celem była wojna i walka ze złem tego świata. Coś ważnego to przerwało i teraz Jake znajduje swój cel w ochronie prywatnych klientów. To wszystko każe mi podejrzewać, że gdyby nadal mógł, służyłby w wojsku. Więc dlaczego nie służy? Bez względu na to, jakie demony zadrezczają Jake'a, nie uwolni się od nich, jeśli nie będzie tego chciał. Będą go zawsze więzić i wkurza mnie, że on się na to zgadza. Sama byłam w najgłębszych otchłaniach beznadziejności. Sądziłam, że nie wyrwę się z nich. Było mi trudno, ale odnalazłam wyjście. Jake też to może zrobić.

– Powiedz mi, dlaczego przerwałeś służbę.

Na chwilę zastyga, po czym szybko bierze się w garść i dalej ociera moją twarz. To był ułamek sekundy, ale nie umknął mojej uwadze. Dostrzegłam też błysk bólu w jego oczach.

– Służyłem krajowi. Teraz czas żyć normalnie.

Nie wierzę mu i byłby głupcem, gdyby spodziewał się czegoś innego. Ból wciąż jest obecny w jego ciemnych oczach, bez względu na to, jak bardzo stara się go ukryć za maską twardziela. Jego unik złości mnie. Odsuwam jego dłoń od swojego policzka i ignoruję zaniepokojone spojrzenie.

– Muszę się przygotować – mówię i wstaję. Jake wciąż kuca przy wannie, spoglądając na mnie. Mijam go i idę do pokoju w nadziei, że sam wyjdzie z łazienki, żebym mogła wziąć prysznic.

– Camille? – woła. Słyszę jego kroki na dywanie, kiedy idzie za mną. – Dlaczego mnie zostawiasz?

– Dałeś mi jasno do zrozumienia, że rozmowa nie ma sensu. Nie jestem głupia, Jake. Nie mówisz mi wszystkiego. Muszę się przebrać na przyjęcie.

Przed pójściem do łazienki wyciągam oversize'owy T-shirt z kwiecistym wzorem i kładę go na łóżku. Jake stoi na środku mojej sypialni jak niepotrzebny element wystroju. Zamykam za sobą

drzwi, odkręcam wodę, rozbieram się i wchodzę do kabiny. Gorąca woda jest cudowna, a kiedy namydlam się i wpatruję w kafelki, moje myśli zaczynają swobodnie wędrować.

Jake jest skomplikowany, a zarazem prosty. Zdumiewa mnie. A jeszcze bardziej zdumiewa mnie moja potrzeba poznania tego, się kryje pod jego zimną, surową maską. Pokazał mi swoją delikatną stronę. Pokazał, że nie jest bezwzględny i nieczuły. Widziałam, jak ogarnia go atak paniki. Powiedział mi trochę o swojej przeszłości, ale to jedynie strzępy. Bez zdobycia jego zaufania wszystko wydaje się bez sensu. Mam wrażenie, że dopóki będzie decydował o tym, co powinnam wiedzieć, a czego nie, nasz związek będzie jednostronny. Po chwili zadaję sobie ważne pytanie.

Dlaczego muszę to wiedzieć?

Zatrzymuję ręce na brzuchu, a mój wzrok pada na podłogę. Nie podoba mi się wniosek, do jakiego dochodzę. To wszystko nie ma nic wspólnego z ciekawością. Nie czuję po prostu potrzeby rozwiązania zagadki, jaką jest Jacob Sharp. Chcę się dowiedzieć, żebym mogła mu pomóc.

Ponieważ go kocham.

Samotna łza spływa mi z oka i miesza się z gorącą wodą. Nie mogę mu pomóc, jeśli on nie chce pomocy. Nie mogę zaprowadzić go do światła, jeśli woli przebywać w mroku. I nie mogę pozwolić mu się wciągnąć w tę ciemność. Nie ulecę go, jeśli nie chce zostać uleczony.

Czuję, że łamię się pod ciężarem, który na siebie wzięłam.

Nie wiem, kiedy nasza relacja stała się bardziej emocjonalna niż fizyczna, ale wiem, że muszę spojrzeć na wszystko z dystansem, zanim znajdę się zbyt głęboko w jego mroku, aby znaleźć z niego wyjście. Już to przeżyłam i nie mam zamiaru wracać. Mimo że okoliczności są inne, rezultat będzie ten sam.

Ból.

Obawiam się, że ból, jaki może mi zadać Jake, będzie potworny i wiem, że tym razem się nie pozbieram.

Podróż do wiejskiej posiadłości mojego ojca jest długa i

męcząca. Oboje milczymy, pogrążeni w myślach.

Brama wjazdowa rozsuwa się z cichym skrzypnięciem i wita nas morze luksusowych samochodów na podjeździe. Gdy Jake niespiesznie podjeżdża pod dom, odgłosy rozmów i śmiechu stają się coraz głośniejsze. Jest ciepło i słonecznie, a ja odczuwam strach na myśl o czekającym mnie wieczorze. Na przyjęciu będzie pełno nieprzyzwoicie bogatych mężczyzn – kolegów ojca lub jego wspólników – którzy są takimi samymi bezwzględny materialistami jak on. A ich żony – równie płytkie jak ładne. Większość po prostu czeka, aż młodszy model zajmie ich miejsce i odbierze wygodne życie.

Jeśli ojciec spróbuje mi wcisnąć jakieś potencjalnego chłopaka, podejrzewam, że zacznę krzyczeć. I bez tego trudno mi zachować uśmiech. A teraz, kiedy czuję się bezsilna i pusta, stawienie czoła zamiarom ojca będzie wyzwaniem, któremu mogę nie sprostać.

Wyskakuję z range rovera Jake'a i ruszam ścieżką, która prowadzi do rozległego terenu na tyłach domu. Mijam niezliczone pawilony udekorowane kapryfolium, a kiedy wreszcie przechodzę przez ostatnią łukową bramę, staję oko w oko z setką ludzi, którzy popijają w ogrodzie pimm's lub szampana. Rozglądam się po twarzach i przy basenie widzę TJ-a. Uśmiecha się, kiedy mnie zauważa.

– Cześć, gwiazdeczko! – woła radośnie. Bierze kieliszek od przechodzącego kelnera i podaje mi go, zanim pocałuje mnie w policzek. – Ostatnia, która przyszła, i pewnie pierwsza, która wyjdzie.

Nie zaprzeczam. Zna mnie zbyt dobrze.

– Dziękuję. – Unoszę kieliszek, stukam się z nim i wypijam łyk. – Heather już jest?

– Tak, tam stoi. – Wskazuje w kierunku basenu, gdzie zauważam najlepszą przyjaciółkę i jej rodziców. TJ wraca spojrzeniem do mnie.

– Ciągłe masz ochroniarza? – pyta, gdy zauważa w pobliżu Jake'a.

Nie oglądam się, żeby sprawdzić, gdzie mój cień zajął pozycję.

– Tata mówił, że sprawa pogroźek jest bliska rozwiązania. Wiesz coś o tym? – pytam, podchodząc bliżej TJ-a. Wciąż przebywają razem, więc jeśli ktokolwiek coś wie, to właśnie on.

TJ schyla głowę i posyła mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Wiesz, że nie mogę rozmawiać o niczym, co słyszę w biurze?

– Nawet jeśli dotyczy to mnie?

– Zwłaszcza jeśli dotyczy ciebie. – Ze śmiechem pochyła się i całuje mnie w policzek. – Niedługo będziesz wolna jak ptak, mała – mówi podobnie jak tata.

Odchodzi do innych gości, z którymi wita się podaniem ręki i cmoknięciem w policzek. Odwracam się i kilka metrów dalej widzę Jake'a. Wzrok ma wbity we mnie. Natychmiast wkurzam się na siebie, że go wypatrywałam. Od czasu naszej rozmowy udało mi się unikać bezpośredniego kontaktu. Odświeżenie wspomnień i pociągu seksualnego niczemu nie będzie służyło. Jake wygląda idealnie, choć groźnie. W ciemnoszarym garniturze jest wręcz nieprzyzwoicie przystojny. Kiedy rozglądam się dookoła, widzę zainteresowanie, jakie wzbudza wśród kobiet, które stoją w jego pobliżu. Spoglądam na swój kieliszek i tłumię chęć powiedzenia im, żeby się tak nie gapiły.

– Cami!

Podnoszę wzrok i widzę, że Heather macha do mnie. Chcąc oderwać myśli od Jake'a, ruszam wokół basenu i mijam gości, którzy chętnie mnie zagadują.

– Hej – mówię, gdy dochodzę do przyjaciółki i jej rodziców. Cmokam każdego na powitanie.

– Jak się masz, Camille? – pyta ojciec Heather i zerka na punkt za mną. – Widzę, że masz towarzystwo.

Powinam była się jakoś wykręcić i w ogóle tu nie przychodzić. Jestem pewna, że wszyscy goście wiedzą o moim ochroniarzu, a jeśli nie, to szybko się o nim dowiedzą. Jake będzie głównym tematem rozmów i to nie tylko z powodu swojej pracy.

Zauważam, jak matka Heather dyskretnie obcina go wzrokiem i uśmiecha się z aprobatą. Potem spogląda na Heather i kiwa głową. Co to miało być? Patrzę na swoją przyjaciółkę, która tylko wzrusza ramionami.

– U mnie wszystko w porządku, Henry, dziękuję – odpowiadam ojcu Heather. – A u ciebie?

– Będzie lepiej, kiedy twój ojciec przestanie ostro pogrywać i przyjmie moją ofertę w sprawie stoczni jachtowej w Belfaście.

– Wiesz, jak lubi grać w te gry – śmieję się i łapię Heather za łokieć. – Wybaczcie nam na chwilę, – Odciągam ją i prowadzę w kierunku kilku pustych foteli ogrodowych.

– Co się dzieje? – pyta, gdy siadamy, i nakłada okulary.

– Spojrzenie twojej matki. Co to miało znaczyć? – Nie owijam w bawełnę. Co ona im nagadała?

Heather przyjmuje niewinną minę, którą nauczyłam się rozpoznawać.

– Jakie spojrzenie?

– Serio nie wiesz?

– Może wspomniałam jej o numerze, jaki Jake wyciął na imprezie Saffron.

– Chodzi ci o to, że skopał dupę kanalii zwanej moim eks, kiedy gnojek mi przywalił?

Zaciska usta z wyrazem pogardy równie intensywnej jak moja.

– Nie, wiesz, że nigdy bym nie pisnęła o tym słowa.

Opowiedziałam jej, jak Jake wyniósł cię z baru niczym księżę w lśniącej zbroi.

– Wykonywał swoją pracę

Wybuchu protekcyjnym śmiechem, na jaki sobie zasłużyłam.

– Camille, nie traktuj mnie jak idiotki. Zakochałaś się w nim.

Jej słowa są jak cios w twarz. Czy to takie oczywiste?

– Nie zakochałam się – niezdecydowanie się sprzeciwiam i zerkam przez ramię w kierunku Jake'a. Przypomina marmurowy pomnik, który stoi zaledwie kilka kroków dalej. Nie boję się, że



nas usłyszy; jest za głośno. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Choć w poprzednich dniach robił to samo, dziś mnie to irytuje. Mam wrażenie, jakby czytał mi w myślach, rozgryzł mnie. Jego szczęki są napięte, wgłębienia w policzkach bardziej widoczne, a przystojna twarz pełna gniewu.

To niedorzeczne, że tu przyszedł. Jestem wśród przyjaciół i rodziny i najwyraźniej wszystko wkrótce się wyjaśni. Zresztą tu nic mi się nie może stać.

– Nie zakochałam się w nim – mruczę cicho i odrywam wzrok od Jake’a. Heather kładzie dłoń na moim udzie.

– Dlaczego się nie przyznasz? – pyta.

Biorę głęboki wdech i postanawiam w tym miejscu zakończyć rozmowę.

– Nie ma do czego się przyznawać – mówię stanowczo, nie zważając na ból w sercu i pełne niedowierzania spojrzenie najlepszej przyjaciółki.

Wzdycha i wyciąga nogi na fotelu ogrodowym.

– Pamiętasz, jak w wakacje leżałyśmy tu i planowałyśmy nasze bajkowe życie? Sączyłyśmy owocowy poncz i krzyczałyśmy na twojego brata i jego kumpli, żeby przestali nas ochlapywać.

Uśmiecham się na wspomnienie tamtych dni. Wtedy wszystko było takie proste. Tylko my dwie. Snucie planów na przyszłość, niezmacone ciężarem prawdziwego życia. Zero destrukcyjnego poczucia beznadziejności czy strachu. Zero wyzwań, takich jak pokusy i złe decyzje. Brak ojca podejmującego za mnie decyzje i znajdującego mi księcia. Żadnych pogroźek. I żadnego Jake’a Sharpa.

– Gdyby dzisiaj też było to takie proste.

– Może być. – Heather dopija zawartość kieliszka i spogląda na mnie. W jej oczach widzę otuchę. – Sami sobie komplikujemy większość spraw. – Zdejmuje nogi z fotela i wstaje. – Nie wiem, co cię powstrzymuje poza twoim ojcem, ale też wiem, że nie przejmujesz się tym, co on myśli. Dla Jake’a jesteś kimś znacznie więcej niż pracą. – Schyla się i cmoka mnie w policzek. – Powinnaś pójść do ojca i macochy. Laska czeka na urodzinowego

buziaka od swojej ulubionej córeczki. Później pogadamy.

Patrzę, jak Heather oddała się i kiwa głową w kierunku Jake'a. Sharp nie reaguje na to – nie marszczy czoła, nie unosi pytająco brwi. Cały czas wpatruje się we mnie. Odwracam wzrok i wstaję z postanowieniem znalezienia ojca, choć marzę tylko o tym, żeby wrócić do domu i ukryć się w pościeli.

Po drodze do ogrodu zbieram w sobie wewnętrzną siłę, której potrzebuję, aby stawić czoło ojcu i mojej nieznośnej macosze. Dziesięć kroków, a siła wciąż nieodnaleziona. W dodatku z każdą sekundą ogarnia mnie coraz większe zniechęcenie. Wiem, że ojciec bryluje w swoim eleganckim barze w oranżerii i wiem, że będzie w towarzystwie nudnych współpracowników, gotowych go zadowolić, a mnie wkurzyć.

– Och! – wykrzykuję, kiedy ktoś szarpie mnie za ramię i ciągnie do pobliskiej wnęki przy wejściu do oranżerii. Dłoń zakrywa mi usta, a umięśnione ciało przyciska do ściany. Szybko mrugam, usiłując skupić się na ciemnych oczach Jake'a. Jego dłoń leży na moich ustach i ucisza mnie.

– Kiedyś na służbie pozwoliłem, żeby emocje przeszkodziły mi w ocenie sytuacji – szepce i wpatruje się w moje oczy. – Zginęło dwóch moich przyjaciół. Ja zostałem ranny. A potem uznano mnie za zbyt wybuchowego i nie zrównoważonego, że bym mógł dalej pełnić służbę. – Zamyka oczy, pozbawiając mnie ulgi, jaką mi przynoszą, gdy wyrzuca z siebie swoją przeszłość. To wymaga od niego wielkiej siły. – Po jednej złej decyzji zabrano mi jedyną rzecz, jaka miała dla mnie znaczenie, ponieważ pozwoliłem, aby życie prywatne wpłynęło na zawodowe. Przysiągłem sobie, że nigdy więcej to się nie powtórzy, Camille. Zawsze dotrzymywałem tej obietnicy. – Słyszę ból w jego słowach i ciężki oddech. – Dopóki cię nie poznałem – kończy cicho i otwiera oczy.

Dławię się szlochem, więc Jake odsuwa dłoń. Jego twarz rozmazuje mi się pod napływem łez. Jest poważny, ale w jego oczach widzę burzę emocji.

Przełyka ślinę i podejmuje:

– Nie mogę zrobić kolejnego złego ruchu.

Natychmiast zaczynam się bać, co to może oznaczać. Jego twarz jest wciąż beznamiętna. Dlaczego teraz? W trakcie garden party u jca? Dlaczego teraz mi to mówi? Ta kobieta. Ta kobieta ze zdjęcia to emocja, o której wspominał – emocja, która wpłynęła na jego ocenę sytuacji. Czy ja też mam na niego taki wpływ?

Waha się przez chwilę i zbiera siły. Po chwili ponownie zamyka oczy, a moje serce zwalnia. Jake wygląda na pokonanego, jakby był gotowy się poddać. Zdradziecka łza spływa po jego policzku i spada na ziemię, kiedy otwiera oczy. Widoczna w nich męka zbija mnie z tropu.

– Moja potrzeba chronienia cię to coś więcej niż dobrze płatna praca Camille. – Jego cichy szept nie pasuje do potężnej postaci.

Z ulgą biorę głęboki wddech i usiłuję zobaczyć cokolwiek poprzez łzy, które zbierają mi się oczach. Jake odsuwa dłoń od moich ust i wychodzi z wnęki. Wzrusza ramionami, jakby przeproszał, a moje serce zaczyna znowu szybciej bić, wskakując od razu na najwyższy bieg. Gwar przyjęcia cichnie, gości widzę jak za mgłą. Są tam, ale ich nie ma. Życie toczy się dalej, nieświadome faktu, że ja i Jake jesteśmy zatopieni w naszym świecie. W chwili, kiedy spoglądam w jego oczy, uświadamiam sobie, że nie zamierza wciągnąć mnie w swój mrok. Chce, żebym pomogła mu znaleźć wyjście. Czuje się jak w więzieniu. Też tak się czułam. Wiem, jakie to uczucie, kiedy nie widzisz drogi do światła. Mnie pomogła Heather. Jake nie ma nikogo ...poza mną. Nie mogę odwrócić się od niego plecami. Muszę mu pomóc.

Nie wiem, co robić. Instynkt mówi mi, żebym podeszła do niego, ale ledwie funkcjonujący umysł przypomina, że ojciec jest w pobliżu. Nie spodoba mu się to. Na pewno zrobi wszystko, żeby nas rozdzielić. Wiem, że tak będzie i boje się tego.

Wychodzę z wnęki i widzę, że Jake obserwuje mnie, kiedy wracam do oranżerii. Rozumiemy się bez słów.

W myślach przygotowuję wymówkę dla ojca.

Potrzeba chronienia mnie to coś więcej niż dobrze płatna

praca?

Ale co?

## Rozdział 19

### JAKE

Idę za Camille, która lawiruje w tłumie i ignoruje wszystkich, którzy usiłują zatrzymać ją na krótką pogawędkę. Jej pośpiech uspokaja mnie. Nie podoba mi się, że tu jest, nawet jeśli to dom jej ojca. Wciąż mamy dzień trzeci. I wciąż jestem podenerwowany. A zamiar Logana, żeby zrezygnować z mojej ochrony, ani trochę mnie nie uspokaja.

Nie planowałem, że zaciągnę ją do wnęki i wyrzucę z siebie wszystkie szczegóły swojej mrocznej przeszłości, ale wraz z upływem wieczoru widziałem, jak coraz bardziej odsuwa się ode mnie i nie mogłem znieść tej myśli. Zrobię wszystko, żeby zatrzymać ją w swoim życiu. Nawet jeśli to oznacza odsłonięcie się przed nią. Nawet jeśli oznacza utratę rozsądku. Już za późno. Już czuję, że zgłupiałem.

Nie mam nic do stracenia. Wbrew rozsądkowi praktycznie padłem do jej stóp. Kiedyś kobieta mnie zniszczyła i nie spodziewałem się, że z własnej woli znów znajdę się w takiej sytuacji. Czuję strach i bezradność. Mimo to nigdy wcześniej nie ogarniała mnie tak wielka nadzieja.

Camille Logan może mnie zranić bardziej niż ktokolwiek, kogo spotkałem poznałem w przeszłości. Ma na mnie większy wpływ. Potrafiłaby mnie zniszczyć. Ale z drugiej strony jest moją jedyną nadzieją na szczęście, nadzieją na wyrwanie się ze szponów przeszłości. Teraz mogę jej dać jedynie urywek przeszłości. Tylko tyle jestem w stanie zrobić, a wmawianie sobie, że i bez moich problemów ma wystarczająco dużo na głowie, jest proste. Z jednej strony mam wyrzuty sumienia, że pozwoliłem jej wkroczyć do swojego mroku bez podania wszystkich informacji, dzięki którym mogłaby sama podjąć właściwą decyzję. Ale z drugiej – tak desperacko pragnąłem zostać przy niej, że nie jestem gotowy, żeby

zniszczyć nasz związek, zanim miał okazję się rozwinąć. Kiedy opowiedziałem jej część swojej przeszłości, w jej oczach nie widziałem odrazy.

Widziałem jedynie żal. Ale jest mały problem. To była tylko część mojej przeszłości i muszę skądś wziąć siłę, żeby wyjawić jej resztę. Stawić czoło mojemu dawnemu życiu. Zrobić to, co należy zrobić, i pogodzić się z przeszłością. Wreszcie żyć dalej.

Camille nie traci czasu i wciska się do grupki otaczającej jej ojca. Z uśmiechem przeprasza za przerwanie rozmowy. Trevor Logan posyła mi spojrzenie, żeby upewnić się, że jestem na stanowisku, i na chwilę mruży oczy, po czym skupia się na córce.

Jego spojrzenie mówi mi wszystko, co muszę wiedzieć. Nie jestem typem faceta, jakiego chce dla swojej córki. Nie jestem nawet typem faceta, jakiego sam bym chciał dla jego córki. Jestem świadomy jego władzy i wpływów. Może mnie zniszczyć. Może kazać wylać mnie z agencji. Muszę pomyśleć, jak najlepiej podejść do sprawy.

Sługusy Logana kręcą się w pobliżu i mają na mnie oko, gdy ich szef rozmawia ze swoją córką. Obecna żona Logana, Chloe, również kręci się w pobliżu. Podczas gdy jej mąż jest zajęty Camille, ona skupia się na kimś innym. Uważnie obserwuję, jak Chloe rozmawia z mężczyzną. Wygląda na zawstydzoną i nieustannie zerka na Logana i Camille. Jest ostrożna i czujna. Ręka mężczyzny unosi się i delikatnie muska jej ramię. Chloe nerwowo podskakuje; odsuwa się i posyła mu ostrzegawcze spojrzenie, a mężczyzna sprawdza, czy ktoś na nich patrzy, ale widocznie się rozluźnia, gdy widzi, że Logan i jego grupa są skupieni na Camille. Szkoda, że nie spojrzał na mnie. Wyciągam z kieszeni telefon i piszę wiadomość. Dyskretnie robię zdjęcie, które załączam do maila.

Sądzę, że żona Logana ma romans. Zdjęcie w załączniku.  
Kto to

Klikam „wyślij” i od razu dostaję odpowiedź.

Robi się. Właśnie dowiedziałam się, że Trevor Logan zasponsorował Sebastianowi Petersowi odwyk. Sprawdziłam też

konto bankowe młodego. W dniu, kiedy poszedł do ośrodka, na jego koncie znalazło się 100 tysięcy. Ciekawy zbieg okoliczności.

Udaje mi się zachować spokój.

Logan przekupił małego gnojka? Taa, widziałem, jak to zadziało. Nie osiągnął nic poza tym, że przez rok czy dwa dawał mu kasę na narkotyki. Powinien był zrobić to, co ja zamierzam: zabić Sebastiana. Nawet nie wie, że ten kutas uderzył jego córkę. Logan robi wszystko, żeby utrzymać Petersa z dala od swojej córki, za co ma u mnie plus, nawet jeśli jego plan był do bani. To wszystko potwierdza tylko, czego powinienem się spodziewać, kiedy dowie się o mnie.

Wsuwam telefon do kieszeni i widzę, że Chloe podchodzi do męża. Uśmiecha się sztucznie, kiedy obejmuje Camille i ją ściska. Nawet stąd widzę, że Camille sztywnieje pod jej dotykiem. Po chwili do grupy dołącza kolejny mężczyzna. Neandertalczyk we mnie zaczyna ryczeć z całej siły, kiedy koleś pochyla się i całuje Cami w policzek. Logan czule się uśmiecha, a Camille krzywi i odsuwa. Adorator? Syn przyjaciela? Ten, za którego Logan chce wydać Camille? Warczę w głębi gardła. Facet przyprawia Camille o dreszcze. Mnie przyprawia o dreszcze! Gdy Camille odsuwa się od grupy, na twarzy jej ojca pojawia się rozczarowanie, ale nie daje mu czasu na reakcję.

Szybkim krokiem mnie mijają. Wygląda na to, że chce wyrwać się z ciasnoty rozległej posiadłości równie chętnie jak ja. Ruszam za nią i przyspieszam kroku, żeby otworzyć przed nią drzwi. Gdy przytrzymuję je dla niej, korzystam z okazji, żeby zerknąć za siebie. Widzę, jak Logan w zamyśleniu mnie obserwuje. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, wpatruję się w niego dłużej niż powinienem i nie jestem w stanie powstrzymać się przed zmrużeniem oczu. To głupi ruch. Nie powinienem wzbudzać żadnych podejrzeń, ale po tym, jak zobaczyłem, że chce podarować swoją córkę tamtemu kutasowi, niebezpiecznie się we mnie zagotowało.

– Muszę się pożegnać z Heather – mówi Camille i rusza w kierunku basenu. Nie mam wyboru, więc idę za nią, choć pragnę

chwycić ją, zawieźć do domu i chronić przed bezwartościowym światem jej ojca.

Szybko znajduje Heather i szepce jej coś do ucha. Oczy najlepszej przyjaciółki Camille uśmiechają się, ale jej usta pozostają poważne, kiedy kiwa głową, zgadzając się z tym, co Camille jej powiedziała. Wiem, że z każdej strony jestem uważnie obserwowany. Zerkam w bok i widzę starszą kobietę, która spogląda na mnie znacząco. Matka Heather. Nie daję nic po sobie poznać, żeby nie potwierdzać tego, o czym może myśleć. Zachowuję pełen profesjonalizm.

– Gotowy? – pyta Camille, gdy podchodzi do mnie.

– Po prostu idź – mówię pod nosem. Zauważam, że osobiści ochroniarze Logana wychodzą z oranżerii i przeszukują wzrokiem teren wokół basenu.

Cami mija mnie, jak jej kazałem, podczas gdy ja dyskretnie rozglądam się w tłumie, kiedy idę za nią. Przyglądam się każdej twarzy, czuję, że moja czujność jest na najwyższym poziomie. Sięgam za plecy i dotykam broni. Pistolet przypomina mi, że jest gotowy odstrzelić łeb każdemu, kto spróbuje powstrzymać nas przed wyjściem. To spojrzenie, które posłałem Loganowi... nie powinno być takie wyzywające.

Kiedy wychodzimy z ogrodu i okrażamy dom, podchodzę do Camille i obejmuję ją w pasie, zachęcając do szybszego kroku.

– Nerwowy jesteś. – Spogląda na mnie, kiedy oceniam odległość do range rovera. – Dlaczego?

– Po prostu chcę cię zawieźć do domu. – Otwieram drzwi i praktycznie wpycham ją na siedzenie, po czym okrażam samochód i wskakuję do środka. Kiedy odpalam silnik, widzę, że goryle Logana wypadają zza rogu.

– Hej, czego chcą Pete i Grant? – pyta Camille, posyłając mi zdziwione spojrzenie. Ruszam z podjazdu szybciej niż planowałem. W głowie mi się kręci. – Jake!

– Nie wiem, Cami – cedzę przez zęby i przyspieszam.

– Może mają coś nowego – mówi niewinnie. – Tata mógł się dowiedzieć, kto stoi za pogrózkami.



– Nie sędzę, żeby chcieli pogadać o pogrózkach. – Tylko częściowo kłamię, ale co mam jej powiedzieć? Że według mnie jej ojciec coś ukrywa?

Nie mam najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu tego, że ukryłem przed nią ostatnie zdjęcia, te, które znalazłem na przedniej szybie jej samochodu. Ma już wystarczająco dużo spraw na głowie.

– W takim razie o czym?

– Co według ciebie twój ojciec zrobiłby, gdyby dowiedział się o nas?

Zerkam w bok i widzę przerażenie na jej twarzy.

– Powiedziałałby, że nikt nie jest dla mnie wystarczająco dobry. Tylko jakiś idiota, syn jego wspólnika.

– Wiem, aniołku. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Zrobiłby wszystko, żeby trzymać cię z dala ode mnie. – Wygląda na zmartwioną, kiedy otwarcie przyznaje to, co oboje wiemy. – Ale ty jesteś wystarczająco dobry – mówi cicho.

– Nie sędzę, żeby twój ojciec się z tym zgodził, aniołku. – Chwytam jej dłoń, aby dodać otuchy. Drobnny szczegół, że jej ojciec przekupił Seba za sto tysięcy, postanawiam zachować dla siebie. To i tak nie ma znaczenia. W końcu nie zadziałało i tylko ją rozzłości, ponieważ będzie kolejnym dowodem na to, że tatuś znów bierze jej życie w swoje ręce. W motywach Logana nie ma nic nierozsądnego. Uparte dążenie Camille do niezależności nie zawsze jest dobre, zwłaszcza kiedy weźmie się pod uwagę jej agresywnych byłych chłopaków. Mały uparciuch.

– Nie interesuje mnie, co on myśli, Jake – wyrzuca z siebie. – Ma obsesję na punkcie kontrolowania wszystkiego wokół siebie. Mnie nie będzie kontrolował. Nie wezmę ślubu, żeby tata mógł zarobić kilka milionów więcej!

– Troszczy się o ciebie. Chce się tobą opiekować – mówię cicho z nieznanych powodów.

Camille spogląda na mnie. W jej oczach płonie intensywny żar.

– Ale teraz ty się mną opiekujesz.

Oddech więźnie mi w gardle. Żadne słowa nigdy nie brzmiały równie cudownie. Równie miło.

– Tak, teraz ja się tobą opiekuję – potwierdzam cichym szeptem i wracam wzrokiem na jezdnię.

Nie wiozę Cami do jej mieszkania. Wiozę ją do siebie. Nie chcę, żeby Trevor Logan wiedział, gdzie jesteśmy. A żeby jego matoly znalazły mnie, musieliby zhakować bazę danych agencji, do czego nie dojdzie.

Wjeżdżam do starej fabryki przy Docklands i uśmiecham się w myślach na widok wyraźnego niepokoju Camille.

– Dlaczego tu jesteśmy? – pyta. Rozgląda się dookoła ze skrywanym strachem na twarzy.

– To mój dom. – Wsiadam z samochodu i okrążam go, żeby pomóc jej wysiąść. Usiłuję się nie śmiać z jej wyraźniej odrazy. Jest naprawdę przerażona.

Chwyta moją rękę i pozwala sobie pomóc przy wysiadaniu.

– Mieszkasz tu?

– Zgadza się, aniołku. – Czekam, aż usłyszę stukot obcasów na cementowej podłodze, ale kiedy dochodzę do starej windy towarowej, nic nie słyszę. Wbijam kod, a gdy się odwracam, widzę, jak Camille rozgląda się po ogromnej otwartej przestrzeni i podnosi wzrok do stalowych krokwi i dachu z blachy falistej. Promień wieczornego słońca, który sączy się przez złamane deski, oświetla jej twarz. Uśmiecham się, ponieważ tego właśnie oczekiwałem. I nie chodzi o to, że Cami stoi zdezorientowana w zrujnowanym budynku, ale o to, że jego stan jest naprawdę zły. – Idziesz, czy mam ci tu przynieść kawę?

Przenosi wzrok z krokwi na mnie i posyła mi lekceważące spojrzenie.

– Po prostu nie tego się spodziewałam.

– Tak jak nie spodziewałaś się mnie? – Znacząco unoszę brwi. Uwielbiam patrzeć na nią, kiedy usiłuje się powstrzymać przed zmarszczeniem nosa.

– Właśnie tak – przyznaje i podchodzi do mnie. – Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

– Ponieważ sądzę, że tatuś mógł kazać nas śledzić.  
– Pete’owi i Grantowi?  
– Tak. – Wprowadzam ją do windy i szarpnię za zardzewiałe żelazne przekładnie, żeby ustawić je we właściwej pozycji. – Trudno ich nie zauważyć, prawda?

– Ciebie też – śmieje się i przesuwa palcem wzdłuż mojego policzka.

Mrugam do niej bezczelnie. Wjeżdżamy na piętro fabryki, i przyciągam ją do siebie, żeby rozkoszować się bliskością naszych ciał.

– To część mojej pracy, Camille. Być widocznym ostrzeżeniem.

– Nie zauważyłam tego ostrzeżenia.

Jej telefon zaczyna dzwonić. Oboje zerkamy na ekran. Ojciec. Odrzuca połączenie i wyłącza komórkę. Sam bym to zrobił, gdyby mnie nie uprzedziła. Z radością wtula się we mnie i mruczy z zadowolenia. Po chwili winda szarpie, oznajmiając przybycie do mojego mieszkania. Jęk niezadowolenia wyrwa się z jej ust, kiedy ją puszczam, żeby otworzyć drzwi, ale szybko zmienia się w jęk podziwu, gdy jej oczom ukazuje się mój salon.

– Bardziej ci się podoba? – pytam. Stoję z boku, kiedy ostrożnie robi krok naprzód i rozgląda się dookoła.

– Wow. – Obraca się do mnie z zaskoczeniem. – Po prostu... wow.

Uśmiecham się i kładę dłonie na jej ramionach. Prowadzę ją przez przestronny pokój w kierunku sypialni. Chęć rzucenia jej na łóżko i zerwania z niej ubrań jest niemal nie do powstrzymania, ale najpierw muszę załatwić kilka spraw, więc zmuszam się do oderwania rąk. Z uśmiechem spoglądam na Camille i widzę w jej cudownych oczach rosnące pożądanie.

Z sypialni roztacza się widok na miasto, jednak Cami nie zamierza oderwać ode mnie wzroku. To olbrzymi komplement, bo panorama Londynu jest naprawdę niesamowita.

– Weź prysznic – nakazuję i rozpuszczam jej kręcone włosy, które spływają po ramionach.

Żądza przejmuje nade mną kontrolę. Zanurzam twarz w złoty wodospad przy jej szyi i wdycham jej zapach. Daję sobie przedsmak tego, co mnie czeka, kiedy załatwię interesy.

– Sama? – pyta. Kładzie dłonie na moich barkach i wbija w nie paznokcie. Jęczę, gdy czuję napływ krwi do fiuta.

– Za dziesięć minut czekam w łóżku – oświadczam, kiedy odrywam się od jej ciała. – Ręczniki są na półce. – Odsuwam się, na co wydyma usta, a do jej dużych oczu napływa rozczarowanie. – Dziesięć minut – powtarzam. Odwracam się i zostawiam ją samą. To duże wyzwanie, ale nie uspokoję się i nie będę mógł się nią rozkoszować, dopóki nie wyjaśnię kilku spraw.

Przechodząc przez salon, zdejmuję krawat i marynarkę, które rzucam po drodze na kanapę. Siadam na fotelu. Odpinam górny guzik i wyciągam z kieszeni telefon, żeby wybrać numer do Lucindy.

– Właśnie miałam do ciebie dzwonić – wita mnie.

– Dlaczego?

– Włamaliśmy się do skrzynki Logana.

– Mieliśmy jego maile – zauważam i marszczę czoło. – Dał nam dostęp do kont.

– Nie do tego. Tego adresu nam nie podał. Domyślasz się dlaczego?

– Cholera, nie wiem. – Zaciskam wargi. – Coś ukrywa?

– Tak. Dwa dni temu dostał maila. Nieznany adres IP. Konta nie można namierzyć. Usunął maila z serwera, ale wiem, że był załącznik.

Lekko prostuję się na fotelu.

– Co w nim było?

– Nie wiem, ale ukryty adres IP budzi podejrzenia, podobnie jak szybkie usunięcie wiadomości z serwera. Logan zadzwonił i potwierdził zakończenie zlecenia. Wspomniałam o zdjęciach, które przysłano pocztą i o tych, które znalazłeś na samochodzie Camille. Powiedział, że jego osobista ochrona zbliża się do rozwiązania sprawy pogróżek. Nie wierzę mu.

– Ja też nie. – Biorę głęboki wdech i odchylam się na fotelu.

Palcem przesuwam po zaroście. – Zagrożenie nie zniknęło, a on chce się mnie pozbyć? – zastanawiam się i słyszę, jak Lucinda przytakuje po drugiej stronie linii.

– Na to wygląda. Dlaczego miałyby to zrobić, Jake?

– Nie mam pojęcia. – Nie pozwalam jej skierować rozmowy w tym kierunku. – Masz coś o obecnej żonie?

– Dlaczego chcesz, żebym przyjrzała się jego żonie?

– Coś kręci. Nie lubię jej.

– Według ciebie wszyscy kręcą! – wybucha śmiechem. – Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego sądzisz, że to jego żona groziła swojej pasierbicy.

– Po prostu powiedz mi, co masz – warczę, bo czuję narastającą frustrację. Ciągłe trafiamy na ślepe zaułki. Muszę wreszcie wpaść na coś, co rozjaśni sytuację!

– Wiem, kto jest na zdjęciu, które mi przesłałeś. Simon Sanders. To prawnik Logana. Prawnikiem specjalizującym się w rozwodach.

– Żona Logana ma romans z jego prawnikiem od rozwodów? – pytam zaskoczony. Takie scenariusze pisze tylko życie.

– Tak. I sądzę, że romans trwa od miesięcy. Wymieniają maile z dużą intensywnością. Nie będę cię zawstydząć i czytać ich na głos.

Śmieję się z rozbawieniem.

– Szukaj dalej. Zadzwoń do ciebie rano.

Rozłączam się i wybieram kolejny numer. Logan odbiera szybko, mimo że bez wątpienia wciąż zabawia gości na przyjęciu urodzinowym niewiernej żony. Musiał spodziewać się mojego telefonu.

– Pana ochroniarze dosyć zwawo ruszyli za mną, kiedy wyszliśmy wcześniej. – Od razu przechodzę do sedna sprawy.

– Zgadza się, chciałem z panem porozmawiać na osobności, ale wyraźnie się pan śpieszył. – Nieufność w jego głosie mówi mi, że mamy do siebie podobne podejście.

– Płaci mi pan, żebym chronił pańską córkę. Nie podobały mi się ich spojrzenia.

– Ich spojrzenia mówiły, żeby wrócił pan na chwilę, abyśmy mogli porozmawiać. Moja ochrona nie stanowi zagrożenia dla Camille.

Ochrona? Jego ochrona to jakiś żart. Mógłby mieć całą armię spasionych goryli, a i tak każdy półgłówek by ich przechytrzył.

– Wszyscy są zagrożeniem – warczę. – O czym chciał pan porozmawiać?

– Pana usługi nie są już potrzebne.

Mówi to, czego się spodziewałem, ale zamiast zaskoczyć go tym, co wiem, a mianowicie informacją o koncie mailowym, które postanowił zataić przed nami, podchodzę do sprawy z innej strony. Istnieje powód, dla którego zachował to dla siebie, a ja planuję dotrzeć do samego sedna.

– Rozumiem. Mogę spytać dlaczego?

– Jesteśmy bliscy rozwiązania sprawy – odpowiada rzeczowo. Czuję, że skóra cierpię mi ze złości. Zakłamany drań. – Jak się spodziewałem, to tylko rozłoszczeni konkurenci. Mocni w gębie i nic poza tym.

– Nazwiska?

– Podejrzewam, że będzie lepiej, jeśli sam się tym zajmę.

– Czy chce pan ryzykować bezpieczeństwem Cami na podstawie swojego widzimisię? – Modlę się, żeby zaprzeczył, bo przysięgam na Boga, że w przeciwnym razie pojedę do tej jego pieprzonej posiadłości i odstrzelę mu łeb.

– Cami? – Pomija wszystko i skupia się na mojej jedynej pomyłce.

Cholera!

– Od kiedy dostąpił pan zaszczytu nazywania mojej córki zdrobnieniem jej imienia?

Jego ton mówi wszystko. Jego opinia o mnie, jego dezaprobata. No dawaj, Logan. Jestem świadom, że rozmawiam z jej ojcem, ale to, co o nim wiem, nie pomaga mi okazać mu szacunku.

– Od kiedy mnie o to poprosiła – cedzę słowa. – Dopóki prośby moich podopiecznych nie narażają ich życia, jestem do ich

usług, panie Logan. – Nie mogę się powstrzymać i pozwalam mu czytać między wierszami. – Nie sędzę, aby zwracanie się do niej skróconą formą imienia stanowiło zagrożenie dla jej życia, a pan? – Chcę dodać, że jej imię brzmi lepiej, kiedy wychodzi z moich ust z jękiem przyjemności. Kiedy wprowadzam głęboko w nią swojego fiuta. Chcę, ale nie robię tego, ponieważ byłoby to mściwe i jedynie potwierdziłoby jego podejrzenia.

Wiem, jak ważne jest, aby zbić go z tropu. Ale to niełatwe, kiedy w środku aż się gotuję, wiedząc, że nie jest szczery, kiedy mówi o ochronie swojej córki. Muszę się opanować. Logan jest skłonny narazić Cami, żeby trzymać mnie z dala od niej? Obawiam się, że o to tu chodzi. Czy on w ogóle wie, z kim ma do czynienia? Nie jestem żalonym chłoptasiem uzależnionym od narkotyków. I nie dam się przekupić. Za żadne pieniądze świata. Po raz pierwszy w swoim życiu Trevor Logan poczuje się słaby i bezsilny. Z rozkoszą do tego doprowadzę.

– Wszystko, czego chce moja córka... – mruży cicho, a ja zaciskam wargi.

– Wszystko, czego chce Camille – odpowiadam. – Sam się zwolnię, kiedy będę miał konkretny dowód na to, że życiu Cami nie zagraża niebezpieczeństwo. Mam czystą kartę, panie Logan. Dlatego mnie pan zatrudnił, pamięta pan? – Rozłączam się, choć walczę z chęcią, aby na koniec dodać, że zaraz dam jego córce to, czego naprawdę chce.

Siebie.

Zwalczyłem również chęć poinformowania napuszonego dupka, że jego żona dostaje to, czego chce, od jego prawnika rozwodowego. Czuję zalew informacji, ale w ułamku sekundy postanawiam, że bezpieczniej będzie nie mówić Cami o tym, czego się właśnie dowiedziałem. I mimo że jest to wbrew mojemu instynktowi, nie mam zamiaru robić sobie wyrzutów. Przekupstwo byłego Cami, niewierna żona, sekretne konto mailowe – oto amunicja, jakiej użyję w wojnie, której nie mam zamiaru przegrać.

Odkładam telefon na biurko, kładę nogi na blacie i opieram głowę o plecy fotela. Dziś, mimo wszystkich rewelacji, po raz

pierwszy czuję się rozluźniony. Ponieważ ona tu jest. Ze mną. To był długi, wyczerpujący dzień. I jedyne, o czym myślę, to żeby zwieńczyć go w najlepszy możliwy sposób.

Wstaję i podchodzę do barku. Po drodze czuję niemal zapomniany zapach jacka. Nie piłem od tygodni i normalnie nie zrobiłbym tego w czasie pracy. Ale moja praca zazwyczaj nie odbywa się w bezpiecznych ścianach mojego mieszkania. Biorę szklaneczkę, nalewam zdrową porcję i podnoszę ją do ust, wdychając zapach. Ach, jak dobrze pachnie. Wypijam do dna i odstawiam szklaneczkę. Pozwalam, aby żar alkoholu rozpalił mnie, spływając do żołądka.

Potem zaczynam rozpinąć koszulę i ruszam w kierunku łazienki. Słyszę dźwięk wody spływającej po jej nagim ciele. Po rzuceniu koszuli zabieram się za rozporek. Przystaję przed drzwiami sypialni, żeby zsunąć spodnie i zdjąć buty. Kiedy jestem już nagi, idę bosy do łazienki. Strumień wody staje się coraz głośniejszy, gdy zbliżam się do progu zaparowanego pomieszczenia. Cicho podchodzę do prysznica, aż stoję pół metra od szklanych drzwi.

Widzę jej plecy. Jej szczupłe ciało jest mokre i woła mnie. Jestem pewien, że mógłbym po prostu stać całą noc i w milczeniu podziwiać, jak przebiega dłońmi po swojej skórze i z odchyłoną głową poddaje się wodzie, która spływa po jej twarzy. Jej mokre blond włosy, przyklepione do pleców, muskają jej piękny, jędrny tyłeczek. Unosi dłonie i kładzie na kafelkach przed sobą. Mój penis gwałtownie się unosi, tak desperacko chcę ją wziąć.

Otwieram drzwi i patrzę, jak lekko wzrusza ramionami. Wie, że tu jestem. Rozchylam wargi i przygotowuję się na przyjemność, która nastąpi. Przyglądam się jej plecom, kiedy odsuwa dłonie od ściany. Opiera delikatny podbródek na barku, co daje mi widok na jej profil. Jednak nie pokazuje mi swoich oczu. Nie musi. Jej ciało równie głośno woła, żebym ją wziął, jak mój cieknący fiut.

Widzę, jaka jest delikatna, powinienem bać się jej dotknąć, ale wiem, że nie mógłbym jej złamać. Jest zbyt silna, a kiedy jesteśmy złączeni, czuję, że ta siła zwiększa się, choć nie mogę



pojąć, dlaczego tak się dzieje. Czerpie ze mnie energię, tak jak ja czerpię z niej. Pragnie mnie. Może to trochę naiwne, ale zakazałem sobie podważać swoje motywy zachowania dla siebie informacji, które mogą sprawić, że zmieni zdanie. Teraz realnym zagrożeniem jest jej zakłamaný ojciec, a ochrona Cami przed nim to mój priorytet. Chronienie tej kobiety to nie tylko moja praca. To moja życiowa misja.

Delikatnie zgarniam jej włosy i odsuwam na bok, żebym mógł w pełni podziwiać jej idealny kręgosłup. Wciąż pokazuje mi swój profil, a jej usta się rozchylają, kiedy sięga po swoje włosy i przekłada je przez pierś. Moje palce unoszą się w powietrzu i opadają u podstawy jej szyi. Pod lekkim naciskiem wygina plecy w łuk.

Zwierzę we mnie krzyczy, żeby przycisnąć ją do ściany i wziąć od niej, co sama chce mi dać, ale narastająca łagodność w moim sercu stawia sprzeciw. Każdą kobietę, którą miałem w tym mieszkaniu, zerznąłem szybko, ostro i bez zastanawiania się, czy czerpie z tego przyjemność. Cami nie będzie jedną z tych bezimiennych kobiet.

Lekko i powoli, wiedząc, jak na to zareaguje, nakreśliłem idealnie prostą linię wzdłuż jej pleców. Oblizuję wargi i słyszę, jak szybciej oddycha. Dźwięk działa na mnie niczym narkotyku. Bardzo uzależniający narkotyk.

Koniuszkiem palca sięgam maleńkiego wgłębienia nad jej pośladkami i rysuję kółka, zanim rozsunę dłoń i chwycę jej pośladek w zaborczym uścisku.

Drży i znowu kładzie dłoń na ścianie, wydając z siebie cichy okrzyk, który wypełnia powietrze. Podchodzę bliżej. Nie mogę dłużej zachować dystansu. Moja mokra pierś styka się z jej plecami. Jej miękka skóra kusząco ślizga się po mojej, kiedy moja męskość wciska się między jej lędźwie. Ten bliższy kontakt każe mi puścić jej tyłek, ale to niewielka strata, ponieważ dotykamy się wszędzie. Jej szyja kusząco lśni, więc schylam się i ją liżę. Moje dłonie znajdują jej piersi.

– Co chcesz, żebym ci zrobił, Camille? – mruczę przy jej

uchu i przyciskam ją do ściany; teraz jest uwięziona pod moim ciałem.

Wyciąga szyję i trąca mnie w twarz, dopóki nie znajdzie moich ust.

Siła jej pocałunku jest obezwładniająca.

– Rób, co chcesz. Bierz, co chcesz. – Jej język cudownie wypowiada te słowa i ciska je głęboko w moją pierś. Czuję, jak rozgrzewają mi serce i przywracają kolejną małą cząstkę mnie do życia.

Wyglodniały pomruk wydobywa się z głębi mojego brzucha i wybucha, roznosząc się echem po kabinie. Obracam ją twarzą do siebie i chwytam za pupę, żeby unieść jej ciało, które znów przyciskam do ściany. Jęczy i wije się przy kafelkach, kiedy chwytam mnie za barki. Śliskie ruchy jedynie zwiększają mój głód i sądzę, że ona to wie. Gdybym był w nastroju do przekomarzania się, przedłużałbym chwilę, kazałbym jej błagać, żeby tylko czerpać przyjemność z wiedzy, jak bardzo mnie pragnie.

Ale dziś moja desperacja, żeby zapomnieć o ciężkim dniu, jest zbyt silna. Unoszę ją, ustawiam się odpowiednio i pozwalam jej osunąć się na mojego fiuta. Dotyk jej mokrej cipki jest dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem. Mój umysł obchodzi tylko Cami. Tylko ją widzę, tylko ją czuję. Należy do mnie, każdy kawałek jej ciała, duszy i serca jest mój. Będę wielbił ją całym sobą. I Bóg mi świadkiem, rozerwę na strzępy każdego, kto będzie chciał mi ją odebrać, bez względu na to, czy będzie to jej eks, ojciec czy nieznane zagrożenie. Krew się poleje i nie będę żałował jatki, jaką urządzę.

Amen.

Wysuwam się, rozkoszując się każdą sekundą, a po chwili powoli i dokładnie wchodzę z powrotem i przyciskam ją do ściany. Wydaje z siebie urywany okrzyk. Mam zamiar przedłużać jej przyjemność przez całą noc, aż będzie fizycznie wykończona i będę mógł zanieść ją do łóżka i położyć na nim.

Świadomość, że ona pragnie tego samego, ułatwia mi zadanie. Znajduję jej nabrzmiałe wargi i całuję delikatnie. Powoli

przesuwam językiem i niespiesznie badam jej usta. Jej jęki utwierdzają mnie w moim celu. Przesuwa dłonie po moich barkach i wędruje nimi aż do szyi, gdzie je zatrzymuje, by oddać mi pocałunek z równą namiętnością. Poruszam biodrami w poszukiwaniu jej najskrytszej części ciała i z każdym zanurzeniem coraz trudniej mi powstrzymać orgazm. Z każdym cofnięciem się mój fiut bardziej pulsuje. Jednak zachowanie kontroli jest łatwiejsze, kiedy widzę, że poddaje się chwili tak jak ja.

Nie jestem gotowy, by to zakończyć.

Zaskakuję sam siebie, kiedy całkowicie się z niej wysuwam. Drzenie bioder zachęca mnie, żebym ponownie znalazł jej ciepło, jednak tego nie robię. Naciskam na jej nogi, żeby je obniżyła i czekam, aż ustabilizuje pozycję. Po chwili przyklękam i patrząc na nią, zaczynam całować wewnętrzną stronę jej uda.

– O mój Boże! – Ciągnie mnie za włosy, siłując się ze mną, gdy moje usta dotykają jej cipki. Jej wejście jest szeroko otwarte i obrzmiałe.

– Hmm. – Zdecydowanie przeciągam po nim językiem i po drodze przygryzam drżącą łechtaczkę. Cholera, Cami bosko smakuje.

– Jake! – Zaczyna dygotać, prawie wibrować przy kafelkach.

Mógłbym sprawić, że w sekundę dojdzie. Wystarczyłoby nie odrywać ust, jednak świadomość, ile przyniesie mi to satysfakcji, nie wystarcza, żeby mnie do tego przekonać. Więc dalej ją liżę. Wędruję językiem po jej brzuchu, żebrach, aż dochodzę do piersi. Słodkie sutki są niczym ciemne kamyki, a każdy z nich pragnie mojej uwagi. Zadowolam oba.

Woda spływa mi po plecach, kiedy Cami wciąż szarpie moje włosy.

– Chcesz, żebym wziął cię od tyłu, aniołku? – pytam. Lekko przygryzam jeden sterczący sutek i ciągnę go zębami, dopóki się nie wysunie. – Powiedz mi, Cami. Powiedz mi, gdzie mnie chcesz.

Opuszcza głowę i dyszy, wyraźnie niezdecydowana.

– Chcę go... – Łapie mojego fiuta, a ja wstrzymuję oddech. – Chcę go poczuć w sobie.

Nie mam pojęcia, jak udaje jej się to zrobić, ale faktem jest, że ląduję na tyłku. Potem siada mi na kolanach, a sekundę później naciska na moje ramiona i zachęca, żebym położył się na plecach. Poddaję się jej; uśmiecham się w myślach i kładę na podłodze prysznic, nie zważając na twarde podłoże. Unosi się na kolanach i wpatruje się we mnie, kiedy sięga sobie między nogi i chwytą mojego ptaka.

Cholera, będzie mnie ujeżdżać. I mimo że pozbawia mnie to nieco kontroli, z przyjemnością podziwiam nowy widok. Zakładam ręce nad głowę, kiedy nieśpiesznie wprowadza mnie w swoje wnętrze. To, co widzę, od razu wskakuje na pierwszą pozycję moich ulubionych widoków: jej piersi, jej twarz z rozchyłonymi ustami i zamkniętymi oczami, a jeśli spojrzę niżej – mój fiut wchodzący w nią. Cholera, jestem w niebie.

Osuwa się niżej; z trudem się powstrzymuję przed wyrzuceniem bioder w górę i wbiciem się w nią. Niech zrobi to po swojemu. Niech posiadzie moje ciało tak, jak posiadała umysł.

– O cholera! – Spoglądam w dół i widzę, że jestem w połowie zanurzony w niej, u progu pełnej penetracji. Jej nogi drżą, gdy usiłuje zachować równowagę, co zwiększa rozkosz. – Cały, aniołku. Weź mnie całego.

Bierze gwałtowny wdech, co mi mówi, że ta pozycja utrudnia jej wzięcie mnie do końca.

– Sekundę – dyszy i zamyka oczy, kiedy rozluźnia mięśnie i opada do końca.

Jęczę, kiedy moim ciałem wstrząsa dreszcz. Cami krzyczy. Odgłosy naszej rozkoszy wybijają się ponad spływającą wodę. Moje ręce przytrzymują jej uda. Jeszcze się nie ruszyła, a ja czuję, że z trudem wytrzymuję. Jeden ruch i mogę wybuchnąć. Jeszcze nie skończyłem!

– Spokojnie, aniołku – mówię, upajając się cudownymi doznaniem. – Nie śpiesz się.

Z jękiem dotyka mojego brzucha i opuszcza głowę.

– Mogę to zrobić – mówi. Zatacza koło szczupłymi biodrami i nabiera powietrza. Ostatkiem sił zmuszam się, żeby pozostać w

bezruchu. Po chwili ponownie porusza biodrami. Wydaję z siebie zdławiony okrzyk i zanurzam palce w jej ciele. – O Boże, tak! – krzyczy przy kolejnej rotacji.

Mój świat rozpada się pod wpływem bezgranicznej rozkoszy, której nic nie dorówna. Cami znajduje w sobie siłę: odrzuca głowę do tyłu i ujeżdża mnie, krzycząc raz po raz. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem niczego podobnego i nigdy nie doświadczę, chyba że z tym zesłanym przez niebiosa aniołem, który wygląda, jakby miał zaraz wybuchnąć.

Gdy ramiona jej sztywnieją, zmuszając ją do oparcia dłoni o mnie, krew napływa do samej końcówki mojego fiuta, a biodra same z siebie podskakują.

– Cami... – Usiłuję ją ostrzec, powiedzieć jej, że doszedłem do punktu, z którego nie ma odwrotu, ale ona jęczy i wbija we mnie duże, pożądliwe oczy. Też jest blisko.

– O, tak – mówię zdławionym głosem i wprawiam ją w ruch. Poruszam jej udami w przód i w tył, stymulując doznania.

– Jake!

Widzę, jak jej usta się otwierają i czytam z ruchu jej warg swoje imię, ale jedyne, co słyszę, to krew, która buzuje w moich żyłach, kiedy podniecenie narasta i wybucham. Fale przyjemności napływają raz po raz, aż ich intensywność nie pozwala mi podziwiać, jak Cami walczy ze swoim orgazmem.

Zamykam oczy. Czuję, jak bezwładnie opada na moją pierś. Moje ramiona zdołają znaleźć siłę, żeby ją objąć, a serce bije dziko przy jej piersi.

Niedługo podniosę ją i zaniosę do łóżka. Ale do tego czasu będę ją trzymał mocno w ramionach i nie zamierzam jej z nich wypuszczać.

## Rozdział 20

### CAMI

Ostatnie, co pamiętam, to pierś Jake'a przy moim policzku i woda spływająca po plecach. Potem musiał zanieść mnie do łóżka, ale nie pamiętam, kiedy to się stało. Musiałam być nieprzytomna, znokautowana własnym wyczerpaniem i czystym zadowoleniem. Seks z Jakiem za każdym razem jest fantastyczny, ale ostatnia noc pod prysznicem była na zupełnie innym poziomie. Nikt wcześniej nie zabrał mnie do nieba. Nigdy nie czułam się tak pożądana. To było coś nieokiełznanego.

Wpatruję się w tors Jake'a, wtulona w jego bok. Nasze splecione ciała częściowo zakrywa pościel. Przyciska mnie mocno ramieniem, a głowę ma lekko przechyloną na bok. Jego serce bije równym, stałym rytmem pod moim uchem. Śpi. Nie drzemie jak zawsze; półrozbudzony i czujny. Naprawdę śpi. Po raz pierwszy widzę go tak spokojnego.

Muskam palcami jego tors, nie mogąc opanować chęci dotknięcia go. Jego brodę jak zawsze pokrywa lekki zarost. Leciutko przesuwam dłoń po jego rozchylonych ustach. Nie rusza się i wciąż ma zamknięte oczy. Po prostu wpatruję się w niego, zastanawiając się, co przyniesie dzisiejszy dzień.

Czy powinnam zebrać się na odwagę i złożyć ojcu wizytę, żeby powiedzieć mu o mnie i Jake'u? Może wystarczy tylko zadzwonić? A może nic mu nie mówić i uciec z Jakiem? Kiedy postanowiłam znaleźć wymówkę, żeby wcześniej wyjść z przyjęcia ojca, wiedziałam, że zmieni to całe moje życie.

Jake jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem na świecie, który nie boi się mojego ojca. Świadomość ta zarówno uspokaja mnie, jak i niepokoi. Tata postrzega mnie jak kolejną transakcję biznesową. A Jake ośmielił się stanąć mu na drodze. Efekt starcia będzie niewyobrażalny.

Ale bliskość Jake'a daje mi pewne poczucie bezpieczeństwa. Wzdycham i z powrotem wtulam się w jego tors.

– To było zmęczone westchnienie. – Jego senny głos przerywa moje myśli. Unosi powieki i spogląda na mnie ciemnymi, zatroskanymi oczami.

– Po prostu zastanawiałam się nad kilkoma rzeczami.

Niemrawo wierci się na łóżku i przewraca na bok, żeby nasze twarze były blisko i na tej samej wysokości. Kładzie dłoń na moim biodrze, pochyla się do przodu i całuje w czubek nosa.

– Wyglądasz dzisiaj niewyobrażalnie pięknie – mówi, a ja się uśmiecham. – Powiedz mi, nad czym się zastanawiałaś.

– Nad ojcem. Naprawdę myślisz, że kazał Pete'owi i Grantowi nas śledzić?

Z czułym uśmiechem wpatruje się we mnie przez chwilę.

– Tak właśnie myślę.

Zaciskam wargi. Odkąd tata powiedział mi, że praktycznie odkrył, kto stoi za pogrozkami, istnieje tylko jeden powód, dla którego mógłby wysłać ich za nami.

– Ponieważ uważa, że jesteśmy... – milknę i wbijam wzrok w jego brodę. Nie jestem pewna, jak to ująć. Nie mogę mu powiedzieć, że zakochałam się w nim. Przede wszystkim dlatego, że wciąż nie wiem, co Jake myśli o nas. Choć jego potrzeba chronienia mnie wykracza poza obowiązki zawodowe, nie wiem, co jeszcze czuje. Na ile poważnie to traktuje.

Chwyta moje ramię i przyciąga mnie do siebie, układając moje ciało tak, jak chce. Sadza mnie na swoim brzuchu. Poddaję mu się, a moje myśli się rozpraszają. Jake unosi moją rękę do ust i całuje knykcie. Przez ten uroczy gest moje myśli zupełnie tracą klarowność. Kiedy ostatnim razem pozwolił, aby emocje wpłynęły na jego osąd, konsekwencje okazały się poważne. Ale za bardzo boję się spytać, co się stało. I o to, jaki ma to związek z kobietą ze zdjęcia. Historia jest najprawdopodobniej bolesna, ale jednej rzeczy się domyśliłam. Musiał ją kochać. I czuję się okropnie, bo nienawidzę tej myśli.

– Czy ci się to podoba, czy nie, aniołku, twój ojciec nie

będzie zachwycony. Jestem na to przygotowany i ty też powinnaś.

– Jestem – mruczę. Lekko mi ulżyło, kiedy widzę, że myślimy z Jakiem podobnie. – Ale co masz na myśli mówiąc, że jesteś przygotowany? – To też mnie niepokoi. Nie mogę pozwolić ani zaakceptować, aby Jake wypowiedział wojnę mojemu ojcu. Wzdrygam się, kiedy przed oczami widzę obrazy w wczorajszego dnia, kiedy pokonał grupę mężczyzn.

– Będzie chciał powstrzymać mnie przed spotykaniem się z tobą. Nie pozwolę na to.

– Jak? – Mówi zbyt ogólnikowo. Muszę poznać szczegóły, żeby się w pełni przygotować.

Jego usta lekko drgają w kącikach, jakby wiedział, o czym myślę.

– Nie skrzywdzę twojego ojca.

– Obiecuj.

– Obiecuję.

– Dziękuję. – Z olbrzymią ulgą pochylam się nad jego torsem i przytulam się do niego. Czuję miękkość jego zarostu na swojej skroni.

Jake powoli i spokojnie wzdycha i kładzie rękę na mojej głowie, przysuwając mnie do siebie.

Odprężamy się w cudownym uścisku i cieszymy spokojną atmosferą. Nagle cichy odgłos zza drzwi sypialni sprawia, że rozluźnione ciało Jake'a spina się pode mną. Zamiera w bezruchu i mam wrażenie, że przestaje oddychać. Próbuję wyswobodzić się z jego uścisku, ale przyciska mnie i trzyma w ramionach. Przez jego nagłą czujność i widoczny niepokój nie sposób nie poczuć lekkiej paniki.

– Jake, co się stało?

Docierają do nas kolejne dźwięki, tym razem kilka głośniejszych uderzeń. W ułamku sekundy Jake odsuwa mnie od siebie.

– Zostań tu – nakazuje szorstko, wyskakując z łóżka.

Zwijam się przy wezglowiu i okrywam, jakby żałosna, cienka pościel mogła mnie ochronić przed tym, co go tak



poruszyło. Jake wyraźnie dygocze z napięcia. Szczęki ma zaciśnięte. Już go widziałam w takim stanie, kiedy zauważył zagrożenie. Sięga pod materac, nie spuszczać z oczu drzwi sypialni, i wyciąga broń.

– O cholera! – Odsuwam się jeszcze bardziej. Wzrok mam wbity w pistolet, który tak do niego pasuje. Jakby był przedłużeniem jego dłoni. – Jake...

– Cicho, Cami! – syczy i powoli odbezpiecza broń. Pistolet wydaje ciche kliknięcie, kiedy Jake podchodzi do drzwi sypialni.

Nawet kiedy jest nagi, wygląda śmiertelnie groźnie. Każdy mięsień jego pleców i nóg jest przygotowany do ataku. Jake trzyma broń przy udzie, a palec na spuście. Wygląda szybko zza framugi, a potem znika z widoku. Siedzę sama na łóżku. Trzęsę się i usiłuję złapać oddech.

Głos w mojej głowie każe mi iść za nim, drugi głos każe zostać na miejscu, a jeszcze inny krzyczy, żebym uciekała. Czuję się słaba i bezużyteczna. Wtulam się w jego łóżko. Cisza dobija mnie, kiedy czekam na... sama nie wiem, na co czekam. Na krzyki? Wystrzały?

– Cholera! – wykrzykuje Jake. Serce podchodzi mi do gardła i eksploduje, dusząc mnie. Ale nie mogę się poruszyć. Strach mnie unieruchamia. Słyszę potok wyzwisk i kilka głuchych odgłosów... a po chwili zalega cisza.

– Jake! – krzyczę. Moje ciało wraca do życia. Jak oparzona wyskakuję z łóżka, zostawiając za sobą pościel. Zero odpowiedzi. Jestem na skraju zupełnego załamania i nie wiem, co robić. – Jake!

Drzwi się otwierają, a ja odskakuję ze strachu. Po kilku sekundach odzyskuję ostrość widzenia, a po kolejnych dostrzegam, że postać w drzwiach to nie Jake.

To kobieta.

– No, po prostu pięknie! – krzyczy i macha oskarżycielsko ręką w moim kierunku.

Cofam się ostrożnie i sięgam po prześcieradło, żeby się zakryć i ocenić osobę, z którą mam do czynienia. Jest niska, ale wygląda groźnie. Ma czarne, krótko obcięte włosy. Ubrana jest w

szary kostium ze spódnicą i białą bluzkę. Kto to?

Jake staje za nią. Jego ramiona i głowa wystają ponad jej drobną sylwetką. Wygląda na zamyślonego. Nie podoba mi się to.

– Prawie odstrzeliłem ci głowę, Lucindo – mruczy i rzuca mi zmartwione spojrzenie.

Lucindo? Kim, do diabła, jest Lucinda?

– Żałuję, że tego nie zrobiłeś! – warczy kobieta. Obraca się i staje twarzą w twarz z sutkami Jake'a. Prycha, cofa się i podnosi wzrok, podczas gdy Jake patrzy na nią z lekkim zmęczeniem. – Ponieważ to – macha ręką w kierunku łóżka lub mnie – sprawia, że mam ochotę strzelić sobie w łeb!

Wpatruję się w nią urażona, a Jake przewraca oczami.

– Nie będę cię powstrzymywał – mruczy. Odwraca się i podchodzi do krzesła. Wciąż jest całkowicie nagi i kompletnie niewzruszony tym faktem. A Lucinda, kimkolwiek jest, też nie czuje się speszona potężnymi nagimi mięśniami. Jake zakłada bokserki i wychodzi z pokoju.

Kobieta idzie za nim. Jej złość jest namacalna.

– Polecą głowy, Jake! Cała agencja na tym ucierpi!

O-oo....

Zaczynam rozumieć, w czym problem. To jego koleżanka z pracy, która martwi się konsekwencjami mojego związku z Jakiem. Doskonale wiem, że gniew mojego ojca może przysporzyć problemów Jake'owi i agencji, dla której pracuje.

– I tylko dlatego, że nie możesz się powstrzymać przed wsadzeniem fiuta do każdej dziurki! – Nie przestaje mu wymyślać. – Każdej pieprzonej dziurki! Wystarczy, że żyje i ma cipę. To ci wystarcza, nie?

Wzdrygam się z niesmakiem, kiedy siedzę na łóżku i słucham tyrady Lucindy na temat głupoty Jake'a, ale Jake nie protestuje, nawet słowem się nie odzywa. Potem zapada cisza i zastanawiam się, pewnie całkiem słusznie, czy przypadkiem jej nie udusił. Wstaję z łóżka owinięta prześcieradłem i powoli podchodzę do drzwi, nasłuchując dźwięków. Ale kiedy dochodzę do progu ogromnego salonu Jake'a, widzę, że oboje tkwią pochyleni na

biurkiem, które stoi przed oknem wysokim na całą ścianę. Wpatrują się w ekran komputera, a Lucinda jak najbardziej żyje.

Cicho pokaszuję, pokazując, że też tu jestem. Oboje się odwracają. Jake posyła mi lekki uśmiech, podczas gdy Lucinda w rozpaczy kręci głową.

– Poznałaś Lucinę, Cami? – oschle pyta Jake i wskazuje na kobietę obok siebie. – Jest niebywale przyjacielska.

Jestem uwięziona między uśmiechem a drzeniem, ponieważ nie wiem, czy powinnam drażnić się z nią tak jak Jake, który robi to z wyraźną swobodą.

– Cześć. – Niepewnie podaję jej rękę, na co wzdycha i pochodzi do mnie.

– Miło mi – mówi i lekko ściska moją dłoń. Po chwili spogląda na nasze złączone dłonie, marszczy czoło i odsuwa się. Patrzy na swoją rękę, którą po chwili ociera o spódnicę.

Jake wybucha głośnym śmiechem, podczas gdy ja jestem lekko urażona. Co za krowa! Lucinda nie zważa na rozbawienie Jake'a i przysuwa magazyn do mojej twarzy, ale zbyt blisko, żebym mogła cokolwiek dostrzec.

– Jeśli tatuś cokolwiek podejrzewa, szybko otrzyma potwierdzenie.

Cofam się i skupiam na górnym lewym rogu strony.

Jest tam zdjęcie, na którym Jake wynosi mnie z baru jak bohater, a ja wtulam się w jego tors. Zerkam w kierunku Jake'a i widzę, że jest zatopiony w myślach.

– Pozwól, że przeczytam kawałek, dobrze? – mówi Lucinda i spogląda na artykuł. – Camille Logan, bywalczyni londyńskich salonów i córka potentata biznesowego, Trevora Logana, jest jak zawsze krok do przodu. Długonoga blondynka, która pozuje dla Karla Lagerfelda i Christiana Diora, pokazała dodatkowy bonus swojej pracy: wysokiego, przystojnego ochroniarza. – Patrzy na Jake'a. – To o tobie, jakbyś nie wiedział. – Chrząka i czyta dalej. – Parę widziano...

– Wystarczy! – warczę, zdobywając się na odwagę w imieniu Jake'a. – Rozumiem!

Lucinda odkłada magazyn i patrzy na mnie jak mój ojciec. Mogłabym ją za to spoliczkować.

– Naprawdę rozumiesz?

Patrzę na nią gniewnie. Wiem, o czym myśli. Myśli o tym samym co każdy, kto czyta takie gówna na mój temat.

Wyrabiają sobie opinię na podstawie takich bzdur. Lucinda myśli, że jestem głupią dziewczyneczką, która zakochała się w swoim ochroniarzu. Częściowo ma rację, ale szkoda mi słów na prostowanie drugiej części. Może się wypchać – podobnie jak cała reszta, która myśli, że mnie zna. Mam dość tłumaczenia się.

– Wybacz, ale muszę zrobić sobie paznokcie. – Odwracam się i odchodzę, gotując się w środku.

Rzucam prześcieradło na łóżko i ruszam pod prysznic. Z trudem powstrzymuję chęć walnięcia pięścią we framugę. Mogłabym pęknąć z wściekłości.

Za kogo uważa się ta baba?!

Odkręcam wodę, wchodzę pod prysznic i energicznie szoruję skórę. Staram się zmyć z siebie całą złość i urazę. Jake wkłada fiuta w dziurki. W każdą dziurkę. Według niej jestem dla niego tylko kolejną dziurką. Zaciskam zęby.

Kiedy kończę, pewnie mam najczystsze ciało na świecie, ale nie czuję się lepiej. Biorę ręcznik i wycieram się nim, dopóki nie jestem suchuteńka, a moja skóra aż mrowi od pocierania. Potem wyglądam przez okno na doki i coraz bardziej ściska mnie w żołądku. Do diabła z ojcem. Do diabła ze wszystkimi.

– Aniołku? – Jego cichy głos unosi się w pomieszczeniu i wiruje wokół mojej głowy. Ale nie patrzę na niego. Postanawiam owinąć się ręcznikiem i podciągnąć go pod ramiona, żeby się czymś zająć.

– Cruella już poszła? – pytam oschle.

– Tak. – Jest zamyślony. – Dlaczego jesteś taka zła?

Przestaję wpatrywać się w krajobraz Londynu i odwracam się do niego, ale nie potrafię teraz docenić tego widoku.

– Nie chcę być dla ciebie kolejną nic nieznaczącą laską do zerznięcia. – Chciałam tylko to pomyśleć, ale słowa wyszły same i

nie cofnę ich. Jego seksualna przeszłość nie jest moją sprawą i nawet gdybym tak myślała, nie chciałabym jej poznać.

Na jego twarzy pojawia się zrozumienie. Zamykam oczy, żałując swoich słów.

– Zaczyna się – mruczy.

Słyszę, jak jego nagie stopy idą w moim kierunku.

Nienawidzę siebie za to, co powiedziałam. Głównie dlatego, że zabrzmiałam, jakbym czuła się niepewnie i go potrzebowała, a to ostatnia rzecz, jaką chcę pokazać. Nawet Jake'owi. Nawet jeśli naprawdę czuję, że go potrzebuję.

Koniuszek jego palca dotyka mojej brody i leciutko ją naciska, zachęcając mnie, żebym podniosła głowę.

– Spójrz na mnie.

Niechętnie otwieram oczy. W spojrzeniu Jake'a widzę delikatność i otuchę, co jedynie pogarsza moje samopoczucie, bo tak dobrze mnie rozumie.

Uśmiecha się.

– Nie powiem ci, że to nieprawda. Nie jestem z tego dumny. Pieprzyłem kobiety. Nic dodać, nic ująć.

– Przestań. – Odwracam wzrok. Nienawidzę myśli, że ktokolwiek mógłby czerpać dzięki niemu przyjemność.

– Nie, nie przestanę. – Ujmuje moją brodę w dłoń, w milczeniu pokazując mi, czego chce. Dobija mnie tym, ale poddaję się i patrzę mu w oczy. – Kiedy nie mogłem skupić myśli na pracy, tylko to mi pozostawało. To były bezimiennie kobiety, aniołku. – Pochyla się i przysuwa zarośnięty policzek do mojego. – Z tobą jest inaczej – szepce mi do ucha.

Jego szczerości nie można pomylić z niczym innym. Słyszę ją, czuję ją. Ale co z kobietą ze zdjęcia? Wyraźnie coś dla niego znaczy. I nie jest bezimienna. Ma imię, które doskonale zna. Mimo to chciałabym, żeby pozostała dla mnie nikim. Jakby nigdy nie istniała.

Ze zmęczeniem wzdycham, kiwam głową i obiecuję sobie nigdy nie zapuszczać się myślami w te rejony. Obejmuję go w pasie i przytulam.

– Tak lepiej. – Unosi mnie nad podłogę. Ręcznik spada mi z ciała, a on niesie mnie do sypialni. Kładzie mnie na łóżku i całuje po całym ciele, aż znajduje moje usta. Dogadza mi i wielbi mnie, jego usta pożerają moje, palce zbliżają się do moich ud. Moje wnętrze czeka na niego z niecierpliwością.

– Sądzę, że powinniśmy zostać w łóżku cały dzień – mruczy przy moich ustach. Całuje mnie, aż dociera do ucha i zanurza język w środku.

Stłumione dźwięki i jego gorący oddech skutecznie pozbawiają mnie ostatnich resztek zdenerwowania i niepokoju. Z chęcią przystaję na jego propozycję. Im więcej czasu będę miała na przygotowanie się do konfrontacji z ojcem, tym lepiej. Do tego czasu z przyjemnością oddam się w ręce Jake’a, na cały dzień, całą noc... na wieczność.

– Hmm... – Wyłączam myślenie, a moje ciało ożywa dzięki jego zainteresowaniu. Jest cudownie. Jego biodra dotykają moich, jego ciało ociera się o moje. Czuję, jak twardnieje i napiera na moje udo.

– Jezus, aniołku, po prostu nie mam cię dość.

Buch!

– Jake! – Głośne trzaśnięcie drzwi i głos Lucindy wyrwywają nas z euforii. Jakbyśmy wpadli w lodowatą wodę. Jake w ułamku sekundy zeskakuje z łóżka, zostawiając mnie samą.

– Myślałam, że wyszła – mruczę zirytowana.

– Bo wyszła.

– Jake! – Zbolały krzyk Lucindy rozlega się ponownie.

– Czego, do cholery? – krzyczy Jake i wychodzi.

Przewracam się na bok. Coraz bardziej jej nie lubię. Jeśli przyniosła kolejny magazyn z naszymi fotkami, z przyjemnością wsadzę go jej w dupę. O ile Jake mnie nie ubiegnie.

Wzdycham sfrustrowana i napawam się nagimi plecami Jake’a, kiedy oddała się ode mnie. Ale moje pożądanie natychmiast przekształca się w niepokój, kiedy Sharp nieruchomieje w przejściu. Każdy mięsień jego pleców napina się.

Natychmiast wyskakuję z łóżka. Moje nogi myślą szybciej

niż mózg, kiedy podbiegam do niego, żeby zobaczyć, co przykuło jego uwagę. Kiedy się zbliżam, bez ostrzeżenia cofa się, a ja wpadam na jego plecy. Jego ramię unosi się i zagraadza drogę, żebym została, tam gdzie jestem.

– Co się dzieje? – pytam. Staram się zobaczyć coś zza jego dużego ciała, nie myśląc o tym, że jestem naga. – Jake! – Przepycham się i udaje mi się stanąć obok niego w taki sposób, żeby widzieć, co się dzieje, ale i pozostać w bezpiecznym ukryciu. – O mój Boże! – z trudem wykrztuszam na widok, który ukazuje się moim oczom. Mój wzrok skacze z jednego miejsca na drugie. Usiłuję znaleźć w tym sens.

Nie potrafię.

Jake przysuwa mnie do siebie. Jego skóra jest tak naelektryzowana, że czuję kopnięcie prądu.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – pyta. Wzrok ma utkwiony w jeden punkt.

W mojego ojca.

Tata stoi obok kanapy. Wygląda na zaniepokojonego, ale zdecydowanego. Patrzy na mnie i usiłuje nie ześlizgnąć się wzrokiem poniżej mojej szyi. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy przywieram do Jake'a, jakbym spodziewała się, że tata oderwie mnie od niego siłą. Będzie musiał, bo nie mam zamiaru się ruszyć.

– Ty niemoralny dupku – mówi, posyłając Jake'owi pogardliwe spojrzenie. – Powierzyłem ci bezpieczeństwo swojej córki, a ty ją wykorzystałeś?

Zamykam oczy. Czuję, że uchodzi ze mnie powietrze.

– Nie wykorzystał mnie – cedzę przez zęby. Czuję, jak wraca złość, którą Jake właśnie ze mnie przegonił. Jestem dorosła. Potrafię sama podejmować decyzje.

– Cicho, Cami – szepcze Jake, czym zmusza mnie do otwarcia oczu. Wciąż patrzy z góry na mojego ojca, wciąż jest niewzruszony pod jego zabójczym spojrzeniem. Wygląda na gotowego do ataku, co nawet mi się podoba.

Rozglądam się po pokoju i przypatruję się pozostałym osobom. Lucinda sprawia wrażenie wyraźnie zakłopotanej,

podczas gdy Grant i Pete stoją obok niej.

– Skąd wiedzieliście, gdzie mieszkam? – pyta Jake i piorunuje Lucindę wzrokiem.

Kobieta kręci głową.

– Wystarczy, że rano przystawiłeś mi pistolet do głowy – mruczy z oburzeniem do Jake'a. – Nie ja zapraszałam tu tych dwóch prostaków. – Rzuca wściekłe spojrzenie Pete'owi i Grantowi. – Musieli mnie śledzić.

– Nie myśl, że mnie przechytysz – warczy mój tata. – Cami, ubieraj się. Wychodzimy.

– Nie. – Moja odpowiedź jest szybka i odruchowa. Nigdy.

– Nie przeginaj, młoda damo!

Młoda damo? Jak do dziecka, któremu można mówić, co ma robić? Twardo stoję przy swoim. Nigdy nie miałam z tym problemu, tyle że nigdy nie widziałam ojca tak wściekłego. Co tylko sprawia, że mam ochotę zaprzeć się jeszcze mocniej. Przesuwam się za Jake'a, ale go nie puszczam.

– Będziesz musiał zabrać mnie stąd siłą.

– Pete! – Tata rozkazuje gestem dłoni, a jego kretyński ochroniarz rusza w moim kierunku. Naprawdę?

Jake cofa się, a ja z nim.

– Dotknij jej, a cię zabiję – mówi z największym spokojem, na jaki go stać. Mimo to czuję, że wściekłość krąży w jego żyłach niczym niebezpieczna trucizna.

Pete przystaje z widocznym wahaniem. Nie jest głupi. Wiem, co potrafią zrobić ręce Jake'a. Widziałam, jak wpada w niszczycielski szał na widok grupki pięciu mężczyzn postury ochroniarzy ojca. Pete nie będzie dla niego dużym problemem.

– Jake – wtrąca się Lucinda i patrzy na niego ostrzegawczo.

– Posłuchaj jej, Sharp – mówi tata, robiąc krok naprzód. – Czy nic nieznaczące zabawy pod prześcieradłem są warte utraty pracy? Wiarygodności? Zrezygnuj, póki możesz. Zresztą moja Camille jest dla ciebie za dobra i dobrze o tym wiesz.

W osłupieniu słucham słów wychodzących z ust mojego ojca. Co za nikczemny, samolubny drań!



– A co z bezpieczeństwem pana córki? – pyta Jake. – Czy warto je narażać z powodu żalostnej potrzeby kontrolowania Camille?

– Wiem, co jest najlepsze dla mojej córki. Od teraz Camille nie jest już twoim problemem. Zostaw ją, to cię nie zniszczy.

Tata odchyła głowę i unosi brwi, uważnie przyglądając się Jake'owi.

– Dlaczego to robisz? – pytam. Czuję, że moje opanowanie kurczy się tym bardziej, im mocniej ojciec trwa przy swoich nieustępliwych groźbach.

Spogląda na mnie. Ciężkie współczucie maluje się na jego okrągłej, skwaszonej twarzy.

– Bo cię kocham, Camille. Wszystko, co robię, robię z miłości do ciebie. I chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.

– Skąd, do diabła, możesz wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze? – krzyczę, dygocząc z frustracji i rozpacz. – Masz trzecią żonę! Jedyne, czego chcesz, to trofeum u swojego boku. Wystarczy, że cycki przegramy z grawitacją, a znajdujesz nowy model! Chcesz kogoś, kto nie będzie kwestionował twoich słów i przyjmie twoje pieniądze! Nie chcesz tego, co najlepsze dla mnie! Chcesz tego, co najlepsze dla twoich cholernych interesów!

– Myślisz, że dla niego nie jesteś trofeum?! – grzmi ojciec, wskazując na Jake'a. – Wygraną dla zadufanego typka, którego wywalili z jednostki specjalnej!

Cofam się. Jestem porażona podłą taktyką ojca. Sprawdzał przeszłość Jake'a?

– Nic o nim nie wiesz!

– Wiem wystarczająco dużo!

– Jak śmiesz! – wykrzykuję. – Nie masz prawa mówić mi, z kim mam się spotykać i co mam robić!

Jake odwraca się i prowadzi mnie do swojej sypialni. Ujmuję dłońmi moją twarz i mocno ją trzyma.

– Ciii... – uspokoja mnie i przyciska usta do mojego czoła.

Czułe współczucie sprawia, że kompletnie się załamuję. Wybucham niekontrolowanym płaczem i przywieram do jego

ramienia.

– Spokojnie – szepcze.

Jestem zaskoczona jego samokontrolą. Znam ból, który nosi w sobie, wstręt do samego siebie i żal. Jego rodzice zginęli z rąk terrorystów. Niewinni ludzie w centrum wojny. Musiał coś zrobić, żeby powstrzymać zło. Nikt nie może odmówić Jake’owi wysiłku czy narażania się na niebezpieczeństwo, aby chronić swój kraj. Bez względu na to, jak się to dla niego skończyło.

– Mój ojciec nie wie, o czym mówi – łkam, kiedy Jake bierze mnie w ramiona. – Nie słuchaj go. To zawistny drań.

– Chcę, żebyś się ubrała – mówi. Przysuwa twarz do mojej twarzy, kiedy zasypuje ją pocałunkami. – Ubierz się, a ja z nim porozmawiam.

– Nie – odmawiam kategorycznie. – Nigdy cię nie posłucha. Po prostu wyrzuc go stąd.

Pociągam nosem między słowami, a oddech więźnie mi w gardle.

Jake ujmuje moją twarz w dłonie i unosi ją. Spogląda na mnie z czystym uwielbieniem.

– Ufasz mi, aniołku? – pyta, czym wytrąca mnie z równowagi.

Ale odpowiedź jest i tak niezwykle prosta.

– Jak nikomu innemu.

Kiwa głową, przełyka ślinę i puszcza mnie. Podchodzi do krzesła w kącie pokoju, z którego bierze džinsy. Wciąga przez głowę T-shirt i wkłada skórzane buty. W milczeniu wychodzi z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Usiłuję desperacko zwalczyć strach, który mnie zalewa. I nie mogę przestać się bać, że Jake może nie wrócić.

## Rozdział 21

### JAKE

Widziałem wzrok Logana, kiedy przechylał głowę, i zrozumiałem, że wie. Zna historię mojego pobytu w wojsku, wie o badaniach psychiatrycznych, o raportach – wszystko, co poufne i zapisane na twardym dysku gdzieś w budynku, do którego nie sposób się dostać. A skoro dotarł do tego, nie wiadomo, co jeszcze udało mu się wyszperać. Nie pozwolę, by wbił to jak klin między Cami i mnie. Cami wie coś niecoś, ale nie wszystko. Jeszcze nie. Potrzebuję odkupienia. Muszę naprawić wiele spraw, zanim zaakceptuję sam siebie i zacznę w ogóle mieć nadzieję, że Camille zrobi to samo. Że przyjmie mnie takiego, jakim jestem, z mrokiem, brudem i grzechami.

Zostawiam ją w sypialni, poza zasięgiem słuchu, i dyskretnie przekręcam klucz w zamku, choćby z tego prostego powodu, że gdyby coś poszło nie tak, nie chcę, żeby niechcący znalazła się na linii ognia. Wchodzę do salonu i błyskawicznie oceniam sytuację, kto gdzie stoi, jednocześnie planując kolejne ruchy.

Zerkam na Lucindę; widzę, że ma kamienną minę, ale znam ją od lat i wiem, kiedy się denerwuje. Na przykład teraz. Nie dlatego, że czuje się zagrożona, ale dlatego, że równie dobrze jak ja wie, że ten śmieć ma dość pieniędzy i wpływów, by narobić kłopotów agencji.

– Niech ona wyjdzie. – Kiwam głową w jej stronę i staram się, by moje słowa nie zabrzmiały jak rozkaz. Widzę wahanie na jej twarzy, ale nie w oczach Logana. Zgadza się. Lucinda wychodzi bez słowa.

Odzywam się, jak tylko zamyka za sobą drzwi.

– W tym, co czuję do twojej córki, nie ma nic przelotnego – zaczynam. Najpierw plan A. Nie zrobię mu krzywdy, chyba że naprawdę nie będę miał innego wyjścia. Mam nadzieję, że do tego

nie dojdzie. O Loganie można powiedzieć wiele, ale nie to, za jest głupi. Byłby idiotą, zadzierając ze mną. Jeszcze może mnie zaskoczyć. Ale mówienie na głos tego, czego się o mnie dowiedział, cokolwiek to jest, byłoby głupotą, która wyprowadzi mnie z równowagi. A to byłaby wielka szkoda. Na razie udaje mi się panować nad krwiożerczą bestią, która za wszelką cenę chce się wyzwolić. – Im szybciej zrozumiesz, że twoja córeczka nie jest żadną damą w opałach, tym szybciej wszystko sobie wyjaśnimy.

Jak na umówiony sygnał Cami zaczyna walić w drzwi.

– Ej! Dlaczego mnie zamknąłeś?

O nie, to nie jest dama w opałach.

Logan cały czas obserwuje mnie spod zmrużonych powiek i pociąga nosem, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że dla niego to łatwizna. O nie, nieprawda.

– Odejdź, a nie będę wyprowadzał jej z błędu, jaki to z ciebie bohater. I nie wywołam skandalu, zdradzając, że jeden z najlepszych ochroniarzy agencji zaciągnął do łóżka młodą podopieczną.

Przyglądam mu się ciekawie. Przechylam głowę.

– Myślisz, że za pomocą gróźb utrzymasz mnie od niej z daleka? W dupie mam agencję. Teraz co innego się liczy.

– Ile chcesz? – pyta. Cami cały czas wali w drzwi.

– Ty chyba żartujesz. Myślisz, że możesz mnie kupić jak tamtego żalosego ćpuna? – Nawet nie ukrywam niesmaku.

Logan drgnął. Najwyraźniej nie wiedział, że wiem o tamtym. Może i ma na mnie haka, ale ja też mam coś na niego. Podchodzę bliżej. Nie zwracam uwagi na dwóch tłuściochów u jego boku. Rozprawię się z nimi w ułamku sekundy.

– Spadaj z mojego mieszkania.

– Tylko z córką. – Logan odwraca się i zerka przez ramię na drzwi do sypialni.

Zatrzymuję się, bo widzę, że wcale nie wie, ile musi przebiec, żeby uciec. A do tego słyszę jakiś odgłos z szybu windy.

– O, to zapewne policja – rzuca nonszalancko. – Doprawdy, byłeś niepotrzebnie tak brutalny wobec biednego Sebastiana

Petersa.

Odruchowo marszczę brwi. Kawałki układanki powoli trafiają na miejsce.

Uśmiecha się tryumfalnie.

– Nie zobaczysz jej, siedząc za kratkami.

Sukinsyn!

Pete i Grant działają szybko, każdy z nich łapie mnie za ramię. Nie zawracam sobie głowy marnowaniem energii na walkę z nimi, jeszcze nie. Niech mnie trzymają, niech myślą, że są górą.

– Ile zapłaciłeś Petersowi, żeby wniósł oskarżenie, ty draniu? – cedzę przez zęby. – On ją uderzył! – Gniew bierze górę.

Wkurzam się coraz bardziej. – Uderzył! – wrzeszczę.

Logan marszczy brwi, a ja przypominam sobie, że tego nie wie. Jego zdaniem Sebastian Peters to zwykły narkoman, który na moment wciągnął jego córkę na ciemną stronę. Nie ma pojęcia, że ją bił, bo Cami tego nie chciała. Rozpogadza się i już wiem, że ta informacja niczego nie zmieni.

– Żegnaj, Sharp – mówi tryumfalnie.

Pete i Grant trzymają mnie coraz mocniej, jakby obawiali się, że zacznę się szarpać.

Nie muszę.

Drzwi do sypialni zaraz wypadną z zawiasów, tak mocno Cami wali w nie pięściami.

– Wypuść mnie!

Przez chwilę zachowuję spokój, wystarczająco długo, by „ochrona” Logana nieco się rozluźniła. A potem odrzucam głowę w tył i trafiam Pete’a prosto w nos. Puszczam mnie, wrzeszczy i traci cenne sekundy, zanim jego mózg zarejestruje ból ze złamanego nosa.

Zatacza się w tył. Zanim Grant zdąży zareagować, chwytam go za nadgarstek, wykręcam, pochylam się, przerzucam go sobie przez plecy i ciskam na ziemię. Cały czas trzymam go za rękę, widzę, jak się osuwa, słyszę trzask pękającej kości, gdy wali barkiem o posadzkę.

– Ejże! – Logan odskakuje, pojednawczo unosi rękę. Już

prawie zdobyłem główną nagrodę, zaraz rozerwę go na strzępy, gdy monotony szum windy uświadamia mi inne, realne zagrożenie. Policja.

Kurwa.

Patrzę na Logana. Wykrzywiam usta.

– Jeśli spadnie jej z głowy choćby włos, zanim ją odnajdę, zabiję cię gołymi rękami.

– To moja córeczka. Myślisz, że pozwoliłbym ją skrzywdzić?

Jego słowa niewiele znaczą, ale nie mam teraz na to czasu.

– Wiesz dobrze, że nadal jest w niebezpieczeństwie. Nie powiedziałeś mi wszystkiego i dowiem się, co przede mną ukrywasz.

Słyszę odgłos rozsuwających się drzwi windy.

– Pożałujesz, że mnie poznałeś, Logan. – Puszczam się biegiem w kierunku jedyne otwieranego okna w całym moim mieszkaniu.

A zatem jestem poszukiwany i do tego uciekam przed cholerną policją. Co gorsza, nie mam pojęcia, gdzie jest Camille. Ma wyłączony pieprzony telefon albo go jej zabrali. Ale jej ojciec jest w błędzie, jeśli myśli, że tak po prostu odejdę. Nie spocznę, póki się nie dowiem, co tu się dzieje, do jasnej cholery.

Idę do jedynej osoby, która mi została. Oby tylko nie utrudniała mi życia. Lucinda otwiera drzwi na oścież. Jej drobna postać niknie w ogromnym szlafroku. Malutką twarz wykrzywia pogarda. Wchodzę do środka, przepychając się obok niej.

– Ależ proszę bardzo – mówi głosem ociekającym jadem.

Podchodzę do barku i nalewam sobie sporo jacka daniels'a.

– Doprowadziłaś ich do mnie. Nie jęcz teraz. – Wychyłam wszystko duszkiem i modlę się o odrobinę spokoju w moim oszalałym świecie.

– Pozwoliłeś, żeby ją zabrali? – Zatrzaszkuje drzwi, podchodzi do mnie i podsuwa mi szklankę na znak, żebym jej także nalał.

– Nie pozwoliłem! – warczę w odpowiedzi. – Ten sukinsyn zapłacił jej eks, żeby mnie oskarżył. – Ignoruję jej szklankę, za to

dolewam sobie. Jeszcze tylko ten jeden raz. – Zjawiała się policja. Uciekłem. – Odsuwam się, piję, ale już powoli, podchodzę do okna.

– Słucham? – Lucinda jest zbита z tropu. – Czegoś tu nie rozumiem. Zapłacił jej byłemu? Żeby wniósł oskarżenie? Jakie?

– To zdjęcie w gazecie – tłumaczę. – Odciągnąłem ją od tego faceta. I przy okazji podbiłem mu oko i być może złamałem nos. Niewykluczone też, że pozbawiłem go zdolności do spółdzenia potomstwa. – Wyrządziłem światu nie lada przysługę, należy mi się za to nagroda, nie wyrok.

– Co takiego? – krzyczy Lucinda. Jest w szoku, a to u niej rzadkość.

– Nawet nie zaczynaj. – Odwracam się, unoszę palec, celuję w nią. – Dopadł ją w damskiej łazience, uderzył i cisnął na ziemię jak śmieć.

Lucinda wycofuje się przezornie, sięga po butelkę i nalewa sobie sporą porcję.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybyś nie zaangażował się emocjonalnie? Zasada numer jeden. I do tego akurat ty, na miłość boską! Kobiety cię kochają, póki nie skończysz, potem je wkurzasz i już cię nienawidzą! Co się zmieniło, do cholery?

– Camille Logan – odpowiadam cicho, odrzucam głowę do tyłu; szukam wzrokiem nieba i Boga, w którego nie wierzę. Ktoś musi mi pomóc. Lucinda ma rację. Wszelkie zaangażowanie emocjonalne było mi obce, i to od bardzo, bardzo dawna. Nie dziwię się wcale, że tak zareagowała. W końcu to ja, Jake Sharp, na miłość boską! Dupek pierwszej klasy! Ja nie kocham, ja pieprzę.

Nagle nie mogę myśleć. Czuję wręcz fizyczną reakcję. Lucinda krzywi, się widząc, jak nagle przeszywa mnie dreszcz, a ja zagłębiam się w myślach, znajduję to, czego szukałem, i nagle robi mi się niedobrze. Miłość? Camille Logan z łatwością zmienia mnie w mięczaka i teraz znowu to zrobiła.

Miłość.

Kurwa, miłość? Skąd to się wzięło? Śmieję się zgięty w pół i rozpaczliwie szukam powodu, dla którego użyłem tak idiotycznego słowa. Kocham jej włosy. Kocham jej oczy. Kocham wyraz jej twarzy, gdy się zamyśli. Kocham jej siłę, determinację i energię. Kocham...

Szarpią mną torsje i już nie jest mi do śmiechu.

Kocham ją, kurwa.

– Jake? – Lucinda kładzie mi rękę na ramieniu, aż przenika mnie prąd. Prostuję się, odskakuję, odsuwam od niej. Zaskoczona, stoi z dłonią w powietrzu, tam, gdzie jeszcze przed chwilą było moje ramię. – Wszystko w porządku?

– Kurwa – przeklinam głośno, opieram się o barek, pochylam głowę i walczę z chaosem w myślach; chcę to wszystko jakoś ogarnąć.

Kochasz ją.

Czuję się idiotycznie. Jakbym miał zaraz oszaleć. Kocham ją, i to cholernie mocno, tylko tak mogę wytłumaczyć fakt, że serce pękło mi na tysiąc kawałków. Jestem w panice, umieram ze strachu na samą myśl, że ją stracę.

– Jake, na miłość boską! – Zniecierpliwiony głos Lucindy wyciąga mnie z czarnej dziury, w którą się zapadam.

Odnajduję jej wzrok, chcę, żeby widziała szczerłość w moim wzroku. Musi to zobaczyć.

– Zakochałem się w niej, Luce.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, zanim jest w stanie cokolwiek powiedzieć.

– O kurwa – mamrocze i dopija drinka jednym haustem. – Och, Jake.

Te słowa mówią wszystko. Należy do nielicznych osób, które znają moją historię, prywatnie i zawodowo. Zdaje sobie sprawę z grozy sytuacji, przed którą stoję. Domyśla się, ile Camille dla mnie znaczy, skoro się na to decyduje.

– No właśnie – przyznaję. – O kurwa.

– Ona wie? – Nie chodzi jej o to, czy Camille wie, że ją kocham, choć chcę jej to uświadomić, gdy tylko ją odnajdę.



Lucinda ma na myśli coś, co może w oczach Camille stanowić przeszkodę w odwzajemnieniu mojego uczucia. Na samą myśl robi mi się słabo.

– Wie, że byłem w SAS, wie, że w moim życiu była inna kobieta i że zwolniono mnie ze służby z przyczyn osobistych. – Ciężko osuwam się na krzesło.

– Ale nie wie o... – urywa. Wie, że nie zniosę dźwięku tych słów.

Zaprzeczam ruchem głowy. Jak mogę liczyć, że ktokolwiek to zrozumie, skoro sam nie jestem w stanie się z tym uporać, nawet cztery lata później?

– Ojciec Camille mnie sprawdzał – ciągnę.

– Cóż, Jake, to nie są zastrzeżone informacje. Jeśli poszuka, to znajdzie. O ile jeszcze wszystkiego nie wie.

– Luce, Camille nadal grozi niebezpieczeństwo. Minęły już trzy dni. Powiedzieli, że czas się skończył! Nie mam pojęcia, co się, do cholery, dzieje, i muszę to ustalić. – Spokój. Muszę zachować spokój.

Kiwa głową i głęboko nabiera powietrza.

– Ustalimy to – zapewnia mnie i idzie w stronę gabinetu. – No, chodź, ze mną, Romeo od siedmiu boleści.

Uśmiecham się pod nosem, wstaję, idę za nią.

– Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

– Owszem, i to bardzo ciekawego – odpowiada. Patrzą na nią. Ustawia ekran laptopa, tak żeby go lepiej widzieć.

– Co takiego? – Błyskawicznie jestem koło niej.

– Żona Logana jest w ciąży.

– Co?

Owszem. Z rejestru lekarza wynika, że była u niego cztery tygodnie temu. I idę o zakład, że tatusiem nie jest Logan.

– O kurwa.

– W rzeczy samej. A poza tym w drodze do lekarza wstąpiła do Selfridge's i kupiła sobie buty od Louboutina.

Patrzą na nią z niedowierzaniem.

– Jakim cudem ty to wszystko wynajdujesz?

Wzrusza ramionami.

– Kto, na Boga, nosi buty od Louboutina w ciąży?

Kręcę głową. Myślę tylko o jednym – dokąd Logan zabrał Cami i co jej nagadał. Nie chcę się nad tym zastanawiać. To cholerny manipulator i choć wiem doskonale, że mój aniołek ma własny rozum, jest teraz zagubiona i on może to wykorzystać.

– Czy to ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie wiem. Sprawdzam wszystko.

– Mój związek z Cami to nie jedyny powód, dla którego mnie zwolnił. On coś ukrywa. Jakie były załączniki w tym mailu, który skasował? – Wyjmuję telefon z kieszeni i ponownie dzwonię do Cam. Od razu włącza się poczta głosowa. Klnę na czym świat stoi. – Co się, kurwa, dzieje? – krzyczę. Moja frustracja rośnie z każdą chwilą. Idę do drzwi i dochodzę do wniosku, że to wszystko mnie właściwie nie obchodzi. Liczy się tylko jedno – odzyskać Cami i uchronić ją przed ojcem. Resztą niech zajmuje się sam, dla mnie najważniejsza jest Cami i jej bezpieczeństwo. A że postrzega mnie jako zagrożenie dla córki? Cóż, snuję plany coraz bardziej wymyślnych tortur. – Pamiętaj o mailach.

– A ty dokąd idziesz? – Lucinda biegnie za mną, ale nie odwracam się. Pieprzyć agencję. Pieprzyć moją pracę. Pieprzyć cholerną policję. – Jake, nie rób żadnych głupstw!

Śmieję się pod nosem. Głupstw? Zakochałem się, do cholery. Trudno o większe głupstwo.

## Rozdział 22

### CAMI

Jestem jak odrętwiała, czuję, że od środka umieram, gdy ojciec opowiada, co się wydarzyło. Jake odszedł. To bez sensu. Byłam zamknięta w sypialni przez pół godziny, a gdy w końcu ojciec mnie wypuścił, Pete i Grant zwijali się z bólu na ziemi, a Jake'a nie było. Co tu się wydarzyło, do cholery?

– Zabiorę cię do domu, gwiazdeczko. – Ojciec obejmuje mnie ramieniem i choć mam na to ochotę, nie odpycham go. Szczerze mówiąc w tej chwili w ogóle nie wiem, co mam robić. – Ze mną jesteś bezpieczna. – Wyprowadza mnie z mieszkania Jake'a. Pete i Grant idą przed nami.

Zerkam na ojca, totalnie zagubiona, i widzę autentyczną troskę na jego twarzy. Cóż, to w końcu mój ojciec. Przy nikim nie powinnam się czuć równie bezpiecznie jak przy nim. A jednak mój strach wcale nie znika.

– Przed kim mnie ochronisz, tato? Przed tymi, których doprowadziłeś do bankructwa? Przed Sebastianem? Przed Jakiem?

– Przed nimi wszystkimi, skarbie. – Przyciąga mnie do siebie, całuje w czubek głowy. – Przed nimi wszystkimi. On nie jest dla ciebie wystarczająco dobry, kochanie. Za stary, nieudacznik, przegrany. Sam to zrozumiał. – Wsiadamy do windy. Grant zasuwa drzwi zdrową ręką, odwraca się i podaje coś ojcu. Telefon. Mój telefon.

– Nikt nie jest dla mnie wystarczająco dobry – mamrocę pod nosem i patrzę na silne plecy mężczyzn przed nami. Gdyby Jake tu był, zaraz powaliliby ich na ziemię. Nie pozwoliliby mnie zabrać. Więc gdzie on jest?

– Oddaj mi telefon – zwracam się do ojca, gdy wsuwa go do kieszeni marynarki.

Puszcza moje słowa mimo uszu, nie zaszczycą mnie nawet

przelotnym spojrzeniem. Łypię na niego groźnie, gdy winda zatrzymuje się gwałtownie i ciszę przecina przeraźliwy zgrzyt rozsuwanych drzwi. Zachwiałam się lekko; wykorzystuję to, wsuwam mu dłoń do kieszeni marynarki i wydaję telefon, gdy pomaga mi odzyskać równowagę.

W jednej chwili prowadzi mnie do samochodu, a w następnej – biegnę co sił w nogach w stronę światła po drugiej stronie fabryki, z telefonem w zaciśniętej dłoni.

– Camille! – ryczy ojciec.

Nie zwracam na niego uwagi. Instykt podpowiada, że powinnam uciekać – przed ojcem, człowiekiem, przy którym teoretycznie powinnam czuć się bezpieczna.

Wybiegam na światło dzienne i szybko orientuję się w położeniu, otaczają mnie tylko stare fabryki, ruiny i woda. Biegnąc, patrzę na drugi brzeg Tamizy, ale to zbyt daleko, by mnie pocieszyć. Zaledwie za rzeką, ale i tak za daleko.

– Cholera! – Klnę pod nosem, słysząc ciężkie kroki Pete’a i Granta. Żaden z nich nie jest dobrym biegaczem, nawet w pełni sił, co jednak nie znaczy, że mogę zwolnić. Pędzę, jakby od tego zależało moje życie.

Płuca płoną mi żywym ogniem, gdy w końcu wbiegam na prom przy nabrzeżu. Przeprowa na drugą stronę wydaje się trwać całe wieki, ale zarazem mam dość czasu, by uporządkować myśli. Czy też pozwolić, by wdarł się w nie jeszcze większy chaos. Włączam telefon, przeglądam listę numerów, ale nie znajduję tego, którego szukam, tego, którego potrzebuję. Numer Jake’a zniknął z książki telefonicznej. Nie ma go. Klnę pod nosem, usiłuję się uspokoić, ale kilka razy przerywa mi dzwonek telefonu. Ojciec. Jeszcze nigdy odrzucenie połączenia nie przyszło mi z taką łatwością.

Podnoszę głowę, gdy dobijamy do nabrzeża, i dochodzę do wniosku, że mam tylko jedno wyjście. Po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, potrzebuję pomocy matki.

Wybieram jej numer i ze wstrzymanym oddechem schodzę z promu. Torebka zwisa mi z przegubu.

– Camille?

– Mamo. – Oddycham głęboko. Słyszę niepokój w jej głosie.

– Co się dzieje? Dlaczego twój ojciec do mnie dzwonił?

Kurczę się w sobie. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo jest zdesperowany, jak bardzo chce mnie znaleźć, skoro zadzwonił do matki.

– Mamo, przyjedziesz po mnie? – Podaję tylko niezbędne informacje. To nie czas i miejsce na dłuższą rozmowę, boję się, że Pete i Grant zjawią się tu lada chwila i siłą zaciągną mnie do samochodu ojca.

– Gdzie jesteś?

– Canary Wharf. Nabrzeże.

– A co ty tam robisz, na miłość boską?

– To długa historia, mamo. Opowiem ci, ale proszę, najpierw po mnie przyjedź.

– Już wysłałam szofera – obiecuje, a ja oddycham z ulgą. Jeszcze nigdy nie uległa tak łatwo. – Czekał przed Hiltonem, kochanie.

– Dzięki – rozłączam się. Nie mogę się powstrzymać, co chwila rozglądam się na boki, sprawdzam, czy droga wolna. Wyglądam pewnie jak wariatka, rozczochrana, z rozbieganymi oczami. Paparazzi oszaleliby ze szczęścia.

Uspokoiliam się trochę, wiedząc, że szofer mamy jest w drodze. Wchodzę do pobliskiej kafejki po kawę. Kofeina dobrze mi teraz robi. Zmęczona, idę nabrzeżem w stronę Hiltona. Cały czas mam oczy dookoła głowy.

Wyobrażam sobie najróżniejsze scenariusze. Co zrobię na widok ojca albo jego goryli? Jak zareagują przechodnie, gdy zacznę wrzeszczeć na całe gardło, jeśli zechcą mnie siłą wepchnąć do samochodu? Nie chciałam tego. Ojciec zawsze starał się mnie kontrolować, a mnie zawsze udawało się stawiać mu opór, ale tym razem jest inaczej. Posunął się za daleko. Kazał mnie śledzić? Grzebie w przeszłości mężczyzny, z którym się spotykam? Zawiedzione zaufanie jest przykre, ale o wiele gorsza jest świadomość, że prawdopodobnie udało mu się skutecznie

przepłoszyć Jake'a. Zdaję sobie sprawę, że Jake walczy. Nagłe wspomnienia, napady paniki. A ojciec posługuje się tym, co o nim wie, jako bronią, żeby wyprowadzić go z równowagi. Jake zaczął pewnie wątpić w siebie. W nas.

Pół godziny później, starając się ukryć najlepiej jak to możliwe, czekam na samochód i widzę, jak Bentley podjeżdża, a szofer mamy wysiada zza kierownicy i przytrzymuje mi drzwiczki.

– Panienko. – Kiwa mi głową, gdy wślizguję się na tylne siedzenie.

Nie dziwi mnie, że matka nie przyjechała. Potrzebuje dobrych kilku godzin na strojenie się i szykowanie, zanim w ogóle pomyśli o pokazaniu się publicznie. Bardzo nalegałam, wyczuła moje zdenerwowanie, ale nawet panika w głosie córki nie skłoni jej do stawiania czoła światu z nieumalowanymi ustami i niezrobioną fryzurą. A tu ja, we wczorajszych ciuchach, bez makijażu, z byle jak splecionym warkoczem. Będzie przerażona.

Uśmiecham się z wdzięcznością do szofera, gdy zatrzaskuje drzwiczki, i ponownie wbijam wzrok w wyświetlacz telefonu. Dlaczego Jake nie dzwoni? Czuję, że chwytam się brzytwy, licząc na coś, co z każdą chwilą jest mniej prawdopodobne.

Niewiele osób na świecie odważyłoby się rzucić wyzwanie mojemu ojcu, ale wydawało mi się, że Jake do nich należy. Że pozycja ojca nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Opieram głowę o szybę, patrzę, jak zabiegany Londyn miga mi przed oczami i zastanawiam się, co dalej, do cholery.

Matka nie wita mnie serdecznie przy drzwiach. Wzdycham i tłumaczę sobie, że niczego innego nie powinnam się spodziewać. Przemierzam hol jej nieprzyzwoicie luksusowego apartamentu w Kensington, jedynej rzeczy, która jej została po moim ojcu. Pełno tu rzeźbionych, połączanych ram – a w nich olejnych pejzaży z angielskiej prowincji. Kwintesencja przesady. Kwintesencja mojej matki.

Wchodzę do jeszcze bardziej luksusowego salonu i wzdycham. Środek pomieszczenia zajmuje gigantyczny dywan. Na jego krańcach, idealnie naprzeciwko siebie, stoją dwie otomany na

złoty, misternie rzeźbionych nóżkach, z dwiema aksamitnymi poduchami obszytymi frędzlami. Intensywne kolory salonu – błękit, zieleń i czerwień – zawsze przyprawiają mnie o ból głowy. Dzisiaj nie jest inaczej.

– Myśli, że jest cholerną królową – mruczę pod nosem, gdy słyszę z kuchni brzęk porcelany. O kuchni wolę nawet nie myśleć. Chaos gadżetów do znanych projektantów, sztućców i drewna. A nawet nie umie gotować.

– Tędy, Mario – woła mama i wchodzi do salonu tuż przed pokojówką, która niesie tacę z filiżankami. – Camille!

– Mamo! – odpowiadam i czuję coś dziwnego. Nagle chce mi się płakać, ale kładę to na karb widoku jej znajomej twarzy. Wygląda jak zawsze doskonale, w jasnoniebieskiej spódnicy i kremowej bluzce.

– Jezus Maria, jak ty wyglądasz! – woła na mój widok z przerażeniem w oczach. – Jak bezdomna! – Wskazuje Marii, gdzie ma postawić tacę na pozłocanym stolyczku, a potem gestem każe jej odejść.

Wybucham płaczem. Powaga sytuacji uderza mnie nagle jak ołowiana kula. Odszedł. Po prostu odszedł, a ja nie mam nic, co mogłoby mi pomóc jakoś się z tym pogodzić. Osuwam się na kanapę i ukrywam twarz w dłoniach.

– Camille! – krzyczy mama, podchodzi do mnie po miękkim dywanie, siada obok, obejmuje mnie, gładzi po plecach, gdy szarpią mną spazmy. – Już dobrze, cukiereczku. Czy to wszystko ma coś wspólnego z tym zabójczo przystojnym mężczyzną, z którym cię sfotografowano, jak wynosił cię z The Picturedrome?

Wtulam się w nią i potwierdzam niewyraźnie. Co chwila pociągamy nosem.

– Tata go zatrudnił – chlipię. Teraz już nie mam wyjścia. Matka może mówić na ojca, co tylko zechce. Proszę bardzo. Nienawidzę go.

– Zatrudnił?

– Jako ochroniarza. Tacie ktoś groził.

Prycha pogardliwie, nie bez powodu.

– Jak co tydzień, skarbie.

– Tym razem chodziło o mnie. Tata twierdził, że Jake to środek zapobiegawczy, ale nie chciałam, żeby za mną łąził. Sebastian wrócił. Myślałam, że tata przesadza, więc kilka razy usiłowałam się wymknąć. To znaczy, Jake'owi.

Mama uśmiecha się dumnie.

– Moja dzielna Cami.

Odpowiadam uśmiechem.

– A potem podrzucano mi zdjęcia – ...moje zdjęcia.

Marszczy brwi. Mówię dalej:

– Na dowód, że mnie obserwują. Nagle to wszystko wydało się bardzo rzeczywiste. – Wzruszam ramionami i patrzę, jak przetyka przekleństwa, które ojciec zapewne usłyszałby nawet na drugim krańcu miasta. – Jake i ja... bardzo się zbliżyliśmy – dodaję cicho.

Mama łagodnie natychmiast. Kładzie mi rękę na kolanie i ściska lekko.

– To bardzo przystojny, silny mężczyzna, Camille – mówi. Przyglądam się jej i wiem, że na tym nie koniec. – I trochę od ciebie starszy.

– Ma trzydzieści pięć lat. O dziesięć. Ojciec jest od ciebie starszy o dwadzieścia.

Mama nie zwraca uwagi na ten komentarz.

– A więc szanowny ojczulek postawił sprawę jasno, jak się domyślam. – Nie jest w stanie wypowiadać się o ojcu bez jadu w głosie.

– Twierdzi, że Jake nie jest dla mnie odpowiedni. Że skoro zwolniono go z SAS, jest do niczego.

– No tak, oczywiście, bo twojemu ojcu zawsze się wszystko udawało – syczy. Jej słowa ociekają sarkazmem. – Gdzie teraz jest Jake?

Nie bardzo chcę przyznać, że nie wiem, więc opowiadam o wszystkim, co wydarzyło się w mieszkaniu Jake'a. Współczucie na jej twarzy, gdy kończę – tego już za wiele. Znowu mam łzy w oczach.



– Dlaczego on to robi? – szepcę bezradnie.

Wzdycha, pochyla się nad stolikiem i nalewa nam herbaty do bardzo drogich filiżanek.

– Bo to narcystyczny świr z obsesją władzy. Dlatego, cukiereczku.

– Dlaczego za niego wyszłaś? – pytam prosto z mostu, po raz pierwszy w życiu. Rozpaczliwie szukam czegoś, żeby go rozgrzeszyć; czegoś, co sprawi, że w moich oczach nie będzie taki straszny. Ale na razie na próżno.

– Byłam młoda – odpowiada smutno, ale po raz pierwszy za maską, którą wiecznie nosi, dostrzegam prawdziwy żal. Nie dlatego, że wyszła za takiego dupka, ale że życie ją ominęło i poza mną, ma tylko ten apartament w Kensington. Nie znalazła innej miłości. Jest równie zgorzkniała i zawiedziona jak inne rozwódki, z którymi się przyjaźni. – Poza tym TJ był mały, jego matka zniknęła z horyzontu, gdy twój ojciec po rozwodzie odesłał biedaczkę do Rosji. Ktoś musiał nauczyć go minimum człowieczeństwa, zanim w pełni upodobni się do twojego ojca.

Uśmiecham się. Instykt macierzyński to u mamy rzadka sprawa.

– I co dostałam w zamian? – śmieje się. – Rzucił mnie dla tej swojej laleczki! A kiedy ponownie wyjdę za mąż, przestanie mi płacić alimenty. A przecież i tak ledwo wiązę koniec z końcem na tych groszach, które mi łaskawie daje.

Chce mi się śmiać. To, co mama nazywa groszami, wystarczyłoby zapewne na utrzymanie małej wioski.

– Nie musisz ponownie wychodzić za mąż – zauważam. – Po prostu się z kimś spotykaj.

– Żaden facet ze mną nie wytrzyma. – Głaszcze mnie po policzku, wstaje, wygładza spódnice. – No dobrze, doprowadźmy cię do porządku. Przez ciebie całe mieszkanie wygląda gorzej.

Śmieję się lekko, nie dlatego, że nie mieści mi się w głowie jej bezczelność, ale dlatego, że to moja mama, i choć jest dominującą snobką, bardzo ją kocham.

– Więc co mam robić? – pytam, wstaję i odstawiam filiżankę.

– Przede wszystkim doprowadzić się do porządku. – Patrzy na mnie i cmoka z dezaprobatą. – W takim stanie żadna kobieta nie podbije świata. – Pochyliła się i zakłada mi kosmyk włosów za ucho. – Wyślę szofera do ciebie, niech przywiezie ci coś do ubrania.

– Nie! – krzyczę, aż się wzdryga. – Ojciec może tam być. Jeśli zobaczy twojego szofera, będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

– No to co mam z tobą zrobić? – Patrzy znacząco na moje ciuchy. – Tak cię przecież nie zostawię.

– Nie wiem – przyznaję, niewzruszona potencjalną obelgą. Myśli intensywnie.

– Zadzwoń do Harvey Nic, niech coś ci wybiorą, a szofer to odbierze. Idź do różowej sypialni gościnnej, cukiereczku. Na drzwiach wisi szlafrok.

Znika w końcu. Czuję, jak schodzi ze mnie napięcie, jak zawsze po większej dawce matki. Boże, jestem jeszcze bardziej wykończona.

Kiedy zebrałam w sobie resztki energii, idę do różowej sypialni i krzywię się na widok różowego szyfonu, kierując się do łazienki, ale dopiero tam odruchowo zasłaniam oczy. Król Midas tu był, we własnej osobie. Złoto jest wszędzie – wanna, kurki, krany, prysznic, deska klozetowa. A więc tak wygląda pokój gościnny. Idiotycznie ostentacyjne bogactwo. Tak bardzo w stylu mojej matki.

Po prysznicu, otulona w ręcznik, wchodzę do różowego pokoju i widzę, że na łóżku czeka na mnie torba z logo Harvey Nic. Z lekkim drżeniem zaglądam do środka. Matka zamówiła mi te ciuchy. Może się okazać, że to tragedia.

Pierwsze, co wyjmuję, to koronkowe majteczki i stanik do kompletu. Uśmiecham się, widząc metkę. Pozowałam do tej serii. Mama o tym wie.

– Super – mruczę i już nie boję się zajrzeć dalej. Robi mi się ciepło na sercu na myśl, że mama wie, co robię. Wyjmuję z torby czarną dresową sukienkę oversize, bardzo w moim stylu, i urocze balerinki Dune. Biorę to wszystko w ręce, odwracam się...

I wpadam na kogoś. Upuszczam naręcze ciuchów i  
przeżona nabieram powietrza w płuca, żeby zaraz rozwrzeszczyć  
się na całe gardło.

## Rozdział 23

### JAKE

Zakrywam jej usta w ostatniej chwili, zanim zaczęła wrzeszczeć tak, że usłyszeliby ją w całej Anglii. Ma wielkie, przerażone oczy, gdy biorę ją na ręce i niosę do łazienki. A tam aż mrużę oczy, oślepiony mnóstwem złota.

Zamykam drzwi nogą, stawiam ją na ziemi, ale najpierw upewniam się, że widzi moją twarz, i dopiero wtedy zabieram dłoń z jej ust. Chwilę trwa, zanim dojdzie do siebie; dokładnie widzę moment, gdy dociera do niej, że to ja. Wiotczeje w moich ramionach, w smutnych oczach pojawia się życie. Boże, jej dotyk, jej widok. Minione godziny to było istne piekło.

Ostrożnie zabieram dłoń z jej ust.

– Zawsze cię odnajdę, aniołku.

– Boże! – RzUCA się na mnie, zarzuca mi ręce na szyję, wtula się we mnie. – Myślałam, że ode mnie odszedłeś!

Wydaje się przerażona... i cudowna.

– Nie gadaj głupstw. – Obejmuję ją tak mocno, że chyba grozi to połamaniem kości. – Czy twój ojciec wie, że tu jesteś? – pytam.

– Nie. Uciekłam. Nie wiedziałam, co robić.

Uśmiecha się.

– Nie miałem innego wyjścia, Cami. Musiałem także uciekać. – Słabo mi się robi na myśl, że mogła uznać, że od niej odszedłem.

– Dlaczego? – Całuje mnie, szybkie, lekkie cmoknięcie w szyję.

– Twój ojciec zapłacił twojemu eks, żeby wniósł przeciwko mnie oskarżenie. Zjawiała się policja.

Przestaje wędrować ustami po mojej szyi. Chwilę później unosi głowę.

– Słucham?

Dobrze słyszała; pyta, bo jest w szoku. Biedaczka, czyli jeszcze nic nie wie.

– Widziałaś przecież policję w moim mieszkaniu.

– Nie! Strasznie długo byłam zamknięta w twojej sypialni!

Kręcę głową z niedowierzaniem, choć właściwie bezwzględność Logana już naprawdę nie powinna mnie dziwić. Nie wyobrażam sobie, żeby policjanci zignorowali wrzaski kobiety zza zamkniętych drzwi, a zatem Logan ma niejednego skorumpowanego policjanta w kieszeni. Drań!

Ujmuję jej policzki w dłonie, przyciągam jej twarz do siebie.

– Wiesz, aniołku, on naprawdę nie chce, żebyśmy byli razem – mówię lekko, niemal żartobliwie, ale ona i tak zaciska zęby.

– Jak mnie znalazłeś?

– Twój telefon – odpowiadam i widzę, jak marszczy brwi. – Włączyłaś go godzinę temu. Namierzyłem cię dzięki GPS. – Śmiać mi się chce, gdy widzę jej zdumienie. To nieskomplikowana technologia. W tej chwili całkiem poważnie rozważam wszczepienie jej mikrochipa, żeby nie szaleć z niepokoju, póki nie włączy telefonu, ilekroć zniknie mi z oczu.

Odsuwa się ode mnie i z zadziwiającą siłą uderza w ramię. W ułamku sekundy zdumienie na jej twarzy ustąpiło miejsca złości.

– Więc dlaczego nie zadzwoniłeś? Nie powiedziałeś, gdzie jesteś? Umierałam z niepokoju!

– Nie wiedziałem, z kim jesteś – tłumaczę i dość nierozsądnie zakładam, że Cami nie ma pojęcia, jak to jest tracić rozum. Czuję, jak każdą arterię zatyka mi stres i lada chwila mogę umrzeć na zawał.

– Ojciec mógł ci przecież odebrać telefon. Skąd miałem wiedzieć, do cholery?

– I odebrał, ale go odzyskałam. Skasował twój numer, więc nie mogłam do ciebie zadzwonić. Ale nawet jeśli nie chciałeś ryzykować i dzwonić, mogłeś się ze mną jakoś skontaktować! – krzyczy.

– Niby jak? – Naprawdę zbiła mnie z tropu.

– Nie wiem! Ale w tym związku to ty jesteś super tajnym ninja! – Na jej ślicznej twarzy frustracja walczy o lepsze z ogromną ulgą.

– No jasne – śmieję się. – Następnym razem, gdy mi znikniesz, znajdę cię, bo ukryję nadajnik satelitarny w twoim błyszczyku.

Sapie gniewnie i bierze kolejny zamach, ale tym razem blokuje cios z łatwością, aż zatacza się gwałtownie i znowu głośno sapie. Szybko odzyskuje równowagę. Gniewnie rozdyma swoje słodkie nozdrza. Na twarzy zachowuję powagę, ale członkowi nie zdołam przemówić do rozumu. Z jakąż łatwością mógłbym ją przegiąć nad złotą wanną i wejść w nią od tyłu. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebuję teraz chwili relaksu.

Widzę, jak rozluźnia wszystkie mięśnie, mimo gniewu w oczach. Rozgrywa to na spokojnie. Jej smukłe ciało owinięte małym ręczniczkiem to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałem.

A potem moją uwagę przykuwa ruch jej prawej ręki. Wsuwam dłoń między nasze ciała i chwytam ją za nadgarstek. Prycha gniewnie i próbuje drugą dłonią, ale ją także przytrzymuję. Nie mogę przy tym powstrzymać tryumfalnego uśmiechu. Szarpie się urażona, mocuje ze mną. A ja jej na to pozwalam i szacuję odległość od złotej wanny.

– Jake! – Szarpie się, aż ręcznik opada na podłogę. Nieruchomieje. Uśmiecham się.

A potem zamykam ją w ramionach i pcham w stronę wanny. Opieram jej dłonie na złotym obramowaniu.

– Trzymaj się, aniołku.

– Jake... – W jej głosie jest już tylko pożądanie. Pochylam ją przed sobą i otwieram usta z wrażenia, napawając się widokiem jej pleców i pośladków. Pieszczę je dłońmi. Boże, muszę być w niej. Rozpinam rozporek, zsuwam dżinsy, uwalniam członek.

Rozszerzam rozkrok, żeby znaleźć się na odpowiedniej wysokości. Przyciągam jej biodra do siebie. Nie muszę naprowadzać fiuta, wie doskonale, gdzie chce się znaleźć. Drażnię

ją tylko, nie wchodząc jeszcze; chcę, żeby błagała.

– Proszę cię, Jake – mówi to cicho, desperacko. – Proszę.

Uśmiecham się i wchodzę w nią, sapiąc głośno, gdy zaciska mięśnie, wciągając mnie w siebie.

– Jezu. – Zaciskam powieki. – Cami, dzisiaj będzie ostro.

Potrzebuję tego.

– Nic mnie to nie obchodzi! – Nadziewa się na mnie, uderza pośladkami o moje podbrzusze, aż otwieram oczy, żeby to widzieć.

– Kurwa! – Wbijam palce w jej biodra i patrzę chciwie, jak mój ptak, śliski od jej soków, niknie między jej pośladkami. – Aniołku, nie masz pojęcia, jak cholernie seksownie wyglądasz. – Wyprężone plecy, pochylona głowa, jędrne, krągłe pośladki, i to wszystko w zasięgu wzroku. – Bosko.

Jęczy, wilgotne złote włosy spływają na złotą wannę, o którą opiera się na sztywnych, wyprostowanych ramionach. Nie zdołam zapanować nad odruchem, by wejść w nią z całej siły, zbyt wielką odczuwam ulgę, że ją odzyskałem. Ulegam temu, wchodzę w nią szybko, mocno, muszę ją mieć, muszę dać się ponieść emocjom, udowodnić jej w ten najlepszy możliwy sposób, że tu jestem i nigdzie się nie wybieram.

Odrzucam głowę do tyłu, tłumię krzyk, czuję, jak krew mi pulsuje w członku. Mamrocę coś bez sensu. Zaczynam drżeć, kolana się pode mną uginają. Nie wytrzymam dłużej.

– Cami. – Na fali rozkoszy dławię się jej imieniem, chcę dać jej do zrozumienia, że jestem na krawędzi.

– Tak! – krzyczy. Wbija się na mnie z taką siłą, że mało brakowało, a wylądowałbym na tyłku.

– Kurwa! – Nie stać mnie nawet na elementarną przyzwoitość, nie dbam, czy podąży za mną. Daję się ponieść, czuję dreszcze na całym ciele. Przenikają mnie do głębi.

– Ja też! – krzyczy.

Zmuszam się do jeszcze kilku ruchów, zaciskam zęby, nadwrażliwość staje się prawie nie do wytrzymania. Wiem, kiedy kończy, bo uderza pięścią o wannę. Przyciągam ją do siebie, tulę się do jej pleców, cały czas pulsując w niej, dygoczę na całym

ciele.

– Och – wzdycha, osuwa się na mnie, ugina ręce oparte o wannę. – O cholera, ależ to było mocne.

Nie wiadomo skąd znajduję w sobie dość energii, by ją podnieść i przytulić do siebie, cały czas niesiony potężnym orgazmem. Oddycham niespokojnie, serce w piersi bije mi po raz pierwszy, odkąd wyrwałem się z mojego mieszkania. Znowu żyję.

Mamrocze coś, wyczerpana. Nie rozumiem.

– Co takiego, aniołku?

Nabiera powietrza w płuca. Pochylam się nad jej karkiem, cały czas mocno tuląc ją do siebie.

– Ma – szepcze.

Mam wrażenie, że lada chwila osunie się na ziemię.

– Nie słyszę cię, Cami.

– Mama.

– Cukiereczku!

Zerkam na drzwi, słyszę kroki na dywanie.

– Camille, skarbie, wychodzę.

– Kurwa! – Jedną ręką podciągam spodnie, drugą cały czas podtrzymuję Camille i zaklinam, żeby wreszcie doszła do siebie. – Cami, na miłość boską! – Pochylam się, biorę ręcznik, okrywam ją.

Nie pomaga mi. Jest do niczego.

Drzwi stają otworem i przede mną zjawia się jej dominująca, wystrojona, wymalowana matka. Na nasz widok nieruchomieje z zadbaną dłonią na złotej kłamce.

– Dzień dobry – chrząkam i okrywam nieruchomą Cami ręcznikiem. Niechby, kurwa, wreszcie doszła do siebie!

– Ależ dzień dobry. – Patrzy na Cami, unosi brwi, wraca wzrokiem do mnie. A ja tylko dziękuję losowi za to, że tak szybko chciałem być w Cami, że nie zwracałem sobie głowy ściąganiem z siebie ciuchów.

Cami wreszcie odzyskuje zdolność myślenia, wyjmuje mi ręcznik z dłoni, okrywa się nim sama.

– Mamo, to jest Jake – wypala prosto z mostu. Zaskoczyła



mnie.

Czuję się jak przestępca. Pieprzyć dziewczynę w sypialni jej matki? I jeszcze dać się przyłapać? Umieram ze wstydu.

Nie sposób nie dostrzec potępienia na twarzy matki Camille i po raz pierwszy w życiu się czymś takim przejmuję. Po raz pierwszy w życiu obchodzi mnie, co ktoś sobie o mnie pomyśli. Naprawdę ze mnie mięczak. Podchodzę bliżej, dżentelmen w każdym calu, i wyciągam rękę.

– Bardzo mi miło, pani Logan.

Przygląda mi się badawczo.

– Pani Bell. – Dumnie zadziera nosa, a ja umieram ze wstydu. Wiedziałem przecież. Wiedziałem, że wróciła do panińskiego nazwiska, kiedy Logan wymienił ją na młodszy model. Co się ze mną dzieje? Jestem kłębkim nerwów.

– Oczywiście. – W myślach walę się w ten durny łeb i uśmiecham szeroko. Camille Logan budzi we mnie najdziwniejsze instynkty. – Bardzo mi miło.

W końcu się nade mną lituje i podaje mi rękę.

– A więc to przez pana to całe zamieszanie? – pyta, mierząc mnie badawczym wzrokiem.

I znowu się oburzam, ale już tylko w myślach. Owszem, całe to zamieszanie wywołał mężczyzna, ale nie ja. Biorę się w garść, puszczam jej dłoń, prostuję się, choć czuję się jak olbrzym w rozmowie z kobietą niższą ode mnie o prawie pół metra.

– Niespecjalnie. – Wycofuję się. Nie bardzo wiem, co innego mógłbym powiedzieć. Matka Cami jest po jasnej stronie mocy. Zazwyczaj nikomu się nie kłaniam, ale tej kobiecie mam ochotę się pokłonić. Jest ucieleśnieniem wszystkiego, czego nie znoszę w kobietach, ale zarazem jest matką Camille. – Zdaję sobie sprawę, że ojciec Cami nie jest zachwycony...

Przerywa mi prychnięciem.

– Nie byłby zachwycony nawet, gdyby na twoim miejscu był książkę Harry! Chyba że sam zorganizowałby tę randkę albo miał z tego jakieś korzyści. – Patrzy na córkę z błyskiem w oku. – Ubierz się, cukiereczku. A ja zabiorę Jake'a do bawialni. Napijemy się

herbatki.

Patrzę na Cami i widzę, jak marszczy brwi, otulając się ręcznikiem, jakby do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że jest właściwie naga.

– Zdawało mi się, że wychodzisz.

Pani Bell zaciska usta i zerka na mnie spod oka.

– Tamto może poczekać. – Obraca się na pięcie i wychodzi, kołysząc biodrami. Ledwie znika za drzwiami, ciężko opieram się o ścianę. W życiu nie byłem tak spięty.

Dostrzegam ironię sytuacji. Zazwyczaj nie zależy mi na niczyjej aprobacie. Matka Cami stanowi wyjątek.

– Dobrze się czujesz? – Cami marszczy brwi.

Muszę wziąć się w garść.

– Tak, w porządku. – Odrywam się od ściany, podchodzę do niej, obejmuję ramieniem, przyciągam do siebie. A potem zadaję cios. Musi wiedzieć, co czuję. Cały czas cholernie mnie bołą jej obawy, sama myśl, że mógłbym ją zostawić; muszę to powiedzieć. Słowami. Głośno i wyraźnie. A jednak kiedy otwieram usta, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Choć słowa są. Są wszędzie.

– Ja... – Gardło mi się ściska. Zaczynam drżeć, przytłoczony tym, co chcę powiedzieć.

– Jake?

– Ja...

– Co jest?

– Do cholery, Camille. – Dotykam jej policzków wielkimi dłońmi, pochylam się, aż patrzymy sobie w oczy. Jej spojrzenie zmusza mnie do działania. Widzę lęk w jej oczach.

– Kocham cię – mówię, wpatrzony w jej niebieskie oczy. – Tak cholernie cię kocham i chcę, żebyś o tym wiedziała.

Odsuwa się, aż bezwładnie zwieszam ręce. Jest w szoku. Jej oczy zasnuwają się mgłą. Nie wiem, czego się spodziewałem, jakich słów czy gestów, ale chyba nie tego. Wygląda, jakby miała zaraz uciec.

Po, jak się wydaje, całej wieczności, bolesnej, niekończącej się wieczności – w końcu się odzywa. Jej śliczne usta drżą, gdy

mówi:

– Ja ciebie też – wyrzuca z siebie i ukrywa twarz w dłoniach.

Te słowa trafiają prosto do mojego serca i sprawiają, że kolejna cząstka mnie wraca do życia. Wypuszczam powietrze z płuc i dopiero teraz uświadamiam sobie, że cały czas je wstrzymywałem. Podchodzę bliżej, obejmuję ją, drżącą, biorę na rękę, tulę do siebie. Ona też mnie kocha. Mogę jedynie mieć nadzieję, że to wystarczy, byśmy przebrnęli przez czekający nas mrok.

Mam zdecydowanie za mało czasu, by ją do siebie tulić, podkreślać słowa czynami, i muszę wypuścić ją z objęć. I wtedy patrzę w jej oczy. Są pełne światła i nadziei, a to wszystko za moją sprawą, co mnie zarazem cieszy i budzi wyrzuty sumienia. Przecież ona mnie nie zna. Ale pozna. Kiedy to wszystko się skończy, zdobędę się na to, przed czym uciekałem od tak dawna. Na samą myśl, co muszę zrobić, serce staje mi w piersi.

Całuję ją w czubek głowy, popycham w stronę prysznicza i odkręcam kurki.

– Wykąp się – mówię cicho. A potem zmuszam się, żeby wyjść z łazienki i dołączyć do jej matki.

Znalazłem telefon Camille, wyłączyłem go i ruszyłem w głąb przypominającego pałac apartamentu. Podziwiam wystrój, starając się nie zwracać uwagi na złoty kicz. W myślach obliczam odległość dzielącą mnie od Cami. Mijając kolejne pokoje, zaglądam do środka, zapamiętuję położenie okien i drzwi, żeby mieć opracowane możliwe drogi ucieczki, i dopiero kiedy nabieram pewności, że nie ma szans, żeby ktoś wdarł się tu bez mojej wiedzy, idę do bawialni.

Pani Bell przysiadła na jednej z otoman, wybranych zdecydowanie ze względu na wygląd, nie wygodę. Przygląda mi się, gdy zajmuję miejsce naprzeciwko. Nie liczę na wygodną pozycję, to niemożliwe. Podaje mi filigranową filiżankę. Obracam ją w dłoniach, jest niewiele większa od naparstka. Daję sobie z nią spokój, stawiam na połączanym stoliku.

– Dziękuję – mówię. Czuję na sobie jej wzrok.

Przez minione godziny miałem jeden cel – odnaleźć Cami. Nie zwracałem sobie głowy dumaniem, co dalej. Teraz przyszedł na to czas.

– W jaki sposób dostał się pan do mojego domu? – pyta, mierząc mnie podejrzliwym spojrzeniem.

I słusznie. Chyba najlepiej będzie, jeśli na razie zachowam dla siebie informację o tym, jak sforsowałem zamek, wkradłem się do mieszkania i znalazłem jej córkę jak pies gończy lisa.

– Cami mnie wpuściła – odpowiadam gładko. Nie wiem do końca, czy mi wierzy, więc postanawiam jak najszybciej zmienić temat. – Wiedziała pani, że jej były mąż spłacił byłego chłopaka Cami i opłacił mu odwyk?

Śmieje się pod nosem i miesza herbatę.

– Wcale mnie to nie dziwi. Cami wie?

– Jeszcze jej nie powiedziałem. Muszę parę rzeczy ustalić.

– Na przykład?

– Na przykład, co tak naprawdę jej grozi. Od samego początku, gdy Logan mnie zatrudnił, coś mi nie pasowało. Zataił przede mną pewne informacje, a gdy go przycisnąłem, zwolnił mnie. Nie wydaje mi się, żeby zrobił to tylko dlatego, że nie podoba mu się mój związek z Cami. Ukrywa coś i chcę wiedzieć, co takiego.

Unosi brwi, zaskoczona.

– Chyba bardzo pana nie lubi, Jake.

Owszem, na pewno. To fakt. Zapłacił przecież tej szmacie, byłemu chłopakowi Cami, żeby mnie oskarżył. Temu, który ją bił. Wszystko po to, żeby się mnie pozbyć, skoro nie chciałem od niego pieniędzy.

To coś więcej niż zwykła niechęć. Boi się, że znajdę coś, co za wszelką cenę chce ukryć.

– Z wzajemnością – odpowiadam. – I dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Do tego czasu będę nad nią czuwał.

Uśmiecha się i wiem już wszystko, co mnie interesuje. Akceptuje mnie. To ogromna ulga, choć tak naprawdę mam w nosie, w jakiej roli mnie widzi: czy cieszy ją, że jej wyrachowany

były mąż wreszcie trafił na równego sobie przeciwnika, czy podoba jej się to, co czuję do jej córki. Wewnętrzny głos podpowiada mi, że i jedno, i drugie.

– Nie wątpię – mówi cicho.

Mijam ją wzrokiem. Do pokoju wchodzi Cami.

– Cześć. – Podchodzi do nas. Jest uosobieniem piękna w prostej czarnej sukience. Złote włosy spływają przez jedno ramię, rozczesuje je palcami. Nie ma ani grama makijażu na twarzy.

– Cukiereczku! – woła jej matka i wstaje, podobnie jak ja. Głupkowate przezwisko, którym zwraca się do mojego aniołka, jest irytujące i przesadne i czuję, że Cami ma do tego podobny stosunek. – Herbatki?

Cami kręci przecząco głową i podchodzi do mnie. Siada u mojego boku.

– Dzięki za ciuchy – Wskazuje sukienkę i jeszcze raz zerkam na nią z aprobatą.

– Proszę bardzo. No dobrze, na mnie już czas – oznajmia pani Bell. – Już i tak jestem spóźniona. – Podchodzi do nas, uśmiecha się czule do Cami i przyciąga ją do siebie. – Możesz tu zostać, cukiereczku.

– Nie ma takiej potrzeby – mówię bez namysłu, nie dbając o uczucia jej matki. Nie ma mowy.

Cami patrzy na mnie pytająco, gdy matka wypuszcza ją z objęć.

– Naprawdę? – pyta, wyraźnie zaniepokojona.

– Naprawdę – zapewniam. Już wiem, gdzie ją zabiorę, póki to wszystko się nie uspokoi. Ignoruję zaciekawienie Cami i zwracam się do jej matki. – Było mi bardzo miło panią poznać.

Śmieje się i zaskakuje mnie, gdy mnie obejmuje. Nie odwzajemniam uścisku, jestem spięty.

– Pamiętaj, nie wolno ci nie doceniać mojego byłego męża – szepce mi do ucha. – I nie waż się złamać serca mojej córce.

Milczę. Nie jestem głupi. Zdaję sobie sprawę, że mógłbym ją bardzo skrzywdzić. Bardziej niż jej były chłopak. Bardziej niż ojciec. Nie zasługuję na sposób, w jaki mnie postrzega, na

szacunek, jakim mnie darzy. Nie zasługuję na nią. Na miejscu jej ojca też starałbym się trzymać od niej z daleka.

Ale zabrnąłem już za daleko. Utkwiłem za głęboko, za bardzo mi zależy na tej cudownie uzależniającej kobiecie. Rozpacz ostatnich godzin, gdy nas rozdzielono, była jak kubeł zimnej wody, choć wcale go nie potrzebowałem. Za bardzo ją kocham, żeby z niej zrezygnować. Tak bardzo, że to aż boli. Mam tylko nadzieję, że i ona kocha mnie wystarczająco, by pokonać szok, gdy w końcu okaże się, że nie jestem takim mężczyzną, za jakiego mnie ma.

## Rozdział 24

### CAMI

Poruszony i spięty, Jake prowadzi mnie do range rovera, który czeka w sąsiednim zaułku. Nawet kiedy siedzę już bezpiecznie w samochodzie, nie opuszcza go napięcie. Jest czujny, bacznie przeczesuje okolice wzrokiem, gdy bocznymi uliczkami zmierzamy na obrzeża.

Jego podejrzliwość udziela się i mnie, ja także mam rozbiegany wzrok; z każdej strony spodziewam się wozu policyjnego. Ojciec osiągnął dno dna. Robi mi się niedobrze na myśl, do czego się posunął, płacąc Sebastianowi za oskarżenie Jake'a. Zastanawiam się jednocześnie, do czego jeszcze się posunie, chcąc nas rozdzielić. Staram się go zrozumieć, znaleźć w sobie odrobinę współczucia, które zneutralizuje nienawiść, jaką w tej chwili do niego czuję, ale na próżno. Nigdy nie uda mu się nas rozłączyć. Przysięgam, nie odezwę się do niego nigdy więcej, jeśli będzie dalej brnął w ten obłąd. Umrze dla mnie.

Odwracam się do Jake'a.

– Co zrobimy z moim ojcem?

– To już moja sprawa – odpowiada chłodno. W pełni nad sobą panuje. Jest spokojny. Dlaczego nie przejmuję się tym tak bardzo jak ja?

– Jake, przecież on chce cię wsadzić za kratki tylko po to, żeby utrzymać cię z dala ode mnie!

– Nie ma mowy.

Z wrażenia otwieram szeroko usta. Czyżby zapomniał, do czego zdolny jest mój ojciec?

– Skąd ta pewność?

– Zaufaj mi – odpowiada, wyciąga rękę i delikatnie kładzie mi ją na kolanie. – On nie wygra, Cami.

Patrzę na jego wielką dłoń na moim kolanie, czuję jego

ciepły, kojący dotyk, a jednak nie mogę pozbyć się obaw.

– Jesteś byłym żołnierzem – szepcę. – Chciałeś zbawić świat. On marzy o jednym: żeby nim zawładnąć. – Wyciągam dłoń, gładzę podbródek szorstki od zarostu. Na moment zamyka oczy, zdejmuję dłoń z mojego kolana, nakrywa nią moją rękę na swoim policzku. Nagle wydaje się smutny, zagubiony w myślach.

– Kocham cię, aniołku – mówi cicho. Przysuwa sobie moją dłoń do ust i całuje delikatnie. – Najbardziej na świecie.

Uśmiecham się. Szkoda, że nie potrafię mu okazać, jak wiele dla mnie znaczy. Nie mam na to słów.

– Hej. – Odwzajemniam gest, unoszę jego dłoń do ust, całuję kłykcie. – Dokąd jedziemy?

– Mam domek na wsi. Nikt o nim nie wie.

– Więc chcesz mnie tam uwięzić? Na jak długo?

– Póki twój ojciec nie przejrzy na oczy.

Chce mi się śmiać.

– Czyli na całą wieczność – mruczę pod nosem i opadam z powrotem na siedzenie.

Zerka na mnie z leciutkim uśmiechem.

– A zatem zostaniesz tam ze mną na zawsze.

Wzruszam obojętnie ramionami.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Po dwóch godzinach w trasie skręcamy w wąską wiejską drogę. Z obu stron ciągną się żywopłoty. Dwadzieścia minut później jedziemy tą samą szosą; droga ciągnie się chyba w nieskończoność, nie widać jej kresu, co chwila mijamy tylko kolejne łuki i zakręty. Jest wąska, mieści się na niej jeden samochód, i przez cały ten czas nie mijaliśmy innego wozu. No i dobrze. Nikt nas nie wyminie, nawet na rowerze.

Jak okiem sięgnąć, widzę tylko pola. Puste – nie ma na nich krów, owiec, żadnych zwierząt. Milczę. Jake wprawnie prowadzi range rovera krętą szosą, jakby doskonale znał każdy wybój i kałużę. Wjeżdżamy na strome wzgórze, coraz bliżej niskich chmur, aż osiągamy wierzchołek i powoli wracamy z powrotem na ziemię. Katem oka zerkam na Jake'a, widzę, że jest bardziej rozluźniony,



że po napięciu nie ma śladu. A potem uśmiecha się pod nosem. Podążam za jego wzrokiem, żeby się dowiedzieć, co go tak ucieszyło. I nie wierzę własnym oczom.

Domek na wsi? Dom dumnie pręży się w oddali, w otoczeniu innych, mniejszych budynków – garaż, szopy, stajnie. Potężny kremowy budynek o ciemnych framugach, z masywnymi drewnianymi drzwiami.

– Domek? – pytam, sama właściwie nie wiedząc, czego się spodziewałam. Wiejskiej chatki?

– Tylko cztery sypialnie. Wygląda na większy niż jest. – Skręca ostro, więc muszę się odchylić, by cały czas widzieć budynek. – Najbliższy sąsiad mieszka piętnaście mil dalej.

– Bardzo towarzysko – mruczę pod nosem, gdy pokonuje kolejny zakręt. Naprawdę jesteśmy na końcu świata. – Nie wyglądasz mi na rolnika.

– Bo nim nie jestem.

– Więc skąd te stajnie, pola, chlewy?

– To najbardziej odosobnione miejsce, jakie udało mi się znaleźć.

– Dlaczego tak bardzo zależało ci na odosobnieniu? – pytam, niby od niechcienia, ale w głębi duszy umieram z ciekawości.

Hamuje, gasi silnik, odwraca się na siedzeniu tak, że patrzy na mnie. Znaczący uśmieszek zdradza, że wyczuł, że pytania same cisną mi się na usta.

– Bo wiedziałem, że pewnego dnia poznam piękną księżniczkę, która będzie potrzebowała ochrony przed złym ojcem.

Mrużę oczy.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Nie podoba ci się, że staram się rozładować naszą sytuację?

Naszą sytuację? Ta sytuacja doprowadza mnie do szału.

Podobnie jak mój ojciec.

– Wkurza mnie, że musimy uciekać.

Jake wysiada. Obchodzi samochód, przytrzymuje mi drzwiczki, bierze mnie za rękę, pomaga wysiąść.

– Cami, twój ojciec nasłał na mnie policję. Nie mam zamiaru

siedzieć w Londynie z założonymi rękami i czekać, aż mnie dopadną. Zaszycemy się tu, póki wszystkiego nie załatwię.

– A niby jak chcesz wszystko załatwić? – pytam. Niechętnie pozwalam, by pchnął mnie w stronę drzwi wejściowych.

– Pracuję nad tym. – Naciska klamkę. Drzwi się otwierają i widzę obszerny kwadratowy hol, schody na piętro i drzwi do kolejnych pomieszczeń.

W tym momencie dociera do mnie moja obecna sytuacja. Może wcale tak bardzo się nie przejmuję, że musieliśmy uciekać. Jake i ja. Sami. Na końcu świata. Może lepiej niech wcale nie stara się tego naprawić, bo nagle perspektywa takiej izolacji wydaje mi się bardzo kusząca.

– Jest tu w ogóle coś do roboty? – pytam, rozglądając się wokół.

– Mam kilka pomysłów. – Staje za moimi plecami. Uśmiecham się w duszy. – Tylko ty i ja. Sami. – Całuje mnie w szyję i tym samym przesyła dreszcz emocji między moje uda. Wzdycham, wtulona w niego. Drzę. – Ale najpierw zabieram cię na kolację.

Zdziwiona, wpatruję się w przestrzeń. W promieniu wielu mil nie widziałam oznak cywilizacji.

– Dokąd?

– To już moja sprawa. – Odwraca mnie do siebie i patrzy, czuję, jak omiata ciemnym spojrzeniem każdy milimetr mojej twarzy. Pozwalam mu na to. Ja także chłonę go wzrokiem. Wydaje się wyluzowany i zadowolony, a to w jego wypadku rzadkość.

– Dzisiaj zapomnijmy o wszystkim, po prostu bądźmy razem. – Pochyla się, całuje mnie powoli, delikatnie rozchyła mi wargi swoimi. Wtulam się w niego, odwzajemniam pieśczoć. Ale co dalej? Co jutro? Co wtedy?

Jake prowadzi mnie do sporego pokoju z wysokim sufitem i gzymsami. Nad łóżkiem wisi kryształowy żyrandol, ściany pokrywa gruba, mięsista tapeta. Na palenisku w wielkim kominku piętrzą się drwa. Pokój jest bogaty, ale nie przesadnie, raczej przytulny i ciepły. W niczym nie przypomina minimalizmu jego

apartamentu w fabryce.

Oddała się, żeby przygotować się do kolacji, a ja wchodzę do łazienki i widzę tam znajomą torbę. Zaglądam do niej, wydaję część zawartości – moje ciuchy i zgarnięte na chybił trafił kosmetyki z mojej łazienki. Uśmiecham się. Jakim cudem...?

Podnoszę wzrok do lustra, przyglądam się przez chwilę swojemu odbiciu, pogrążam się w myślach. Tylko ja, Jake i ten wielki dom na ogromnej posiadłości. Znowu się uśmiecham, ale zaraz poważnieję, gdy dociera do mnie, że nie dałam Heather znać, gdzie jestem. Będzie się martwiła. Mam wyłączony telefon, a wiem, że będzie się starała ze mną skontaktować.

– Cholera! – Wracam biegiem do pokoju, znajduję telefon na łóżku, włączam go i od razu widzę nieskończenie wiele nieodebranych połączeń od Heather. Nie zwracam uwagi na numer ojca. Dzwonię do przyjaciółki.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Cami, w gazecie jest twoje zdjęcie z Jakiem! – zaczyna z przejęciem.

Nic nowego. Dziwi mnie jej reakcja. Zazwyczaj Heather jest lepiej zorientowana w londyńskich nowinkach.

– Wiem.

– Naprawdę?

– Tak. Mój ojciec też wie.

– O cholera.

– No. Nie jest zachwycony. – Opowiadam jej to, co już wie, uzupełniam szczegóły i dodaję coś, o czym na pewno nie miała pojęcia. – Zapłacił Sebastianowi, żeby oskarżył Jake'a.

– Co? – Uszy mnie bolą od jej pisku. – Ale dlaczego?

– Bo chce, żeby zniknął – odpowiadam cicho. – A ja nie.

– Czyli wcale się nie zakochałaś w ochroniarzu, co?

– Ciurna dipa.

– W rzeczy samej – wzdycha. – Gdzie jesteś?

– Z Jakiem. Jest poszukiwany przez policję, więc póki tego nie wyjaśni, wyjechaliśmy z Londynu.

– Ukrywacie się?

Śmieję się pod nosem.

– Chyba tak. – Choć tak naprawdę nie wiem, przed kim się ukrywam.

– Jezu, Cami – słyszę. – Dlaczego z twojego ojca taki dupek?

– Nie wiem. – Z westchnieniem unoszę rękę i przyciskam ją do czoła. – Posłuchaj, gdyby ktoś pytał, nie rozmawiałaś ze mną, dobrze? Zwłaszcza ojciec.

– Oczywiście! – Wydaje się urażona, że w ogóle o to proszę.

– Dzięki. Zadzwoń jutro.

– Koniecznie.

Kończę rozmowę, wyłączam telefon i rzucam na łóżko.

Potem idę do łazienki, chcąc, zgodnie z poleceniem, jak najszybciej się przygotować i znaleźć Jake'a. Od kilku godzin dotykaliśmy się właściwie bez przerwy. Metr przestrzeni między nami wydaje się nie na miejscu.

Nie mam pojęcia, w co się ubrać. Zabiera mnie gdzieś? Ale dokąd? Czyżby mojej uwadze umknęła knajpka ukryta gdzieś przy drodze? Zbiegam z drewnianych schodów z czarnymi sandałami na platformach w dłoni, i nasłuchuję, gdzie jest Jake. Mam na sobie szarą, luźną sukienkę na cienkich ramiączkach, z aplikacją przy obszyciu. Wykombinowałam, że w zależności od tego, dokąd mnie zabiera, mogę za pomocą dodatków zrobić z niej strój mniej lub bardziej elegancki.

– Jake? – wołam już na parterze. Idę do kuchni w wiejskim stylu. Wchodzę do środka. Nie ma go. Ze zmarszczonym czołem wracam do saloniku. Tam także go nie ma. – Gdzie się podziałeś? – rzucam w powietrze. Wracam do holu. Przez chwilę stoję nieruchomo, potem dochodzę do wniosku, że może jest przed domem, już w samochodzie, i biegnę do drzwi wejściowych.

Ktoś przyczepił do nich kartkę papieru. Zaintrygowana, podchodzę bliżej i czytam pierwszą linijkę tekstu.

„Weź tę kartkę i wypełniaj instrukcje”.

Uśmiecham się, odrywam arkusik od drzwi i czytam dalej.

„Wyjdź na podjazd. Między dwoma dębami jest przesmyk. Idź tą ścieżką, aż dojdiesz do wielkiego zwalonego pnia. Tam

znajdziesz dalsze instrukcje. Jake”.

Przeszywa mnie dreszcz podniecenia. Podchody. Poszukiwanie skarbu. A moim skarbem jest Jake.

Zostawiam buty przy drzwiach, wsuwam stopy w balerinki na płaskim obcasie. Natychmiast wybiegam z domu. Tak jak powiedział, na końcu podjazdu dostrzegam dwa dęby.

Biegnę z szerokim uśmiechem na ustach i kiedy mijam dęby, znajduję się w lesie, ale wyraźnie widzę ścieżkę. Idę nią, co chwila omijając konary i gałęzie na ziemi.

Czuję się jak w bajce. Przez baldachim liści przenikają jedynie nieliczne promienie srebrzystego popołudniowego słońca. W końcu znajduję się na wielkiej okrągłej polanie. Pośrodku leży wielki zwalony pień, z którego częściowo opadła już kora. Wygląda, jakby leżał tu od setek lat. Przypięto do niego karteczkę.

Podeksycytowana, bo jestem coraz bliżej Jake’a, podbiegam do pnia i sięgam po arkusik.

„Pewnego dnia zerznę cię na tym wiekowym pniu. Spójrz w prawo. Widzisz brzozę? Za nią jest ścieżka. Idź nią, aż dojdiesz do krzewu czerwonych róż. Tam znajdziesz dalsze instrukcje. Uważaj na kolce. Jake”.

Unoszę arkusik do ust, przygryzam jego brzeg i z trudem powstrzymuję odruch, by podbiec do brzozy, którą już zdążyłam wypatrzyć. Może jeśli tu zostanę, znudzi mu się czekanie, gdziekolwiek jest, i sam po mnie przyjdzie. I wtedy „pewnego dnia” nadejdzie dzisiaj i zerznie mnie na tym wiekowym pniu.

Okrażam polanę, rozglądam się, zachwycona jej pięknem. Wiekowy las, pełen drzew, z których część ma zapewne kilkaset lat. Cichy i spokojny. Ciszę zakłócają jedynie odgłosy natury, czystej, niczym niezakłóconej natury. Żadnych samochodów czy budynków, żadnych zanieczyszczeń. Mogłabym spędzić tu resztę życia. Właściwie dlaczego nie możemy zostać tu na zawsze? Pobierzemy się, będziemy mieli dzieci, wychowamy je tutaj, w tym cudownym sanktuarium, z dala od wielkiego miasta i świata zewnętrznego. Zagryzam usta i upominam się, że wybiegam myślami za daleko w przyszłość. Ale czy naprawdę?

Podbiegam do brzozy, mijam ją i znajduję się na kolejnej ścieżce. Prawie nie zauważam trzasku gałązek pod moimi stopami. Tak bardzo chcę go zobaczyć, rzucić mu się w ramiona, zatracić się w nim. Tylko w nim. W jego sile, jego namiętności – w nim całym. W Jake’u.

Widzę przed sobą różany krzew; plama czerwieni przyciąga mnie jak magnes. Krzew jest ogromny, kwintesencja angielskiego piękna wśród leśnych zarośli. Zwalniam i po chwili dostrzegam biały arkusik wśród kwiatów i kolców. Czeka na mnie. Zatrzymuję się, przez chwilę usiłuję odgadnąć, co zawiera liścik.

Czerwone kwiaty pachną upojnie, aż chce się ich dotknąć, powąchać. Zamykam oczy i zaciągam się głęboko różanym aromatem. Jest mi ciepło, spokojnie i dobrze. Wypuszczam kwiat z dłoni i sięgam po liścik. Ostrożnie, żeby się nie pokłuć. Kartka zaczepia o kolce, ale w końcu mogę odczytać jego słowa.

„To miejsce to moje schronienie. Teraz także twoje. Wszystko, co do mnie należy, jest twoje.

Kocham cię. Bardziej niż sądziłem, że jestem w stanie kochać. Kogokolwiek.

Zerwij różę i wsuń sobie we włosy. A potem idź ścieżką dalej, do pięknego czerwonego klonu. Jake”.

Unoszę arkusik do nosa i głęboko wciągam powietrze, jakbym chciała wchłonąć w siebie jego słowa. Kocha mnie. Wszystko, co ma, należy do mnie, ale tak naprawdę chcę, potrzebuję tylko jednego – jego serca. Jego spokoju.

Powoli wyciągam rękę i zrywam największą różę, jaką udaje mi się znaleźć. Łodyga ustępuje od razu, jakby chciała mi pomóc. Odgarniam niesforne jasne kosmyki wymykające się z warkocza i wsuwam czerwony kwiat za ucho.

A potem krążę w kółko, szukając początku szlaku. Cały czas uśmiecham się pod nosem. Wędruję wśród drzew, czasami się gubię, ale przestrzegam jego poleceń i trzymam się ścieżki. Prowadzi mnie do potężnego drzewa o liściach czerwonych jak róża w moich włosach. Do jego pnia przypięto kolejny liścik. Po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, ile ich jeszcze jest.

Zaczynam się niecierpliwić. Podchodzę do drzewa i zrywam kartkę.

„Nie wiem, co w końcu zdecydowałaś się założyć, ale natychmiast to zdejmij. Zdejmij z siebie wszystko”.

Wymyka mi się nagłe westchnienie, czuję, jak całe ciało budzi się do życia. „Zdejmij z siebie wszystko”.

„Za klonem jest ścieżka, która doprowadzi cię do mnie. Pospiesz się. Jake”.

Przełykam ślinę, upuszczam torbę i liścik. Rozglądam się dokoła, zsuwam buty, unoszę skraj sukienki. To szaleństwo. Nikogo tu nie ma. Nikt mnie nie zobaczy. Ale przez to żądanie Jake’a nie staje się mniej zakazane, niebezpieczne. Jest ciepło, wieczorne słońce wisi nisko nad wierzchołkami drzew, w powietrzu jeszcze próżno szukać nocnego chłodu.

A jednak sutki mi twardnieją, gdy ściągam sukienkę przez głowę. Gdy opada na ziemię. Zagryzam usta i zsuwam majteczki wzdłuż ud. Odruchowo rozglądam się dokoła, jakby ktoś miał mnie tu podglądać. Śmieję się pod nosem. Idę o zakład, że wiewiórki i ptaszki zastanawiają się teraz, co tu się u licha dzieje. Co za kobieta rozbiera się w naszym lesie?

Zostawiam majteczki na ziemi i zaglądam za klon, szukam szczeliny w ścianie drzew i krzewów i uśmiecham się na jej widok. Poprawiam różę za uchem i ruszam w tamtą stronę. Z każdym krokiem oddycham szybciej.

Uważam, wchodząc między zarośla. Otacza mnie zielona gęstwina, obawiam się, że gałęzie podrapia naga skórę, gdy koło nich przechodzę. Wyginam się i wiję między krzakami, aż dostrzegam światło słoneczne, już nierozproszone, ale zalewające las jasną luną. Przyśpieszam kroku, wstrzymuję oddech i nagle wychodzę z zarośli, które już zbyt długo trzymały mnie w swoich okowach.

– O Boże – szepczę wychodząc na polanę. Nadal jestem w lesie, ale tu drzewa się przeredzają. Mają też cieńsze, gładkie pnie, rosną w równych, rzadkich rzędach. Opuszczam głowę i uśmiecham się, oczarowana tym, co widzę. U moich stóp rozciąga

się morze hiacyntów. Pochłaniam je wzrokiem i usiłuję to wszystko ogarnąć. Ten ukryty zakątek sprawia, że brak mi słów.

Wyczuwam ruch za sobą. Odwracam się i na moment zapominam, czemu właściwie tu jestem. Unoszę rękę do piersi i wzdycham cicho, gdy widzę Jake'a.

Stoi za mną, także nagi, z uśmiechem na pięknej twarzy.



## Rozdział 25

### JAKE

Jest jak wizja, jak wytwór najśmielszych fantazji. Wydaje mi się, że czekam tu całą wieczność; mało brakowało, a poszedłbym jej szukać. Całe popołudnie wyobrażałem sobie tę chwilę, od momentu, gdy skręciliśmy w drogę prowadzącą do mojego schronienia. Ten zakątek przypomina obrazek z książki dla dzieci. Stanowi idealne tło dla mojego aniołka, wygląda, jakby ożył, jakby on też przez cały ten czas czekał tylko na nią.

Lekki wietrzyk kołysze liśćmi, słońce przelewa się przez gałęzie, rzadsze w tej części posiadłości za domem. Kobierzec dzikich hiacyntów pod nogami tętni życiem, intryguje. Podobnie jak Camille. Błękitne oczy błyszczą radośnie, podziwem i niedowierzaniem. Szczupłe ciało, choć nieruchome, emanuje życiem.

Krok za krokiem odchylam głowę, staram się rozluźnić, w napiętych mięśniach pojawia się ból. Właściwie nie wiem, skąd to napięcie. Cami jest tu bezpieczna. Na mojej ziemi może chodzić gdzie chce, nie muszę snuć się kilka kroków za nią. A jednak ta świadomość wcale nie ułatwiła mi czekania. Byłem poddenerwowany i to nie tylko dlatego, że się o nią martwiłem.

Póki nie znajdzie się w zasięgu mojego wzroku, nie ustąpi tępy wewnętrzny ból. Muszę mieć ją przy sobie – samolubnie, ze względu na siebie. Kiedy jesteśmy z dala od siebie, czuję, że czegoś mi brakuje.

Jej nieskazitelna skóra promienieje, wznórki jej małych piersi zdają się mnie wzywać. Zatknęła za ucho czerwoną różę, tak jak prosiłem. Jest kwintesencją piękna.

Idę ku niej, napawam się widokiem jej piersi, unoszących się szybciej w oddechu, gdy się do niej zbliżam. Nie odrywa ode mnie wzroku. Nigdy do tego stopnia nie czułem pełni życia. Serce

jeszcze nigdy nie było mi tak mocno. Mój członek nigdy tak rozpaczliwie nie pragnął spełnienia. Jest moja na całą noc, na razie zapominam o wszystkich troskach. Do jutra. Jutro wszystko naprawię.

Nie tylko w związku z jej ojcem, także z samym sobą. I modłę się, żeby Camille Logan po dzisiejszej nocy w pełni zrozumiała, co do niej czuję, jeśli jeszcze tego nie wie. I że mi wybaczy, że tyle przed nią ukrywam.

Podnosi na mnie wzrok, czeka w milczeniu, gdy pochłaniam wzrokiem jej twarz, napawam się każdą jej cząstką.

– Znalazłaś mnie – mówię nagle ochrypłym głosem. Przesuwam dłoń na jej biodro i dalej, na pośladek.

– Zawsze cię znajdę. – Ma równie chryply głos, gdy odpowiada i kładzie mi dłoń na piersi, na sercu, które bije szybciej ze szczęścia. – Piękny zakątek.

– Jest twój. Wszystko jest twoje. – Pochylam głowę, biorę jej usta, przyciągam ją do siebie. Nie zamykam oczu, nie chcę pozbawiać się widoku uderzającej intensywności jej błękitnego spojrzenia. Jestem delikatny, czule skubię jej wargi, a potem nacieram językiem i tłumię jej jęk. Mój ptak ożywia się, domaga się coraz gwałtowniej, żebym go posłuchał. Ale musi poczekać. Mam inne plany, w których nie ma miejsca na to, żeby w nią wejść, nie tak od razu.

Spowalням pocałunek, odsuwam ją lekko od siebie, bardziej stanowczo, gdy obejmuje mnie za głowę i przyciąga do siebie.

– Cierpliwości, aniołku – mruczę i uśmiecham się pod nosem, kiedy mamrocze coś gniewnie.

– Czekasz tu na mnie nagi i oczekujesz cierpliwości? – Jest oburzona, a ja nie posiadam się z zachwyty.

Patrzę na nią z góry, przesuwam dłoń po jej policzku.

– Chcę, żeby to trwało. – Odsuwam ją od siebie, aż w ogóle się nie dotykamy, i wskazuję coś nad jej ramieniem. Nieco dalej rozłożyłem koc na niewielkiej okrągłej polance.

Zerka na mnie z ukosa, z leciutkim uśmiechkiem, odwraca się powoli i patrzy we wskazanym kierunku.

– Piknik? – szepcze, wracając do mnie wzrokiem. Swobodne kosmyki smagają jej twarz.

Z niepojętych dla mnie samego powodów czuję, jak płoną mi policzki. Czy ja się czerwienię?

– Tak. – Podchodzę bliżej, biorę ją na rękę, aż piszczy zaskoczona. – Będę cię karmił, wyliżę każdy skrawek twojego ciała, a potem będę się z tobą długo, słodko kochał.

Zaciska mi dłonie na barkach. Na jej twarzy maluje się rozkosz.

– Czy ty się zarumieniłeś, Jake’u Sharp?

– Ja się nie rumienię! – Wyjaśnijmy to sobie raz a dobrze, zanim się tego uczepi. – Za to ty zaraz będziesz czerwona.

Osuwam się na kolana, nadal z Cami w ramionach, znajduję skrawek przestrzeni przy koszyku, w którym widzę szampana, truskawki i wędliny. Piknik. W moim hiacyntowym lesie? A niech mnie. Kto by pomyślał?

Musiałem jednak porwać ją do odległej krainy, gdzie nikt i nic nam nie przeszkodzi. I musiałem jej okazać, jak wiele dla mnie znaczy.

Układam ją delikatnie na kocu, przesuвам jej dłonie za głowę, wzrokiem pieścę całe ciało. Może się okazać trudniej, niż myślałem. Przyzywa mnie każdą cząstką siebie. Mój organizm odpowiada instynktownie, zmusza mnie, bym się skoncentrował i oparł pokusie. Cami mi tego nie utrudnia. Leży biernie i patrzy na mnie, gdy walczę ze sobą, by dotknąć ustami nie szampana, lecz jej piersi. Siadam na piętach, zdejmuję folię aluminiową z korka, co chwila zerkam na nią i patrzę, dokąd wędruje jej wzrok. Tak jak się spodziewałem, pożądliwie błądzi wzrokiem po mojej klatce piersiowej i odruchowo przygryza wargę.

– Nigdzie nie widzę kieliszków – zauważa, kiedy otwieram butelkę i zasłaniam wlot palcem, żeby za dużo się nie rozlało.

– Niepotrzebne nam kieliszki. – Przechylam butelkę tak, że odrobina szampana wylewa się na jej brzuch. Wciąga głośno powietrze, wzdryga się odruchowo. Jej sutki nabrzmiewają, twarde i uniesione. Biorę się w garść, przesuвам tak, że leżę koło niej, na

boku. Zerkam na nią po raz ostatni, pochylam głowę i zlizuję szampana spływającego po jej brzuchu, zbieram go językiem, wędruję ustami coraz niżej.

– Jezu! – Przyciska dłonie do koca, wygina ciało w łuk.

– Dobrze ci, aniołku? – pytam, obrysowując jej pępek twardym, mokrym językiem.

– Tak!

Cudowna mieszanka, ciepło jej skóry i chłód szampana w moich ustach. Ponownie przechylam butelkę, już ostrożniej, i polewam jej piersi. Pieszczę jej ciało, aż docieram do nasady ud. Zaczyna dygotać, mruczy coś niezrozumiale do wierzchołków drzew nad naszymi głowami.

To jeszcze nic. Biorę łyk w usta, nie przełykam, odstawiam butelkę, przesuwam się tak, że mam ją pod sobą, opieram się na rękach. Czekam, aż uniesie powieki. Mój twardy członek dotyka jej żeber. Nie mogę powiedzieć, że ma otworzyć oczy, więc opuszczam biodra i trącam członkiem jej brzuch.

Działa błyskawicznie. Otwiera oczy z rozpaczliwym jękiem i napotyka moje spojrzenie. Rozchylam usta, wypuszczam strumyk szampana, patrzę, jak spływa po jej ustach. Otwiera szeroko oczy, odrywa rękę od ziemi. Kręcę przecząco głową. Obrażona, wydyma wargi. Jest przy tym cudowna i z najwyższym wysiłkiem powstrzymuję się, żeby nie wypluć resztki szampana i nie rzucić się na nią.

Weź się w garść, Jake!

Oblizuje wargi. Oblizuje swoje cholerne wargi powoli, naumyślnie, doskonale wiedząc, co robi. Cholerna lisica. Pozwalam, by kolejne krople opadły na jej usta, tylko że tym razem rozchyła je i chwyta bursztynowy płyn. Przełyka powoli i znowu zmysłowo zwilża wargi językiem. Niesamowity widok. Serce trzepocze mi w piersi, nabrzmiąły członek domaga się ulgi. Idiota ze mnie. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, że to się uda, że zdołam się z nią drażnić, kusić ją, kazać na siebie czekać. Mój plan spalił na panewce. Przełykam resztkę szampana i kręcę głową z pogardą dla samego siebie, zdumiony, z jaką łatwością ta

kobieta sprawia, że moja samodyscyplina legła w gruzach.

– Smaczne? – pyta szeptem, lekko unosząc biodra i napierając na moje podbrzusze.

Pochylam głowę, wyginam się z idiotycznym zamiarem uniknięcia jej ciała.

– Przestań, aniołku – proszę, zaciskając powieki.

– Powstrzymaj mnie – odpowiada. Drażni mnie tym swoim jedwabistym, kuszącym głosem.

– Cholera. – Ulegam sile, która przyciąga mnie do niej.

Nasze ciała się spotykają, unoszę ręce, przytrzymuję jej dłonie nad głową i poruszam biodrami, znajduję ją wilgotną, wchodzę odrobinę. I to wystarczy, by zaparło mi dech w piersiach.

Jęczy i pręży się pode mną cudownie.

– Jake.

Wszedłem w nią zaledwie troszkę, a już mocno zaciska mięśnie, chce mnie wciągnąć głębiej. Chwytam powietrze ustami, zaciągam się chciwie, oblewa mnie pot.

– Głębiej – błaga. Mocuje się, chce uwolnić ręce. – Proszę cię, Jake!

Determinacja w jej głosie rozkłada mnie na łopatki. Ulegam, wchodzę w nią aż do nasady.

– Jezu – szepczę, gdy nasze czoła się stykają. – Camille... – Wypełnia mnie pragnienie tak potężne, że sam nie wiem, co z tym robić.

– Ty drżysz – szepce, patrząc mi głęboko w ozy. Tak głęboko, że na pewno widzi moją czarną duszę.

Przełykam z nagłym trudem i zaczynam się poruszać, powoli, miękko, rozkoszując się jej jękami i westchnieniami. Jej rozkosz to najwspanialszy afrodyzjak, który tylko potęguje moje pożądanie. Staram się zachować rytm i zimną krew.

– Ja po prostu... – Brak mi słów. Jestem idiotycznie przytłoczony, o wiele bardziej niż zazwyczaj, gdy ją pieszczę. Może dlatego, że jesteśmy tutaj, w moim zakątku. A może dlatego, że w końcu pogodziłem się z myślą, co muszę zrobić. Z tym, czego chciałem od dawna, ale nie sądziłem, że mam na to dość siły.

Wątpiłem w siebie. Ale Cami dała mi siłę. Jasność. Muszę tyle naprawić.

– Po prostu co? – pyta gardłowym szeptem. Odnajduje rytm biodrami. Jesteśmy idealnie zespoleni.

– Po prostu tak cholernie cię kocham. – Cały czas nie mieści mi się to w głowie, nie ogarniam intensywności uczuć, które do niej żywię.

Narastające emocje biorą górę, przepełniają moje serce bezlitośnie, zagłuszają wszystko inne, aż czuję fizyczny ból. Puszczam jej ręce, obejmuję jej głowę, czuję, jak oplata mi biodra nogami.

– Hej. – Wplata mi palce we włosy, ciągnie lekko, przypomina o sobie. Widać po niej, że jest na granicy orgazmu, ma jasne, nieprzytomne spojrzenie. Kiwa głową, jakby czytała w moich myślach, zdradza, że jest już o krok. Jezu, ten widok. Cami rozpadająca się na kawałki pode mną to najwspanialsza rzecz, jaką w życiu widziałem. A świadomość, że to wszystko dzięki mnie, tylko potęguje moją satysfakcję. Ja też kiwam głową, wbijam w nią wzrok, chcę wiedzieć, kiedy skończy. Poruszam się coraz szybciej, instynktownie dążę do spełnienia, którego oboje potrzebujemy, a które tylko ja mogę nam dać.

Już prawie. Czuję napięcie w każdym mięśniu. Zaciskam zęby. Krew pulsuje w moim nabrzmiętym członku, każe przyspieszyć.

Z paniką w oczach oplata mnie udami.

– Opuść nogi – mówię, wiedząc, że to wystarczy, byśmy oboje skończyli.

Z krzykiem spełnia moje polecenie. Zaciska zęby.

Chrząkam. W nowej pozycji nagle nie mogę oddychać.

– Boże. – Czuję, jak porywa mnie fala rozkoszy.

Cami zamyka oczy i nie widzę jej spojrzenia.

– Otwórz – polecam szorstko.

Jęczy, ale posłusznie unosi powieki.

– Muszę cię widzieć.

Wzdycha głośno, błądzi rękami po moich włosach i plecach.

– Ja cię widzę – szepce, a potem rzuca się gwałtownie. Traci panowanie nad sobą.

Te słowa. Ta reakcja. Podążam za nią. Wciągam powietrze przez zęby i tryskam w niej, oddając jej wszystko, co mam. Ulegam fali rozkoszy, zapadam się w nią, wtapiam. Emocje sprawiają, że z mojego umysłu uciekają wszelkie myśli, a z płuc – powietrze. Jestem bezbronny i zarazem silny jak nigdy. Mam wrażenie, że porwała mnie moc, której nie sposób się oprzeć.

Czuję, jak z jej ciała znika napięcie, udaje mi się odrobinę unieść głowę, żeby ją widzieć. Zamyka oczy, bezsilnie zwiesza głowę na bok. Już mnie nie obejmuje, bezwładnie rozrzuciła ręce na boki. Wiem, że żyje, bo czuję bicie jej serca na piersi i skurcze wewnętrznych mięśni, które wyciskają ze mnie ostatnie krople. Przyglądam się jej przez chwilę, tak cholernie poruszony. Za jej sprawą stałem się mięczakiem. Nienawidzę jej za to. Ale o wiele bardziej ją za to kocham.

Dzięki niej znowu czuję, co mnie śmiertelnie przeraża, bo skoro znowu czuję, mogę znowu cierpieć.

Szczęśliwy i zaniepokojony, wzdycham i wtulam twarz w jej spoconą szyję. Otulam ją sobą. Nie ucieknie mi. Nie teraz. Ale jutro? Co będzie, kiedy pokażę jej moje upiory?

## Rozdział 26

### CAMI

O jakimkolwiek ruchu nie ma mowy. O rozmowie też nie. Mogę jedynie odczuwać i gdzieś w tym całym wyczerpaniu znaleźć w sobie dość energii, by się tym rozkoszować. Zatraciłam się w tym stanie zawieszenia na... sama nie wiem, na jak długo. Zresztą to i tak bez znaczenia, bo nadal czuję go na sobie, jego oddech muska mi szyję.

Właściwie sama nie wiem, co się przed chwilą stało. Jak zawsze zalała mnie wszechogarniająca fala doznań, ale tym razem towarzyszyło jej coś jeszcze. Nie potrafię ująć tego w słowa. Jake wydawał się bardzo skupiony, pewny siebie, opanowany. A potem coś się w nim zmieniło. Narastała w nim desperacja, która porwała i mnie. Kochał się ze mną tak, jakby obawiał się, że to nasz ostatni raz.

– Czy cię to dopada tak samo jak mnie? – pyta cicho, nie ruszając się. – Z taką siłą, że wydaje ci się, że już nigdy się od tego nie uwolnisz? – Unosi się na łokciach, powoli, leniwie, aż patrzy na mnie z góry, z taką miną, jakby nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Patrę na jego spokojną, piękną twarz, na błyszczące oczy. – Powiedz, że czujesz to samo. Że nie jestem sam.

Dam mu słowa, jeśli ich potrzebuje. Jeśli chce je słyszeć codziennie, będę je powtarzała w kółko, aż uwierzy i nie będzie czekał, aż powiem to na głos. Splatam ręce za sobą; służą mi za poduszkę, dzięki której lekko unoszę głowę.

– Nie jesteś sam – zapewniam, obserwując jego reakcję. Z jego twarzy nie znika zdumienie, ale przynajmniej uśmiecha się lekko.

– Możemy tu zostać? – pytam.

– Wśród hiacyntów? W lesie?



– U ciebie – precyzuję. Najchętniej zostałabym na wieki właśnie tu, ale to głupota. A to, o co proszę, wcale głupie nie jest. Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy zostać tu na zawsze, tylko we dwoje.

Wbija wzrok w dal, jakby rozważał moją propozycję.

– Mamy sprawy do załatwienia – mówi w końcu, do siebie raczej niż do mnie.

Odpowiadam mu jednak:

– Wcale nie musimy ich załatwiać. – Mówię to bardzo pewnym głosem, ale błysk w jego wzroku zdradza, że to przedwczesna reakcja. Patrzy na mnie z góry. Wydaje się wewnętrznie rozdarty. – Nikt nie wie, że tu jesteśmy. I nie musi się dowiedzieć – mówię cicho.

– Chcesz żyć z obawą, że niezałatwione sprawy prędzej czy później cię dopadną?

– Już załatwione – odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam. Nic się nie stanie, jeśli nigdy więcej nie zobaczę ojca. Mama może mnie tu odwiedzać. Albo będę z nią rozmawiała na Skypie. Oczami wyobraźni już widzę siebie i Heather, jak ślęczymy nad projektami przy wielkim stole kuchennym Jake'a. Może nawet urządzimy sobie atelier w jednym z budynków gospodarczych. Będzie idealnie. Po prostu idealnie. Od Londynu dzieli nas zaledwie kilka godzin samochodem. To jest do zrobienia.

Jake wzdycha ponuro.

– Posłuchaj, Cami, poszukuje mnie policja. Nie chcę, żeby coś stało nam na drodze. Chcę usunąć wszystkie przeszkody, aniołku. I chcę, żeby twoja kariera rozwijała się dalej. Chcę, żebyśmy byli razem. Żebyśmy byli szczęśliwi. Bez żadnych przeszkód.

– A jeśli to niemożliwe? – Mój ojciec to drań bez serca. Znam go dobrze. Nie potrafi przegrywać.

– Musi być możliwe. – Pewność w jego głosie nie koi moich obaw. Być może to, co sugeruję, to wyjście tchórzowskie, ale też najprostsze. – Będzie dobrze, zobaczysz.

Już nie jest tak bardzo przekonany o swojej racji. Ucieka ode

mnie wzrokiem, co tylko podkreśla jego wahanie.

Choć czuję się tu bardzo bezpieczna, ilekroć wychwytyję te przelotne oznaki niepewności, ilekroć widzę, jak toczy wewnętrzną walkę, zastanawiam się, czy na pewno mogę być spokojna, i nagle ogarnia mnie poczucie zagrożenia. Pograżam się w myślach. Zdaję sobie sprawę, że sytuacja z moim ojcem nie jest powodem do radości, ale skąd przekonanie, że to nie wszystko? Że jest coś jeszcze?

Nagle przypomina mi się fotografia w srebrnej ramce i rozpromieniona twarz Jake'a.

– Kim ona jest?

Nie pyta, kogo mam na myśli, choć przecież zadałam bardzo nieprecyzyjne pytanie. Nerwowo zagryzam wargi.

Nieruchomieje nade mną, oczy mu ciemnieją, ale nie zmienia wyrazu twarzy. Kręci głową.

– Kim ona jest, Jake? – powtarzam, ignorując wszystkie sygnały sugerujące, że powinnam dać sobie spokój.

Podrywa się ze mnie w mgnieniu oka, zostaję goła i nagle zmarznięta na leśnym podszyciu.

– Nie wszystko jest takie, jakie się wydaje, Cami – mówi przez zęby. – Nie wierz we wszystko, co widzisz.

Podchodzi do kupki swoich ubrań, naciąga dzinsy, szybko, gwałtownie.

Siadam i oplątam kolana rękami, czuję się nagle bezbronna i głupia. Obserwuję niespokojnie, jak nerwowo szarpie guziki rozporka, usiłując je zapiąć. Ręce mu drżą.

– Więc powiedz, w co mam wierzyć – proszę błagalnie.

Nabiera głęboko tchu i odwraca się do mnie.

– Nie jestem gotowy, żeby podzielić się z tobą tą częścią mnie.

Przeszywa mnie ból, uciekam wzrokiem na ziemię, nie chcę, żeby to widział. A więc jest coś, czego nie chce mi powiedzieć? On wie o mnie wszystko. To nie w porządku. Wie, co zrobił mi Sebastian. Zwierzyłam mu się, choć nikomu nie pisałam słowem o jego napadach agresji, wiedziała tylko Heather. Nikt inny nie

mógł wiedzieć o mojej słabości. Nigdy.

Mogłabym teraz wstać i odejść. Mogłabym też zażądać prawdy i dręczyć go, aż powie mi wszystko.

Mogłabym.

Ale tego nie zrobię.

Być może podświadomość podpowiada mi, że tak naprawdę wcale nie chcę wiedzieć. Skoro to dla niego bolesne, musi być ważne. Każdy, kto sprawił, że Jake tak cierpi, krzywdzi i mnie. Nie dlatego, że Jake to czuje, ale dlatego, że, samolubnie, ktoś ma nad nim aż taką władzę. Ktoś inny tak na niego działał. I działa do tej pory.

– Aniołku?

Unoszę ku niemu twarz. Nie jest zapłakana, urażona ani zła. Jest po prostu moja.

– Rozumiem – zapewniam, choć to nieprawda. Ale nie chcę wiedzieć z powodów bardziej skomplikowanych, niż Jake jest w stanie sobie wyobrazić. Nie chcę wiedzieć, że istniał, zanim go znalazłam. Że był żołnierzem albo, co ważniejsze, że należał do innej. Wolę sobie wmawiać, że był tylko cieniem. Albo że zawsze był tylko mój.

Kulę się na ziemi, zagubiona w myślach. Jake podchodzi do mnie, bierze za ręce, stawia na nogi.

– Jeszcze nie jedliśmy – zauważa i tym samym sprowadza rozmowę na tory o wiele bardziej przyziemne, ale też przyjemne, choć już dawno przeszedł mi apetyt.

Nie mówię mu tego jednak, bo tym samym zdradziłabym niepokój, ściskający mi żołądek, a ze wszystkich sił staram się go ignorować.

– Więc zjedzmy. – Uśmiecham się z wysiłkiem i cieszę, gdy odpowiada tym samym.

– Siadaj. – Zmusza mnie, bym opadła na koc i zagłąda do koszyka, z którego wyjmuje półmisek wędlin i koszyczek z pieczywem.

– Skąd się to wszystko wzięło? – pytam.

– Miejscowy rolnik, który ma farmę jakieś trzydzieści mil

stąd, dostarcza mi żywność. – Wskazuje głową kierunek, ale nie patrzę w tamtą stronę. I tak nie zobaczę odległego gospodarstwa, nawet gdyby nie otaczał nas las. – Prowadzi mały sklepik.

– I dowozi? Na taką odległość?

– Dla mnie tak. – Z uśmiechem podaje mi sztucce. –

Wołowina dojrzewała przez trzydzieści dni. Smakuje niebiańsko.

Nakładam sobie plasterk.

– Znacie się?

Jake zerka na mnie z ukosa i napełnia swój talerz.

– Zna mnie, ale wcale mnie nie zna – odpowiada, a ja śmieję się w duszy. Czyli jest nas dwoje.

Jemy w milczeniu. Nie przeszkadza mi to, bo dzięki temu mogę go dyskretnie obserwować.. Nie spodziewałabym się po nim ani takiego miejsca, ani takiego domu. Z jednej strony do niego nie pasuje, z drugiej, w jakiś dziwaczny sposób, owszem. Jest na uboczu, z dala od ludzi, jak on. Jednego jednak jestem pewna. Jest spokojny. Wyciszony. A im dłużej go obserwuję, tym spokojniejszy mi się wydaje.

Zmuszam się, by jeść to, co mam na talerzu. Nie widzę żadnych warzyw ani sałaty i zastanawiam się, czy to z jego strony świadoma decyzja. Właściwie nie powinno mnie to obchodzić. Następną sesję mam dopiero w przyszły piątek. Mnóstwo czasu, żeby się martwić nadmiarem węglowodanów. Unikam ich od tak dawna, że po małej bułeczce czuję się najedzona do syta. Chyba zaraz pękne.

Odsuwam talerz na bok, opadam na plecy i patrzę w niebo.

– Kocham to miejsce – oznajmiam chmurom. Słyszę, jak Jake śmieje się cicho i pakuje mój talerz.

– Ja też. – Nagle znajduje się w moim polu widzenia. W ręku ma broń.

Wbijam w nią wzrok, w czarną strzelbę w jego dłoni, z lufą skierowaną w dół.

– Naładowana? – pytam, opierając się na łokciach.

– Zawsze jest naładowana. – Wystarczy jeden ruch i magazynek wysuwa się z rękojeści prosto w jego dłoń. – Chcesz

spróbować?

Wybałuszam oczy.

– Strzelania?

– Tak – uśmiecha się swawolnie. – To niezły odlot.

– Dobra! – Podrywam się na równe nogi, dziwnie podekscytowana na tę myśl. – Co mam robić?

Bawi go mój entuzjazm.

– To jest magazynek. – Unosi czarny prostokąt.

Ściągam brwi.

– Magazynek?

– Nie magazyn, jak twoje pisemka. – Przewraca komicznie oczami i śmieje się pod nosem. – Magazynek na amunicję. – Wsuwa go w nasadę rękojeści i dociska, aż wskakuje na miejsce z przejmującym metalicznym szczękiem.

Nie tylko to działa na mnie przejmująco. Jake wygląda cholernie seksownie, obsługując broń w samych dzinsach. Przetykam ślinę, chcąc jakoś zwalczyć nagłą suchość w ustach.

– Trzymaj. – Podaje mi pistolet, lufą w swoją stronę.

Nieśmiało wyciągam rękę, biorę go, wstrzymuję oddech, gdy czuję w dłoni jego ciężar.

– Ciężki – zauważam, napinając mięśnie.

– Jeden z lżejszych na rynku. – Zatacza łuk, staje za mną, przywiera do moich pleców. – Wyglądasz zabójczo, naga, z bronią w ręku.

Napiera na mnie biodrami, aż podskakuję nerwowo. Pistolet drży w mojej dłoni, wypycham piersi do przodu, prostuję kręgosłup.

– Nie rób tego, kiedy trzymam nabitą broń.

– Spokojnie. – Śmieje się, wyciąga rękę, chwyta mnie za nadgarstek. – Celuj w tamto drzewo.

– Nie będę strzelać do drzewa! – krzyczę oburzona. – To żywe, czujące stworzenia!

– W takim razie w tej chwili przeżywają najpiękniejsze chwile swojego życia! – Znowu się śmieje, tak cudownie, że nie mogę się gniewać, że ze mnie kpi. – To jest martwe drzewo,

aniołku. – Puszczam mnie i wskazuje gałęzie powyżej. Podążam za jego wzrokiem i widzę otwory w pniu. – I to od wielu lat.

– Och. – Wzruszam ramionami, unoszę broń, celuję w pień, mrużąc przy tym jedno oko. Zaciskam usta w skupieniu. Za wszelką cenę chcę trafić. – Mam po prostu nacisnąć spust?

– Nie tak szybko, aniołku. – Kładzie mi ręce na barkach. – Wyprostuj się, rozluźnij mięśnie, trzymaj kciuki z dala od rękojęści. Siła odrzutu przy wystrzale może sprawić, że strasznie zaboli.

Kiwam głową, choć nadmiar informacji mnie przytłacza. Upewniam się, że odsunęłam kciuki i zmuszam się, by rozluźnić mięśnie.

– Dobrze.

– Siła odrzutu cię zaskoczy. Przygotuj się.

– Tak. – Rozstawiam nogi.

Jake podchodzi bliżej, wskazuje koniec pistoletu.

– Odbezpiecz go. – Wskazuje punkcik na lufie. Spełniam jego polecenie i wstrzymuję oddech. – Czerwone światełko oznacza, że jest odbezpieczony i możesz strzelać.

Podążam spojrzeniem za jego palcem, widzę czerwony punkcik.

– I teraz jestem gotowa? Wystarczy pociągnąć za spust?

– Wystarczy pociągnąć za spust.

Zaciskam zęby, mrużę jedno oko i pociągam za spust. Bang!

– Jezu! – Podskakuję wysoko, czuję wibracje w ramionach, wymachuję pistoletem na wszystkie strony.

Jake błyskawicznie wyjmuję mi broń z ręki. Najwyraźniej był na to przygotowany.

– Spudłowałaś totalnie – oznajmia z uśmiechem, wskazując cel.

– Wcale nie totalnie! – oburzam się. – Zresztą skąd wiesz? Przecież ta broń strzela jakoś strasznie wolno!

– Ho, ho, czyżby w moim aniołku obudził się duch rywalizacji?

– Nie! – prychnam. Udaję, że nie widzę jego uśmiešku. –

Oddawaj broń! – Mam dość rozumu, by mu jej nie odbierać siłą, więc tylko wyciągam rękę i patrzę wyczekująco.

Bawi go to. I, szczerze mówiąc, mnie też. Podaje mi pistolet i jak najprawdziwszy dżentelmen wskazuje drzewo. Pieprzony dupek.

Zaciskam dłonie na rękojeści, celuję, przypominając sobie wszystkie jego rady. Mojej uwadze nie uchodzi cichy odgłos aprobaty. Tym razem trafię, zobaczysz. Popatrz tylko. Nie mrużę jednego oka. Naciskam spust.

Bang!

Tym razem siła odrzutu nie sprawia, że wymachuję rękami, udaje mi się utrzymać pozycję i dlatego od razu widzę, że spudłowałam, i to żałośnie. Nie tak bardzo jak poprzednio, ale jednak.

– Jak się go ładuje? – pytam, wpatrzona w pień.

– To półautomat.

Wzdycham.

– A to znaczy, że...?

– A to znaczy, że sam się ładuje po strzale. Naciskasz spust, strzelasz, a gdy go puszczasz, broń jest już znowu gotowa do użycia.

– Aha. Czyli po prostu strzelam dalej?

– Po prostu strzelasz dalej – powtarza.

Naciskam spust i kolejna kula mknie w stronę pnia. I dalej w zarośla.

– Cholera! – Zwalniam spust, strzelam znowu i po raz kolejny pudłuję. Warczę pod nosem, poprawiam postawę.

Bang!

Bang!

Oba pudła.

– Cholera! – Strzelam dalej i za każdym razem pudłuję, aż nagle nie mogę odbezpieczyć broni. Coś nie działa.

– Skończyły ci się kule, aniołku. – Jake wydaje się bardzo z siebie zadowolony.

– Nie podoba mi się ta zabawa – mruczę pod nosem i

opuszczam dłoń z pistoletem. Jak się okazuje, to o wiele trudniejsze, niż się wydaje.

Jake podchodzi bliżej, wyjmuję mi broń z ręki.

– Praktyka czyni mistrza – rzuca lekko i wyjmuję ten cały magazynek.

– A z ciebie taki mistrz?

Przytrzymuje broń pod pachą, wyjmuję z kieszeni dzinsów zapasowy magazynek, wsuwa w rękojeść.

– Chcesz się przekonać?

– Ty naprawdę jesteś mistrzem, prawda? – Był snajperem. Oczywiście, że jest mistrzem. Komicznie porusza brwiami i wciska magazynek.

– W co mam celować? – pyta z powagą.

Och, postaram mu się to jak najbardziej skomplikować.

Odwracam się w stronę drzewa, wypatruję punktu charakterystycznego, czegoś małego i trudnego. Uśmiecham się, gdy znajduję idealny cel.

– Mniej więcej dwa metry nad ziemią, po prawej. Okrągła czarna kropka.

Znajduje ją wzrokiem. Wiem, że ją widzi, bo uśmiecha się tym swoim pięknym uśmiechem.

– Tam?

– Dokładnie tam – zaznaczam i odsuwam się.

– Czego tylko mój aniołek sobie zażyczy. – Odbezpiecza broń, unosi rękę i strzela, prawie nie patrząc w tamtą stronę.

Martwa kora pryska na boki, na wszystkie strony.

– Niemożliwe! – krzyczę i biegiem rzucam się do drzewa. Dopadam go, patrzę na miejsce, które wskazałam i widzę małą czarną dziurkę. Nawet z bliska nie mógł trafić lepiej.

– Jezu, Jake! – Obracam się na pięcie i widzę go za sobą,. On także patrzy na pień.

– Chyba mi się udało. – Nonszalancko wzrusza ramionami.

Głośno nabieram tchu, uderzam go w brzuch, aż chichocze rozbawiony.

– To niemożliwe!



Z uśmiechem unosi lufę do ust i leciutko na nią dmucha. Ten zabawny gest sprawia, że przeszywają mnie najróżniejsze emocje. Cholera, jest niesamowicie przystojny, półnagi, z bronią w ręku. Zagryzam usta, wędruję wzrokiem od jego pełnych warg na błyszczące ciemne oczy. Nie ukrywam tego, co czuję. A on doskonale o tym wie, co zdradza leniwym, znaczącym uśmiechem.

– W porządku, aniołku? – szepce. Pochyliła się powoli, odstawia broń i ponownie prostuje na pełną wysokość. Wyciąga rękę, opuszką palca wędruje od mojego barku aż do piersi. Przeszywa mnie dreszcz. Opieram się o drzewo. Chcę coś powiedzieć, zachowując taki sam spokój jak on, ale nie mogę. Jestem za bardzo podniecona. Uśmiecha się, podchodzi bliżej, nie pozwala mi uciec, a potem robi to samo: wędruje opuszką palca od mojego barku do piersi. Śledzi ruch swojej dłoni. Tym razem obrysowuje sutek palcem. Uderzam głową o pień, zamykam oczy, z moich ust wyrywa się cichy jęk.

– Niegrzeczna dziewczynka – szepce. Przesuwa palce niżej, na mój brzuch, zmierza do zbiegu ud. Pożądanie wzbiera we mnie, wypływa. Jestem już cholernie wilgotna.

– Jake – jęczę. Przesuwam dłońmi po szorstkiej korze martwego drzewa.

Mruczy coś niezrozumiale i wsuwa mi dłoń między uda. Jestem tak mokra, że bez trudu wsuwa we mnie palce. Wyginam się w łuk, słyszę, jak oddycha głośno. Nagle jego dłoń znika. Przytula się do mnie. Otwieram oczy i widzę, jak dmucha na mnie leciutko. Uśmiecha się i całuje mnie mocno, brutalnie, jakby chciał mnie ukarać. Wplata mi palce we włosy. Ponownie wsuwa mi dłoń między nogi i pociera, masuje, pieści nabrzmiałą łechtaczkę. Obejmuję go, odwzajemniam pocałunek, a on cały czas mnie pieści, doprowadza tam, gdzie rozpaczliwie pragnę się znaleźć. Zaczynam dygotać, oblewam się potem, a potem napięcie eksploduje bez ostrzeżenia, aż uginają się pode mną kolana. Osuwam się na niego, drzę na całym ciele, moje usta nieruchomieją, choć Jake ciągle nie odrywa od nich swoich warg. Krzyczę mu w usta. Coraz wolniej rusza dłonią. Daje mi czas,

żebym doszła do siebie, obejmuje mnie, szepce do ucha.

– Czas na kąpiel, aniołku. – Słyszę w jego głosie satysfakcję i poczucie zwycięstwa, gdy bierze mnie, bezwładną, na ręce i wynosi z zaklętego lasu.

## Rozdział 27

### JAKE

Rozkręciłem wodę, ustawiłem temperaturę, nalałem płynu do kąpieli i czułem, jak cały się rozpływam, gdy z westchnieniem zadowolenia zanurza się w pianie. To jedna z moich ukochanych chwil z Cami. Nie celowo, ale jakimś cudem udało mi się idealnie wymierzyć ilość wody, tak że wierzchołki jej piersi muskały powierzchnię. Mógłbym przez całą noc polewać jej barki wodą i słuchać jej rozkosznego mrużenia, gdy tak siedziała z zamkniętymi oczami.

Ale woda powoli stygła i wdziałem gęsią skórkę na jej ciele. Chwilę trwało, zanim ją namówiłem, ale w końcu wyszła z letniej kąpieli. Owinąłem ją ręcznikiem i zaniósłem do łóżka. Tu, w mojej oazie, nie powinienem mieć problemów z zaśnięciem i przespaniem całej nocy u jej boku.

A jednak nie mogłem zasnąć. Mimo to ułożyłem się za nią, czułem, jak wtula się we mnie. Pasowała idealnie. Byłem zbyt nakręcony, by zasnąć. Nadal jestem.

Kiedy odpłynęła w sen, odsunąłem się od niej delikatnie i usiadłem na skraju pościeli. I tak spędziłem całą pieprzoną noc. Moje myśli były tak głośne, że bałem się, że ją obudzą.

Nienawidzę siebie z całego serca za takie reakcje jak wtedy, gdy ponownie delikatnie zapytała o fotografię. Miałem doskonałą okazję, żeby jej o wszystkim opowiedzieć, ale to jeszcze ciągle za wcześnie. Najpierw muszę załatwić pewne sprawy. I dzisiaj jest ten dzień. Odnajdę Abbie i uporam się z mrokiem. A potem powiem o wszystkim Cami. Podam jej jak na tacy brakujące kawałki łamigłówek. Dzisiaj będę wiedział, czy mogę liczyć na wspólne życie z nią, czy w końcu runę w mrok, na krawędzi którego od dawna balansuję.

Wstaję, zakładam bokserki i idę do kuchni. Cami jeszcze śpi.

Przygotuję jej śniadanie. Sycące i smaczne.

Układam paski bekonu na patelni, rozbijam jajka na jajecznicę, wkładam kromki chleba do tosterka. Wkrótce kuchnię wypełnia smakowity zapach. Nie staram się być cicho, wiem, że hałasy i zapachy wypełnią cały dom i, jak mam nadzieję, wyrwą ją ze snu. Odwracam plasterki bekonu, zerkam za siebie i wtedy słyszę dzwonek telefonu. Nawet z tej odległości widzę, kto dzwoni. Chciałem z nim porozmawiać później, kiedy nakarmię jego córkę, ale mnie uprzedził.

– Logan. – Opieram się o kontuar ze wzrokiem wbitym w drzwi. Czekam na Cami.

– Musimy porozmawiać.

– Coś takiego – rzucam lekko, czym bynajmniej nie przyczyniam się do budowy zaufania, na które liczyłem. – Niech Sebastian Peters wycofa oskarżenie, to pogadamy.

– Jakim cudem?

Jakim cudem? Naprawdę to powiedział?

– Takim jak zawsze, Logan. Bezlitośnie. Zapłać mu. Przekup skorumpowanych gliniarzy, którzy i tak siedzą u ciebie w kieszeni. Nie obchodzi mnie, jakim cudem. Załatw to. – Podchodzę do patelni i przesuwam skwierczący bekon.

– Co z moją małą?

Kiedy słyszę, jak ten dupek wyraża się o moim aniołku per „moja mała”, robi mi się po prostu niedobrze. Krew zastyga mi w żyłach.

– W tej chwili Cami nie ma o tobie najlepszego zdania.

– Dlatego, że ją zmanipulowałeś! Zaciągnąłeś ją do łóżka, wykorzystujesz ją. Dopilnuję, żeby już nikt nigdy cię nie zatrudnił!

– Mam w dupie, czy ktoś mnie jeszcze kiedyś zatrudni. Nie łudź się, że potrzebuję pieniędzy, Logan. Potrzebuję zadań, nic więcej. A twoja córka to nie lada zadanie. – Wcale nie chciałem upaść tak nisko. Naprawdę nie chciałem.

– Ty zboczeńcu!

– Nie waż się tak do mnie mówić, skoro sam grasz w rosyjską ruletkę, a stawką jest bezpieczeństwo twojej córki. – Tak

mocno ściskam metalową łopatkę, że zaraz się złamie. Przysięgam, że gdyby Logan tu był, owinąłbym ją dokoła jego tłustego łba.

– Mojej córce nic nie grozi.

– Owszem, ze mną. Ale ja też trochę powęszyłem tu i ówdzie, Logan. Pewnie już się domyślasz. Wiem o folderze, który przede mną ukryłeś, i domyślałam się, że to jeden z powodów, dla których chciałbyś się mnie pozbyć.

Jego milczenie jest aż nadto wymowne.

– Wycofaj oskarżenie. – Rozłączam się. Telefon i łopatka kuchenna lądują na blacie. Opieram się o kontuar i oddycham głęboko. Jestem wściekły.

Jestem na pieprzonej wojennej ścieżce z ojcem kobiety, którą kocham. Co gorsza, jestem gotów go załatwić, jeśli wejdzie mi w drogę. Co za ironia losu; jeszcze chwila, a zacznę się śmiać. Logan zatrudnił mnie, żebym bronił Cami przed niebezpieczeństwem. Przez myśl mu nie przeszło, że los odwróci się przeciwko niemu. Idę o zakład, że w ogóle nie brał mnie pod uwagę. Zamykam oczy, zmuszam się, by się rozluźnić, aż w końcu ustępuje napięcie w mięśniach.

Nie mam czasu do stracenia. Sięgam po telefon i robię coś, co powinienem był zrobić już dawno temu. Wybieram numer, który od lat nie daje mi spokoju. Czas uporać się z duchami przeszłości. Czas wszystko naprawić. Serce bije mi coraz szybciej z każdym dzwonkiem, aż wali w piersi jak oszalałe. Oddycham szybko, nerwowo.

– Halo? – Głos Abbie sprawia, że nagle przestaje bić.

Otwieram usta, ale nie jestem w stanie wykrztusić słowa. – Halo? – powtarza.

Mam w płucach powietrze, które czeka, aż je wypuszczę wraz ze słowami, ale nie jestem do tego zdolny. Cisza przeciąga się, a ja szukam odpowiednich słów, jakichkolwiek słów, żeby jej powiedzieć, że to ja. Wystarczył dźwięk jej głosu, by opuściła mnie determinacja. Powracają wspomnienia, zalewają myśli. Jej twarz. Ta piękna, anielska twarz. Nie dam rady.

Chcę się rozłączyć.

– Jake? To ty, Jake?  
Nieruchomieję, zastygam jak sople lodu. Skąd wiedziała?  
– To ja. – Wypluwam te dwa słowa z siebie, zanim tracę odwagę. Czekam na jej reakcję.  
Niedługo.  
– O Boże – szepce z trudem, przez tłumione łyzy. – Jake?  
Mów do mnie.  
Szukam odpowiednich słów, ale nic nie przychodzi mi do głowy.  
– Jake, proszę cię. – Zaczyna płakać, jej rozpacz rani mnie do głębi. Wbijam wzrok w sufit, bezradny i tak cholernie winny.  
– Jestem tu – odpowiadam, zbieram w sobie resztki sił i robię co w mojej mocy, by się nie rozłączyć.  
– Gdzie jesteś? – pyta z narastającą paniką.  
Z trudem przełykam ślinę.  
– Muszę się z tobą zobaczyć.  
Krótką ciszę wypełniają niewypowiedziane słowa. Muszę.  
Muszę się z nią zobaczyć. Nie: chcę. Muszę.  
– Dobrze – mówi. – Kiedy?  
– Nie wiem. Może jutro?  
– Będę w domu. – Bez cienia wahania.  
– Dobrze.  
– Co u ciebie? – Chce przeciągnąć rozmowę, zorientować się, czego może się spodziewać.  
Nie pomogę jej w tym. Nie teraz.  
– Jutro zadzwonię. – Rozłączam się, ciskam telefon na biurko i trzęsę się jak cholerna osika.  
Jakim cudem dorosły facet tak bardzo boi się kobiety? Jak mogła doprowadzić mnie do takiego stanu? Właśnie dlatego trzymałem się z daleka. Właśnie dlatego dla niej nie żyję. Usiłuję zapanować nad oddechem. Osuwam się na krzesło. Stało się. Nie ma odwrotu. Nie mam szans na przyszłość, jeśli nie uporam się z przeszłością. Nigdy nie chciałem przyszłości z Camille. Wystarczało mi trwanie w idiotycznej próżni i zadręczanie się, dzień za dniem.

– Hej, wszystko w porządku?  
Zerkam w stronę drzwi. Cami stoi w progu, w tej białej koszulce, którą uwielbiam.

MNIE SIĘ NIE IGNORUJE

Nie zdawałem sobie sprawy, jak prawdziwe jest to stwierdzenie. Splątane włosy zebrała na czubku głowy, jest zaspana, ale ma błyszczące oczy. A jej nogi... najpiękniejsze nogi, jakie w życiu widziałem. Jej twarz, postawa, głos. Ściągają mnie na ziemię, motywują do działania. Wstaję zza stołu, podchodzę do niej, przyciągam ją do siebie gwałtownie, zduszam odgłos zdumienia, który jej się wyrywa. Dam radę. Dla niej zrobię wszystko.

– Jestem doskonały – mówię gardłowo, pieszcząc ustami jej szyję.

Chichocze, obejmuje mnie, gdy odchylam ją do tyłu, biorąc wszystko, co mogę. Czego potrzebuję.

– Jake!

– Jak ci się spało? – Przywracam ją do pionu z przesadną troską. Nie muszę. Jest idealna.

Zdziwiona, marszczy brwi.

– Dobrze, a tobie?

– Cudownie – kłamię, biorę ją za rękę, prowadzę do stołu, sadzam na krześle i wracam do kuchenki. Zdejmuję patelnię z palnika. – Przygotowałem ci śniadanie.

– Tak?

– Owszem. Jaja na bekonie. – Przekładam bekon na półmisek i sięgam po czystą patelnię i talerze.

– Ale ja...

Odwracam się i grożę jej drewnianą łyżką, zanim mi powie, że na śniadanie jada wyłącznie szpinak.

– Nie odejdziesz od stołu, póki wszystko nie zniknie z talerza.

Rozbawiona przechyla głowę.

– Jak dziecko?

– Nie – odpowiadam i mieszam jajecznicę. – Jak kobieta,

która wie, jak się zdrowo odżywiać. – No, stało się.

– Aha – mruczy za moimi plecami. Oczyma wyobraźni widzę jej minę. Jest pewnie urażona. Proszę bardzo, może się kłócić do woli. Zje porządne śniadanie, koniec, kropka.

Mieszam jajecznicę, wyjmuję grzanki z tosterka.

– I wiesz co?

– Co?

Odwracam się, kładę grzanki na desce, sięgam po nóż.

Obserwuje mnie z zainteresowaniem.

– Masz prawdziwe masło.

Sięgam po bryłę czystego tłuszczu i uśmiecham się jak idiota.

– Ale ja wolę tosty bez niczego. – Wstaje, podchodzi do szafki, wyjmuje pierwszy z brzegu kubek, mierzy mnie gniewnym wzrokiem.

– Nie ty, tylko twój agent. – Nabieram sporą ilość masła, podnoszę, żeby dobrze widziała. Mruży oczy. Uśmiecham się szerzej. – Mniem. – Oblizuję wargi i smaruję masłem grzanki. Obficie.

– To moja praca, Jake. – Wzdycha głośno i sięga po czajnik.  
– Ja przecież nie wyciągam ci naboju z pistoletu.

Zastanawiam się nad jej słowami... przez moment.

– A moja praca to dopilnowanie, żebyś jadła porządne jedzenie.

– To nie jest porządne jedzenie, to zawał serca na talerzu.

– Od czasu do czasu nie zaszkodzi. – Nakładam nam solidne porcje, stawiam na stole i czekam, aż skończy parzyć herbatę.

Jestem głodny. Mam ochotę zabrać się do jedzenia, ale większą satysfakcję sprawia mi obserwowanie, jak krząta się po mojej kuchni. Rozsiadam się wygodnie na krześle i obserwuję jej każdy ruch. Wspina się na palce, żeby zdjąć imbryk z najwyższej półki, i koszulka unosi się przy tym, odsłaniając jędrne pośladki. Uśmiecham się do siebie. Cami porusza barkami, nuci coś pod nosem i uwija się po kuchni, nieświadoma mojego baczego wzroku. Otwiera lodówkę, pochyla się, wyjmuje mleko, sięga do



szuflady po łyżeczkę.

To ucieleśnienie seksu, a przecież nawet się nie stara. Splatam ręce na piersi, zsuwam się nieco na siedzeniu, rozluźniam się. Mam uśmiech przyklejony do twarzy. I zostanie tam na zawsze, jeśli co rano będzie mnie czekała taka przyjemność. Muszę jej dotknąć. Wstaję i bez słowa podchodzę do niej. Cami czeka, aż woda się zagotuje. Opiera dłonie na kontuarze, stuka palcami do taktu, nucąc coś pod nosem. Zatrzymam ją na zawsze. Postanowienie jest jak olśnienie, jak błyskawica. I nagle wszystko trafia na miejsce.

Jestem tak blisko niej, jak to możliwe, nie dotykając jej jednocześnie. Muskam oddechem jej kark.

– Aniołku...

Przestaje nucić. Nieruchomieje przy mnie.

– Odwróć się.

Przez chwilę nie rusza się z miejsca. W czajniku gotuje się woda.

Kiedy pstryknięcie oznacza, że się wyłączył, odwraca się powoli, demonstrując swój piękny profil w pełnej krasie. Okrągłe, niewinne oczy szukają mojego wzroku. Tak długo, jak to możliwe, trzyma się blatu, w końcu puszcza go i patrzy na mnie.

Patrzy na mnie z góry.

Z góry?

Mam prawie dwa pieprzone metry wzrostu. Jakim cudem patrzy na mnie z góry?

I wtedy do mnie dociera.

Klęczę.

Gwałtownie nabiera tchu, unosi dłoń do ust.

– Wyjdź za mnie. – Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło.

Sądząc po jej minie, ona też nie.

– Jake? – Moje imię brzmi w jej ustach jak pytanie, jakbym udawał kogoś innego.

– Wyjdź za mnie. – I znowu ta prośba. Wyciągam rękę, ujmuję jej dłoń. W głębi serca wiem, że nie powinienem tego robić, nie powinienem wymagać od niej takiej decyzji, związku z

facetem, który, szczerze mówiąc, ją oszukuje. Zataja przed nią fakty. Ale już nie cofnę wypowiedzianych słów, co więcej, wcale tego nie chcę. Jestem zdesperowany, gotów zrobić wszystko, by jej udowodnić, ile dla mnie znaczy. Bo tylko wtedy mam szansę, że jej nie stracę, kiedy zdradzę jej koszmary przeszłości. Zdaję sobie sprawę, że rozgrywam to strategicznie, ale uczucie do niej to wszystko, co mam. Okrągłe oczy są pełne łez. I po chwili łzy płyną, choć nie mam pojęcia, czy to łzy szczęścia, czy smutku.

– O czym ty mówisz?

– O nas – zaczynam, przerażony jej reakcją. Ciągnę ją za rękę, aż klęczy naprzeciwko mnie. Moja determinacja wzrasta. – Chcę, żebyś była moja, Camille. Totalnie moja. Nie wiem, jak inaczej mógłbym to wyrazić.

Opuszcza wzrok, ale robi to zbyt wolno i dostrzegam błysk niepewności w jej spojrzeniu. Daję słowo, gdyby ktoś teraz wbił mi nóż w serce, nie poczułbym nawet ukłucia. Nie chce mnie? Czy to wszystko to tylko gierka, kolejny sposób, żeby sprzeciwić się ojcu? Przychodzą mi do głowy najgłupsze myśli, gdy czekam, aż coś powie. Nie, nie jestem osamotniony w moich uczuciach. To niemożliwe.

– Tak.

Ledwie ją słyszę, moje myśli są zbyt głośne.

– Co powiedziałaś?

Patrzy na mnie jasnym, pewnym wzrokiem.

– Powiedziałam: tak.

– Tak? – Muszę się upewnić. Muszę wiedzieć na pewno, że nie mam omamów słuchowych.

– Tak – powtarza i kiwa głową. – Tak. – Z jej oczu płyną łzy, łącząc się w strumyki na policzkach. – Tak. Nie wiem, jak inaczej mam to powiedzieć. – Przysiada na piętach, jakby wykończona przyływem emocji. Wzrusza ramionami, słodko, z lekkim uśmiechem. – Tak, wyjdę za ciebie. Nawet teraz, gdyby to było możliwe. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. – Krzywi się, podobnie jak ja. To aż boli. Jak cholera. – Nie chcę niczego innego – ciągnie. – Tylko ciebie. Więc tak, wyjdę za ciebie.

Moje wnętrze rozplywa się, gdy chcę wyrazić wdzięczność, ale stać mnie tylko na żalosny bełkot. Pośladki opadają mi na pięty. Przetykam nerwowo, usiłując jakoś uporać się z gulą w gardle. Emocje mnie przytłaczają. Jakim cudem doprowadza mnie do takiego stanu?

– Wyłuskałaś ze mnie wszystko, co męskie, i starłaś w proch. – Najgłupsze, co mogłem powiedzieć, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy, więc mamrocę to jak idiota. – Kiedy Lucinda po raz pierwszy przesłała mi szczegóły tej oferty, odrzuciłem ją od razu. Spojrzałem na twoje zdjęcie i roześmiałem się na głos. – Brnę dalej, a ona uśmiecha się ze zrozumieniem. – Szczycę się tym, że nie sposób mnie przejrzeć. Że jestem nieprzenikniony. Nie przepadam sam za sobą, Cami, ale to akurat w sobie kochałem. Nikt nie mógł się do mnie zbliżyć. Nikomu na to nie pozwalałem. Ale ty... – urywam, opuszczam wzrok na jej brzuch, z trudem nabieram powietrza. – Ty to wszystko zmieniłaś. – Znowu odnajduję jej wzrok. Nadal nie wiem, jak, kiedy, dlaczego, gdzie. – Uspokajasz mnie, choć tak naprawdę wprowadziłaś w moje życie więcej chaosu niż ktokolwiek inny. Odnalazłaś mnie, choć nie chciałem, by ktokolwiek mnie odnalazł. – Chwytam ją za rękę. Rozpaczliwie chcę, by zrozumiała w pełni, jak wielki ma na mnie wpływ. Jest zaskoczona, ale spokojna. – Aniołku, jesteś brakującym kawałkiem, którego nie szukałem. A teraz boję się, że znowu będę niepełny. Panicznie się boję życia bez ciebie.

Osuwa się bezwładnie. Jej usta drżą.

– Powiedziałam: tak. – Słowa stają jej w gardle, z trudem przetyka ślinę. – I chyba na jakimś poziomie już to wszystko wiedziałam. – Głos jej się łamie, traci oddech, opuszcza powieki, jakby wstydziała się łez.

Niepotrzebnie. Ja też jestem w proszku.

Chwytam ją za ramiona, przyciągam do siebie, przywieram jak do ostatniej deski ratunku. I nagle z przerażeniem odkrywam, że tym właśnie dla mnie jest. Moją ostatnią deską ratunku. Moim życiem. Bez Cami mnie nie ma.

Tulę ją do siebie i siedzimy w plątaninie rąk i nóg na kuchennej posadzce. Gładzę ją po włosach, a ona szlocha na mojej piersi.

– Nikt cię nie ignoruje, panno Logan – szepczę w jej włosy, całując ją w czubek głowy.

– Mój ojciec – mówi ochryple. Nie próbuje wyzwolić się z moich objęć.

– Wszystko będzie dobrze. – Nie mam nic do ukrycia. Nie zaprzecza, bo na mnie polega. Wierzy we mnie bezgranicznie. Nie mogę jej zawieść, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, że nie tylko ojca powinna się obawiać. – Nie mam pierścionka – stwierdzam z rozbawieniem, które chyba nie do końca jest w tej sytuacji na miejscu.

– Nic mnie to nie obchodzi – oznajmia i wysuwa się z moich objęć. – Narysuj mi go.

Nie powinna poddawać mi takich pomysłów. Zerkam na kontuar i widzę długopis. Jest w zasięgu mojej ręki, nie muszę nawet wstawać. Przytrzymuję go zębami, zdejmuję zatyczkę i biorę ją za lewą rękę.

Nawet nie drgnie. Przykładam długopis do jej skóry i zaczynam obrysowywać nasadę palca serdecznego. Staram się jak mogę, o co niełatwo, gdy cały dygoczę ze szczęścia.

Siedzi nieruchomo, obserwuje, jak rysuję jej na palcu pierścionek zaręczynowy. Rysuję drugą linię i wypełniam przestrzeń między nimi. I jeszcze dodaję kółko, symbolizujące wielki brylant, który jej kupię.

– Proszę bardzo – oznajmiam, odsuwam się i podziwiam moje arcydzieło. – Gwarantuję ci, że drugiego takiego nikt nie ma.

Wyciąga rękę, prostuje palce i dłoń, przygląda się rysunkowi z każdej strony.

– Piękny. – Uśmiecha się, zaciska pięść, unosi do ust, dmucha na palec. – Nigdy go nie zdejmę.

Śmieję się na głos, cholernie szczęśliwy. Odkładam długopis.

– Chodź tutaj, kobieto.

Rzuca mi się w ramiona, przytłacza mnie, całuje w szyję,

mocno, przesadnie, cudownie.

– Kocham cię, Jake’u Sharp.

– Ja ciebie też – odpowiadam z uśmiechem w jej objęciach.

Pokazałem przysłówiowy palec jej ojcu. Może uzna to za posunięcie taktyczne. I trochę pewnie tak jest. Przede wszystkim jednak to oznaka mojego zaangażowania. Owszem, oświadczyłem się pod wpływem impulsu, ale to był naturalny odruch. Kocham ją bezgranicznie, z siłą zakorzenioną w najgłębszej części mnie, części, z której istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Nie wiedziałem, że jestem aż tak zaborczy. Cami nigdy się nie dowie, jak bardzo mi pomogła. Wyprostowała moje pokręcone myśli. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ją przy sobie zatrzymać. Jeśli to oznacza wzięcie się za bary z przeszłością, zrobię to. Jeśli to oznacza usunięcie z naszej drogi jej ojca – zrobię to. Cel dodaje mi siły, rozpala ogień w żyłach.

– To twój telefon? – Cami porusza się w moich objęciach i ściąga z powrotem na ziemię. Słyszę buczenie aparatu. Wstaję, a ona ze mną.

– Zajmij się herbatą – mówię cicho, dotykam ustami jej skroni i szukam wzrokiem telefonu. Leży na blacie.

– Dobrze – mówi. Pozwala, żebym wypuścił ją z objęć i ponownie włącza czajnik.

Podchodzę do telefonu, biorę go i ze zdumieniem patrzę na imię Lucindy na wyświetlaczu. Spodziewałem się Logana. W każdym razie nie jest to rozmowa, którą chcę przeprowadzić przy Cami. Odbieram i wychodzę z kuchni.

– Co masz?

– Żona Logana złożyła pozew o rozwód.

Potykam się w progu kuchni. Zerkam za siebie. Cami zalewa herbatę wrzątkiem. Oddalam się tak, żeby mnie nie słyszała.

– On już wie? – Wchodzę do gabinetu i zamykam za sobą drzwi.

– Nie. To się stało wczoraj. Pewnie dostanie go lada chwila.

– Chciałbym to widzieć – mruczę. – Coś mi mówi, że będzie sobie musiał poszukać nowego prawnika.

Lucinda śmieje się głośno.

– O, to na pewno. Wiesz, że Logan oficjalnie zrezygnował z twoich usług, tak?

– Szkoda, że się nigdzie nie wybieram – mruczę. – Ale nie powiedział agencji o mnie i Camille?

– Jeszcze nie.

– Nie zrobi tego – mówię, bardzo pewny swego.

– Skąd wiesz?

– Bo wie, że ja wiem, że coś ukrywa i że jest to coś, co zaszkodzi mu bardziej niż mój związek z jego córką. – Opadam na biurowy fotel i usiłuję jakoś sobie to wszystko ułożyć w głowie. – Chcę się z nim jutro spotkać i nie wyjdę z jego gabinetu, póki mi nie powie, co się właściwie dzieje. – Jeśli będzie trzeba, zagrozę mu bronią.

– A co z policją i tym, że na ciebie czyhają?

– Już się zajął tym drobiazgiem.

– A ten drugi drobiazg? Choć dla Logana to wielka sprawa. Jak to, że zakochałeś się w jego ukochanej córeczce.

Śmieję się pod nosem.

– I poprosiłem ją o rękę.

– Co takiego?

– Dobrze słyszałaś.

– A co z... – urywa, choć i tak wiem, co chciała powiedzieć, tak głośno, że aż szumi mi w uszach.

– Pracuję nad tym. Dzwoniłem do Abbie.

– Pieprzysz, Jake.

– Zawsze. Ale nie ciebie.

– Pieprz się.

Uśmiecham się.

– Oryginalna riposta.

– Jestem fanką prostoty. – Pociąga nosem.

– Słuchaj, musisz coś dla mnie zrobić.

– Czyli?

– Musisz mieć oko na Cami, kiedy wrócimy do Londynu. Mam kilka spraw do załatwienia.

– Nie jestem niańką, Jake. To twoje zadanie, zapomniałeś już?

– Luce, ufam tylko tobie. Nie bądź trudna.

– No dobrze! – prychnęła. Pewnie zabiłaby mnie wzrokiem, gdyby tu była.

– Dzięki. Zadzwoń później. – Rozłączam się, przesuwam telefon wzdłuż policzka i myślę intensywnie.

Wibruje na moim podbródku. Dostałem wiadomość pocztą elektroniczną – nagranie Logana. Zaintrygowany, odtwarzam je – rozmowa Logana z młodym mężczyzną. Rozpoznaję głos Sebastiana. Krótka, rzeczowa rozmowa. Logan oferuje mu pieniądze, a Sebastian się zgadza – od razu wycofa oskarżenie pod moim adresem. Dzieciak musiał kosztować Logana setki tysięcy.

Załatwione. Działa szybko, trzeba mu to przyznać. Można by pomyśleć, że jest zdesperowany.

Czas posprzątać ten bałagan.

## Rozdział 28

### CAMI

Kiedy następnego ranka wjeżdżamy Edgware Road do miasta, ogarnia mnie niemal paraliżujące przerażenie. Co chwila zerkam na prowizoryczny pierścionek zaręczynowy i powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze. Jake tak powiedział. Kurczowo czepiam się jego słów. Po prostu chciałam pozbyć się tego okropnego przeczucia. Chciałam, żeby wszyscy się ze sobą dogadywali. Spore oczekiwania.

Jake milczy przez większość podróży. Po jego uśmiechach, ilekroć czuje na sobie mój wzrok, wiem, że stara się dodać mi otuchy. Nie mam serca powiedzieć mu, że nie najlepiej mu to wychodzi.

– Dokąd jedziemy? – pytam, siląc się na spokój, choć w głębi duszy oddałabym wszystko za powrót do hiacyntowego lasu.

– Do ciebie. – Rzuca to z lekkością, która teoretycznie powinna rozwiać moje obawy. Nic z tego.

– Do mnie?

– Tak, chyba że wolisz do mnie? – Patrzy na mnie i czeka na moją reakcję.

Sama nie wiem. Dokąd jechać?

– Do mnie. – Nie zastanawiam się nad tym zbyt długo.

– Więc do ciebie. – Bierze mnie za rękę, splata nasze palce. – Zadzwoń do Heather, niech dotrzymania ci towarzystwa.

Czuję narastającą panikę.

– A ty? Gdzie będziesz?

– Mam kilka spraw do załatwienia.

Kulę się w fotelu.

– Ojciec?

Zerka na mnie kątem oka. Grdyka wędruje mu po szyi, gdy z trudem przełyka ślinę. Nagle wydaje się zdenerwowany, i to



dopiero naprawdę wyprowadza mnie z równowagi.

– Twój ojciec – przyznaje. Niespokojnie porusza się na fotelu.

– A oskarżenie?

– Twój ojciec poszedł po rozum do głowy.

Kulę się w sobie. Patrzę na niego z niedowierzaniem. Ojciec poszedł po rozum do głowy? W życiu nie słyszałam czegoś równie głupiego.

– Doprowadził do wycofania zarzutów?

– Tak.

– Powiedział ci to?

– Tak.

– A ty mu wierzysz?

– Mówiłem ci, że to załatwię, aniołku. Naprawdę. – Znowu na mnie patrzy, kojącym wzrokiem, którego nie jestem w stanie docenić. – Uwierz mi.

Wierzy w mojego rodzzonego ojca o wiele bardziej niż ja.

Ale co mi pozostaje? Muszę mu zaufać. Chociaż z drugiej strony... mój ojciec? Kiedy dochodzę do wniosku, że jemu, ojcu, nie ufam ani odrobinę, czuję tylko minimalne wyrzuty sumienia.

Jake zanoszą moją torbę do mojego pokoju, wraca od strony saloniku i idzie do siebie. Uśmiecham się pod nosem na myśl, że odruchowo traktuję tamten pokój jak jego. Idę za nim, wchodzę do środka i widzę, jak siedzi na łóżku i wsuwa naboje do magazynka.

Otwieram usta. Jake ani drgnie, dalej ładuje pistolet. Wybiera się do mojego ojca i szykuje broń? Podnoszę rękę, celuję palcem w jego pistolet. Nie jestem w stanie wykrztusić słowa.

– Środki ostrożności – uspokaja mnie, wstaje, wsuwa magazynek w rękojeść i chowa pistolet za paskiem dzinsów. – Bez paniki. Zawsze mam go przy sobie.

– A, to przepraszam bardzo – śmieję się złośliwie. – Przez chwilę obawiałam się, że planujesz zamordować mojego ojca.

Jake się nie śmieje. Nie komentuje mojego żartu. Mija mnie bez słowa. Odwracam się, odprowadzam go wzrokiem. Żadnej reakcji.

– Ej! – Biegnę za nim. Panika narasta. Chwytam go za rękę, zatrzymuję, ale brak mi siły, by zmusić go, żeby się odwrócił, obchodzę go więc i mierzę najpoważniejszym spojrzeniem, na jakie mnie stać. – Obiecuj mi, że nie zastrzelisz mojego ojca – mówię. Kładę mu rękę na piersi i tym samym daję do zrozumienia, że nie pozwolę mu odejść, póki tego nie zrobi.

Łagodnie odrobinę, na chwilę zamyka oczy. Szuka w sobie cierpliwości. A może odwagi?

– Nie zastrzelę twojego ojca, aniołku.

Wbijam wzrok w podłogę u jego stóp. Jestem taka zagubiona. Wiem, gdzie jestem, a mimo to błędę.

– Zrozum, ja tylko chcę być z tobą. – Patrzę na niego i w nim także widzę tę całą beznadzieję. – Po co ta nienawiść i gniew?

Uśmiecha się smutno, podchodzi do mnie, otacza moją szyję ramieniem, przyciąga do siebie. Potrzebuję tego.

– Bo twój ojciec uważa, że nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną. – Wtula usta w moje włosy, oddycha głęboko. – Muszę mu udowodnić, że jest inaczej.

– Przykładając mu pistolet do głowy? – pytam z ustami na jego barku i zastanawiam się, czy nie jest to jedyny możliwy sposób.

Jake puszcza mnie, pochyla się, patrzy mi prosto w oczy, przesuwa kciuk wzdłuż mojej brwi i w dół policzka.

– Cami, nie mogę cię stracić. Twój ojciec musi się z tym pogodzić. – Pytająco unosi brew, czeka, aż przyznam mu rację.

Powoli, niechętnie, kiwam głową. Zdaję sobie sprawę, że ma rację, choć to wszystko wydaje się dramatyczne i przesadzone.

– Tak.

– Poza tym... – Widzi, że to mi nie wystarczy. – Przy każdym spotkaniu z twoim ojcem byłem uzbrojony i jakoś do tej pory udało mi się go nie zastrzelić.

– To nie jest zabawne – naburmuszam się, a Jake uśmiecha się i całuje mnie w czoło. – Proszę, nie mów mu. – Unoszę rękę z atramentowym pierścionkiem. Krok po kroku, na Boga.

Jake zerka na mój palec, uśmiecha się, bierze mnie za rękę,

gładzi ją delikatnie.

– Kolejny powód, żeby się nadał. Musimy to załatwić.

To prawda. Szczerze mówiąc, bardzo mi się podoba mój prowizoryczny pierścionek, przede wszystkim dlatego, że Jake rysował go z takim przejęciem i zaangażowaniem. Ojciec natomiast uzna to za obelgę. Jezu, nie będzie zadowolony, o nie. Ani na wieść o oświadczeniach Jake'a, ani na widok atramentowego pierścionka. Serce mi pęka.

– Powiemy mu, kiedy burza ucichnie.

– Jak chcesz, aniołku. – Całuje mój pierścionek, prostuje się, w jego głosie pojawiają się nuty determinacji. – O której przyjdzie Heather?

– Mniej więcej o... – Jak na zawołanie rozlega się głośnie, stanowcze pukanie do drzwi. – Już – szepczę. Zerkam na drzwi, żeby się upewnić, że jeszcze trwają w zawiasach. – Mogę jej powiedzieć o naszych zaręczynach?

– A zdoła utrzymać język za zębami?

Zastanawiam się przez chwilę. Zapewne w całym Londynie będzie słyszeć wrzask, kiedy jej powiem.

– Tak – decyduję w końcu. Jeśli będzie trzeba, zaknebluję ją. Muszę komuś powiedzieć.

Jake obejmuje mnie, odgarnia mi włosy z twarzy.

– Spokojnie. Poszukaj pierścionka w Internecie. Zastanów się, gdzie weźmiemy ślub, kogo chcesz zaprosić i kiedy to nastąpi. Baw się dobrze, aniołku.

Czule całuje mnie w nos i idzie do drzwi. Perspektywa planowania ślubu powinna mnie ucieszyć, ale nie jestem w stanie zarazić się jego entuzjazmem, póki nie będę wiedziała dokładnie, co dalej. W tej chwili jego zachęty wydają się jedynie próbą uspokojenia mnie.

Wygląda przez wizjer – zapewne odruch – otwiera drzwi. Heather niemal wpada do środka, z burzą rudych włosów i butelką prosecco w dłoni. Mierzy Jake'a wzrokiem, prostuje się, uśmiecha.

– Cześć, olbrzymie.

– Dzień dobry. – Mija moją najlepszą przyjaciółkę i oddala

się korytarzem. Znajduję w sobie pokłady sił. Wiem dobrze, że będą mi potrzebne.

– Rozwala mnie łatwość, z jaką mu przychodzi udawanie seksownego ponuraka – rzuca Heather żartobliwie, zamyka drzwi i wymachuje butelką. – Jestem przygotowana. Muszę wiedzieć wszystko. – Zerka na kanapę. Siadam posłusznie i czekam, aż przyniesie kieliszki z kuchni.

Godzinę później Heather jest na bieżąco z wydarzeniami w moim życiu. Na zmianę sączyła drinka i wydawała okrzyki zdumienia i cały czas słuchała uważnie. Szczerze mówiąc, nie uśmiechało mi się opowiadanie jej wszystkich szczegółów, ale z drugiej strony to doskonały sposób na zabicie czasu. Jake'a nie było już od godziny. Lada chwila spodziewam się od niego telefonu z informacją, że wszystko załatwione, ojciec wielkodusznie przyznał, że się mylił i z otwartymi ramionami powitał Jake'a w rodzinie i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie. A potem wracam na ziemię i przypominam sobie, kim jest mój ojciec.

– Nie obraż się, ale straszny dupek z twojego ojca – oznajmia Heather i dopija swoje prosecco. – No, proszę cię! Ma już trzecią żonę! Jakim prawem mądrzy się na temat miłości? Zresztą gdyby nie załazł za skórę tylu ludziom, nikt by ci nie groził i nie musiałby zatrudniać Jake'a, żeby cię ochraniał. – Uśmiecha się lekko. – Co za ironia losu, swoją drogą.

Mruczę coś pod nosem i zerkam na zegarek.

– Zaraz, zaraz, co ty masz na palcu? – Chwyta mnie za rękę, a ja odruchowo ją wyrywam. Czuję się winna i tak też wyglądam. Jednej rzeczy jej jeszcze nie powiedziałam, głównie dlatego, że i tak chwilę potrwa, zanim przyswoi wszystko, co ode mnie usłyszała.

– Camille?

Odwracam wzrok, uciekam przed pytaniem w jej oczach.

– Czy to jest narysowany pierścionek zaręczynowy?

– To tylko taki żart. – Sama nie wiem, czemu zachowuję się tak, jakbym się wstydziła. Może absurdalność tej sytuacji wreszcie

do mnie dotarła z pełną siłą. Zgodziłam się zostać żoną faceta, którego znam od kilku tygodni.

Może i tak, ale czuję, że znam go lepiej niż kogokolwiek innego.

Upijam łyk szampana. Czuję się jak na przesłuchaniu.

– Cami, czy on poprosił cię o rękę?

– Tak! – wyrzucam z siebie, wymachuję kieliszkiem, aż Heather uchyla się czujnie. – Wiem, że to szaleństwo, nie musisz mi tego mówić.

Zaciska usta, wygląda przy tym jak kaczką, i już czekam na okrzyk zdziwienia, który sama przepowiedziałam. Mija kilka długich sekund, zanim zdaję sobie sprawę, że go nie będzie. Zerkam na nią z wyczekiwaniem, ponaglęm wzrokiem. Wzrusza ramionami. Ściąga brwi.

– Powiesz coś? – pytam.

– Poza tym, że powinien był ci kupić pierścionek z prawdziwego zdarzenia?

Łypię na nią groźnie.

– Tak.

Przechyla głowę na bok, wbija wzrok w kieliszek, rozmyśla nad moim pytaniem. Chyba sobie w kulki leci. Nic?

W końcu na mnie patrzy i wtedy to widzę. Wrzask wzbierający gdzieś w jej stopach. Zagryzam usta, odsuwam się i czekam, aż zmiecie mnie z powierzchni ziemi swoją siłą.

– O Boże! – piszczy. Odstawia kieliszek, rzuca się na mnie z impetem. – Obiecuj, że będę twoją drużną. Obiecuj gigantyczny budżet na wesele. Obiecuj wieczór panieński w St. Tropez! – piszczy mi do ucha, aż kręci mi się w głowie.

– Jeszcze o tym wszystkim nie myślałam – przyznaję, wyjmuję sobie palce z uszu i rozcieram skronie, gdy Heather wreszcie wypuszcza mnie z objęć. – Na razie mam przed oczami ojca i Jake'a skaczących sobie do gardeł.

Heather śmieje się beztrąsko, na znak wsparcia dotyka mojego barku.

– Cudownie, że Jake nie boi się sprzeciwić twojemu ojcu.

Zgadzam się z nią, co jednak w najmniejszym stopniu nie rozładowuje naszej sytuacji. Zerkam na zegarek i widzę, że upłynął kolejny kwadrans. Kiedy mogę się do niego odezwać? Upewnić się, że wszyscy zainteresowani jeszcze żyją? To boli.

– Popatrzmy na suknie ślubne – rzucam. Skaczę na głęboką wodę, żeby czymś się zająć.

– Super! – Heather jest zachwycona. – Idź po laptop. Nie wiem, czy wiesz, ale Vera Wang ma w tym roku istne cudenka!

Włączam laptop, otwieram wyszukiwarkę Google i staram się wzbudzić w sobie taki sam entuzjazm jak Heather.

Nie zdążam. Mój telefon dzwoni, zanim otworzy się pierwsza strona. Zrywam się na równe nogi, ciskam komputer Heather i biegnę do aparatu.

Kiedy widzę numer ojca, zastygam w bezruchu. Sama nie wiem, czy to dobry znak. Nadal żyje, więc nie jest źle. Odbieram telefon.

– Tata?

– Moja gwiazdeczka! – woła i natychmiast czuję się sto razy lepiej. Napięcie uchodzi ze mnie jak powietrze z przebitej opony. – Skarbie, ostatnie, czego chciałem, to cię skrzywdzić!

Chce mi się płakać, tak wielką odczuwam ulgę.

– Ja go kocham, tato. – Od razu przechodzę do rzeczy. Czuję, że muszę postawić sprawę jasno. – Wiem, że to dla ciebie szok, ale to dobry człowiek. – Wydaje mi się, że spadł mi z pleców ogromny ciężar.

– Camille, musisz coś zrozumieć. – Z jego głosu zniknęły serdeczne nuty, zastąpiła je powaga. Dokładnie to, czego oczekuję po facecie, który nigdy w życiu nikogo nie przeprosił. To dla niego wielki krok.

– W porządku, tato – zapewniam. Wiem przecież, że nigdy nie chciał mnie skrzywdzić tak bardzo, jak to miało miejsce. I choć nie podoba mi się jego zachowanie, rozumiem, co nim kierowało. Musi się z tym uporać. Musi pogodzić się z faktem, że jestem dorosła i sama o sobie decyduję.

– Nie jest w porządku – wzdycha. – Wcale nie. Zawiodłem

cię.

– Nie, tato. Ty...

– Camille, on ma żonę.

Pokój wiruje mi przed oczami. Chwytam się krzesła, żeby nie upaść.

– Co? – szepczę. Nie wiadomo, kiedy zaschło mi w ustach.

– Skarbie, on ma żonę – powtarza z powagą, wbijając każde słowo jak nóż w moje serce. – Sukinsyn od początku cię okłamywał.

– Nie mów tak!

Osuwam się na krzesło. Tępym wzrokiem patrzę przed siebie. Kobieta na fotografii. Rozpromieniony Jake. Jestem wściekła, że słowa ojca stanowią brakujący kawałek układanki. Uniki Jake'a, gdy pytałam o fotografię. No jasne, że unikał odpowiedzi. Ale żona? To niemożliwe.

– Camille? – Zatroskany głos ojca przedziera się przez oszołomienie.

– Skąd wiesz? – pytam. Szczegóły pomogą mi uporać się z szokiem. – Gdzie on teraz jest? Mówił, że idzie do ciebie. Żeby wszystko wyjaśnić.

– Niech sobie nie zawraca głowy – rzuca z obrzydzeniem. – Załatwię go za to, że cię skrzywdził, Camille.

Kręcę głową. Dławi mnie ból i frustracja.

– Skąd wiesz, że to prawda?

– Grant go śledził. Pojechał do domu kobiety. Swojej żony. Grant właśnie to potwierdził.

Zrywam się na równe nogi.

– Jest tam teraz? – Jestem już przy drzwiach, gdy słyszę odpowiedź. – Gdzie on jest, tato? Gdzie?

– Skarbie, sama tam nie pojedziesz.

Milknę na chwilę.

– Kłamiesz – prowokuję go, bo wiem, że jeśli mówi prawdę, zechce mi to udowodnić.

– 18A First Street. – Od razu podaje adres. Nie blefuje. Serce staje mi w piersi. – Poczekaj na mnie, skarbie. Muszę jeszcze coś

załatwić, ale potem przyjadę po ciebie.

– Dobrze – kłamię i rozłączam się.

Nie mam zamiaru na nikogo czekać. Chwytam torebkę, otwieram drzwi, nie myślę o tym, że Heather zastanawia się pewnie, co się dzieje, do cholery.

– Cami! – woła za mną, wyraźnie zbita z tropu.

Zatrzymuję się gwałtownie w połowie korytarza, nie dlatego, że Heather za mną biegnie, ale dlatego, że ktoś blokuje mi drogę.

– A dokąd to się wybierasz? – Lucinda wygląda jak surowa dyrektorka szkoły. Splotła ręce na piersi i nerwowo uderza stopą w podłogę.

– Kazał ci mnie pilnować? – domyślam się z rozbawieniem i niedowierzaniem.

– Wcale mi się to nie podoba – mruczy, omija mnie wzrokiem i patrzy na Heather. Nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że na twarzy mojej przyjaciółki maluje się szok i zagubienie. Biedaczka usiłuje się w tym wszystkim połapać. Cudownie, nie ma co.

– Domyślam się, że masz za zadanie mnie zatrzymać, gdybym chciała wyjść? – pytam. Frustracja przeradza się we wściekłość.

– Tak jest. – Mruga znacząco, a ja mam ochotę rozwalić jej nos.

– Dlaczego? – pytam. – Groźby już nic nie znaczą. Ojciec powiedział, że wszystko załatwione.

Patrzy na mnie. Z jej wzroku wyczytałam za dużo i jednocześnie za mało.

– Jake po prostu woli dmuchać na zimne.

Kiwam głową, nie chcę się kłócić ani wzbudzać podejrzeń. Dmuchać na zimne? Jasne, pilnować mnie i jednocześnie odwiedzać żonę. Obracam się na pięcie i wracam do mieszkania. Heather przygląda mi się z pytaniem w oczach: co tu się dzieje, do cholery? Ja jednak tylko kręcę głową, dając tym samym do zrozumienia, żeby nie pytała. Bo co miałabym jej powiedzieć? Ona ogląda suknie ślubne, a ja właśnie się dowiedziałam, że mój



narzeczony ma żonę.

Zanim wejść do mieszkania, zerkam za siebie. Lucinda ani drgnęła i wygląda na to, że nie ma zamiaru ruszyć się z miejsca. Suka.

Zamykam za sobą drzwi i wtulam w nie twarz, szukając wizjera. Z tej perspektywy wydaje się malutka. Odsuwam się, myślę bezustannie. Rozglądam się po mieszkaniu, szukam drogi ucieczki. Podbiegam do okna, wyglądam na zewnątrz. Za wysoko.

– Cholera – mruczę pod nosem i wracam wzrokiem do drzwi wejściowych. Schody przeciwpożarowe są po drugiej stronie korytarza. Nie zdołam wyminąć Lucindy.

– Co się dzieje? – pyta Heather zza moich pleców. Odwracam się do niej. Zagryzam dolną wargę, walczę z emocjami, które lada chwila pozbawią mnie resztek rozsądku. Cofa się o krok, przygląda mi się uważnie.

– Nie podoba mi się ta mina – oznajmia. Nic dziwnego. To oznaka desperacji.

Biegnę do kuchni i chwytam jedyną rzecz, która może mi się przydać. Zaraz wracam do saloniku.

– Na cholerę ci patelnia? – dziwi się Heather, gdy mijam ją w biegu. – Cami, mów do mnie, do licha!

Zerkam w judasza. Lucinda nadal stoi na straży. Nie mieści mi się w głowie, do czego się posuwam! Patrzę na zagubioną przyjaciółkę.

– Musisz coś dla mnie zrobić.

Patrzy na mnie, jakbym oszalała. Co w sumie jest bardzo prawdopodobne.

– Co?

– Ta kobieta za drzwiami pracuje z Jakiem.

– Dlaczego tu jest?

– Żeby nie pozwolić mi wyjść. Jake kazał jej mnie pilnować.

– Ale dlaczego?

Jej pytanie każe mi się zatrzymać. Zwalniam. Dociera do mnie, że ogólnikami wiele nie zwojuję, zwłaszcza że chcę ją prosić o pomoc. Zamykam oczy, zbieram się na odwagę i mówię to na

głos:

– Ojciec mi powiedział, że Jake ma żonę.

– Co? – Ogłusza mnie jej krzyk.

– Ciszej! – syczę, podbiegam do niej i zasłaniam jej usta dłonią.

Ma oczy wielkie jak spodki, mamrocze coś pod moją dłonią. Nie mam pojęcia, o co chodzi, więc cofam rękę i jednocześnie unoszę palec do ust na znak, że ma być cicho.

– Wierzysz mu? – pyta.

Przełykam dumę i mówię to, co chodzi mi po głowie.

– To wszystko łączy się w całość. Widziałam fotografię, na której jest z kobietą. Pytałam o nią. Nie odpowiedział.

– Ale wiesz, że to może być kolejna zagrywka twojego ojca, żeby was rozdzielić.

– Nie jest głupi. Nie wymyśliłby czegoś takiego. Chyba że miałby coś na poparcie takiej tezy, a nie sędzę, żeby posunął się do tego, żeby zapłacić jakiejś kobiecie, żeby udawała żonę Jake'a. – W duszy śmieję się histerycznie. Jasne, bo wtedy na pewno posunąłby się za daleko. To wszystko naprawdę składa się w całość i serce mi pęka z rozpacz.

– Cholera, Cami. – Współczucie Heather jest chyba najgorsze. – Tak mi przykro.

Uśmiecham się. Sama nie wiem, czemu się uśmiecham. W głębi serca umieram.

– Muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jasne. – Kiwa głową. Rozumie. I wtedy odnajduje wzrokiem patelnię, o której już prawie zapomniałam. – Ale po co ci to?

– Walnę tym moją strażniczkę. – Nie owijam w bawełnę. Nie mam na to czasu.

– Obawiałam się, że to powiesz. – Heather kręci głową niespokojnie. – Słuchaj, nie chcę cię wkurzyć ani nic, ale nie sędzę, żeby taki bulterier pozwolił ci jak gdyby nigdy nic podejść do siebie i dać walnąć się w łeb. A takiej patelni nie schowasz dyskretnie w majtkach.

– I właśnie na tym polega twoja rola. – Chwytam ją za rękę i ciągnę do drzwi.

Idzie za mną, choć wyczuwam jej opór.

– Też się spodziewałam, że to powiesz – wzdycha.

– Dobra z ciebie aktorka? – pytam, ponownie zerkam przez wizjer i widzę Lucindę na posterunku.

– Ostatnio grałam w szkolnej pantomimie.

Uśmiecham się, trochę nie na miejscu w naszej sytuacji, na wspomnienie Heather w roli Kopciuszka.

– Otworzysz drzwi i wybiegniesz przerażona.

– To akurat nietrudne.

– Powiesz jej, że wychodzę przez okno.

– To też mogę zrobić. – Prostuje się i wraca wzrokiem do patelni. – A kiedy wpadnie do mieszkania, żeby cię powstrzymać...

Z uśmiechem unoszę patelnię.

– Walnę ją w łeb.

– Super – mamrocze Heather i kładzie dłoń na klamce. – I pomyśleć, że wpadłam tylko na wino i plotki – przypomina mi smętnie. A potem otwiera drzwi i wrzeszczy jak wariatka.

## Rozdział 29

### JAKE

Nie mam pojęcia, jak długo siedziałem w samochodzie zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy. Czas przestał istnieć. A moje serce przestało bić. Wszelki sens mojego życia zniknął, gdy zostawiłem Cami w jej mieszkaniu. Gdy ją zostawiłem. Odruch, by udać się do Logan Tower i przede wszystkim uprzątnąć ten bałagan, to niekończące się wyzwanie. Ale Camille jest bezpieczna pod opieką Lucindy, kiedy zajmuję się tym teraz. Bez względu na to, co wymyśli Logan, muszę wykonać pierwszy krok, żeby to naprawić. Muszę zmierzyć się z moimi demonami i znaleźć przebaczenie. I wtedy być może Cami wybaczy mi, że ją oszukałem. Cami. Zamykam oczy i przeglądam w myślach niezliczone jej wizje, jej twarz, uśmiech, oczy. Jest jasnością, której mi brakowało przez te wszystkie lata. Jest bodźcem, którego potrzebowałem, żeby wziąć się w garść i zrobić to, z czym tak długo zwlekałem.

Sięgam do drzwi, wysiadam, zamykam je delikatnie za sobą. Kiedy przechodzę przez jezdnię, idę powoli, ale stopniowo przyspieszam; teraz idę pewniej. Zbliżam się do dobrze znanego domu. Jest taki, jak go zapamiętałem. Serce bije mi coraz szybciej. Powracają wspomnienia.

Idę ścieżką, choć najchętniej obróciłbym się na pięcie i uciekł.

Nie muszę pukać. Drzwi stają otworem. Na mój widok Abbie zalewa się łzami. Robi krok w moją stronę – a ja się cofam. Bez dotykania. Nie może mnie dotknąć.

Wbijam wzrok w ziemię, nie chcę widzieć desperacji w jej oczach pełnych łez. Nie jestem w stanie wykrztusić słowa, powracają złe wspomnienia. Nie mogę na nią patrzeć. Nie zastanawiałem się, co powiem. Jestem zupełnie nieprzygotowany.

– Wejdz, proszę – mówi. Jej stopy znikają z zasięgu mojego wzroku. Ustępuje mi drogi.

Przekroczenie progu tego domu może mnie zniszczyć, ale myślę o Cami i wchodzę, i tym samym znajduję się w mojej własnej symulacji piekła. Na ścianach korytarzyka, po obu stronach, wiszą fotografie. Niezliczone cholerne fotografie. Osaczają mnie. Nie patrzę na nie. Wbijam wzrok w ziemię. Dopada mnie klaustrofobia. Napinam wszystkie mięśnie.

– Wejdz. – Abbie przepuszcza mnie w wąskim korytarzyku. Przyklejam się do ściany, żeby nie narażać jej na ryzyko dotknięcia mnie. Z ciągle spuszczonego wzrokiem idę za nią do kuchni na tyłach domu.

– Siadaj, proszę – mówi i wskazuje krzesła przy stole. – Napijesz się herbaty?

Opieram się pokusie, by zapytać, czy nie ma przypadkiem whisky, i kiwam twierdząco. Opadam na krzesło. Krząta się przy kuchni, aż zapada długa, cholerna cisza.

– Jak się miewasz? – Odwraca się, bierze tacę, podchodzi z nią do stołu i sama też siada.

– Żyję – mruczę. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– To widzę – uśmiecha się, ale choćbym nie wiem jak się starał, nie jestem w stanie odpowiedzieć tym samym. – Dlaczego tu jesteś, Jake? Dlaczego teraz, po tylu latach?

– Poznałem kogoś. – To wyznanie wyrywa mi się nieoczekiwanie. Mina jej rzednie. To było okrutne z mojej strony, ale jestem cholernie wzburzony. Nie mam pojęcia, co mówić.

– Można powiedzieć, że to była kwestia czasu – odpowiada, bezmyślnie mieszając herbatę. – Nie mam do ciebie pretensji.

– Nie planowałem tego – zaczynam i jednocześnie zastanawiam się, dlaczego w ogóle się tłumaczę. Nie muszę się usprawiedliwiać, ale nie mogę też przestać mówić. – To stało się nagle, uwierz mi. Nie szukałem nikogo.

– I przyszedłeś mi to powiedzieć? – pyta i podnosi na mnie wzrok. – Tyle czasu czekałam, aż się odezwiesz, aż chociaż dasz znak, że żyjesz. Nie, Jake. Nie przestało mi na tobie zależeć.

– Nie mogę zacząć nowego życia, mając to wszystko na karku. – Wyduszam te słowa przez ściśnięte gardło. Chcę, żeby choć częściowo mnie zrozumiała. – Kocham ją. I chcę jej powiedzieć o sobie wszystko. Bez tego nie mogę z nią być. To byłoby nieuczciwe.

– Och – śmieje się gorzko i tym samym pozbawia mnie wszelkich resztek nadziei na to, że może zrozumie. – Oczywiście nieuczciwe wobec ciebie. Bo chodzi o ciebie i twoje życie, Jake.

– Do cholery, Abbie, przez cztery lata nie miałem żadnego życia! – Wściekle walę pięścią w stół. Abbie wzdryga się przerażona i natychmiast tego żałuję. Widzę, jak drży jej dolna warga. Opieram łokcie na stole i ukrywam twarz w dłoniach.

I znowu zapada cisza, i tym głośniej słyszę wewnętrzny głos, który każe mi wyrwać pistolet zza paska i palnąć sobie w łeb. Skończyć to wszystko, cierpienie moje i wszystkich wokół.

– Nie tylko ty nie miałeś życia, Jake – szepce. – Sama wychowywałam twoją córkę.

Cały umieram, konam powoli, w męczarniach. Ukrywam twarz w dłoniach.

– Naprawię to – obiecuję i mówię szczerze. Cami mi to uświadomiła. Tylko że nie wiem, jak i od czego zacząć.

– Tatuś?

Ten słodki głosik każe mi błyskawicznie poderwać się z krzesła. Mam ochotę stąd uciec. Niespokojnie patrzę na Abbie.

– Powiedziałaś, że jej tu nie będzie! – Zgodziła się na to. Miało być krok po kroku! Nie mieści mi się w głowie, że mi to zrobiła. Szantaż emocjonalny w najgorszej postaci. Ośmielam się ukradkiem spojrzeć na dziewczynkę i natychmiast tego żałuję. Skóra zdarta z matki. Jej matki. Tej kłamliwej manipulantki. Suki. Abbie podbiega do niej, klęka, ale mała nie zwraca na nią uwagi. Odwracam wzrok. Nie mogę na nią patrzeć.

– Charlotte, skarbie, miałaś się bawić w swoim pokoju.

– Wygląda jak mój tata.

Odwracam się, patrzę na ścianę, oczy zachodzą mi łzami, których nie mogę dłużej powstrzymać.

– Dlaczego zeszłaś? Chcesz pić?

– Nie. Przy drzwiach jest jakaś pani.

Odwracam się gwałtownie, nie tylko pod wpływem słów Charlotte. Wyczuwam jej bliskość.

W progu stoi Cami, zalana łzami. Rysa w moim sercu pogłębia się, zaraz mi pęknie.

– Cami! – Ostrożnie ruszam w jej stronę.

Odwraca się i biegnie.

– Cami! – Wypadam z kuchni, mknę przez korytarz jak kula, widzę, jak znika za frontowymi drzwiami. – Cami!

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – krzyczy, biegnie ulicą i wsiada do samochodu.

– Nie! – Biegnę dalej, aż tracę czucie w nogach z wysiłku. – Cami, błagam cię!

Odpala silnik, odjeżdża, miota się po całej jezdni. Zabije się, do cholery!

– Kurwa! – Biegnę do samochodu, ruszam z miejsca, jadę za nią. Ma nade mną przewagę, ale nie tracę jej z oczu. Skręca w lewo na końcu ulicy, prawie nie patrzy na inne samochody. – Na miłość boską, aniołku! – Dociskam pedał gazu, szykuję się na slalom między samochodami. Skręcam ostro, aż zarzuca mi tył, ale opanowuję wóz, choć mało brakowało, a zderzyłbym się z taksówką.

Tracę rachubę, ile razy skręcałem, jadąc za jej wozem. Jest pięć samochodów przede mną, prowadzi nierówno, nerwowo, za wszelką cenę chcąc przede mną uciec. Nie pozwolę na to. Nie wymknie mi się. Zmuszę ją, żeby zrozumiała.

Moje szanse na zrównanie się z nią rosną, kiedy widzę przed nami Charing Cross Road. Bez względu na to, czy pojedzie w lewo, czy w prawo, trafi w korek. Będzie musiała się zatrzymać, czy jej się to podoba, czy nie.

Skręca w lewo. Ocieram pot z czoła, zaciskam dłonie na kierownicy, przyspieszam, żeby zdążyć na zielonym.

– Cholera! – Światło zmienia się na żółte. Kątem oka widzę tłum pieszych na chodniku, niecierpliwie czekających, aż będą

mogli wdrzeć się na jezdnię, gdy tylko zapali się zielony ludzik. Nie dam rady. Wciskam pedał hamulca i zatrzymuję się z piskiem opon, mało brakowało, a wjechałbym w grupę turystów, pas bezpieczeństwa wpija mi się w ciało. Piesi zastygają w bezruchu na środku jezdni, patrzą na mnie zza obiektywów aparatów. – Cholera! – Wyskakuję z samochodu, skręcam i po raz pierwszy w życiu modłę się o korek.

Widzę ją. W oddali stoi jej czerwony mercedes, uwięziony w korku. Puszczam się biegiem, wpadam na środek jezdni i widzę maskę jej samochodu. Wyrывa się ze sznura aut. Chce skręcić. Przyspieszam, doganiam ją. A potem otwierają się drzwiczki jej samochodu i widzę ją. Patrzy na mnie.

– Nie uciekaj, Cami! – wrzeszczę.

– Stój! – odkrzykuje i staje posłusznie, jakby wcisnęła odpowiedni guzik. – Nie zbliżaj się do mnie, Jake!

Pojednawczo unoszę dłonie, dyszę ciężko, zmęczony.

– Pozwól mi wytłumaczyć! – wołam. Nie podoba mi się, że dzieli nas pięćdziesiąt metrów. Chciałbym jej dotykać, kiedy jej wszystko mówię.

– Masz żonę! – Głos jej się łamie, oskarżenie niknie pod wpływem rozpacz. – I córkę! Okłamywałeś mnie!

– Nie! – Kręcę głową, robię krok w jej stronę, ale zatrzymuję się, gdy widzę, że się cofa. – Miałem żonę, Cami. Już nie mam.

– Kłamiesz!

– Nie kłamię, do cholery! – Zaciskam pięści, wiem, że muszę to wszystko z siebie wyrzucić, zanim stracę ją na zawsze. – Ona nie żyje, Camille. Moja cholerna żona nie żyje.

Mruga bez słowa, zmusza, bym mówił dalej.

– Ta kobieta to siostra mojej żony. Wróciłem z wojska i zastałem żonę w łóżku z moim najlepszym przyjacielem!

– Co?

Jeszcze chwila, a fala wspomnień sprawi, że rozwalę sobie głowę o ścianę, byle się ich pozbyć. Ale nie, muszę wytrzymać. Muszę brnąć dalej.

– Mieliśmy dziecko, aniołku. Urodziła naszą córkę, kiedy



byłem na misji. Wracałem do domu, żeby stać się mężem i ojcem. Przyjechałem o tydzień za wcześniej. Chciałem zrobić jej niespodziankę. I zastałem ją w łóżku z moim najlepszym przyjacielem. – Unoszę pięść, uderzam się w czoło. – Mieli romans, podczas gdy ja walczyłem z całym pieprzonym światem! – Patrzę na nią. Wstrząsa mną stary gniew i porażający strach. – Wmawiałem sobie, że to nie jest moje dziecko.

Cami wygląda, jakby była w szoku. Rozumiem to. Tamtego dnia mój świat legł w gruzach. Umarłem na cztery długie lata i dopiero niedawno powróciłem do życia.

Zastałem ich w łóżku i po prostu wyszedłem. Zmuszam się, by mówić dalej.

– Żona biegła za mną. Wsiadła w samochód, goniła mnie. Nie patrzyła na drogę. – Zaciskam powieki, unoszę głowę do nieba. Jest gdzieś tam, pewnie patrzy na mnie z góry i myśli sobie, że dobrze mi tak. – Wpadła pod autobus. Poniosła śmierć na miejscu. – Koszmar, który obserwowałem w bocznym lusterku jak w zwolnionym tempie, powraca z pełną siłą. Widzę wszystko wyraźnie. I znowu umieram w środku.

– O Boże... – czytamy z jej ust, zanim zasłoni je dłonią. Stara się powstrzymać łzy.

– Wróciłem na wojnę. – Zmagam się z cierpieniem, ponownie przeżywam każdą chwilę z przeszłości. – Wydawało mi się, że to jedyne, co mi zostało. Miałem w nosie własne bezpieczeństwo i bezpieczeństwo innych. Nie chciałem tu być. Nie chciałem żyć. Zwolnili mnie, gdy lekarze doszli do wniosku, że jestem niestabilny. Życie okazało się niekończącą się torturą. – Czuję dławiącą gulę w gardle. Nie staram się jej przełknąć, pozwalam, by w moich oczach zebrały się łzy, by głos mi się załamał. – A potem poznałem ciebie.

Chwyta się samochodu, żeby nie upaść Wokół jak oszalałe trąbią klaksony. Samochody ruszyły i auto Cami wstrzymuje ruch uliczny.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – pyta. Nie widzi chaosu wokół.

Odpowiadam szczerze:

– Byłem zbyt gorzkniaty i zagubiony, by się z tym zmierzyć. Żona mnie zdradziła. Nie żyła, a ja nie potrafiłem jej wybaczyć. Odszedłem. Zniknąłem. Odciałem się. Stałem się wrednym, gorzkim draniem. Córce było lepiej beze mnie. Nie chciałem skalać jej moim mrokiem.

Przeciera oczy, rozgląda się, jakby tłumy przechodniów mogły jej poradzić, co robić.

– Cami, kocham cię! – krzyczę, żeby mieć pewność, że mnie usłyszysz, rozpaczliwie macham rękami, by po chwili zwiesić je bezwładnie. Patrzy na mnie i ciągle płacze. – Między nami nic nie było kłamstwem. Nic, ani jedna chwila.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– I naprawdę chciałem to zrobić. Najpierw jednak sam musiałem się z tym uporać, zanim mogłem podzielić się tym z tobą. Musiałem zobaczyć moją córkę, zacząć to wszystko naprawiać. Nadal tego chcę. Dzięki tobie uwierzyłem, że jest to możliwe.

Opuszcza wzrok, kiwa głową, a we mnie odżywa nadzieja, gdy widzę, jak odrywa stopy od chodnika. Idzie do mnie. W myślach ją poganiam. Jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebowałem jej przy sobie. Robi krok w moją stronę. Nie mogę dłużej zwlekać, pozbawiać nas pocieszenia, jakiego oboje potrzebujemy; ja też ruszam w jej stronę. Nie zwracam uwagi na przeciągłe zawodzenie klaksonów wokół nas, myślę tylko o jednym – dopilnować, żeby znalazła się tam, gdzie jej miejsce, w moich ramionach. Znowu ociera oczy, podnosi głowę i widzę w jej wzroku ulgę i nadzieję.

Ale wtedy do kakofonii wokół dochodzi pisk opon.

Odruchowo nie myślę o tym, że jest coraz bliżej, tylko szukam jego źródła.

A potem wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie.

Furgonetka.

Biała furgonetka. Ta sama biała furgonetka, która odjechała, kiedy podchodziłem do niej, gdy stała przed biurem agentki Cami. Jedzie teraz w jej stronę. Cami patrzy, jak się zbliża. Nie zdaję

sobie sprawy, że biegnę, póki nie poczuję pieczenia w stopach.. Widzę, jak z jej twarzy znika uśmiech, jak cała sztywnieje. Ale ciągle jest daleko ode mnie, choć biegnę co sił w nogach.

Widzę, jak furgonetka zatrzymuje się przy niej z piskiem opon. Widzę, jak otwierają się przesuwane drzwi.

– Nie! – wrzeszczę, aż echo niesie się ulicami Londynu. W otwartych drzwiach pojawiają się ramiona w czarnym ubraniu, chwytają ją, wciągają do środka. I znowu pisk opon, a powietrze wypełnia zapach palonej gumy. Furgonetka jedzie prosto na mnie, uskakuję w ostatniej chwili, padam na asfalt, turlam się, zaraz podrywam na nogi, spocony, zdyszany, obserwuję, jak furgonetka wjeżdża w mercedesa Cami i spycha go na pobliski mur z przeraźliwym zgrzytem miażdżonego metalu. Znowu biegnę, liczę, że dogonię furgonetkę, zanim wrzuci wsteczny bieg.. – Nie! – wrzeszczę ponownie. Samochód odjeżdża, ostro pokonuje zakręt, drzwi zamykają się już podczas jazdy. Tracę go z oczu. Zwalniam stopniowo, aż w końcu staję.

Odrętwiały. Jestem odrętwiały, przemarznięty... umieram.

Wokół mnie trwa świat – ludzie się gapią, omijają mnie szerokim łukiem, jeżdżą samochody. Mam wrażenie, że patrzą na mnie jak na uciekiniera ze szpitala psychiatrycznego. Nikt nie pyta, czy wszystko w porządku Nikt nie podchodzi z pytaniem, czy mi pomóc.

Nie można mi pomóc. Rozglądam się, kręcę się w kółko, obłęd Londynu zlewa się w masę kolorów i dźwięków. Nie ma jej. Odrzucam głowę do tyłu i krzyczę jej imię.

## Rozdział 30

### CAMI

Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Nie widziałam nic od chwili, gdy zajrzałam w czerń jego oczu za chustką. Wrzeszczałam i szarpałam się, aż opadłam z sił. Mój umysł odmawia współpracy. Ciało się wyłącza. Ciemność towarzyszy mi bez przerwy. Mam zakryte oczy, nie mogę krzyczeć, bo zakneblowano mi usta szorstką szmatą. Nie padły żadne słowa. Nie wiem, ilu ich jest. Jest mi zimno. O dziwo, już nie płaczę. Boję się, ale nie płaczę. Gdybym była w stanie myśleć, zastanawiałabym się dlaczego.

Ale nie jestem.

Milczę więc, nieruchoma na twardej posadzce, i modlę się.

## Rozdział 31

### JAKE

**B**oli mnie ciało, oczy, serce.

Pewnie jest przerażona. Woła mnie. Biegiem wracam do samochodu i jednocześnie dzwonię do Lucindy.

– Halo?

To nie jej głos.

– Heather?

– Och...

Ściągam brwi w zdumieniu.

– Gdzie Lucinda?

– Budzi się.

Wszystkie kawałki łamigłówki trafiają na miejsce. Lucinda nie pozwoliłaby Cami wyjść, fizycznie wyjść z domu. Czyli coś jej się stało.

– Co wyście narobiły?

– Raczej co ty narobiłeś, dupku! – odpowiada hardo i udziela mi lekcji cierpliwości, zanim stracę wątek. – Ojciec Camille powiedział jej, że jesteś żonaty!

– Zamknij się, Heather – syczę i w myślach wysyłam Cami do wszystkich diabłów. Nie wiedziała o Charlotte. Heather nie wspomina o tym istotnym szczególe, zresztą zdradził to szok w oczach Cami. Logan nie szukał wystarczająco głęboko, dogrzebał się tylko informacji o Monice, mojej żonie, to mu wystarczyło, żeby nastawić Camille przeciwko mnie. – Porwano ją.

– Co?

– Została porwana, do cholery! Daj mi Lucinę! – Wsiadam do samochodu, nie tracę czasu, przejeżdżam skrzyżowanie na czerwonym, trąbię jak oszalały na przechodniów. – Szybciej, do cholery!

– Jake? – Lucinda ma zmęczony głos i przez chwilę intryguje

mnie, co takiego zrobiła Cami, ale teraz nie mam na to czasu.

– Porwano Cami. – Ostro skręcam w prawo. Doskonale wiem, dokąd jadę. Krew pulsuje mi w żyłach jak trucizna, zaczynam się obawiać, że posunę się do czegoś, czego później będę żałował.

– O, cholera. Gdzie jesteś? – W jej głosie wyraźnie słychać niepokój.

– W drodze, żeby zrobić jej ojcu jesień średniowiecza.

– Kurwa... Jake, nie rób żadnych głupstw.

– Za późno.

Zostawiam samochód pod zakazem parkowania przed Logan Tower, biegnę do budynku, z całej siły pcham drzwi. Szkło uderza w ścianę, pęka z ogłuszającym hukiem. Wszyscy milkną, patrzą na drzwi i szaleńca w progu.

Patrzę przed siebie, widzę przed sobą punkt kontroli i staruszka przy nim. Facet ma coraz większe oczy, gdy się zbliżam się do bramki. Zrywa się ze stołeczka, na którym siedział. Nie ma szans mnie powstrzymać. Sięgam za siebie, wydaję broń zza paska, celuję mu w głowę i idę dalej. Nie muszę go nawet ostrzegać.

Mądry koleś.

Cofa się, unosi pojednawczo ręce. Oczy wychodzą mu z orbit.

– Ej, człowieku! Po co ten pośpiech?

Warczę coś niezrozumiale, mijam aparaturę, idę dalej, a za moim plecami zaczyna przeraźliwie wyć alarm. Lufą wciskam guzik windy. Drzwi otwierają się natychmiast. Wchodzę ze spokojną miną, która stanowi całkowite zaprzeczenie targających mną emocji. Jeszcze nigdy jazda windą nie trwała tak długo. Kiedy w końcu winda zatrzymuje się na najwyższym piętrze Logan Tower, jestem tak spięty, że chcę siłą ognia wyrwać się z metalowej klatki, przez którą tracę czas zamiast szukać Cami.

Mijam recepcję, przy której plotkuje gromadka kobiet, idę korytarzem do gabinetu Logana. Piskliwe krzyki sekretarek milkną i zaczynają się przerażone szepty. Nikt jednak nie próbuje mnie

powstrzymać. Znajomy ciężar pistoletu w dłoni doskonale to tłumaczy.

Dochodzę do drzwi, naciskam klamkę – ani drgnie. Uśmiecham się pod nosem, cofam o krok, unoszę kolano na wysokość klatki piersiowej i kopię z całej siły. Trzask pękającego drewna nie przebija się przez otaczającą mnie mgłę wściekłości.

Logan podskakuje na krześle, trzyma słuchawkę przy uchu. Jeden z jego sługusów cofa się zaskoczony.

– W porządku – mówi Logan do słuchawki, wyraźnie stara się uspokoić rozmówcę, kogoś, kto zadzwonił, żeby go uprzedzić, że zmierza do niego szalencie. – Wszystko pod kontrolą – rzuca i odkłada słuchawkę. Widzę czujność w jego szeroko otwartych oczach.

Pod kontrolą? O nie. Podnoszę pistolet i celuję w jego głowę.

– Masz dziesięć sekund, żeby mi powiedzieć, co ukrywasz, inaczej rozwalę ci łeb. – Na jego miejscu nie wątpiłbym w szczerłość moich zamiarów.

– O co ci chodzi? – Kuli się na krześle jak tchórz, którym jest.

– Marnujesz tylko czas, Logan. – Zaciskam usta. Serce bije mi coraz szybciej. – Siedem sekund.

– Gdzie jest Cami? Co z nią zrobiłeś?

– Porwano ją, do cholery! – Wdzieram się głębiej, wymierzam Pete'owi cios łokciem w głowę, gdy próbuje mnie zatrzymać. Z jękiem osuwa się na ziemię.

Obchodzę biurko i z całej siły przyciskam lufę do skroni Logana. Kwili cicho, dygocze tak bardzo, że drzenie wędruje po broni, łaskocząc mnie w dłoń. Niech Bóg ma go w swojej opiece, bo mój palec na spuście też może drgnąć. – Mów, do cholery!

– Dobrze już, dobrze! – Kuli się, zaciska powieki. – Szantażowali mnie od wielu tygodni! Żądali pieniędzy. Grozili, że mnie zdemaskują, jeśli nie zapłacę!

No właśnie. Że go zdemaskują. A więc ma coś do ukrycia.

– Zdemaskują cię? Jak?

Obrzuca przerażonym spojrzeniem Pete'a, który z trudem

gramoli się z ziemi i masuje obolałą głowę.

– Zostaw nas samych – rzuca Logan niskim, poważnym głosem.

Pete nie protestuje. Nie reaguje nawet, widząc, że trzymam naładowaną broń przy skroni jego szefa. Wychodzi szybko, nie oglądając się za siebie.

Drzwi zamykają się. Poruszam pistoletem, daję mu do zrozumienia, że ma się, kurwa, pośpieszyć i wszystko wytłumaczyć, zanim odstrzelę mu łeb.

– Mają zdjęcia – mamrocze pod nosem, sapiąc głośno. Denerwuje się.

– Co za zdjęcia? – nalegam.

– Moje.

Chwytam go za kołnierzyk, szarpię.

– Twoje i...?

– Kobiety. – Z trudem przełyka ślinę, pewnie ma ściśnięte gardło. Czuję to pod palcami. – Czy raczej dziewczyny.

Ogarnia mnie niesmak. Wypuszczam powietrze z płuc.

– Ile ma lat?

Ucieka wzrokiem, oddycha głęboko i w końcu poddaje się.

– Piętnaście.

Puszczam go, jakbym się nim brzydził, bo też naprawdę tak jest, odsuwam lufę od jego skroni, cofam się. Na mojej twarzy maluje się odraza.

– Nie wiedziałem! – Logan wierci się niespokojnie w wielkim biurowym fotelu. Ucieka przed moim wzrokiem. – Wyglądała na co najmniej dwudziestolatkę. Wysoka. Blondynka. O bujnych kształtach. – Sukinsyn.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć! – Z paniką w oczach patrzy na biurko. – Jestem ambasadorem fundacji działającej na rzecz dzieci, na miłość boską! Moja reputacja... – Patrzy na mnie z przerażeniem w rozbieganych oczkach. – Moja żona...

Wykrzywiam pogardliwie usta i z największą rozkoszą wypowiadam następne słowa:

– Żona od ciebie odchodzi, Logan. Wczoraj złożyła pozew o



rozwód.

– Co? O czym ty mówisz?

– Miała romans z twoim prawnikiem od rozwodów. – Śmieję się pod nosem z niedowierzaniem. – Jest z nim w ciąży.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! Nie może ode mnie odejść!

– Myślisz, że mnie to obchodzi? – Dociskam mu pistolet do czoła. Dygoczę z wściekłości. – Wiedziałeś, że Cami nie jest bezpieczna, a mimo to mnie odwołałeś! Co ci, do cholery, strzeliło do łba?

– Zacząłeś węszyć! – Prostuje się na krześle. Ma szeroko otwarte oczy. – Po pierwszej pogroźce zażądali pieniędzy i podali numer konta. Twierdzili, że jeśli nie zapłacę, wyślą zdjęcia do gazet. Wysłałem ich do diabła. Nie chciałem ulec. Zresztą jestem w kontakcie z wydawcami wszystkich gazet. Ręka rękę myje. Skandal i mój upadek nie wyszedłby im na dobre, uwierz mi.

Patrzę z pogardą na cholernego egoistę bez krzty zasad moralnych. Unika mojego wzroku.

– W końcu zdjęcia trafiły na biurko wydawcy Mirror – mówi cicho. – Zadzwoił do mnie i zadbał o swój interes, jednocześnie pilnując, żeby nie trafiły do gazety.

– Ile?

– Milion i soczysta historyjka o jednym z członków parlamentu.

Krzywię się. Jest bardziej bezwzględny, niż myślałem.

– A ile chciał szantażysta?

– Dwa miliony. – Przygląda mi się niespokojnie, widząc, jak rozdymam nozdrza. Mój gniew narasta.

– A groźby pod adresem Camille?

– Zaczęły się, gdy zrozumieli, że fotografiami nie osiągną tego, o co im chodzi. Myślałem, że sam to załatwię. Nie mogłem ci pokazać prawdziwych pogroźek pod adresem Camille, które dostawałem. Była w nich mowa o tych nieszczęsnych zdjęciach! Te, które widziałeś, wydrukowałem sam. Chciałem tylko chronić Camille, a ty najlepiej się do tego nadajesz! Wiedziałem, że przy

tobie będzie bezpieczna. A potem zaczęłaś węszyć. Tylko kwestią czasu było, kiedy w końcu coś znajdziesz. Za bardzo ci zależało!

– Bo ją kocham, do cholery! Mam w nosie ciebie i twoją reputację. Interesowało mnie jedynie jej bezpieczeństwo, czego o tobie nie można powiedzieć. A jesteś jej ojcem, do cholery!

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć! – wyrzuca z siebie, pochyla się błagalnie. Cały czas najbardziej interesuje go własna cholerna reputacja. – Nie chodzi tu tylko o mnie i moją nieposzlakowaną opinię. Nie chcę, żeby córka mnie znienawidziła!

Prycham pogardliwie. Nadęty dupek naprawdę mnie rozbawił.

– Na to już za późno, Logan.

Ponownie przyciskam mu pistolet do skroni, tym razem mocniej. Z powrotem osuwa się na krzesło. Ocieka potem, zasłania twarz dłońmi, jakby żalosne, tłuste łapki mogły go przed czymkolwiek uchronić.

– Masz żonę – mamrocze pod nosem.

– Ona nie żyje, kurwa mać!

– Oszukałeś moją córkę! Udałeś kogoś, kim nie jesteś!

– Nie prowokuj, żebym cię zabił, zanim uzyskam wszystkie informacje potrzebne, żeby ją odnaleźć! – Pochylam się. Jeszcze chwila i wbiję mu lufę w skroń, nie będę musiał nawet pociągać za spust. – W tej chwili nie obchodzi mnie, co myślisz o naszym związku.

Zamyka jedno oko, chce się odsunąć, zejść z pola rażenia mojej lufy. Na próżno.

– Pomóż mi ją znaleźć, błagam cię – mówi.

Odsuwam pistolet od jego skroni, obchodzę biurko, staję z drugiej strony. Śledzi każdy mój krok, póki się nie zatrzymam. Celuję, widzę, jak szeroko otwiera oczy i unosi ręce, i pociągam za spust.

Brzęk tłuczonego szkła niesie się echem po biurze, Logan kuli się na krześle, stara się zajmować jak najmniej miejsca.

– Za piekło, które jej urządziłeś, od dawna chcę połamać ci nogi. Ale przysięgam, Logan. – Nabieram powietrza w płuca,

wypuszczam je i wypowiadam śmiertelnie groźną obietnicę: – Jeśli się okaże, że włos spadł jej z głowy, następnym razem nie spudłuję.

Prostuje się. Dygocze na całym ciele. W szklistym wzroku maluje się przerażenie.

– Kiwnij głową! – krzyczę. – Daj mi jakikolwiek znak, że w pełni rozumiesz, co do ciebie mówię!

Macha głową jak oszalały, maże się jak miękki dupek, którym w rzeczywistości jest. Szukam w sobie spokoju, którego potrzebuję, żeby działać jak najskuteczniej, zajmuję miejsce naprzeciwko niego, spokojnie kładę pistolet na biurku. Logan tymczasem niespokojnie czeka, aż zacznę mówić.

Niech czeka, póki się nie uspokoję. Jest zdesperowany. Idiota, sądził, że sam się z tym upora. Jedno zrobił dobrze – ściągnął mnie do ochrony Camille. A potem spieprzył to i mnie odwołał.

Powtarzam sobie, że porywacze rzadko kiedy planują zrobić krzywdę osobie porwanej. Chodzi im tylko o okup.

– Kto mógł wiedzieć, co porabiasz w wolnym czasie? – Obserwuję go bacznie. – Kto miał okazję, by zrobić te zdjęcia?

– Nie wiem! – krzyczy. Nerwowo wymachuje rękami. – Analizowałem to z każdej możliwej strony i nie doszedłem do żadnego wniosku! Nie poproszę ludzi z IT, żeby sprawdzili te maile! Nikomu ich nie pokażę!

– Mnie tak – mówię.

– Wykasowałem je.

Zrywam się na równe nogi z pistoletem w dłoni.

– Logan, nie prowokuj mnie.

Od razu sięga do kieszeni, wyjmuje pęk kluczy, wskazuje przeciwległą ścianę.

– Są w sejfie.

– Więc je wyjmij.

Wstaje z krzesła, z trudem, jak starzec, idzie tyłem, co chwila wodząc wzrokiem między moją twarzą a pistoletem. Drżącymi rękami wybiera kombinację, lewo, prawo, znowu lewo, wsuwa

klucz do zamka i mocuje się z nim przez moment.

Wkłada rękę do środka, zgina się w pół i wyjmuje niebieską teczkę. Wygina ją niespokojnie i wraca do mnie. Zabieram mu ją, otwieram, bez szacunku, jaki dla groźnych dokumentów ma Logan. I od razu atakuje mnie zdjęcie jego nagiego, owłosionego tyłka i rozpromienionej twarzy młodej dziewczyny. Skrzywiony, zaglądam dalej. Nie mam ochoty przyglądać się obrazom, przez które mój świat stanął na głowie. Zmuszam się, by oddychać głęboko, ponownie sięgam po broń i mój palec wraca na spust.

Logan stoi cały czas, spięty i zdenerwowany, gdy przekładam kolejne kartki i w końcu znajduję mejl sprzed dwóch dni, ze wszystkimi kompromitującymi fotkami i zdjęciami Cami.

– Usiłowałem dowiedzieć się czegoś o właścicielu tego konta – mamrocze Logan i nie musi dodawać niczego więcej. Zwracam uwagę na szczegóły: to konto w szwajcarskim banku, w zwykłej wyszukiwarce niczego się nie ustali.

Wyjmuję telefon z kieszeni, wbijam szereg cyfr, ale zanim zdążę wysłać wiadomość, aparat dzwoni mi w rękę. Odbieram natychmiast.

– Luce?

– Wejdź do sieci. Na stronę „London by Night”.

Brzmi znajomo.

– Tego czasopisma? – Odkąd pilnuję Cami, przeglądałem je kilka razy.

– Tak. I to już. – Słyszę zdenerwowanie w jej głosie. Nie sprzeciwiam się.

Pochylam się nad biurkiem, przysuwam sobie iMaca Logana, uruchamiam przeglądarkę, wpisuję podaną nazwę.

– Już – mówię. Nie widzę tu nic ciekawego, mnóstwo reklam i zdjęcia różnych gwiazd.

– Wyszukiwarka jest na górze. Wpisz nazwisko Camille.

Spełniam jej polecenie i zaraz zalewają mnie fotografie Cami, w tym to ze mną, przed kafejką, po sesji fotograficznej. Trzymam ją za rękę.

– Pierwsze zdjęcie was razem – mówi Lucinda.

– No i?

– Przyjrzyj się uważniej. Lewy górny róg.

Patrzę i widzę to, o czym mówi.

– O kurwa – mamroczę. Za moimi plecami jest wystawa, w której jak w lustrze odbija się biała furgonetka w wąskim zaułku. Przez przednią szybę widać zarys twarzy. Niewyraźny, ale nowoczesna technologia radzi sobie z większymi wyzwaniem. – Sprawdź w bazie danych.

– Już to zrobiłam. Wysłałam ci jego zdjęcie na telefon. To Michael Scott, trzydzieści sześć lat. Siedział za handel narkotykami, napad z bronią w rękę i... – urywa. Dałbym sobie rękę uciąć, że słyszę, jak nerwowo przełyka ślinę.

– I za co jeszcze, Luce? – Słyszę dźwięk wiadomości, otwieram załącznik, patrzę na wyraźną fotografię mężczyzny, którego odnajdę i rozerwę na kawałki. Oddycham głęboko i ponownie unoszę telefon do ucha.

– Jake? – Lucinda zniża głos do szeptu, a ja cały sztywnieję.

– Za co?

– Za gwałt.

Krew zastyga mi w żyłach. Patrzę na Logana przez szerokość biurka. Na jego twarzy malują się niezliczone pytania. Lada chwila serce wyskoczy mi z piersi i wyląduje na biurku. Bije jak oszalałe.

– Jake?

Nie mogę mówić. Nie mogę myśleć.

– Jake, furgonetkę skradziono w zeszłym tygodniu. I zmieniono tablicę rejestracyjną. – Podaje mi numery. – Sprawdziłam adres Scotta. Rzekomo mieszka w pensjonacie dla byłych więźniów w Bethnal Green i odbywa rehabilitację. – Podaje mi adres. Wbija mi się w umysł, podobnie jak fałszywe numery rejestracyjne białej furgonetki.

– Pewnie ktoś mu płaci za przetrzymywanie jej, ale nie udało mi się namierzyć żadnego telefonu na jego nazwisko. Pewnie ma jednorazowy. Na razie to wszystko. Przykro mi.

Wstaję, chciwie wciągając powietrze, opieram się o biurko, żeby łatwiej było wstać.

– Dane konta. Szwajcarski bank. – Sięgam po teczkę, którą podał mi Logan, chaotycznie przekładam kartki, aż znajduję to, czego szukam. A potem dyktuję jej numer konta i mówię o wszystkim, czego się właśnie dowiedziałem od Logana – o dziewczynie, zdjęciu jego włochatej dupy, o wszystkim. Słyszę, jak Lucinda sapie głośno, widzę, jak Logan niespokojnie wierci się na fotelu. – Sprawdź to konto.

– Już się robi – odpowiada. Nie mogę się uporać ze współczuciem w jej głosie.

Chcę się rozłączyć, ale wypowiada moje imię i ponownie unoszę telefon do ucha, zagubiony we mgle rozpaczy. Nie okazuję po sobie, że jej słucham.

– Uważaj na siebie – mówi cicho, okazując rzadką u niej troskę. – Proszę cię.

Rozłączam się, powoli biorę pistolet ze stołu, wsuwam za pasek spodni.

– O co chodzi? – dopytuje się Logan. – Kto to był?

Podnoszę na niego wzrok. Przerazenie i niepokój na jego twarzy nie robią na mnie wrażenia.

– Znasz tego człowieka? – Podsuwam mu telefon pod nos.

Patrzy, marszczy brwi.

– Nie, w życiu go nie widziałem. Kto to?

– Ktoś mu zapłacił za porwanie twojej córki. Módl się, żeby wyszła z tego cała, Logan. Módl się gorąco.

Odwracam się na pięcie i wychodzę z jego biura, klnąc pod nosem.

## Rozdział 32

### CAMI

Udaję martwą. Nic trudnego, kiedy właśnie tak się czuję. Przenieśli mnie, dwóch mężczyzn, z furgonetki w inne miejsce. Wiem, że jest ich dwóch. Starali się milczeć, ale czułam na sobie dwie pary rąk. Myślę o jednym – co Jake im zrobi, gdy ich znajdzie. Ale czy ich znajdzie? I mnie?

Nie wiem, gdzie mnie umieścili. Otacza mnie brudny, wilgotny zapach. Jest chłodno. Podłoga jest twarda i zimna, otacza mnie mrok, cały czas mam zawiązane oczy. Knebel jest suchy, zaschło mi w ustach. Choćbym chciała, nie mogłabym krzyczeć.

Wyszli w milczeniu, ale najpierw zawiązali mi ręce na plecach i posadzili pod ścianą z cegły. Dziwne. Gdybym miała wyobrazić sobie siebie w takiej sytuacji, byłabym pewna, że będę płakać i panikować.

I tak rzeczywiście było, przez pierwsze dziesięć minut, Później.... Nieważne, ile czasu upłynęło, jestem bierna. Nie reaguję.

Sama nie wiem, czemu obrałam akurat taką strategię. Żeby oszczędzać energię? Nie mam pojęcia. Mogę jedynie rozpaczliwie czepiać się nadziei, że jeśli będę o nim wystarczająco intensywnie myśleć, w końcu mnie znajdzie.

## Rozdział 33

### JAKE

Jestem wyszkolonym zabójcą. Dzięki moim umiejętnościom zdobyłem swoistą sławę w wojnie z terroryzmem. Ludzie się mnie bali. Nieznane, niewidoczne zagrożenie. Nigdy nawet nie drgnęła mi powieka. Nigdy pot nie zalewał mi oczu. Przez bardzo długi czas nie pozwalałem, by osobiste emocje łączyły się z pracą. Tęskniłem za żoną. Brakowało mi tego, że nie widzę, jak zaokrąglą się jej brzuszki, nie poczułem pierwszego kopnięcia. Ominęły mnie USG, szkoła rodzenia i narodziny córki. I pierwsze miesiące jej życia. Ale te prywatne walki nie rzutowały w żaden sposób na to, jak wykonywałem swoje zadania. Nigdy nie drgnęła mi ręka. Zawsze trafiałem w cel.

Cztery lata temu moje życie stanęło na głowie. Wszystko się zmieniło. Okazało się, że żona wcale za mną nie tęskniła. Nie cierpiała podczas mojej nieobecności. Znalazła pocieszenie w innych ramionach. Straciłem sens życia. Bo życie to nie tylko oddychanie i bicie serca w piersi. To też ludzie, dla których chce się żyć. Straciłem z oczu drugi sens mojego życia – ten, który się narodził, gdy moi rodzice zginęli w katastrofie nad Lockerbie. Nic już nie miało znaczenia. Nie byłem już w stanie myśleć logicznie i działać rozsądnie.

Byłem nieostrożny. Ryzykowałem. Stanowiłem zagrożenie dla samego siebie, a co gorsze, dla wszystkich wokół. Nie byłem w stanie tego zmienić, ale po miesiącach dryfowania po morzu jakiegoś daniel'sa, w oparach alkoholu i rozpacz, na skraju piekielnej przepaści, chwyciłem się jedynej deski ratunku, dzięki której moje życie miało szansę odzyskać coś na kształt sensu. Nie mogłem odzyskać swojego życia, ale mogłem chronić innych.

Moi podopieczni to były zadania. Obowiązki. Środki do osiągnięcia osobistego celu. Musiałem za wszelką cenę zapomnieć



o dawnym życiu. Dawali mi ku temu okazję.

Camille Logan postawiła to wszystko na głowie. Dała mi powód, bym zmierzył się z własnymi demonami. Sprawiała, że na nowo nauczyłem się czuć i kochać. Wszystko już sobie poukładałem w głowie, wszystkie trudne fakty, z którymi miałem się zmierzyć, złagodzone nadzieją, której nie mogłem pozwolić odejść.

Źle się za to wszystko zabrałem, a teraz niewykluczone, że straciłem ją na zawsze.

Jej twarz. Rozpacz w jej oczach, gdy podniosłem głowę i zobaczyłem ją w domu Abbie. I zrozumienie, gdy wszystko jej powiedziałem, tam na ulicy, gdy chciałem się wytłumaczyć, gdy nadzieja powracała z każdą sekundą.

A potem ją porwano.

Dźwięk telefonu wyrywa mnie z zadumy. Odbieram od razu i modlę się o coś, cokolwiek.

– Luce?

– Gdzie jesteś?

– Przed blokiem Scotta. – Patrzę na parking, pełen porzuconych samochodów i śmieci. Dzieciaki, choć powinny być w szkole, wychylają się z powybijanych okien wozów, przeskakują z dachu na dach. W posępnym wieżowcu większość okien jest pozabijana deskami, w pozostałych, brudnych i poplamionych, wiszą strzępy zasłon. Monstrualny budynek wznosi się w niebo, rzuca ponury cień na krajobraz poniżej.

– Masz coś? – pyta Lucinda.

– Nic. Ani śladu białej furgonetki. Mieszkanie jest puste. – Zerkam w jego okno, wzdrygam się wspomnienie brudu i syfu, który tam zastałem za wyważonymi drzwiami. I ten smród. Do tej chwili wierci mnie w nosie.

– Może ja coś mam.

Prostuję się gwałtownie, od razu czujny.

– Ostatni wyrok Scott odsiadywał w Borstal. Osiem tygodni temu wyszedł warunkowo. Raz w tygodniu ma się meldować kuratorowi w Shoreditch. Ten dzień przypada dzisiaj, Jake. Jeśli

przestrzega warunków zwolnienia, powinien tam teraz być.  
Przesyłam ci adres kuratora.

Odpalam silnik, wyjeżdżam z parkingu w obłoku kurzu, przy wtórce wrzasków dzieciaków.

– Świetnie mu idzie przestrzeganie prawa – cedzę przez zęby. Nie zawracam sobie głowy zwalnianiem na skrzyżowaniu, zmuszam sfatygowanego forda escorta, żeby ustąpił mi drogi. – Moim zdaniem ktoś mu zapłacił za porwanie Camille. Pamiętaj o mailach Logana. Pewnie nadawca wkrótce się odezwie. – Rzucam telefon na fotel pasażera i jak szatan pędzę do Shoreditch.

Na ulicy panuje spory ruch, więc muszę zwolnić. Przyglądam się każdej mijanej twarzy. Objężdżam budynek, w którym mieści się biuro kuratora, co najmniej dziesięć razy. Z każdą drogocenną mijającą minutą serce bije mi wolniej. Nigdzie nie widzę białej furgonetki. Cami jest pewnie przerażona. Scott musi się zameldować kuratorowi dopiero za tydzień. Być może czeka mnie kolejny tydzień czekania na trop, który mnie do niej doprowadzi.

– No, dawaj! – mruczę do siebie, skręcam w lewo i zaraz w prawo, zatrzymuję się na pasach, gdy na jezdnię wylewa się strumień dzieci. Maszerują jak mrówki, roześmiane, w parach, trzymając się za ręce. Mają na sobie odblaskowe kamizelki, tak że nie sposób ich nie zauważyć. Ile mogą mieć lat? Ze cztery? Tyle samo co Charlotte.

Jest moja. Ta mała dziewczynka to moja córka. Łatwo było o tym zapomnieć. Łatwo było uciec od nieszczęścia. Łatwiej było powiedzieć sobie, że nie jest moim dzieckiem, niż wziąć na siebie odpowiedzialność za opiekę nad nią. Wcale jej nie znałem. Ani ona mnie. Nie mógłbym być ojcem. Nie wiedziałbym jak. Abbie mogła się nią zająć, wychować na młodą damę, nie zatruwając jej życia toksycznym mrokiem. Tak było najlepiej dla niej. Dla wszystkich.

Odprowadzam dzieci wzrokiem, póki nie znikną w parku. Nauczyciele towarzysza im w równych odstępach, czuwają nad ich bezpieczeństwem. Dbają, żeby nikt ich nie porwał.

Piip!

Podskakuję nerwowo, gdy dźwięk klaksonu z samochodu za

mną sprowadza mnie na ziemię.

– Cholera – mruczę pod nosem, biorę się w garść i odjeżdżam. Muszę przy okazji wyminąć wóz, który zaparkował po niewłaściwej stronie.

I wtedy widzę.

Furgonetka.

Biała furgonetka.

Widzę zaledwie jej tył, znika za zakrętem jakieś trzysta metrów przede mną. Serce bije mi jak oszalałe, gdy dociskam gaz do dechy. Mknę ulicą z niebezpieczną prędkością, kątem oka zwracam uwagę na przechodniów, którzy lada chwila mogą mi wyskoczyć na jezdnię. Jednocześnie cały czas wpatruję się w róg, za którym zniknęła furgonetka.

– No, dawaj. – Zaklinam range rovera, żeby jechał szybciej, żeby pokonał zakręt, krzywię się, kiedy opony piszczą przeraźliwie.

Nie zwracaj na siebie uwagi. Trzymaj się z daleka.

Scott śledził Cami. Zna mój samochód. Zna mnie. Jadę kilka wozów za nim, czujny jak nigdy. Przed nami rondo. Droga rozdziela się na dwa pasy, ale ciągle jadę tym samym, chowam się za sznurem samochodów. Kiedy furgonetka wjeżdża na rondo, korzystam z okazji, sięgam do schowka, wydaję lornetkę, przybliżam tablicę rejestracyjną. Słyszę, jak głośno wypuszczam powietrze z płuc. To on.

Dzwonię do Lucindy, nie odrywając wzroku od furgonetki. Widzę, że zjeżdża trzecim zjazdem na City Road.

– Mam go – rzucam, ledwie odbiera. – Jakies maile? Żądania okupu?

– Nic, mam rękę na pulsie – zapewnia. – Uważaj na siebie, Jake.

Kiwam głową i rozłączam się. Nie zdołam rozwiązać jej obaw. A potem zaciskam obie dłonie na kierownicy i brnę przed siebie. To najdłuższa podróż w moim życiu.

Po drodze zatrzymuje się dwukrotnie, raz na stacji benzynowej, gdzie kupuje butelkę wody i przywiędłą kanapkę, i

kilka mil dalej, przy zabudowaniach fabrycznych, gdzie do wozu wsiada niechlujny chudzielec z długimi, tłustymi włosami i haczykowatym podbródkiem.

Zabierz mnie do mojej dziewczyny – szepcę, jadąc powoli za nimi. Niezliczone zakręty, światła i milion uderzeń serca później skręcają w pustą drogę, która prowadzi do ruin fabryki.

Zjeżdżam na pobocze, parkuję wśród posepnych, marnych krzewów o martwych, zdrewniałych gałęziach. Ale stanowią wystarczającą osłonę. Dalej biegnę zgięty w pół, jak najniżej. Widzę, jak furgonetka podjeżdża na tył fabryki. Dopadam niszczyjących murów. Przez chwilę chciwie chwytam powietrze w płuca, staram się wyrównać oddech. Wyjmuję telefon, wyciszam dzwonek. Wolę dmuchać na zimne. Chowam aparat z powrotem do kieszeni, za to w mojej dłoni ląduje heckler. Odbezpieczam broń.

Do tej pory musiałem nad sobą panować, powstrzymywać, choć najbardziej na świecie chciałem zepchnąć furgonetkę z drogi i torturami wydusić ze Scotta informację, gdzie przetrzymuje Cami. Tłumaczenie sobie, że nie mogę tego zrobić, że może wcale jej tu nie ma, to najgorsza walka, jaką w życiu stoczyłem. Idę równym, spokojnym krokiem, ostrożnie, trzymam się bisko odrapanych murów porzuconej fabryki. Czujnie nadstawiam ucha. Słyszę szcęk zamykanych drzwi i zgrzyt butów na żwirze. Ciszę przerywa zgrzyt metalu o metal. Ostrożnie wyglądam zza rogu i widzę wielkie metalowe drzwi. Unoszę dłoń do czoła i ścieram krople potu. Mrugam szybko, żeby nie tracić ostrości widzenia.

Niewidoczny i nieznany – to część mnie. Nie mogę pozwolić, by rozpacz i zaangażowanie wzięły górę. Nie po raz drugi. Podkradam się do drzwi, chwytam za klamkę, ciągnę lekko, krzywię się, gdy metal zgrzyta o zardzewiałą framugę. Stęchły zapach uderza mnie w twarz, a wraz z nim dociera powiew chłodnego powietrza i echo ich głosów.

Cicho zamykam drzwi za sobą i idę w kierunku głosów, dobywających się z gardeł, które zamierzam poderżnąć. Otaczają mnie zapomniane maszyny, przypominające staroświeckie narzędzia tortur, a nie wyposażenie fabryki. Nadal ich słyszę, w

oddali. W starym budynku dźwięk niesie się w stęchłym powietrzu. Mijam kolejne pomieszczenia. Cały czas trzymam broń gotową do strzału. Wzrokiem przeczesuję każdy centymetr powierzchni.

A potem głosy przestają mówić, a moje stopy – iść. Chowam się za potężną machiną i wstrzymuję oddech. Ciszę przecina zgrzyt przesuwanego metalu, a potem zdyszany oddech jednego z mężczyzn.

Jednego z mężczyzn.

– Co jest, do cholery?

Odwracam się gwałtownie i widzę skrzywionego chudzielca, którego Scott zgarnął po drodze. Podnosi rękę z pistoletem. Nie zawracam sobie głowy, instynktownie celuję i strzelam, zanim zdążył odnaleźć palec spust.

Huk jest ogłuszający, rykoszet trafia w żelazną machinę. Patrzę, jak mężczyzna pada jak długi.

Ledwie upadł, puszczam się biegiem, gnam przez fabrykę, starając się jednocześnie ze wszystkich sił jak najciszej stawiać stopy na betonowej podłodze. Łatwiej to powiedzieć niż zrobić, kiedy masz przed oczami cel, kiedy czujesz go w żyłach, kiedy od niego kręci ci się w głowie. Kolejny raz ocieram pot z czoła, zanim zaleje mi oczy i ograniczy widoczność, pokonuję kolejne zakręty i nasłuchuję czujnie. I w końcu coś słyszę. Zwalniam, zatrzymuję się. W chaosie moich myśli wychytuję zgrzyt metalu o metal. Prostuję się, przywieram plecami do zardzewiałej metalowej płyty. Powoli unoszę pistolet i wychylam się zza rogu.

Od razu wiem, gdzie ją trzymają. Drzwi są uchylone, ze środka dobiega stłumiony odgłos szurania. Schylony, idę ostrożnie w tamtą stronę, szerzej otwieram drzwi. Odrobinę, na tyle, żeby móc zajrzeć do środka.

To, co widzę, mogłoby mnie złamać. Otwieram drzwi na oścież, staję w progu na szeroko rozstawionych nogach. Wymierzam pistolet.

Poznaję Scotta ze zdjęcia. Przyciska Cami do siebie, przywiera do jej pleców i przykładą jej nóż do gardła. Dłonie mu

drżą, z czoła spływa pot. Jest w panice, a przez to staje się jeszcze groźniejszy.

Cami milczy, jej głowa przywiera do jego brudnej koszuli, tak że widać całą jej piękną, długą szyję. Ma związane ręce i zakneblowane usta, jej oczy zakrywa strzęp materiału. Fakt, że nie widzę jej oczu, to dla mnie jedyna pociecha. Jej strach wytrąciłby mnie z równowagi, a muszę zachować spokój. Teraz bardziej niż kiedykolwiek muszę nad sobą panować.

– Poderżnę jej gardło! – wrzeszczy Scott. Cofa się, ciągnie ją za sobą. Niezdarnie powłóczy nogami po brudnej posadzce. – Nie myśl, że tego nie zrobię!

Odnajduję jego wzrok, przykuwam do siebie. Najwięcej o człowieku można powiedzieć po jego oczach. W jego, oprócz zdenerwowania, czai się zło. Nie wątpię, że popełnił wszystkie czyny, które mu zarzucano.

Gwałt.

Na moment tracę koncentrację. Zmuszam się, by odepchnąć koszmarnie myśli od siebie. Jeśli w ogóle o tym pomyślał, to...

Zmuszam się, by się skupić.

– Dla kogo pracujesz? – pytam spokojnie, z bronią opuszczoną, ale gotową do strzału. Niewykształcony śmieć. W życiu nie zaplanowałby porwania.

– Niczego ci nie powiem.

– Jak się porozumiewasz ze zleceniodawcą?

– Pieprz się. – Cofa się kolejny krok. Oddechem muska twarz Cami. Wzdryga się, czując na skórze drobinki jego śliny, a ja znowu tracę koncentrację. Dzieli mnie od Cami zaledwie dziesięć metrów, a nie mogę jej dotknąć. Ostrze napiera na jej szyję, faluje z jej oddechem. Jest brudne, rękojeść noża – powyginana i zardzewiała. Taki nóż nie tnie gładko, tylko piłuje bezlitośnie.

Przełykam z trudem, zaciskam dłoń na rękojeści pistoletu.

– Popełniłeś cholerny błąd, przyjmując to zlecenie – mówię głosem, w którym pobrzmiwa groźba. Nie powinien jej lekceważyć. Przechylam głowę, zmuszam się, by Cami stała się tylko niewyraźną plamą. Zaciskam zęby. – Cholerny błąd –

powtarzam cicho.

Widzę, że zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, gdy ręka mu drga, nóż wbija się w szyję Cami, słyszę jej stłumiony krzyk, widzę kroplę krwi. Spływa wzdłuż jej gardła.

Wściekłość. Wszechogarniająca, prymitywna wściekłość.

Robię krok do przodu, czuję, jak mnie ogarnia, jak rozpala ogień w żyłach.

Spokój.

Muszę. Zachować. Spokój.

Nie jest to łatwe, kiedy w myślach szykuję się do oddania najważniejszego strzału w życiu.

– Nie zbliżaj się! – krzyczy Scott z paniką w głosie.

– Żegnaj. – Mrużę jedno oko, unoszę rękę i pociągam za spust.

Bang! Widzę kulę, widzę, jak zmierza do celu z przerażającą dokładnością, widzę, jak wbija się w sam środek jego czoła.

Osuwa się ciężko na ziemię. Jego krew tryska na twarz Cami.

## Rozdział 34

### CAMI

Moje modlitwy i wizualizacje podziałały. W myślach przeżyłam ponownie każdą spędzoną z nim chwilę. To była doskonała ucieczka, coś, co pozwalało mi zapomnieć o brutalnej rzeczywistości. Kiedy tylko usłyszałam stłumiony strzał w oddali, wiedziałam, że mnie odnalazł. Ktoś dźwignął mnie z podłogi, a potem usłyszałam głos Jake'a.

Myślałam, że nie zniosę bliskości spoconego porywacza. Czulałam całym ciałem wstrząsające nim dreszcze, starałam się nie reagować. Zmuszałam się do bezruchu. Resztkami energii nakazywałam sobie spokój. Prawie nie oddychałam.

A to dlatego, że wiedziałam, co robi Jake. Słyszałam jego myśli. Widziałam, jak tryska kora martwego drzewa w zaczarowanym lesie. I wiedziałam od razu, że porywacz zaraz zginie.

Huk w uszach sprawia ból, ciepła ciecz na twarzy budzi obrzydzenie, ale nie mogę jej zetrzeć. Bez wsparcia porywacza osuwam się na betonową podłogę. Długo wstrzymywany oddech nagle chce wyrwać się z piersi, knebel w ustach nie pozwala zaczerpnąć tchu.

Zdaję sobie sprawę, że w pomieszczeniu jesteśmy tylko we dwoje z Jakim – w każdym razie tylko my dwoje żyjemy – ale i tak drgam jak spłoszone zwierzę, gdy obejmuje mnie swoimi silnymi dłońmi i sadza sobie na kolanach.

Porusza się zwinnie, rozwiązuje mi ręce, aż czuję ulgę w obolałych kościach, a zastałe mięśnie boleśnie budzą się do życia. Poruszam nieśmiało rękami i czuję w nich przeszywający ból, gdy Jake zrywa mi opaskę z oczu. Zaciskam powieki, bo po tak długim czasie w ciemności nawet przyćmione światło mnie razi.

– Jezu, Cami – szepcze, gładzi mnie po twarzy, obmacuje



mnie szybko, nerwowo. – Aniołku, otwórz oczy. – Wyjmuje mi knebel z ust. Zachłystuję się powietrzem, aż pieką mnie płuca. Nieśmiało unoszę powieki, tylko odrobinę, za wszelką cenę chcę go zobaczyć, ale nadal nie wytrzymuję światła. Jego mocne uda pode mną dodają otuchy i siły. Jestem zbyt słaba, by go objąć, bolą mnie oczy, zaschło mi w ustach.

A mimo to nigdy w życiu nie byłam równie spokojna. Jestem bezpieczna i pełna nadziei. Jestem też zdecydowana. Po tym, co oboje przeszliśmy, nic nas nie rozdzieli. Ani jego ukryte demony, ani wrogowie mojego ojca, ani też jego oczekiwania. Nic.

Otwieram oczy, mrugam nerwowo, aż odzyskuję ostrość widzenia. Jake jest ciemną plamą nade mną, sylwetką mężczyzny, którego kocham. Cieniem.

Denerwuję się, jestem na siebie wściekła za to, że nie widzę go wyraźniej. Unoszę ręce do twarzy niepewnym, chwiejnym ruchem, dotykam oczu palcami, zmuszam się, by widzieć lepiej. I próbuję jeszcze raz, unoszę powieki i szukam go. Powoli odzyskuję ostrość widzenia. Zaczynam go dostrzegać. Jego twarz, wyraźną, cudowną. W życiu nie widziałam nic piękniejszego. Przełykam ślinę, otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogę rozdzielić warg i frustracja narasta. Tyle chciałabym mu powiedzieć. Musi wiedzieć, że go akceptuję. Jego sekrety, pomyłki, wyrzuty sumienia. Musi wiedzieć, że pomogę mu wszystko naprawić. Ale słowa nie przychodzą, i kiedy kładzie mi palec na ustach na znak, że mam milczeć, ulegam od razu.

– Wiem – mówi cicho, kładzie mi rękę na policzku, gładzi go delikatnie. – Wiem, aniołku.

Mogę tylko skinąć głową. To ledwie zauważalny ruch, ale na więcej mnie w tej chwili nie stać, a kiedy się uśmiecha – smutno, ale zarazem z ulgą – wiem, że zrozumiał. – Zabieram cię do domu – mówi miękko, układa mnie w swoich ramionach. – Dasz radę się przytrzymać?

Kosztuje mnie to dużo wysiłku, ale zarzucam mu ręce na szyję i przywieram do niego, gdy wstaje.

– Nie patrz – prosi cicho, odwraca się, ale zdążam jeszcze

zauważyć ciało na ziemi, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Przerazająca kałuża krwi przy głowie nie budzi mojego obrzydzenia. Patrzę mu w twarz. Ma szeroko otwarte oczy i usta.

– Nie znam go. – To stwierdzenie bierze się nie wiadomo skąd. Nagle odzyskałam głos.

Jake unosi jedną rękę, drugą tuląc mnie do piersi, i wolną dłoń unosi do mojego policzka, tak że kładę mu głowę na ramieniu.

– Ciii – ucisza mnie. Kołyszę się w rytm jego kroków, gdy mnie stąd zabiera.

Patrzę na jego zarośniętą szyję, słucham bicia jego serca. Jest skoncentrowany, skupiony. Zaciska usta w wąską linię.

Wychodzimy na zewnątrz. Ukrywam twarz w połach jego koszuli, unikam blasku słońca, głęboko oddycham przez nos, upajam się jego zapachem i świeżym powietrzem. Do jego samochodu jest daleko, ale Jake się nie męczy. Trzyma mnie mocno, nie zwalnia kroku. Jest jak robot, jak maszyna zaprogramowana do działania.

Ostrożnie sadza mnie w fotelu pasażera, daje mi czas, żebym przywykła do nowej pozycji. Nagle wszystko mnie boli. Otwiera schowek przy kierownicy, wyjmuje chusteczki, delikatnie wyciera mi twarz, z czułością zmywa z niej brud i krew. Dotyka mojego podbródka, unosi go odrobinę, koncentruje się na mojej szyi, więc wyciągam rękę i dotykam ranki.

Powstrzymuje mnie.

– Nie ruszaj. – Kładzie moją dłoń na kolanach, zapina mi pas bezpieczeństwa, korzystając z okazji muska ustami moje czoło.

Drzwi się zamykają, w ułamku sekundy jest przy mnie, odpala silnik, wyjmuje telefon z kieszeni, wybiera numer.

– Mam ją – mówi, do Lucindy, jak się domyślam. – Przy autostradzie A505, w starej fabryce Warston, są dwa trupy. – Skręca w wyboistą drogę, zawraca zwinnie. – Daj Loganowi znać, że jest cała i zdrowa. – Milczy, słucha uważnie, zerka na mnie. – Mam telefon jednego z nich.

Ściągam brwi. Usiłuję nadażyć za tą rozmową, ale słyszę za

mało, by cokolwiek zrozumieć.

– Powinien zaraz zadzwonić.

Niczego już nie pojmuję. Kto? Przecież ich zabił!

– Zobaczymy się na miejscu. – Rozłącza się i patrzy na mnie.

– W porządku?

– Co za telefon? Kto zadzwoni? – Po mojej uldze nie ma śladu, przerodziła się w lęk.

– Nie wiem – przyznaje. – Twój ojciec nie był z nami do końca szczerzy. – Mówi niechętnie, jakby nie chciał tego robić. – Pewne rzeczy wolał zachować dla siebie.

– Na przykład?

– Na przykład informacje o pogroźkach, które pomogłyby nam namierzyć jej nadawców.

– Ale dlaczego? – Nie rozumiem tego. – Przecież uznał, że nie jesteś już potrzebny! Powiedział, że sprawa załatwiona! Dlaczego, skoro wiedział, że nadal coś mi grozi? – To wszystko kupy się nie trzyma. Nawet jego przekonanie, że Jake nie jest dla mnie dość dobry, nie tłumaczy takiej decyzji. Nie mieści mi się w głowie, że postąpił tak nierozsądnie.

Na twarzy Jake'a maluje się gniew. Na szczęście nerwowo drga mięsień. Domyślam się, że jest tego samego zdania.

– Był zdesperowany – wyrzuca z siebie. Wzdycham. Nie pojmuję, dlaczego ojciec posuwał się do takich rzeczy, żeby nas rozdzielić, zamiast cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa, które mi zapewnia. Mam poczucie, że rzucił na szalę moje życie. Jak mógł? Rodzony ojciec?

– Jak mnie znalazłeś?

Uśmiecha się teraz, wpatrzony w drogę.

– Już ci mówiłem, aniołku. – Znajduje moją dłoń, ściska lekko. – Zawsze cię znajdę.

Uśmiecham się, opadam na siedzenie, odwzajemniam jego uścisk. Przez całe życie walczyłam o niezależność. Sprzeciwiałam się wszystkim, którzy chcieli mi ją odebrać. A teraz w jednej chwili zrezygnowałabym z niej dla Jake'a. Gdybym musiała wybierać, zawsze wybrałabym jego. Ale wiem już, że nie będę do

tego zmuszona i dlatego kocham go jeszcze bardziej. Znalazłam mężczyznę, który mnie widzi taką, jaka jestem. Wspiera mnie. Zawsze, bez względu na wszystko, będzie przy mnie. Bez osądzania, bez warunków, bez korzyści, poza moją miłością. Bo go kocham. Bezwarunkowo. Tak samo jak on mnie, wiem to.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Do domu.

– Czyli? Gdzie jest dom?

– A gdzie chcesz, żeby był? – Patrzy na mnie z nieprzenikniętą miną, czeka na moją odpowiedź.

– Tam, gdzie ty – odpowiadam. – Mój dom jest tam, gdzie ty.  
– Nieważne gdzie.

Kiwa głową ze zrozumieniem i ponownie skupia się na drodze. Przechyliłam głowę na bok, obserwuję go podczas jazdy. Wygląda, jakby zawędrował do samego piekła, jest rozczochrany, zarośnięty, spocony, ma zmęczone oczy.

– Kocham cię – mówię, bo wydaje mi się, że powinien to teraz usłyszeć. – I będę przy tobie, gdy będziesz to wszystko naprawiał.

Patrzy na mnie, ale nic nie mówi, tylko uśmiecha się lekko.

Póki Jake nie zatrzymał się i nie wyłączył silnika, nie wiedziałam, gdzie jestem. Zdumiona, odrywam wzrok od jego profilu.

– Biuro ojca? – mówię zdziwiona. – Mówiłeś, że zabierzesz mnie do domu. – Już wiem, że mój dom jest tam, gdzie on, ale nie tutaj.

– Mały objazd. Nie jestem zachwycony, że cię tu przywiozłem, ale nie jestem w stanie spuścić cię z oczu. – Wysiada, obchodzi samochód, otwiera mi drzwiczki. Dopadają mnie dreszcze. Nie spodziewałam się tego. Nie mam siły na konfrontację z ojcem. Nie teraz.

Jake otwiera drzwiczki i pomaga mi wysiąść.

– Dlaczego teraz? – pytam, wpatrzona w budynek. – Nie mogę...

– Ej. – Kładzie mi palec na ustach i mnie ucisza. – Tym

razem obejdzie się bez kłótni i prób rozdzielenia nas.

Skąd to wie? Przecież tu chodzi o mojego ojca. Czy on się jeszcze niczego nie nauczył?

– Ja nie...

Dotyka palcem moich ust.

– Zaufaj mi, aniołku.

Zaufać mu? Musiałabym się sporo namęczyć, żeby znaleźć powód, dla którego mogłabym mu nie zaufać. Chronił mnie przez cały czas. Przed moim ojcem, byłym chłopakiem.... Przed swoimi demonami.

Kiwam głową, przesuwam wzrok na przeszklone drzwi i szykuję się na spotkanie z ostatnim człowiekiem, którego teraz chcę widzieć. To wszystko wydarzyło się przez niego. Przez jego egoizm. Jego obsesję na punkcie władzy i zwycięstwa, za wszelką cenę, w każdej dziedzinie.

Tym razem przegrał i to najdotkliwsza klęska, z którą przyszło mu się zmierzyć. Stracił mnie.

– Chodźmy. – Jake przytula mnie do siebie, idzie powoli, nie ponagla mnie. Nie musi. Sama zdecydowałam, że chcę mieć to już za sobą.

O dziwo, strażnik nawet okiem nie mrugnie, kiedy Jake lekceważy punkt prześwietlania i prowadzi mnie w kierunku wind. Barbary, wiecznie cierpiącej asystentki ojca, nie dziwi moja niezapowiedziana wizyta ani mężczyzna, który wraz ze mną mija jej biurko. A Jake nie puka do gabinetu ojca, tylko wchodzi bez zapowiedzi. Marszczę brwi na widok wyrwanej framugi. Wchodzimy do środka. Jake obejmuje mnie mocniej.

Ojciec nie siedzi za biurkiem jak na tronie. Przechadza się nerwowo, niechlujny jak nigdy. Na mój widok załamuje się, zaczyna płakać, a ja jestem w autentycznym szoku.

– Bogu dzięki! – Rzuca się w moją stronę, ale staje gwałtownie, zanim zdąży mnie objąć. Ze zdumieniem widzę, jak pytająco patrzy na Jake'a. Co to ma znaczyć, do cholery? W duszy przeklinam Jake'a, że wypuścił mnie z objęć i wydał na pastwę łap ojca.

Ojciec ściska mnie jak nigdy dotąd. Nie odwzajemniam gestu. Jak mogłabym to zrobić, skoro wcale nie cieszę się na jego widok? Okłamywał mnie. Robił, co w jego mocy, by wmówić mi, że Jake nie jest mężczyzną dla mnie, a kiedy to spaliło na panewce, naciągnął prawdę i powiedział mi, że Jake ma żonę. Nie raczył natomiast wspomnieć, że ta żona nie żyje. Jakby tego było mało, zapłacił Sebastianowi, żeby wniósł oskarżenie przeciwko Jake'owi, chcąc tym sposobem nas rozdzielić. Zawsze wiedziałam, że jest bezwzględny, ale coś takiego? Nigdy tego nie zrozumiem. Nie chcę go więcej widzieć.

– Camille, tak mi przykro.

Patrzę na Jake'a i wyczuwam wewnętrzną walkę, którą toczy w duszy. Chce mnie wyrwać z jego objęć. I ja też tego chcę. Należę do niego.

– Chcę do domu – mówię. Nieswojo się czuję, widząc nagły przyływ uczuć ojca. Nie podoba mi się, że nagle skupia na mnie całą swoją uwagę.

Ojciec odsuwa się, z trudem przetyka ślinę, mierzy mnie wzrokiem od stop do głów. Nie ruszam się, czekam, aż się napatrzy. Niech zobaczy, do czego doprowadził.

– Tak się cieszę, że jesteś cała i zdrowa.

– To akurat nie twoja zasługa – rzucam odruchowo i zamykam się w sobie. Chcę stąd wyjść. Nie pozwolę, by znowu mnie omotał swoimi wyjaśnieniami. Nie tym razem. Już nie.

Wzdryga się, dotknięty, ale mu nie współczuję. Stałam się suką o lodowatym sercu.

– Gwiazdeczko, posłuchaj, ja...

– Nie! – krzyczę i zaskakuję sama siebie mocą mojego głosu. Cofam się. Jake obejmuje mnie i ucisza, przytula do siebie, gładzi po włosach. – Zabierz mnie do domu – proszę i czuję, jak nabiera tchu. – Proszę.

– Camille, wysłuchaj mnie. Chcę ci wyjaśnić.

Posyłam ojcu najbardziej pogardliwe spojrzenie, na jakie mnie stać, ale zanim dobieję go ostrymi słowami, do gabinetu wpada Lucinda z poważną miną. Patrzy na mnie, mierzy mnie

wzrokiem i uśmiecha się pod nosem. Odwzajemniam uśmiech. W głębi duszy mam do siebie żal, że uderzyłam ją w głowę i uciekłam.

Koncentruje się na Jake’u, znowu śmiertelnie poważna.

– Chyba coś mam – zaczyna.

Sztywnieje, czuję to całym ciałem.

– Co?

Wodzi wzrokiem między nami. Domyślam się dlaczego. To delikatna sprawa. Może nie powinnam tego słyszeć. Już i tak dosyć się wycierpiałam.

– Mów – ponagla Jake. Podnoszę głowę i widzę, że wpatruje się w mojego ojca... z błaganiem w oczach?

Ojciec wierci się niespokojnie.

– Proszę mówić – mamrocze, podchodzi do biurka i ciężko osuwa się na fotel. – Już i tak za późno.

Lucinda podchodzi do biurka i jednocześnie wyjmuje laptop z plecaka.

– Ustaliłam, że Scott zawarł w więzieniu ciekawą znajomość. Plecie bzdury. Nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Ciekawa zazwyczaj oznacza: ważna. – Jake odwraca nas w kierunku biurka. Patrzę na ojca. Wydaje się załamany, w niczym nie przypomina mężczyzny, którego znałam.

– Siedział w jednej celi z Vladimirem Sochinskim.

Nic mi to nie mówi. Przynajmniej w pierwszej chwili.

Ojciec wybałusza oczy.

– Sochinsky? – powtarza. – To panińskie nazwisko matki TJ-a. A Vladimir to jej najstarszy brat.

Jak na umówiony sygnał, TJ wpada do gabinetu.

– O Boże, jesteś cała i zdrowa! – Rzuca się na mnie, aż się zataczam, gdy obejmuje mnie z całej siły. – Jezu, Cami, tak bardzo się martwiłem.

W jednej chwili jestem w ramionach brata, w następnej już nie. Jake mnie odciąga i mierzy TJ-a morderczym wzrokiem.

– Gdzie byłeś? Skąd wiedziałeś, że Cami porwano? – wypytuje podejrzliwie.

– Tata do mnie dzwonił. – TJ marszczy brwi i rozgląda się po twarzach zebranych. Wiem doskonale, co w tej chwili chodzi po głowie Jake’a, i muszę natychmiast położyć temu kres. Nigdy w życiu! TJ mnie kocha!

– Nie, Jake. – Wyrywam się z jego objęć.

– Nie waż się rzucać pustych oskarżeń! – Za moimi plecami rozlega się oburzony krzyk ojca. Jake się poruszył, obrócił nas, i nagle stoję z nim twarzą w twarz. – TJ jest do bólu lojalny!

– Przykro mi, że nie do końca wierzę w uczciwość tej rodziny. – Słowa Jake’a sypią sól na otwarte rany.

Ociec wycofuje się od razu. Patrzy mi w oczy.

– TJ nie zrobiłby tego – szepcze. – To mój syn. Brat Camille.

– Co takiego? – TJ nie wierzy własnym uszom. – Czy ktoś tu sugeruje, że porwałem własną siostrę, żeby wymusić okup na własnym ojcu? Jak można wpaść na coś równie głupiego?

– Normalnie – odpowiada Lucinda. Podchodzi bliżej, mierzy TJ-a baczynym wzrokiem. Nie podoba mi się ta podejrzliwość wobec mojego brata. To szaleństwo! – Na przykład tak, że facet, który porwał Camille, a który teraz leży w starej fabryce z dziurą w czole, siedział w Borstal w jednej celi z twoim wujkiem.

TJ-owi rzędzie mina.

– Z moim wujkiem? – powtarza cicho i patrzy na mnie. Wydaje się zagubiony. Niczego już nie wie. Swojej matki nie widział, odkąd ojciec się z nią rozwiódł i w sądzie wywalczył opiekę nad synem, a ona wróciła do Rosji.

– Vladimir Sochinsky. Najstarszy brat twojej matki. – Lucinda cedzi słowa i obserwuje jego reakcję. – Szantażował twojego ojca.

– Usiłowała się ze mną skontaktować – szepcze TJ, unosi rękę do piersi, przyciska do serca. – Powiedziałem, że jej nie potrzebuję. – Patrzy na ojca, na swojego idola, i nagle schodzi z niego powietrze. – Powiedziałem jej, że dobrze mi z tatą i że jej nie chcę. Od tego czasu się do mnie nie odzywała.

– Kiedy to było? – pyta Jake.

TJ bezradnie kręci głową.



– Nie wiem, jakieś trzy miesiące temu?  
– Kiedy zaczęły się pogrożki? – Jake patrzy na ojca.  
– Dwa miesiące temu – odpowiada. – Jej brat zawsze mnie nienawidził. Ale nie mam pojęcia, jak zdobył te fotografie.  
– Śledzili cię, to jasne. Szukali czegoś, co mogliby wykorzystać przeciwko tobie. Może nawet to ustawili. – Jake mierzy ojca oskarżycielskim wzrokiem. – A ty im dałeś to, czego chcieli.

Dał im? Czego chcieli?

TJ patrzy na mnie ze smutkiem.

– To wszystko moja wina.

Ojciec zrywa się z krzesła, podbiega do syna, obejmuje go, ściska. Dziwny widok. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ojciec przytulał mojego brata. Zawsze stosował zimny chów. Trzeba być twardym, nie miękkim.

– To nie twoja wina, synu, tylko moja, wyłącznie moja. Moje wybory i moje błędy. Popełniłem straszliwe błędy.

Obawiam się, że zemdleję z wrażenia. Coś takiego, mój ojciec przyznaje się do błędu?

– Jakie błędy masz na myśli, tato? – pytam. – Co im dałeś przeciwko nam?

Daje sobie spokój z pocieszaniem mojego brata, przestaje całować go w głowę, przenosi wzrok na Jake'a.

– Powiedziałaś jej?

– Nie chcę nastawiać jej przeciwko tobie. Sam to zrobiłeś – odpowiada cicho Jake.

– Co? – nalegam. Wodzę wzrokiem od jednego do drugiego.

– Podjąłem niewłaściwą decyzję, z powodu której mieli na mnie haka – mamrocze ojciec pokonany.

– Niewłaściwą decyzję? – powtarzam. Obserwuję Jake'a. Staje koło mnie. Ciekawe, skąd we mnie przekonanie, że robi to, bo czuje, że będę potrzebowała jego wsparcia.

– Chodzi o fotografie. – Ojciec wzdycha i wierci się niespokojnie. – Kompromitujące fotografie.

– Co na nich jest? – Rozglądam się po twarzach zebranych i

widzę zmieszanie na twarzach Jake'a i Lucindy. TJ natomiast jest wyraźnie zbity z tropu.

– Ja. I kobieta. – Ojciec coś ukrywa, zdradza to pot na jego czole i fakt, że uparcie nie patrzy mi w oczy.

– Co za kobieta? – Nie daję za wygraną, złość się już, choć jeszcze nie znam całej prawdy.

– Młoda.

– Powiedz mi wreszcie, do cholery! – krzyczę, odpycham Jake'a, gdy usiłuje mnie uspokoić. – Przestań się ze mną cackać i powiedz prawdę!

– Miała piętnaście lat – sapie zawstydzony. – Ale ja o tym nie wiedziałem!

TJ głośno nabiera tchu, z niesmakiem patrzy na swojego idola, a ja kulę się w sobie.

– Szantażowali mnie. Myślałem, że sam sobie z tym poradzę. Zatrudniłem Sharpa, żeby cię chronił. Tylko to się liczyło, gwiazdeczko! Twoje bezpieczeństwo! Ale on zaczął węszyć, był niebezpiecznie blisko prawdy. Nie chciałem, by ktokolwiek się o tym dowiedział!

I tu jest pies pogrzebany. Tylko ja się liczę? Moje bezpieczeństwo? Skoro tak, dlaczego do cholery odwołał Jake'a? Kpina w żywe oczy! Interesuje go jedno – własna reputacja. I pieniądze. I firma.

– Muszę iść. – Patrzę na Jake'a, upewniając się, że widzi moją desperację. Słyszałam już dość. – Proszę – dodaję.

Wiedział. Jake wiedział. Nie mogę się na niego gniewać. Nie mogę mieć do niego pretensji, że mnie nie informował. Chronił mnie. Nawet teraz, po tym wszystkim, co mój ojciec nam urządził, nie chciał, żebym w pełni zdawała sobie sprawę z żenujących postępów ojca.

Jake kiwa głową, chce do mnie podejść, ale wtedy dzwoni telefon. Marszczy brwi, szuka go w kieszeni i wyjmuje tani aparat, którego nigdy dotąd nie widziałam.

– Numer zastrzeżony – mówi, patrząc na Lucinę.

– Nie na długo – odpowiada, bierze od niego aparat, odbiera,

ale sama nic nie mówi. Słucha i słucha, uśmiecha się i bezgłośnie mówi coś do Jake'a: Rosyjski akcent. Podchodzi do komputera, podłącza do niego telefon, ucisza nas gestem.

Jake otwiera drzwi i wyprasza wszystkich. Lucinda zajmie się wszystkim. Zamyka drzwi, mija mojego ojca, podchodzi do mnie, unosi tak, że oplatom go nogami w pasie, a potem rusza do windy. Nie zwalnia nawet, gdy ojciec nas dogania i usiłuje mnie odciągnąć. Nic z tego. Obejmuję Jake'a równie mocno jak on mnie. Z łatwością odpycha ojca, a ja wtulam się w niego, jakby był wszystkim, co mam. Bo tak właśnie jest.

Silny.

Godny zaufania.

Mój obrońca.

## Rozdział 35

### JAKE

Nie dało się uratować Logana. Nie chciałem, by Cami poznała ogrom jego zepsucia w całej rozciągłości, ale koniec końców nie mogłem jej przed tym uchronić. Posunął się za daleko. Zależało mi, by uchronić ją przed bólem, ale i przed nim.

Nie dało się mu pomóc. Człowiek, który zawsze upajał się władzą, był teraz bezsilny. Skończony. Te zdjęcia nigdy nie znikną, nie załatwią tego żadne pieniądze, żadne kontakty.

Lucinda prześledziła połączenie wykonane z telefonu, który znalazłem przy ciele Scotta i tak trafiłem do domu w północnym Londynie. Policja zastała tam Vladimira Sochinsky'ego i pierwszą żonę Logana, matkę TJ-a, a także całe mnóstwo dowodów, dzięki którym trafią za kratki na długie lata. Był tam między innymi numer konta bankowego, który podano Loganowi. Pierwsza żona, jak się okazało, nie miała grosza przy duszy. Kiedy się rozstawali, Logan niewiele miał do zaoferowania i jej zgorzknienie, utracony syn i kłujące w oczy dzisiejsze bogactwo Logana stanowiły bardzo kuszącą kombinację. Czowała się oszukana, potrzebna tylko po to, by dać mu następcę. Logan sam się doigrał.

Dosłownie zaniósłem Cami do szpitala na badania, choć tego nie chciała. Ten nóż. Przeszywa mnie dreszcz, ilekroć o tym pomyślę. Brudne ostrze na jej szyi. Była zła, ale nie protestowała, nawet gdy zjawiała się policja. Obserwowanie, jak mój aniołek opowiada, co się z nią działo w rękach porywaczy, to najgorsze godziny mojego życia. Zaskoczyła mnie siła jej ducha. Jest waleczna. Moja mała bojowniczką.

Przyszła jej matka, pełna dramatyzmu, wykrzykująca polecenia na prawo i lewo. Jej matka. O Boże, jej matka. Urocza, ale denerwująca. Cały czas pławi się w glorii jedynej spośród żon Logana, która nie zwróciła się przeciwko niemu. Dziwny powód

do dumy, zwłaszcza że wiem, że najchętniej na świecie skopałaby mu tyłek. Fakt, że przestałby płacić jej alimenty, nie ma tu znaczenia. Wolałaby mieć w garści jego jaja niż pieniądze.

Wartość akcji Logana spadała na łeb na szyję, gdy zdjęcia ukazały się w prasie, a wydrukowały je wszystkie brukowce. Nie wiadomo, jakie układy miał z wydawcami – zdały się na nic. Aresztowano go za seks z nieletnią. Trzecia żona odeszła, w ciąży z innym, pierwsza usiłowała wyłudzić od niego pieniądze. Jest zniszczony.

TJ nadal jest w szoku. Podawano w wątpliwość jego uczciwość. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Od trzeciego roku życia nie widział matki, nie miał pojęcia, co planuje. Biedak jest załamany, ma wyrzuty sumienia, choć właściwie bez powodu. To nie jego wina; to wszystko sprawka ich ojca. Pieprzony zarozumialec zniszczył wszystko.

Media rzuciły się na sprawę jak sępy, dodając tu i ówdzie smakowite kąski, podkrecając coś, co już samo w sobie było sensacją. A przez cały ten czas Cami nie uroniła ani jednej łzy. Zachowała godność, nie rozmawiała z prasą, nie wypowiadała się na temat ojca. Porwano ją – wszyscy chcieli uszczknąć dla siebie kawałek tej rewelacji, ona jednak nie dawała im nawet okrucichów.

Nie sposób wyrazić słowami ulgi, którą odczuwam na myśl, że piekło, przez które przeszła, nie zostawiło żadnych trwałych śladów na jej psychice. Ilekroć na nią patrzę, przypominam sobie te wszystkie powody, dla których się w niej zakochałem. Tak cholernie silna. Żywię się jej siłą. Dodaje mi energii, sprawia, że chcę być takim mężczyzną, jakim już dawno powinienem się stać. Jestem tu tylko i wyłącznie dzięki niej. Nigdy jej tego nie wynagrodzę. Ale się postaram.

Dwa dni po konfrontacji w gabinecie Logana zadzwonił agent Camille z informacją o spotkaniu z inwestorem zainteresowanym jej i Heather linią odzieżową. Pomyślałem, że to chyba trochę za szybko, ale zachowałem tę myśl dla siebie. Cami była zbyt podekscytowana, nie chciałem jej tego odbierać. Następnego dnia wcale się nie zdziwiłem, gdy zerwała się o

świcie, gotowa jechać do biura agenta z naręczami projektów, próbek materiałów i oczywiście z Heather. Zaproponowałem, że je podwiozę, ale odmówiła ze znaczącym uśmiechem. Od tak dawna towarzyszę jej na każdym kroku, że z trudem się od tego odzwyczajam, powtarzam sobie, że już nic jej nie grozi.

Podczas jej nieobecności przechadzałem się nerwowo, aż niemal wydeptałem dróżkę w dywanie. Ledwie wróciła, po błysku w oczach wiedziałem, że jej się udało. Nie żebym w to wątpił. Proponowali majątek za ich linię odzieżową i wysłuchałem opowieści o spotkaniu z najmniejszymi szczegółami. Camille i Heather nie musiały iść na żaden kompromis. Dostały wszystko, na czym im zależało, na co tak ciężko pracowały. Jestem z niej cholernie dumny. Z nich obu właściwie.

Jeszcze dotąd nie widziałem Abbie ani Charlotte. Rozmawialiśmy przez telefon, Abbie połapała się w ostatnich wydarzeniach i była bardzo wyrozumiała. To dobra kobieta. Zawsze to wiedziałem. Powinienem być bardziej w nią wierzyć. W niczym nie przypomina swojej siostry. Mojej nieżyjącej żony. Abbie jest twarda i ciepła. Jestem jej wdzięczny. Kobieta mniejszego ducha już dawno postawiłaby na mnie krzyżyk.

Nie mogę się doczekać, aż zacznę to wynagradzać Charlotte, zacznę być obecny w jej życiu. Muszę zacząć zaraz, natychmiast. Planowałem to od pierwszej chwili, gdy wyszedłem z biura Logana z Cami w ramionach. Być może małej rozumek Charlotte nie ogarnie takiego ładunku syfu, modlę się jednak, żeby dała radę. Modlę się, żeby pozwoliła mi wytłumaczyć moją nieobecność. Modlę się, żeby jej czteroletni łepiek zrozumiał.

Minął tydzień. Siedzę na kanapie w saloniku Cami, słucham, jak rozmawia z matką przez telefon, z głową na moich kolanach, i psychicznie szykują się na dzisiejsze popołudnie. Wszystko już załatwione, zaplanowane razem z Abbie. Cami wie, czemu milczę i jestem spięty, ale nie robi z tego afery. Powiedziała jasno, że zrobimy to, gdy będę gotów.

Jestem.

Czekam cierpliwie, aż skończy rozmawiać z matką, wodzę

wzrokiem po jej ciele, napawam się widokiem mojej ukochanej koszulki, przeczesuję palcami jej włosy. Podnosi na mnie oczy rozjaśnione szczęściem.

– Co? – Pytająco unoszę brew. Staram się stłumić uśmiech. Leciutko wzrusza ramionami na moich udach.

– Nic.

– Z mojej perspektywy nie wygląda to na nic. Przegrywa walkę z uśmiechem.

– Mama pyta, kiedy pójdziemy na kolację.

O to chodzi?

– Możesz iść, kiedy tylko chcesz. – W moich słowach jest więcej szczerości niż w myślach. Nie spodziewałem się, że tak trudno będzie odpuścić. W kółko powtarzać sobie, że już nic jej nie grozi, to jedno; uwierzyć w to – to drugie.

Uśmiecha się szerzej.

– Ma na myśli nas wszystkich.

O Boże. Spotkanie towarzyskie?

– Nas wszystkich? – mamroczę pod nosem, nawijam sobie jej jasne włosy na dłoń, aż wypełniają ją całkowicie. – Nie jestem pewien, czy to w moim guście.

– A co jest w twoim guście?

– Ty. – To akurat proste. – Ty jesteś w moim guście.

– Pomyślisz o tym? – pyta z nadzieją w topazowych oczach.

Jak mógłbym jej odmówić? Od tak dawna byłem sam, że nie potrafię zachować się w towarzystwie. Prowadzić normalnej rozmowy.

– Tak – mówię i trącam ją lekko, kiedy siadam. Dla niej zrobię wszystko. – Wstawaj.

– Dlaczego? Dokąd się wybierasz?

Podnoszę się i patrzę na nią, leżącą na kanapie, niezdolną się ruszyć.

– Oboje się wybieramy.

– Tak?

– Tak. – Biorę ją za rękę, ciągnę na tyle mocno, że kiedy wstaje, zatacza się na mnie. Muśnięcie jej oddechu na szyi

sprawia, że uginają się pode mną kolana. Perspektywa całego życia z nią sprawia, że warto było przeżyć te wszystkie zawały, których doznałem, odkąd poznałem Camille Logan.

– Ubieraj się. – Całuję ją i zarazem odpycham. Świadom, że jeśli dotkniemy się biodrami, już po mnie.

Nie możemy się spóźnić.

Mruczy coś niewyraźnie, ulega mi, odrywa się od moich ust i mruży oczy.

– Nie wiem, dokąd idziemy. Jak mam się ubrać?

– Ładnie. Dziewczęco. – Dotykam jej włosów. – I zaplecę sobie warkocz, taki z jednej strony – mówię. Stanowczo, tak, jak to czuję. Uwielbiam ją w takiej fryzurze. Lekko rozczochrana i słodka.

– Makijaż? – pyta, choć doskonale zna odpowiedź na to pytanie.

– Prowokujesz mnie?

– Tak. Lubię, kiedy jesteś taki władczy. – Posyła mi całusa i obraca się na pięcie. Idzie do łazienki, kusząco kołysząc biodrami. Ta koszulka. Prosta i seksowna. Camille Logan nie można ignorować. Nie mam takiego zamiaru. Muszę się dowiedzieć, skąd ją ma. Musi ich mieć co najmniej siedem.

Podoba jej się, że jestem taki władczy? Wiem, ile dla niej znaczy to wyznanie. Cami Logan, ucieleśnienie niezależności i uporu, uwielbia, kiedy jestem władczy. I bardzo dobrze.

Z uśmiechem idę pod prysznic.

Czekam, aż powrócą zdradzieckie dreszcze. Wysiadłem z samochodu. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i od co najmniej dwóch minut stoję na ścieżce prowadzącej do domu. Dwie minuty ciszy, z Cami u boku. Jestem zbyt spokojny jak na tak wiekopomną chwilę. Co się dzieje, do cholery?

– W porządku? – Cami patrzy na mnie i bierze mnie pod ramię. Moja dłoń niknie w kieszeni dżinsów.

– Tak – odpowiadam, i to prawda. Jestem spokojny, zdecydowany, opanowany. A to wszystko dzięki kobiecie u mojego boku. Zerkam na nią z ukosa i upajam się tym wszystkim, co we



mnie budzi. – Nigdy nie sądziłem, że się na to zdobędę.

Wspina się na palce, dotyka ustami mojego podbródka.

– Ty możesz wszystko.

Zamykam oczy, odwzajemniam pocałunek, otaczam ramieniem jej wąską talię.

– Tylko dzięki tobie – mówię i ruszam z miejsca.

Abbie nas oczekuje, więc nic dziwnego, że staje w progu, zanim dojdziemy do drzwi. Dzisiaj wydaje się bardziej zdenerwowana niż tamtego straszego dnia, kiedy wszystko poszło nie tak. Uśmiecha się, przepuszcza nas przodem, z otuchą gładzi Cami po ramieniu. Mój aniołek oczywiście dostrzega ten gest. Z trudem przełyka ślinę, podnosi na mnie oczy pełne łez. Ale nie ulega im, bo jest dzielną dziewczynką.

– Jesteśmy w ogrodzie – mówi Abbie i wskazuje jadalnię po jednej stronie korytarza. – Piękna dziś pogoda. Pomyślałam, że warto to wykorzystać.

Kiwam głową. Cami puszcza moją rękę i na chwilę traci pewność siebie. Zerkam na nią, ale tylko wskazuje głową drzwi do jadalni, dając mi do zrozumienia, że dam radę.

I dam radę. Nabieram powietrza w płuca, chrząkam i ruszam w głąb domu. Po raz pierwszy czuję, że jestem w stanie spojrzeć na zdjęcia na ścianach. Moja dziewczynka. Jest wszędzie – pozuje, bawi się, tańczy. Nigdy nie widziałam równie cudownej istotki.

Nogi się pode mną uginają, gdy widzę zdjęcie mojej nieżyjącej żony. Jest pogodna, roześmiana. I znowu czekam na dreszcze – i nic.

Nienawiść i rozgoryczenie, które przez tyle lat dźwigałem ze sobą, zniknęły bez śladu, jakby nigdy ich we mnie nie było. Patrzę w oczy kobiety, która mnie zniszczyła, i czuję jedynie smutek i żal. Oboje popełniliśmy błędy. Oboje zawiedliśmy córkę. Ale tylko ja mogę to naprawić. Na tyle, na ile to możliwe. Patrzę w jej ciemne oczy i przekazuję wiadomość bez słów.

Przepraszam, Monico.

Nie wiem, czy mnie słyszy. Nie wiem, czy to dla niej cokolwiek znaczy. Ale naprawdę żałuję. Żałuję, że porzuciłem

córkę. Pociągam nosem i odrywam wzrok od fotografii żony. Do domu wdziera się dziecinny śmiech. Zaglądam do jadalni i widzę szeroko otwarte drzwi do ogrodu. Czuję za sobą Abbie i Cami. Bez słów dodają mi odwagi. Po chwili wahania wchodzę do pokoju. Nie widzę Charlotte, ale ją słyszę. Paple coś radośnie. Odwracam się do Abbie, by zapytać, z kim rozmawia.

Abbie uśmiecha się pod nosem.

– Urządziła przyjęcie dla pluszaków.

– Och. – Udaję, że rozumiem i popieram, choć w głębi duszy zastanawiam się: jak to? Rozmawia z pluszakami? Wydaje dla nich przyjęcie?

Moje milczenie jest bardzo znaczące. Nie mam zielonego pojęcia, jak rozmawiać z dziećmi, a już na pewno nie z dziewczynką, która gada do zabawek. Nagle jestem bardzo zdenerwowany, ale zmuszam się, by brnąć dalej, zanim stchórzę i ucieknę gdzie pieprz rośnie.

Wyglądam zza rogu i staję jak wryty.

To nie jest zwykłe przyjęcie, to prawdziwy bankiet. Na ogrodowym stole czekają patery z owocami i ciastem, kilka butelek wody. Na dwóch krzesłach siedzą pluszowe misie. Charlotte, w ślicznej żółtej sukience, z ciemnymi włosami zebranymi w koński ogon, nakłada winogrona na talerze pluszaków.

– Jedno czy dwa, panie Misiu? – pyta z powagą i unosi łyżeczkę z dwiema kulkami winogron. – Dwie? – upewnia się, a ja jak kretyn patrzę na misia i czekam na potwierdzenie. – Łakomczuszek! – chichocze i przechyla łyżeczkę nad talerzem. Winogrona spadają, jedno turla się dalej, poza talerz. Charlotte cmoka z dezaprobatą, chwytając je rączką i kładzie z powrotem na talerzu. – Nie, nie możesz odejść od stołu! – Grozi misiowi łyżeczką. – Dopiero kiedy wszystko zjesz!

Zamurowało mnie. Odwracam się, zagubiony, ogłupiały, odnajduję wzrok Cami i zerkam na nią ze strachem. Nie mam pojęcia, co robić. Wie o tym, ale zamiast podejść i mnie ratować, wskazuje wzrokiem małą i uśmiecha się z otuchą. A potem patrzy

na Abbie, kiwa lekko głową i obie obracają się na pięcie i wracają do domu. Odprowadzam je wzrokiem, zdumiony, że rzucają mnie na pastwę losu, zdanego na własne siły.

Zostawiły mnie w jaskini lwa! Nawet się nie oglądają, nie sprawdzają, czy jeszcze żyję. Dopada mnie stres, na czole czuję krople potu. Nie tak miało być.

– Dzień dobry.

Cieniutki głosik sprawia, że odwracam się z przesadną szybkością, zapewne z paniką na twarzy. Podnosi na mnie wzrok, zadziera główkę, żeby mnie widzieć. Czuję się jak olbrzym. Jestem na siebie wściekły, że taki ze mnie mięczak.

– Dzień dobry – odpowiadam, krótko i zwięźle. Modłę się, aby przejęła kontrolę nad rozmową i dała mi znać, co dalej.

A ona milczy. Przygląda mi się, aż wiercę się niespokojnie pod spojrzeniem jej ciemnych oczu. Lustruje mnie wzrokiem. Intryguje mnie, jakie myśli kotłują się w jej małej główce. Cisza przeciąga się boleśnie. Przynajmniej moim zdaniem. Charlotte chyba wystarczy, że mi się przygląda.

Znowu chrząkam i wyciągam rękę. Sam nie wiem, co ja właściwie robię, do cholery.

– Jestem Jake – mówię niskim, spokojnym głosem. Nie chcę jej przestraszyć, wystarczy, że ja się boję za nas oboje.

Malutka buźka wykrzywia się z rozbawieniem, kąciki ust unoszą się lekko.

– Wiem, kim jesteś. – Jeszcze chwila i zacznie chichotać, ale nie robi tego, jakby przyszło jej do główki, że może poczuje się głupio.

– Tak? – Cofam rękę i lekko przechylam głowę.

– Tak. Jesteś moim tatusiem. – Mówi to rzeczowo, bez cienia wyrzutów czy niezadowolenia.

A niech mnie. Jestem w szoku. Tak po prostu? Serce staje mi w gardle, ściska się boleśnie, aż mam ochotę wbić sobie dłoń w klatkę piersiową i jakoś je uspokoić.

Podaje mi malutką dłoń. Opuszczam wzrok. Jej rączka przywodzi na myśl delikatnego ptaszka. Jakimś cudem krople potu

z czoła zawędrowały mi do oczu. Mrugam nerwowo i patrzę na nią ze zdumieniem. Uśmiecha się. W życiu nie widziałem nic równie pięknego.

– Fajnie, że cię poznałam, tatusiu. Jestem Charlotte. Twoja córeczka.

Umęczone serce pęka mi w piersi na milion kawałków, z których każdy po równo obciążają wyrzuty sumienia, poczucie winy i żal, tyle żalu.

– Bardzo mi miło – odpowiadam łamiącym się głosem, przez łzy.

Powinni mnie powiesić. Po tym wszystkim, co zrobiłem, po tym, jak porzuciłem córkę, żeby nurzać się w rozpacz, powinno się mnie poćwiartować żywcem i rzucić sępom na pożarcie. Teraz wiem, że Charlotte mogła mi pomóc. Razem przetrwalibyśmy wszystko. Wniosłaby światło w mój mrok, dałaby mi siłę do walki. To maleństwo, tak pełne życia, zawstydzia mnie jak nikt.

Biorę jej malutką łapkę w swoją dłoń i ściskam leciutko, w nadziei, że zrozumie, co chcę jej powiedzieć. Brak mi słów.

Charlotte chichocze pod nosem, przesuwa rączkę tak, że trzyma moją dłoń i ciągnie mnie w stronę stołu.

– Urządziłam przyjęcie.

Patrzę na stół i przypomina mi się, co zastałem, kiedy tu wszedłem. Jezu, chyba nie każe mi rozmawiać z pluszakami?

– Wygląda przyjemnie – mruczę pod nosem. Staram się zdławić ogromną falę uczuć, które wzbudziła mała. Nic z tego. Zupełnie nic. Emocje dławią mnie w gardle i za żadne skarby świata nie chcą odejść.

– Siadaj. – Puszcza moją dłoń i wskazuje, gdzie mam usiąść. Posłusznie spełniam polecenie i czekam, co dalej.

Jest chyba zadowolona, że tak szybko uległem i czuję, jak duma mnie rozpiera, że sprawiłem jej przyjemność.

– Mam też mebelki. – Wskazuje skraj ogrodu i miniaturowy stół i krzeselka. Moja stopa jest większa niż ich siedziska. – Ale ciocia Abbie powiedziała, że jesteś bardzo duży i możesz je połamać.

Bogu dzięki za ciocię Abbie. Jestem wystarczająco przerażony, że skrzywdzę tę małą, nie chciałbym jeszcze dodatkowo niszczyć jej zabawek.

– Ciocia Abbie ma rację.

Charlotte wspina się na krzesło i wydaje się jeszcze drobniejsza niż jest, gdy przesuwa się na skraj siedziska, żeby sięgnąć stołu. Kucyk z ciemnych włosów podskakuje na drobnych barkach. Sięga po imbryk i nalewa odrobinę wody do filiżanki rozmiarów naparstka.

– Może herbatki? – Podaje mi filiżankę. Niezdarnie biorę ją między kciuk i palec wskazujący i staram się nie wyglądać jak osioł.

– Bardzo dziękuję. – Odstawiam miniaturową filiżankę na stół i sięgam do wewnętrznej kieszeni. – Mogę ci coś pokazać?

Od razu przykuwam jej uwagę.

– A co?

– Zdjęcie twojej mamy. Mogę?

– Widziałam dużo zdjęć mojej mamy.

Waham się, słysząc tę odpowiedź. No pewnie, że widziała. W korytarzu wisi ich całe mnóstwo. Ale nie takich jak to. To jedyne zdjęcie, na którym jesteśmy razem.

– Ale to jest inne.

Zaintrygowana, marszczy czołko.

– Dlaczego?

Dotykam fotografii w kieszeni i przez moment zastanawiam się, czy to właściwe posunięcie.

– Bo ja też tam jestem. – Wyrzucam to z siebie szybko, nerwowo, i wyjmuję zdjęcie, zanim sobie wmówię, że to kiepski pomysł. – Zobacz. – Podaję jej i staram się sam nie patrzeć. Dlaczego właściwie zachowałem je do tej pory? Żeby się dręczyć? To logiczne wytłumaczenie. Przez minione lata to był mój główny cel. A może gdzieś tam w głębi duszy, pod pokładami goryczy, wiedziałem, że pewnego dnia przejrzę na oczy i zrobię wszystko, żeby odzyskać córeczkę. Ta wersja bardziej mi się podoba.

Obserwuję zafascynowany, jak rozbłyskują jej oczy, gdy po

raz pierwszy widzi rodziców razem. Przez dłuższą chwilę przygląda się fotografii, chłonie każdy szczegół.

– Znałeś moją mamusię? – pyta w końcu i podnosi na mnie wzrok.

– Tak. – Wskazuję zdjęcie, ale nie patrzy na nie. Ja jestem najwyraźniej ciekawszy.

– Jaka ona była? – Domyślam się, że Abbie nakładła jej do główki opowieści stawiających jej matkę w jak najlepszym świetle. I tak powinno być.

– Ciocia Abbie pewnie ci o niej opowiadała.

– Ale chcę, żebyś to ty opowiedział. – Odkłada fotografię i patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

Co mogę powiedzieć? Monica mnie zniszczyła. Sprawiała, że pałałem żądzą mordu, dzień w dzień, do śmierci. Nie było mnie do tej pory w życiu córki, bo zrobiła ze mnie zgorzkniałego, samolubnego drania, a ją chciałem przed tym uchronić.

– Była śliczna i cudowna, zupełnie jak ty. – Odpowiadam z łatwością, pomijam te wszystkie złe rzeczy, gdy wspominam dobre chwile. To, jak się poznaliśmy. Jak się zakochaliśmy, od pierwszego wejrzenia. Po raz pierwszy od lat odważyłem się zapuścić tak daleko w przeszłość, do czasów sprzed zdrady, rozpacz, wyrzutów sumienia. Dobre wspomnienia były zbyt głęboko, za dobrze ukryte. Wtedy. Teraz odnajduję je z łatwością.

Chichocze i trzepocze długimi rzęsami.

– A teraz już skończyłeś walczyć ze złymi ludźmi, tatusiu? Zbija mnie z tropu tym pytaniem. Zaskoczony podnoszę głowę.

– Słucham?

– Ciocia Abbie mówiła, że pewnego dnia wrócisz do domu, kiedy skończysz walczyć ze złymi ludźmi. – Przechyliła ciekawie główkę. – Skończyłeś?

Mógłbym rozsypać się na kawałki. Dobry Boże, jeszcze chwila, a będę się mazał jak dzieciak.

– Tak. – Odchrząkam, zabieram zdjęcie ze stolika, chowam je do kieszeni. – Żli ludzie już sobie poszli.

Nieprawda. Nigdy nie odejdą, nie wszyscy. Ale zniknęli z mojego życia, a teraz tylko to się liczy. Nie mam serca jej tego tłumaczyć. Jej niewinność jest zaraźliwa. Też chcę ją poczuć.

– Czy to znaczy, że teraz już możesz być moim tatusiem?

I to jest ten moment. Nie wytrzymam dłużej. Zbyt wiele we mnie łez, nie mają innego ujścia, muszą płynąć po moich policzkach. Ocieram je gniewnie, pociągam nosem jak idiota. Kiwam głową. Nie mogę mówić.

– Dlaczego płaczesz, tatusiu? – Wyciąga rączkę, dotyka mojej dłoni.

– Bo bardzo się cieszę – odpowiadam. – Bardzo się cieszę, że teraz mogę być twoim tatusiem.

Nie mam zielonego pojęcia, czy to się w ogóle uda. Z każdą chwilą czuję, jak narasta we mnie zaborczość wobec niej. Do szaleństwa. Ta bystra, słodka, energiczna dziewczynka jest moja. Zdaję sobie sprawę, że musimy zacząć powoli. Poznać się. Nawiązać kontakt. Nie mam do niej prawa, ale kiedy na nią patrzę nad stołem, widzę życie w jej piwnych oczach.

I dociera do mnie...

Że to ona mnie sobie wzięła.

## Rozdział 36

### CAMI

Kiedy obserwuję go przez okno, jak radzi sobie z małą, energiczną dziewczynką, czuję, jak coś ściska mnie za gardło. Wydaje się przerażony. Niewiele zrobiłam w życiu trudniejszych rzeczy niż to, że zostawiłam go samego z córką. Ale wierzę w niego. Musi to zrobić, wykonać ten ostatni krok w przeszłość i pogodzić się z tym, co było. Miniony tydzień upłynął nam spokojnie, ja starałam się uporać ze zdradą ojca, Jake myślał o przyszłości. O przyszłości ze mną i, miejmy nadzieję, z tą małą istotką, która w tej chwili przedstawia mu swoje pluszaki. Uśmiecham się, gdy widzę, jak po chwili wahania wyciąga rękę i ściska niedźwiedzią łapkę. Dobry Boże, wydaje się przerażony małą i jej pluszakami.

– Dobrze sobie radzi. – Abbie staje koło mnie przy oknie i uśmiecha się ciepło. – Charlotte ma charakter. Jest konkretna i rzeczowa.

Uśmiecham się i myślę o kimś o podobnych cechach.

– Jest cudowna.

– To prawda.

– Jak sobie radziłaś?

– Normalnie. Zawsze liczyłam, że pewnego dnia Jake wróci. Wie, że mamusia jest w niebie, i myśli, że przez cały ten czas tatuś walczył ze złymi ludźmi. – Śmieje się głośno. Wtóruję jej.

– I to chyba prawda.

– Chyba tak – przyznaje i lekko kiwa głową. – Nie znam go dobrze, ale umiem rozpoznać porządnego człowieka. Szkoda, że moja siostra tego nie rozumiała.

– Jaka ona była? – pytam. Poczulałam się swobodnie. Jestem tu z Abbie od zaledwie pół godziny, a już czuję się jak u siebie. Ona emanuje spokojem i nie sposób się temu oprzeć.



Zaplata ręce na piersi. Ciemne włosy związała niedbale z tyłu głowy, ma na sobie batikową koszulę i dżinsy poplamione farbą w okolicach kieszeni.

– Bardzo się różniłyśmy – zaczyna smutno, wpatrzona w ogród. – Monica była odważna, energiczna i zaczepna. Często mnie dziwiło, że mamy tych samych rodziców.

– Ja i mój brat jesteśmy bardzo różni, ale mamy różne matki. Uśmiecha się do mnie.

– Wiem.

Czuję, że się rumienię. Pewnie, że wie. Cały Londyn wie.

– Monica i Jake zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia – ciągnie, zaskakując mnie. Nie chciałam wypytywać o tamtą część jego życia. Zdaję sobie sprawę, że to małostkowe, zwłaszcza że wiem, jak się skończył tamten związek, ale nic nie poradzę na ukłucie zazdrości. I jeszcze odrobinę urazy i też wdzięczność. Dziwna mieszanka uczuć wobec nieżyjącej kobiety. Mam do niej żal, że go zniszczyła, ale jednocześnie jestem jej wdzięczna, bo jej złe decyzje oznaczały, że pewnego dnia mogłam go ocalić. I do tego jestem zazdrosna, że tak na niego działała.

– Poznali się, kiedy był na urlopie wojskowym – ciągnie Abbie i wracam myślami na ziemię. Śmieje się. – Pobrali się, zanim wrócił do Afganistanu. Niedługo później okazało się, że jest w ciąży i tyle. – Abbie wzdycha, sięga po kubek, powoli upija łyk herbaty. – Wiedziałam, że popełniła błąd. Monica była zaborcza, chciała być w centrum zainteresowania, a Jake na Bliskim Wschodzie nie bardzo mógł jej to zapewnić.

I wtedy na scenę wkracza jego najlepszy przyjaciel, pomyślałam i też sięgnęłam po herbatę.

– Bardzo kochałam siostrę, ale była straszną egoistką. – Patrzy na mnie ze smutnym uśmiechem. – Do tego stopnia pochłaniała ją namiętność, że nawet nie brała pod uwagę roli słomianej wdowy i samotnej matki.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć, więc mówię tylko jedno, co przychodzi mi do głowy:

– Dziękuję.

Patrzy na mnie zaintrygowana.

– Za co?

Głupio mi, nie wiem, czy mam prawo to mówić, ale czuję, że powinnam.

– Za to, że zaopiekowałaś się Charlotte. Wszystko zawdzięcza tobie. – Przecież Abbie wcale tego nie chciała. Pozbierała kawałki cudzego życia i brnęła do przodu, i jeszcze utrzymywała w małej pamięć o Jake’u. To szczerza, dobra kobieta. Jake nigdy się jej nie odwdzięczy za to, co zrobiła.

– Kocham ją. – Słyszę drzenie w jej głosie, odruchowo chcę złagodzić jej smutek. Dotykam jej barku. Śmieje się, odpycha od siebie złe myśli. – Idiotka ze mnie. Odkąd się urodziła, czekałam na ten dzień, a dzisiaj, kiedy wreszcie do tego doszło, uległam emocjom. Chciałam, żeby zobaczył, jaka jest wspaniała. Wiedziałam, że kiedy tylko ją pozna, straci dla niej głowę.

Nie mieści mi się w głowie jej wiara i empatia. Wracam wzrokiem do okna. Jake posadził sobie misia na kolanach i karmi go truskawką. Charlotte pokazuje mu, jak to się robi. Śmieję się, rozkoszuję tą sceną. Jake się uśmiecha, ma rozpromienione, szczęśliwe spojrzenie i niedowierzanie na twarzy, jakby nie pojmował, jakim cudem taka mała istotka zrobiła z niego takiego mięczaka.

– Już stracił – mruczę.

– To było do przewidzenia. – Abbie odstawia swój kubek. – O, wracają – uśmiecha się do mnie. – Przynieść mu coś mocniejszego niż herbatka?

– Tak! – chichoczę, a do kuchni wkracza Charlotte, ciągnąc za sobą Jake’a. Zaciskam usta, przyglądam mu się, widzę, że jest o wiele bardziej rozluźniony, niż kiedy zostawiłam go w ogrodzie samego z małą.

Charlotte staje przede mną. Cały czas trzyma Jake’a za rękę.

– Tatuś mówi, że jesteś jego aniołkiem.

Zerkam na niego zaskoczona. Bezradnie wzrusza ramionami. O rany. Tego się nie spodziewałam.

– Cóż... ja... – mamrocę jak idiotka.

– Jak moja mamusia? – pyta z niewinnością, która chwyta mnie za serce. – Jesteś aniołkiem, jak moja mamusia?

– No... ja... – Szukam odpowiednich słów, by jej to wytłumaczyć tak, żeby zrozumiała, i serce mi przy tym pęka.

– Niezupełnie. – Abbie wyczuwa moje zdenerwowanie i wkracza do akcji. – Twoja mamusia jest aniołkiem, bo poszła do nieba. A Cami jest aniołkiem, bo zbawiła tatę.

Głęboko nabieram tchu i patrzę na Jake'a. On także wydaje się zaskoczony.

– Co to znaczy: zbawiła? – pyta Charlotte.

Abbie nie zwraca uwagi na nasze zdumione twarze. Pochyliła się, opiera dłonie na kolanach, tak że znajduje się bliżej siostrzenicy. Uśmiecha się do niej, spokojna, pewna siebie.

– Zbawić to znaczy uratować, uszczęśliwić kogoś, kto był bardzo nieszczęśliwy. – To proste tłumaczenie brzmi, jakby od dawna je ćwiczyła. Bez trudu radzi sobie z pytaniami małej, a Jake i ja poddaliśmy się przy pierwszej okazji.

Denerwuję się tym wszystkim coraz bardziej. Czy to w ogóle ma szansę się udać? Nie rozmawialiśmy jeszcze o logistyce, o żadnych szczegółach.

– Dlaczego tatuś był smutny? – pyta, nagle posmutniała na samą myśl.

– Bo chciał być z tobą, a nie mógł – tłumaczy delikatnie Abbie.

Wędruję spojrzeniem do Jake'a, widzę, jak wpatruje się w małą oczami pełnymi emocji. Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam nad sobą panować.

Charlotte jest chyba zadowolona z odpowiedzi. Odwraca się od ciotki i patrzy na mnie.

– Dziękuję, że uszczęśliwiasz mojego tatusia! – mówi rozpromieniona. – Teraz ja ci będę w tym pomagała! Bo pokonał już wszystkich złych ludzi! I teraz w końcu może być moim tatusiem!

O Boże. Raz za razem przełykam ślinę, uśmiecham się z trudem, i dopiero wtedy zerkam na Jake'a, żeby zorientować się,

co sobie myśli. Na jego twarzy zachwyty miesza się z zagubieniem.

– Proszę bardzo – szepczę.

– Tatuś mnie prosił, żebym mu z czymś pomogła – oznajmia i dumnie wypina pierś.

Dziwię się lekko.

– Tak?

Kiwa energicznie główką, chwyta Jake'a za rękę, wieszając się na nim.

– Musisz wyjść do ogrodu.

Posyłam mu pytające spojrzenie, ale mój wzrok trafia w próżnię.

– Chodźmy do ogrodu – mówi, chrząka i wskazuje drogę.

Zerkam na Abbie. Wzrusza ramionami. Na jej ustach błąka się delikatny uśmiech.

– Do ogrodu – powtarza, kładzie mi rękę na plecach i lekko popycha w tamtą stronę.

Nie mam wyjścia, muszę im ulec. Idę za Charlotte i po chwili znajduję się w małym ogródku, w którym jednak znalazło się miejsce na grządki warzywne i małą komórkę. Każda deska jest innego koloru. Domyślam się, że Charlotte pomagała przy malowaniu.

– Może usiądziesz? – pyta Jake, podchodzi do mnie, wskazuje puste krzesło.

– Sama nie wiem. A powinnam?

– Tak! – Charlotte napiera na mnie z siłą, której nikt by się nie spodziewał w tak małym ciałku. Osuwam się na krzesło. Mierzy mnie wzrokiem, a potem podnosi oczka na Jake'a. – Jesteś wysoki, tatusiu. Musisz uklęknąć, inaczej nie dasz rady jej pocałować.

Prostuję się nagle. Jake śmieje się i podnosi palec do ust.

– Ciii.

Charlotte rozgląda się uważnie i nagle podnosi rączkę do buzi.

– Ojej!

– Co jest? – Nie podoba mi się ani to, że nic nie wiem, ani to,

że jestem w centrum zainteresowania.

Uśmiech na twarzy Jake'a ustępuje onieśmieleniu, gdy Charlotte pcha go w moją stronę. Podnoszę na niego wzrok i dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że jego twarz jest coraz bliżej.

Bo klęka.

Niespokojnie wiercę się na krześle. Boże drogi, co on wyprawia?

Przyklęka na jedno kolano, bierze mnie za rękę, przyciąga bliżej. Opieram się. Zaintrygowany, lekko przechyla głowę szarpie mocniej.

– Kiedy powiedziałem Charlotte, że się pobieramy – zaczyna z namysłem – zapytała, jak ci się oświadczyłem. – Patrzy na rozpromienioną córkę i uśmiecha się nerwowo. Przeczesuje włosy palcami. – I nie była tym zachwycona.

Nie? A ja – owszem. Nie mówię tego jednak, bo Charlotte energicznie kiwa główką. Abbie śmieje się za naszymi plecami.

– Powiedziała, że było nie tak, jak w bajkach – ciągnie Jake. Głos mu się łamie, ale dzielnie brnie dalej. Oddycha głęboko.

– Dlaczego nie? – Patrzę na Charlotte. Zniecierpliwiona komicznie przewraca oczami.

– Bo nie dał ci pierścionka! – krzyczy. – Książę zawsze daje księżniczce pierścionek!

– Och – wzdycham. Lepiej nie mówić o pierścionku, który przecież miałam, póki go nie zmyłam pod prysznicem.

– A teraz ma dla ciebie pierścionek! – Dosłownie trzęsie się z emocji. – Daj jej, tatusiu!

Ma?

Zagryzam usta. Czuję, jak Jake zaciska dłoń na moich palcach.

– Możemy to powtórzyć? – pyta odrobinę speszony.

Chce mi się płakać. Mogłabym mu powiedzieć, że to niekonieczne, ale czuję, jak Charlotte wspina się na moje krzesło i wkłada mi coś na głowę.

– Teraz jesteś prawdziwą księżniczką – tłumaczy z powagą i

schodzi na ziemię.

Podnoszę rękę i czuję pod palcami plastikowy diadem.

– To Kopciuszka – zdradza z przejęciem.

Chichoczę nerwowo.

– Dziękuję. – Mała chyba zaraz pęknie z dumy.

Jake czeka, aż skinie głową na znak, że może mówić dalej. Rozpromieniona, daje mu znak. I wtedy odwraca się do mnie i wyjmuję z kieszeni pierścioneł – piękny, bardzo prosty pierścioneł z brylantem.

– Camille Logan – zaczyna, a ja nie mogę oddychać, zaciskam usta, żeby nie szlochać jak idiotka. Charlotte nie byłaby zadowolona. Kopciuszek nie płakał. Jake uśmiecha się, promienny, szczęśliwy. Książę z bajki może się przy nim schować. Ścisła mnie za rękę. – Zostaniesz ze mną na zawsze?

– Nie tak! – złości się Charlotte.

– Już dobrze! – Jake się śmieje i patrzy na mnie ze skruchą. Nabiera głęboko tchu. – Camille Logan, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? – Zaciska dłoń na mojej. Uśmiecha się nieśmiało. – Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Chcę spędzić z tobą cały czas, jaki mi został na tej ziemi. Chcę widzieć twój śliczny uśmiech, słyszeć twój głos, patrzeć, jak pracujesz. Chcę dzielić z tobą moje szczęście. Każdy dzień, do końca życia. – Pochyla się, delikatnie gładzi mnie po policzku. – Wyjdiesz za mnie?

Przełykam ślinę, męcę się z gulą w gardle, zaciskam usta, żeby powstrzymać wzbierające uczucia. I powoli kiwam głową.

– Musisz powiedzieć: tak! – tłumaczy Charlotte. Śmiejemy się, ja, Abbie i Jake, a Charlotte czeka, aż jej posłucham. Nie mówię jej, że już przez to przechodziliśmy. Dla niej to nieważne, bo jej zdaniem poprzednio Jake zrobił wszystko nie tak.

Odsuwam się i uśmiecham przez łzy.

– Tak – mówię wyraźnie, gdy Jake wsuwa mi pierścioneł na palec. – Teraz ty jesteś moim domem. – Już po mnie, łzy ciurkiem płyną mi po policzkach. Pieprzyć Kopciuszka. To musiała być naprawdę twarda suka. – Jake’u Sharp, jesteś moim światem.

– Hurra! – piszczy Charlotte, a ja śmieję się przez łzy, widząc, jak kręci się w kółko.

Jake muska palcem brylant w pierścionku.

– Dziękuję – szepcze.

– Teraz musicie się pocałować! – Charlotte tańczy wokół nas i klaszcze energicznie.

Nie marnuję czasu. Nie trzeba mi dwa razy tego powtarzać. Zarzucam mu ręce na szyję i całuję go gwałtownie, aż upada na trawę. Nie mam żadnych zahamowań, zatracam się w obłoku szczęścia, nadziei i miłości, a Charlotte płąsa wokół nas, klaszcze i śpiewa. Odrywam się od niego dopiero, gdy woła, że mamy przestać. Kuca przy głowie ojca, spleta małe rączki na kolanach. Jake patrzy na nią z ziemi.

– Ja też dostałam pierścionek od tatusia – oznajmia dumnie i pokazuje mi pulchną łapkę. – Powiedział, że jest super wyjątkowy.

Opuszczam wzrok i widzę coś, co bardzo przypomina pierścionek zaręczynowy, który Jake narysował mi na palcu w wiejskiej posiadłości. Uśmiecham się szeroko i szukam jego wzroku.

Wydaje się odrobinę speszony i onieśmielony.

– Szczęściara z ciebie – mówi wzruszając ramionami. – Chciała ten. – Wskazuje mój palec, na którym już tkwi zaręczynowy pierścionek.

Śmieję się głośno. Przychodzi mi do głowy myśl, której w życiu się nie spodziewałam. Z największą chęcią podzielę się Jakim. Podzielę się nim z tą cudowną, bystrą dziewczynką. Z jego córką. Wszystko, co jego, jest też moje. Charlotte także.

Oddycham świeżym powietrzem, wciągam wszechobecny zapach miłości i wtulam się w pierś Jake'a.

– Co teraz? – pytam cicho.

– A co chcesz?

– Chciałabym zamieszkać w twojej zaczarowanej krainie i żebyśmy tam żyli długo i szczęśliwie.

Czuję, jak się uśmiecha.

– Czego tylko zechcesz.

Charlotte piszczy radośnie. Patrzymy na nią oboje.

– Ja też chcę zamieszkać w zaczarowanej krainie! Mogę? Tatusiu, mogę? – Wydaje się przerażona myślą, że jej odmówimy. Patrzę na Jake’a, ciekawa, jak sobie z tym poradzi. Nie mam złudzeń, wiem, że nie możemy jej tak po prostu zabrać, żeby dołączyła do naszej bajki. To wszystko potrwa, wymaga czasu i namysłu.

Jake zaciska usta, patrzy na rozpromienioną córeczkę i zastanawia się intensywnie, jak to załatwić, nie sprawiając jej przykrości i przede wszystkim nie raniąc Abbie. Wychowywała ją przez cztery lata. O niej także musimy pamiętać.

Abbie podchodzi bliżej, kuca, przyciąga uwagę Charlotte.

– Może najpierw będziesz tam jeździć w weekendy, wiesz, póki tatuś i Camille wszystkiego nie przygotują. Bo będą mieli pełne ręce roboty, żeby urządzić dom na twój przyjazd. – Uśmiecha się z wysiłkiem, widzę, ile kosztują ją te słowa. Głos jej drży.

Jake wstaje i ciągnie mnie za sobą. Staję obok niego. Wiem, co chce zrobić. Bierze Abbie za rękę i ściska ją serdecznie.

– Dziękuję – szepcze.

Abbie przełyka z trudem i kręci głową.

– A do tego muszą też urządzić pokój dla mnie, bo będę cię tam odwiedzać.

– Będę księżniczką w zaczarowanej krainie tatusia! –

Charlotte podskakuje radośnie, a potem rzuca się na Jake’a. Jake ze śmiechem bierze ją na ręce. Charlotte patrzy na niego z powagą.

– Cieszę się, że już wróciłeś, tatusiu.

Widzę, jak pulsuje mu żyłka na szyi, widzę, że lada moment emocje wezmą górę. Unosi dłoń do jej pulchnego policzka i gładzi czule.

– Ja też, skarbie. Ja też. Już nigdy cię nie zostawię.

Charlotte zarzuca mu ramionka na szyję i tuli się do jego piersi.

– Możesz być moim królem, tatusiu.

Jake wtula twarz w jej szyjkę i przyciąga do siebie. Ukrywa



swoje łzy, natomiast moje płyną swobodnie. Jestem szczęśliwa.  
Czuję, jak i mnie ogarnia jego spokój.  
Mój cień znalazł swój cień.

## Podziękowania

*Chciałabym podziękować tak wielu osobom, że zawsze zastanawiam się, czy nie macie dość ich słuchania. Ale jeśli nie, chciałabym podziękować mojemu zespołowi, tu w Wielkiej Brytanii i za wielką wodą, w Ameryce. Dziękuję Wam za nieustanne wsparcie. Jestem szczęściarą, że Was mam.*

*Jednak jest jedna osoba, którą muszę wyróżnić – ktoś, kto znaczy wiele dla mnie i to nie tylko w życiu zawodowym. To moja agentka, Andrea Barzvi. Minęły ponad trzy lata, odkąd się poznałyśmy – kiedy nie miałam zielonego pojęcia o publikacji książek i znalazłam się w centrum zawirowań wokół Tego Mężczyzny. Wciąż wiele nie wiem, ale świadomość, że mam u boku Andree, sprawia, że cały ten szalony proces jest bardziej fascynujący niż przerażający. Ona jest prawdziwym skarbem i codziennie dziękuję mojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że Andrea mnie znalazła.*

*Dziękuję Ci, Andy, za wszystko, co robisz... Zawodowo i nie tylko.*

*I na koniec chciałabym podziękować Wam wszystkim, niesamowitym blogerom i czytelnikom na całym świecie. Dziękuję za zaproszenie mnie do Waszego internetowego świata i za to, że czekacie, aby zobaczyć, gdzie zaprowadzi mnie moje pisanie. Mam nadzieję, że spodoba się Wam mój nowy mężczyzna, Jake.*

